

SUSAN ELLIOT WRIGHT

Przemilczenia

Susan Elliot Wright

PRZEMILCZENIA

Przekład: Małgorzata Koczańska



Dla Francis.

*I w imię pamięci Winifred Annie Wright (1915–2011), drogiej przyjaciółki, której
zawdzięczam inspiracje.*

Prolog

Luty 2009

Szum deszczu niósł się pomimo opuszczonych zasłon, z nadbrzeżnej drogi dochodził plusk samochodowych kół. Zeszłej nocy spadł śnieg, jednak ulewa chyba go rozgoniła, dzięki Bogu. Kobieta nie znosiła śniegu, wzdragała się na samą myśl o nim. Światło żarówki na suficie wydawało się przytłumione, więc włączyła lampę, palcami musnęła frędzle abażuru. Raz jeszcze spojrzała na list, jedną kartkę, dwa akapity druku i odręczny podpis. Udało się jej uspokoić drżenie rąk na tyle, by wsunąć arkusz do koperty i wcisnąć do kieszeni sukienki. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jak bardzo jej zmysły są pobudzone. Nie mogła sobie pozwolić na panikę, musiała pomyśleć. Czas zamarł, a do niej dotarły przytłumiony brzęk talerzy w kuchni, zapach niemal przypalonej grzanki, tykanie kuchennego zegara odmierzającego z trudem kolejną minutę oraz gorzko-pomarańczowy posmak dżemu na języku. Pośpiesznie wybiegła z salonu i korytarzem skierowała się do sypialni, gdzie chyba zostawiła włączone radio. Usiadła po swojej stronie łóżka. Chętnie rozciągnęłaby się na pościeli, otuliła kołdrą i udawała, że nadal trwa noc.

– Duże opady śniegu w dzielnicach południowych wywołują spore zakłócenia w sieci transportowej Londynu – mówił właśnie John Humphrys.

Po tej wiadomości zapytał przedstawiciela miejscowych władz, czy rada miasta nie powinna była lepiej się przygotować na takie okoliczności. Rozległy się piknięcia – ósma. Kobieta próbowała się skupić na tytułach wiadomości: opady śniegu, zamknięte szkoły, pogarszająca się sytuacja kredytowa, Nick Clegg przysięgający wyrównanie różnic klasowych, gwałtowny wzrost liczby zachorowań na odrę, opisany jako „bardzo niepokojący”. Nacisnęła wyłącznik, potem rozejrzała się, jakby nie była pewna, gdzie właściwie się znajduje. Świeże powietrze, właśnie tego jej trzeba, morskiego świeżego powietrza. Spódnica ogrodniczka zwisała na oparciu fotela, na podłodze leżał żakiet. Oczywiście potrzebowała też bielizny i pary skarpet. Jednak po zebraniu rzeczy myśl o włożeniu ich wywołała zawrót głowy. Kobieta opadła na łóżko w poczuciu klęski, pozwoliła, by ubrania wyslizgnęły się jej z rąk. Musiała wyjść. Już. Gdy tylko poczuje na twarzy deszcz i wilgotne, słone powietrze, łatwiej pozbiera myśli.

Dopiero po wspięciu się po betonowych schodkach prowadzących na ulicę zdała sobie sprawę, jak mocno pada. Chodniki były mokre, woda spływała z pluskiem z rynien do kanałów. Morski wiatr zacinał ostro i nawet z daleka słychać było fale uderzające z hukiem o falochron. Odgarnęła siwiejące włosy z oczu i pozwoliła, aby deszcz ją przemoczył, a wiatr szarpał rąbek jej sukienki. Koperta szeleściła w kieszeni, a ona czuła papier przebijający się przez tkaninę

i dotykający skóry na biodrze.

Było zimno, nawet jak na Hastings, zwłaszcza w lutym. Chłód kłuł w uszy, krople wydawały się lodowate. Trudno było powiedzieć, czy to wiatr, czy nagła świadomość, że to już luty, wywołała przypływ ostrych i zimnych wspomnień, wyrazistych jak obraz przed oczami.

Jest rok 1962, noc ciemna i zimna, wiatr smagający w twarz.

– Uważaj!

Mężczyzna łapie ją za ramię i odciąga, a w miejscu, gdzie przed chwilą stała, ląduje obluzowana dachówka. A potem rozlega się głośniejszy trzask i część komina uderza w dach samochodu za plecami pary.

– Chryste, zaraz zginiemy. – Mężczyzna szarpie kobietę za ramię i ciągnie do zaułka. – Chodź tu, schowamy się przed wiatrem.

Czy to wtedy coś uderzyło ją w głowę? A może stało się to trochę później? Wspomnienie wyostrzało się tylko częściowo, reszta pozostawała zamglona. Kobieta poczuła lekki zawrót głowy, wyciągnęła rękę do metalowej poręczy, żeby się przytrzymać. Pomimo szumu deszczu i świstu wiatru słyszała własny oddech równie wyraźnie jak tamtej nocy w 1962 roku, kiedy zbiegała ze wzgórza...

...podczas biegu stopy klapią rytmicznie po chodniku. Wichura dmie w plecy i wydaje się, że dodaje skrzydeł, można się na niej niemal unosić. Wokół słychać trzaski, uderzenia, brzęk tłuczonego szkła, a w oddali szczeka pies. Po ulicy wala się tyle śmieci, że trzeba je przeskakiwać, jeśli nie chce się zwalniać. Wydaje się, jakby miasto zostało zbombardowane, choć przecież wojna skończyła się wiele lat temu.

Na pewno jest w niebezpieczeństwie. Stara kłoda zastawia drogę; biegnąc, dziewczyna potyka się na przeszkodzie i upada z łomotem. Ręce kłują po zderzeniu z zimnym chodnikiem, kolana są obdarte, jednak zauważy to o wiele, wiele później.

Kobieta odepchnęła to wspomnienie. Przez chwilę zastanawiała się, co tutaj robi, dlaczego wyszła rano tylko w sukience. W taką pogodę? Potem sobie przypomniała. Wsunęła rękę do kieszeni, list nadal tam był. Naprawdę wcale jej się nie zdawało.

W oddali krzyknęła mewa, znajomy zew porwał wiatr, co wywołało tak silną falę smutku, że zaparło jej dech. Wyjęła list z koperty, rozłożyła ostrożnie, aby podmuchy nie wyszarpaneły jej kartki z rąk, i przeczytała ponownie. Myślała o tej chwili wiele razy podczas minionych dziesiątków lat. Tak jak się obawiała, otworzyły się wrota przeszłości. Musiała teraz spojrzeć w otchłań, prosto w mrok.

Rozdział 1

Listopad 2008

Popołudnie było zimne, wilgotne, ale przynajmniej poranna mgła wreszcie się roziała. Gdy Jonathan Robson przechodził przez betonowy plac usiany pepitką rozgniecionych gum do żucia, myślał o zbliżającym się wieczorze. Postanowił przygotować specjalną kolację na rocznicę – confit z kaczki, pikantną czerwoną kapustę i ziemniaki dauphinoise. Zdołał nawet znaleźć odpowiednie, niskoalkoholowe wino. Kiedy w drodze na parking mijał budynek pracowni nauk ścisłych, na ścianie pokrytej graffiti dostrzegł nowy malunek: „Mój tyłek pachnie jabłkami”. Jonathan uśmiechnął się – hasło przynajmniej było oryginalne, nawet dość urocze w porównaniu z resztą bazgrołów. Skręcił za róg i wpadł prosto na Jerome’a Wilsona – dziewięciolatka, czasami trochę nieznośnego, ale ogólnie miłego dzieciaka. Jonathan kiedyś przyłapał go na czytaniu pod ławką. Niekiedy to, co konfiskowało się uczniom, wywołałoby u dorosłego rumieniec, ale w przypadku Jerome’a była to tylko książka o dinozaurach. Od tamtej pory Jonathan miał do chłopaka słabość.

Jerome wyglądał na zaskoczonego.

– Wszystko w porządku, proszę pana? – spytał.

– Dzień dobry, Jerome. Wyrzuc tego peta, jak na grzecznego młodego człowieka przystało. No, już.

Chłopak sprawiał wrażenie, jakby chciał się wyprzeć tego, że pali, ale Jonathan spojrzał znacząco na szarą smużkę dymu unoszącą się w rześkim powietrzu za plecami ucznia. Mężczyzna starał się nie uśmiechnąć na wspaniały zapach papierosa. Jerome wyszczerzył zęby, rozejrzał, zaciągnął się szybko i dopiero wtedy zgasił papierosa na ścianie.

– Przepraszam, panie Robson.

– Zabieraj się, Jerome, zmykaj do domu, a ja udam, że niczego nie widziałem.

– Dziękuję. Do widzenia.

Jonathan już miał wsiąść do samochodu, gdy odezwał się jego telefon. Fiona.

„Wybacz ten ranek. Nie chciałam na ciebie naskoczyc, i to przed praca. To ciaza i hormony! Pa!”.

Mężczyzna odpisał od razu.

„Ja też przepraszam. Niedługo bede w domu. :)”.

Słownik podsunął mu sugestię: „Niedługo będzie dobrze”, co skłoniło Jonathana do zastanowienia się, czy czasem Fiona nie wydaje się od kilku tygodni trochę podenerwowana, ale sam przecież też nie miał ostatnio zbyt pogodnego nastroju. Ziewnął, przez zmęczenie łatwo wpadał w irytację.

Przydałoby się wreszcie porządnie wyspać. Ile można znieść nocy, gdy leży się w łóżku i wpatruje w zmieniające się liczby na tarczy zegara, a w głowie trwa gonitwa myśli? Kiedy przez ostatnie lata zastanawiał się, jak mógłby wyglądać ten okres w ich życiu, zawsze wyobrażał sobie, że ciąża to czas intymności i radosnego oczekiwania. Jak dotąd jednak nic takiego nie przypominała. Jeżeli już, to Jonathan miał wrażenie, że jego więź z Fioną słabnie, zamiast się zacieśniać.

Na Shooter's Hill Road były potworne korki. Ciągnęły się przez Blackheath, ruch niemal zamarł, więc Jonathan przestał się przejmować i tylko przyglądał się drzewom, których filigranowe kształty odcinały się czernią na tle szarzejącego nieba. Dzisiaj wszystko będzie dobrze – nie zniósłby myśli, że on i Fiona nie spędziliby razem swojej rocznicy. Przecież to ich ostatnia rocznica jako pary, za rok będą świętować jako rodzina. Jonathana ogarnęły znajome obawy. Będą mieli dziecko, a nie mógł pozbyć się wrażenia, że powinien zrobić więcej. Tylko nie wiedział co. Nie miał nawet pewności, co powinno się w takich sytuacjach mówić. Chociaż miało to być pierwsze dziecko dla obojga, Jonathan czuł, że to Fiona jest w tych sprawach ekspertem. Szkoda, że nie poświęcał więcej uwagi Malcolmowi i Cass, gdy oczekiwali narodzin Poppy. Jeżeli jednak Jonathan stanie się równie dobrym ojcem jak Malcolm, wszystkie błędy zostaną mu wybaczone.

* * *

Wieczór okazał się przyjemny na tyle, że zostawili deser i zabrali wino do sypialni na górze. Wcześniej robili to dość często, dopóki starania o dziecko nie stały się nerwowe i przepełnione niepokojem, podejmowane pod dyktando wykresu temperatur, kalendarza i specjalnych diet.

– Szczęśliwej rocznicy – szepnęła Fiona, po czym popchnęła go lekko i przytuliła się do Jonathana. – Nie miałam czasu kupić ci prezentu. To się nada?

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Pierwszy raz od wielu tygodni to ona zainicjowała seks.

– Och, zatem bierz się do dzieła.

Ich zbliżenie było krótkie, ale radosne. Bardziej przypominało intymne chwile, jakie dzielili, zanim zaczęły się próby zajścia w ciążę. Potem trzymali się za ręce przytuleni, biodro w biodro, udo w udo, dzieląc się ciepłem swoich ciał. Żadne nie chciało się odsunąć, wpuścić między nich trochę powietrza. Jonathan, nasycony kolacją, winem i seksem, szybko zapadł w sen i przespał spokojnie kilka godzin, zanim powrócił koszmar, który nawiedzał mężczyznę od kilku tygodni.

Jonathan klęczy, lepiąc bałwana. Promienie słońca migoczą i odbijają się na śniegu, wokół wznoszą się spore zasy. Czuje śnieg pod palcami, nagle jednak

chłód staje się nieznośny. I wtedy okazuje się, że Jonathan jest zakopany po pas i próbuje się wydostać. Dostrzega jednak dziecko, najwyżej kilkuletnie, które zapada się w śnieg obok niego. Próbuje wyciągnąć dziewczynkę, choć to beznadziejne – i śnieg ją pochłania. Chociaż zbudził się zlany potem, szcząkał zębami z zimna. Czuł się jak w koszmarze, jakby był przemarznięty do szpiku kości, a w żołądku miał bryłę lodu. Fluorescencyjne cyfry na tarczy zegara wskazywały piątą pięćdziesiąt osiem. Jonathan nie próbował znowu zasnąć. Pomarańczowa poświata ulicznej latarni, która przesączała się przez zasłony, zabarwiła jasne włosy Fiony na złoto. Jonathan popatrzył na kobietę. Leżała na plecach z rękoma nad głową i spokojnym wyrazem twarzy. Przypominała śpiące dziecko. Rzęsy Fiony drżały, dostrzegł, że jej oczy poruszają się szybko pod pożyłkowanymi powiekami. Ostrożnie wyślizgnął się z pościeli, żeby nie zbudzić śpiącej. Dywan wydawał się ciepły pod stopami, pewnie zostawili włączone ogrzewanie. Jednak pomimo ciepła Jonathan trząśł się z zimna, gdy pot zasychał mu na skórze. Koszmar czasami się zmieniał, ale zawsze pojawiał się w nim śnieg i zawsze było dziecko. Niekiedy Jonathan wiedział, że to on jest tym dzieckiem. Przypuszczał, że sen to przejaw niepokoju o ciążę, zwłaszcza że Fiona także miewała podobnego rodzaju majaki. Pewnej nocy przyśniło się jej, że urodziła martwego kruka. Obudziła się z krzykiem, dyszała z twarzą zalaną łzami. Jonathan obejmował ją, gdy drżącym głosem opisywała mu przerażające szczegóły. A potem zażartowała, jakby chciała pozbyć się tych złych wspomnień. Jednak gdy Fiona wreszcie zasnęła ponownie, Jonathan słyszał lekkie drzenie w jej oddechu, jakby w głębi duszy wciąż płakała. Pragnął ją pocieszyć, ale zamknęła się i odsunęła. Jonathan znowu zadrżał. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy z zimna we śnie, chociaż często śnił barwnie. Wiedział, że można wyśnić sobie zapach, ponieważ w niektórych koszmarach ojciec wciskał mu głowę do muszli klozetowej, aby oduczyć syna kląć, a smród starego moczu i środków czystości z chlorem sprawiał, że Jonathana budziły mdłości.

Na dole z kuchni niosły się pomruki i trzeszczenie, które wydawały się dziwnie kojące. Wypalone świece z rocznicowej kolacji nadal stały na stole otoczone intrygującymi kształtami stopionego wosku. Bez zapalania światła Jonathan podszedł do okna. Niebo nie było już czarne, przecinały je smugi barw rozmyte w porannej mgle. Przespał ponad pięć godzin. Mogło być gorzej. Już sobota. Pozostało mu trochę prac do sprawdzenia, ale Jonathan nie musiał dziś przynajmniej stać przed klasą i udawać, że jest całkowicie przytomny. Napełnił czajnik i sięgnął po herbatę, zaraz jednak zmienił zdanie. Potrzebował porządnej mocnej kawy, czegoś, co rozbudzi go na dobre i odciągnie od wspomnień lodowatego snu, który mężczyzna wciąż jeszcze miał przed oczyma.

Delektował się aromatyczną smolistą kawą i rozmyślał, jak dobrze pasowałby do niej papieros, kiedy wyczuł za plecami obecność jeszcze kogoś.

– Hej. – Ciepła dłoń na ramieniu mężczyzny, pocałunek w skroń.

Fiona ziewnęła i odsunęła krzesło naprzeciwko. Na policzku pozostały jej

czerwone ślady wgniecen po pościeli, a oczy miała jeszcze półprzymknięte.

– Co się dzieje? – zapytała. – Znowu nie możesz spać? Czy to kolejny zły sen?

Jonathan pokiwał głową.

– Nie mogę go zapomnieć.

– O czym śniłeś?

– Nie chcę, żebyś i ty to zapamiętała.

Opowiadał jej niektóre ze swoich śnieżnych koszmarów, te, w których był dzieckiem, ale nie uważał, że mówienie o dzieciach zapadających się w zaspach to teraz dobry pomysł.

– Nie wiem, co jest gorsze: koszmary czy bezsenność.

Fiona długo się nie odzywała, a potem uniosła kubek Jonathana i upiła trochę kawy. Znowu obgryza paznokcie, zauważył mężczyzna.

– Jonno... Ta bezsenność, złe sny i cała reszta... – Zawahała się. – To przez dziecko?

– Przez dziecko? Co masz na myśli?

– Właśnie to próbowałam ci powiedzieć wczoraj rano... Wiem, że poruszyłam temat w niedobrym momencie i... – Spuściła oczy na swoje dłonie.

– Muszę to powiedzieć. Bardzo przyjemnie spędziliśmy wieczór, ale szczerze mówiąc, nie wydajesz się tak ogólnie zbyt szczęśliwy. Jesteś zestresowany, nie sypiasz dobrze. A wszystko zaczęło się, gdy zaszłam w ciążę.

– Jestem zmęczony, i tyle. To nie ma nic wspólnego z dzieckiem. – Jonathan podniósł wzrok.

Włosy opadły Fionie na twarz, zasłoniły oczy.

– Posłuchaj. – Sięgnął po jej dłoń. – Oboje chcemy tego dziecka.

– Ale tak długo nie mogłam zajść w ciążę... Może zmieniłeś zdanie. – Odgarnęła włosy, ale nadal nie patrzyła na Jonathana. – Sam mi powiedziałeś, że zerwałeś z tą... jak jej tam... zerwałeś, bo chciała mieć dzieci...

– To coś zupełnie innego.

– I tak niechętnie... To znaczy nawet jeszcze nie powiedziałeś swoim rodzicom. – Tym razem Fiona popatrzyła na Jonathana. Jej oczy wypełniły się łzami. – Co mam myśleć?

– Fi, nie jestem nieszczęśliwy – zapewnił cicho. – I naprawdę chcę tego dziecka. Ale chyba trochę się boję. To normalne, prawda? Boję się, że zawiodę, że zmienię się w swojego ojca. Przeraza mnie też to, co powiedział Larkin: „Jesteśmy skazani przez los na zrujnowanie życia naszym dzieciom, nawet jeśli wcale tego nie chcemy”. – Zamilkł na chwilę. – A ty się nie boisz?

Fiona zamyśliła się.

– Chyba trochę. Nie rozumiem jednak, dlaczego nie powiedziałeś rodzicom, że zostaniesz ojcem.

– Niedługo im powiem. Potrzebuję tylko...

– Jonathanie, dlaczego po prostu im nie powiedzieć?

Mężczyzna westchnął. Nawet myśl o ojcu wywoływała u niego zimny

dreszcz.

– Chyba... Chodzi właśnie o ojca, jak mi się wydaje... Wiesz, jaki on jest.

Miał pełną goryczy pewność, że ojciec nie będzie pod wrażeniem, nie wzruszy go nowina o dziecku, jakby z góry zakładał, że Jonathanowi nie uda się zostać dobrym rodzicem. A jeżeli była to prawda? Co się stanie, jeżeli Jonathan po prostu zawiedzie, jeżeli wbrew swoim zapewnieniom nie będzie zawsze wspierał własnego dziecka, chwalił jego osiągnięć i nigdy bez potrzeby nie podniesie na nie głosu?

Twarz Fiony złagodniała.

– Och, Jonno, wiem, że twój ojciec jest trudnym człowiekiem, ale na pewno będzie... – Chyba jednak straciła pewność siebie, bo nie dokończyła.

Wstała, obeszła stół i stanęła za plecami Jonathana. Zsunęła dłonie na jego tors, pogłaskała po szyi. Pachniała łóżkiem, poczuł drgnienie pożądania, ale zaraz przypominał sobie sen i odruchowo odsunął się od Fiony, choć wcale tego nie chciał.

– Nie, proszę, nie odchodź. – Chwycił ją za rękę i przytulił twarz do ciepła jej brzucha.

Rozdział 2

Czerwiec 1964

Sufit był wysoki i kopulasty, a pomalowane na biało ściany wywoływały wrażenie, że pokój emanuje czystością. Gdzieś w pobliżu słychać radio, czysty głos spikera wydawał się znajomy.

– ...ogłosił, że senator McNamara przyleci do Wietnamu Południowego w przyszłym tygodniu, aby ocenić sytuację. A w kraju menedżer Beatlesów Brian Epstein potwierdził, że letnie tournée zespołu nie zostanie odwołane. Występy stanęły pod znakiem zapytania, gdy perkusista Ringo zemdlał podczas sesji zdjęciowej...

Brian Epstein, Ringo, kobieta znała te nazwiska.

– Szybciej, siostra już idzie... – zabrzmiał nerwowy kobiecy głos.

– ...dwudziestoczteroletni beatles cierpi na anginę... – A potem rozległ się trzask i zapadła cisza.

Kobieta poczuła otulający ją ciężar, a gdy podniosła głowę, okazało się, że to szorstki, brunatny koc obrębiony na czerwono, a na nim narzuta w kwiaty. Było jej za gorąco, więc rozkopała okrycie. Leżała przez chwilę, wpatrując się w ozdobne stiuki. Sufit był taki piękny, przypominał lukier na weselnym torcie. Wzdłuż ściany ciągnął się wzór z lilii, a na środku sklepienia, tam gdzie powinna znajdować się lampa, mogła niemal dostrzec kształty amorków z kiśćmi winogron. Oderwała oczy od cherubinków. Nie przypominała sobie, żeby widziała je wcześniej, wiedziała jednak, że trochę już tutaj przebywa, ponieważ zdawała sobie sprawę z upływu czasu, choć nie zostało jej w pamięci, co przez ten czas robiła. Było to uczucie trochę podobne do tego po wizycie u dentysty, gdy dostało się znieczulenie. Kobieta odwróciła głowę w lewo. Znajdowały się tam wielkie drzwi, nie potrafiła sobie jednak przypomnieć, co jest za nimi. Chciałaby sprawdzić, ale była zmęczona, zbyt zmęczona – nawet myślenie przychodziło jej z trudem. I chyba powinna jeszcze zrobić coś przed... przed czym? Miała trzynaście... dni? Godzin? Czas wydawał się problemem.

Zanurzyła się we śnie o dwójce dzieci, które bawią się w śniegu, lecz gdy tylko otworzyła oczy, sen rozpadł się na tysiące kawałeczków. Och, dlaczego było tak gorąco? Pot kroplił się jej na linii włosów, zbierał się przy obojczykach. Jak mogła śnić o śniegu, gdy panował taki upał? Nawet w myślach pozostały jej tylko gorąco, szkarłat i mgła. Próbowowała zebrać myśli i wtedy chyba coś się jej przypomniało, coś wzbudziło jej uwagę, jednak gdy starała się na tym skupić, umknęło i przyczaiło się w jakimś zakamarku pamięci. Tym razem jednak nie odpłynęła w sen. Leżała w bezruchu, omiatając tylko spojrzeniem pokój. Znajdowały się tutaj inne łóżka, a przy oknie stała kobieta i pisała na podkładce. Przez głowę przemknęło jej wspomnienie –

zobaczyła, jak sama coś pisze, „podpisać tutaj i tutaj, bardzo dobrze”. Trzynaćcie... trzynaćcie czego? Ale wspomnienie znowu umknęło. Popołudniowe słońce oświetlało piszącą o długich ciemnych rzęsach i bujnych jasnych włosach skrytych pod białym czepkiem. Blondynka nosiła uniform, jasnoniebieską sukienkę i biały fartuszek. Leżącej kobiecie przyszło na myśl słowo „pielęgniarka”. Tak, to pielęgniarka.

– Czy jestem... – zaczęła kobieta w łóżku, ale krtań miała tak suchą i wiotką od nieużywania, że zdołała wydobyć tylko ledwie słyszalny szept. Spróbowała ponownie, tym razem zebrawszy resztki sił, jakie jeszcze miała. – Czy jestem w szpitalu?

– Co? – Pielęgniarka podniosła głowę.

Nie mówi się „co”, mówi się „proszę”, pomyślała i zaraz ogarnęło ją zaskoczenie, skąd się wzięła u niej ta myśl.

Pielęgniarka cofnęła się i wezwała kogoś, a minutę później przy łóżku stanęły jeszcze dwie osoby.

– Śmiało – zachęciła pielęgniarka. – Proszę coś powiedzieć.

Cała trójka przyglądała się uważnie. Zwłaszcza druga pielęgniarka, ciemnoskóra dziewczyna z twarzą tak gładką i lśniącą jak stopiona czekolada. Towarzyszący pielęgniarkom mężczyzna miał na sobie tweedową marynarkę i szafranowy sweter oraz białą koszulę z czarnym krawatem. W takim stroju musiał się pocić. Wyglądał na starszego od pielęgniarek, był to postawny mężczyzna, z grzywą brązoworudych włosów i bujną rudą brodą zasłaniającą pół twarzy, przez co wydawał się jeszcze większy.

– Margaret – odezwał się cicho i łagodnie, jakby się bał, że ją przestraszy. – Wie pani, gdzie się znajduje?

Popatrzyła po kolei na zebranych. Margaret. Czyżby tak miała na imię? Jakoś jej nie pasowało. Pielęgniarka, ta jasnowłosa, pochyliła się niżej i uśmiechnęła ciepło.

– Śmiało, droga pani. Proszę coś powiedzieć, jak przed chwilą.

Maggie postanowiła zaryzykować. Otworzyła usta i spróbowała sformułować słowa.

– Czy ja... czy miałam wypadek?

Pielęgniarki i mężczyzna zaczęli szybko do siebie mówić, w wymianie zdań Margaret wyczuwała niemal namacalnie nie tyle ulgę, ile raczej spadek napięcia. Nie wiedziała, jak udało się jej to wywołać, ale trójka zebranych wydawała się z niej zadowolona.

– Nie wypadek, nie, nie wypadek – odpowiedział brodacz, po czym z kieszeni na piersi wyjął okulary w złotych drucianych oprawkach i chusteczkę. – Ale było już z panią bardzo źle. – Kiedy po wytarciu soczewek założył filigranowe okulary, oprawki niemal znikły na jego szerokiej niedźwiedziozowej twarzy. – O, tak. – Spojrzał na Margaret zza szkieł. – W rzeczy samej, przez dłuższy czas było bardzo źle. Dlatego chciałbym, żeby pani dochodziła do siebie powoli, po prostu krok po kroku. Proszę teraz odpocząć, a ja odwiedzę panią znowu

w odpowiednim czasie.

* * *

Wydawało się, że minęło wiele godzin, zanim obudziło ją słońce. Próbowwała usiąść, ale przycisnęła sobie łokciem warkocz, który ktoś jej zaplótł. Chyba się mocno poplątał. Kiedy zdążyły jej tak bardzo urosnąć włosy? Rozejrzała się, nareszcie mogła się dokładniej przyjrzeć pomieszczeniu.

Leżała w jednym z wielu znajdujących się tutaj łóżek, w większości pustych, z czarnym stelażem i narzutami w kwiatowy, różowo-żółty wzór. Ściany pomalowano na odcień jasnobrązowy, przypominający kolor słabej herbaty. Naprzeciw kobieta widziała wysokie okna ze szprosami i z drewnianymi okiennicami. Pomimo upału były uchylone tylko na kilka cali w górze i na dole. Kurz tańczył w przenikających przez szyby promieniach słońca, wirował w ciepłe jak szalony. Po jednej stronie pokoju znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi zwieńczone szklanymi panelami, po drugiej wielki kominek otoczony wygodnymi fotelami. Próbowwała wstać z łóżka, ale podbiegła do niej pielęgniarka.

– Jeszcze nie, droga pani, proszę poczekać na lekarza.

Kobieta zobaczyła wchodzącego na oddział mężczyznę w tweedowej marynarce. Przyciągnął sobie krzesło i usiadł przy łóżku. Uśmiechnął się do leżącej. Opadła na poduszki, wyczerpana wysiłkiem.

– To szpital, prawda? – upewniła się.

– Znakomicie! Tak, to szpital. – Lekarz wyjął notes z wewnętrznej kieszeni, otworzył i szybko coś zapisał.

Spojrzała na długą szarawą koszulę nocną, którą miała na sobie, ale jej nie rozpoznawała. W nogach łóżka leżał kolorowy szlafrok – jego widok obudził wspomnienie, jak musiała przytrzymywać jego poły, gdy szła powoli korytarzem do toalety, wspierana przez pielęgniarkę, bo nie miał guzików ani paska. Toalet było sześć, ale bez drzwi. Niemożliwe, żeby używać toalety bez drzwi! A jednak Margaret dobrze pamięta, że siedziała na zimnym sedesie wczesnym rankiem i przyglądała się rzędowi okien w umywalni. Oblodzone szyby pokrywał szron. Pamiętała też mewy, na zewnątrz krzyczały mewy.

– Czy jesteśmy nad morzem?

– Niedaleko. Brighton znajduje się trzydzieści kilometrów stąd. Dlaczego pani pyta? – Lekarz popatrzył uważnie na swoją pacjentkę.

– Słyszałam mewy...

– Ach, oczywiście. Czasami zapuszczają się daleko w głąb lądu. Proszę mi teraz powiedzieć, o czym pani myślała, gdy usłyszała mewy.

– O niczym, po prostu... – Ale wtedy znowu pojawił się przebłysk wspomnień. Morze, zimna, bardzo zimna woda. Obrazy napływały ze wszystkich stron, niektóre nieruchome, inne wręcz przeciwnie, znikły jednak,

zanim Margaret udało się uchwycić ich znaczenie. – Jak długo tu jestem?

– Och, dobrą chwilę, jak sędzę. Pojawiła się pani u nas, hm... – Mężczyzna odwrócił się do pielęgniarki, która pochyliła się i wyszeptała mu coś do ucha. – A, tak. – Skinął głową. – Właśnie. W grudniu, prawda? Tak, tak. Tuż przed Bożym Narodzeniem.

Nie zwracał się do pacjentki, lecz do pielęgniarki.

– To znaczy... – Pacjentka spojrzała na pielęgniarkę. – Jestem tutaj od...

Pokręciła głową. Nie, to nie może być prawda. Dlaczego sobie tego nie przypomina?

– Margaret – odezwał się lekarz. – Może mi pani podać swoje imię i nazwisko?

Prośba przywołała ponownie wcześniejsze rozmyślenia.

– Margaret Letitia Harrison – odparła odruchowo kobieta, a potem dodała coś, co także zapamiętała: – Maggie.

I wtedy z pamięci wyskoczyło kolejne imię, po czym jeszcze jedno. Te dwa imiona były połączone i przez chwilę wszystko było jasne i oczywiste. Kobieta musiała coś zrobić, ale nie miała na to zbyt wiele czasu. Próbowwała uchwycić tę myśl, zrozumieć, ale wtedy wspomnienie zbladło i zgasło jak świeca.

Lekarz uśmiechnął się, skinął głową, zapisał coś znowu w swoim małym notesie.

– Dobrze – wymruczał. – O, tak, bardzo dobrze.

Maggie poczuła ukłucie irytacji.

– Pan jest lekarzem?

Zignorował to pytanie.

– Wie pani, który mamy teraz rok?

– Który rok? – powtórzyła Maggie.

Zaskoczona zdała sobie sprawę, że nie od razu sobie przypomniała, myśli jej się rwały i rozpraszały, nie mogła ich poskładać. Mężczyzna czekał na odpowiedź, pielęgniarka również. Może sądzili, że jest upośledzona.

– Jest tysiąc dziewięćset... – Urwała i wtedy sobie przypomniała. – Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci.

Mężczyzna znowu pokiwał głową i coś zapisał.

– Sześćdziesiąty czwarty, ale było blisko. A potrafi pani powiedzieć, kto jest premierem?

– Macmillan. – Maggie wiedziała, że tym razem się nie pomyliła. – Harold Macmillan.

– Hm. – Mężczyzna i to zapisał. – Bardzo blisko, ale nie. – Zmarszczył brwi. – Widzi pani, Macmillan podał się do dymisji tuż przed pani przybyciem do nas.

Pielęgniarka znowu pochyliła się i szepnęła mu coś do ucha. On skinął głową i odpowiedział, ale Maggie usłyszała tylko urywki: „Nie była świadoma... okoliczności... trauma...”.

– Co? – Wiedziała, że rozmawiali o niej, ale nic z tego nie miało sensu. – Co państwo mówią...

– Wszystko w swoim czasie. – Mężczyzna z trzaskiem zamknął notes, podniósł głowę i uśmiechnął się, mrużąc oczy. – To wspaniale, że znowu pani mówi. Nie miałem ani przez chwilę wątpliwości, że tym razem się pani polepszy. Ani przez chwilę, naprawdę.

– Proszę mi powiedzieć – szepnęła Maggie. – Czy pan jest prawdziwym lekarzem?

Mężczyzna roześmiał się na to tubalnie.

– To zależy, co rozumie pani przez „prawdziwy”. Niektórzy z moich kolegów pewnie uznaliby tę kwestię za dyskusyjną, ale owszem, jestem prawdziwym lekarzem.

Wyciągnął rękę, a Maggie odruchowo ją uściśniła.

– Jestem doktor Carver, psychiatra – przedstawił się. – Z takim nazwiskiem nie mogłem przecież zostać chirurgiem, prawda?

Spojrzał z uśmiechem na pielęgniarkę, zadowolony ze swojego żartu. Maggie pomyślała, że *carver* to nie tylko rzeźbiarz, lecz przede wszystkim krajczy, więc niekoniecznie było to zabawne, ale pielęgniarka uśmiechnęła się do psychiatry uprzejmie.

– Myśli pan, że jestem wariatką.

Doktor Carver nie odpowiedział. Maggie powiodła spojrzeniem po pokoju.

– Czy to jeden z tych...

– Tak, to szpital psychiatryczny. Ale nie należy się tym przejmować. Gdyby złamała pani nogę, trafiłaby pani do zwykłego szpitala. A nasza placówka ma bardzo nowoczesne podejście do pacjentów, proszę mi wierzyć. Nie tak jak w dawnych czasach.

– Nie jestem wariatką – zaoponowała Maggie. – Tylko nie mogę sobie przypomnieć...

Urwała, spróbowała ponownie. Skoncentrowała się ze wszystkich sił na rozmazanych obrazach przemykających tuż na obrzeżach pamięci. Wydawało się jej, jakby wspomnienia odbijały się od jakiejś bariery i szukały drogi powrotnej do świadomości.

Doktor Carver przyglądał się jej uważnie.

– Proszę mi powiedzieć, czy pamięta pani, dlaczego się tutaj znalazła. – Ponownie wrócił do łagodnego, cichego tonu, który dla Maggie stanowił świadectwo, że lekarz zrobił się ostrożny. – Czy pamięta pani coś z okresu, gdy została pani do nas przyjęta? Albo z tego, co było przedtem?

Znowu pojawiły się przebłyski. Maggie próbowała zmusić swój mózg do pracy, ale wysiłek okazał się niemal bolesny. Pokręciła głową.

– Nie potrafię sobie nic przypomnieć...

– To zupełnie zrozumiałe. – Doktor Carver wstał. – Tak się czasami zdarza, ale ten stan się nie utrzymuje. Uważam, że w taki właśnie sposób umysł stara się nas chronić. Tak czy inaczej, dopiero co się pani ocknęła, jest jeszcze wczesnie. Proszę się nie wysilać i za dużo nie myśleć. – Popukał się w skroń palcem wskazującym. – Nie można zmuszać szarych komórek do działania,

skoro jeszcze nie są do tego gotowe. Nic dobrego z tego nie przyjdzie, wie pani. Nic dobrego. – Ruszył do wyjścia. – Zajrzę do pani za dzień lub dwa. Wtedy porozmawiamy.

Przeszedł przez oddział i zniknął za drzwiami. Pielęgniarka wygładziła pościel na łóżku Maggie.

– Nie jestem wariatką, naprawdę – powiedziała pielęgniарce.

Z pamięci jednak wypłynęła fraza „nie po kolei w głowie”, a Maggie poczuła, że to prawda i z jej głową nie wszystko jest w porządku. Znajdowało się w niej za dużo białych plam.

Rozdział 3

Jonathan czuł ucisk w żołądku, gdy jechał przez Blackheath do domu rodziców. Ojciec zapewne nie ucieszy się z nowiny, ale może będzie choć *trochę* zadowolony?

Na ulicy panował tłok. Było późne popołudnie i listopadowe niebo zaczynało ciemnieć w nadchodzącym zmierzchu. W oddali na łąkach piesi otulali się ciasniej płaszczami, aby osłonić się przed przenikliwym wiatrem, psy goniły za piłkami i aportowały patyki, kilkoro dzieci biegło z uniesionymi głowami i wzrokiem wbitym w latawce, aby do ostatniej chwili wykorzystać czas na zabawę przed zapadnięciem nocy. Na skraju stawu, gdzie Jonathan i Alan Harper zwykle łowili drobne ryby, jak płocie albo cierniki, dwie przerośnięte wrony krakały, kłócąc się o resztki hamburgera. Blackheath. Jako dzieci Jonathan i Alan wierzyli, że miasteczku nadano taką nazwę, ponieważ właśnie tutaj grzebano ofiary czarnej śmierci, i przeżyli głębokie rozczarowanie, gdy okazało się, że historia o zarazie to tylko miejska legenda. Tak naprawdę nazwa miasteczka pochodziła od połączenia słów *bleak* i *heath*, czyli ponure wrzosowisko. I kiedy się patrzyło na płaskie podmokłe łąki, smętne niskie niebo i ruch uliczny wlokący się w stronę zanieczyszczonych terenów Lewisham i Deptford, nazwa ta wydawała się jak najbardziej odpowiednia.

Niedaleko Greenwich Park ulicę korkowały nie tylko samochody osobowe, lecz także ciężarówki i przyczepy z logo Cyrk Zippo. Niewielka grupka chłopców tłoczyła się w pobliżu, zupełnie jak kiedyś Jonathan i Alan. Za ich czasów był to cyrk Billy'ego Smarta. Kiedyś Jonathan zapytał, czy na urodziny ojciec nie zabrałby go do cyrku.

– Oczywiście, że nie – odparł Gerald. – Niezależnie od wszystkiego proszenie się o prezent świadczy o bardzo złym wychowaniu.

Jednak na dzień przed urodzinami Jonathan i Alan wybrali się na wrzosowisko po szkole, aby w stłumionym świetle zmierzchu popatrzeć na wozy. Mieli nadzieję, że wypatrzą klaunów, akrobatów albo nawet Wspaniałego Marco, Ludzką Kulę Armatnią. Krążyły plotki, że Wspaniały Marco tak często odnosił rany, że miał w szpitalu zarezerwowane łóżko.

Jonathan tej nocy miał spać u Alana i nie mógł się tego doczekać. Po części dlatego że pani Harper zapowiedziała, iż ma dla niego niespodziankę, ale również dlatego że jej posiłki tak bardzo różniły się od tych w domu Jonathana. U pani Harper mógł zjeść paluszki rybne i frytki, a na deser ciasto w polewie z toffi i wisienką oraz odrobiną czekoladowego kremu. Chłopcy przekradali się od wozu do wozu i na zmianę wspinali się na swoje barki, aby zajrzeć w niezastłonięte okienka, a w przerwach Jonathan myślał o posiłkach w domu – cichych i beznamiętnych – oraz o unoszącym się wszędzie zapachu

gotowanych ziemniaków. Czy choć raz nie mogliby zjeść w domu frytek?

– O kurczę! – stwierdził Alan. – Mama powiedziała, że mamy być najpóźniej o piątej, a jest już dziesiąta. Lepiej się pośpieszmy.

Pobiegli przez łąkę, obok kościoła i w dół Lewisham Hill do mieszkania Alana. Ich stopy dudniły po chodniku, a oddechy zmieniały się w parę w chłodnym listopadowym powietrzu. Gdy wspinali się po krzywych, śmierdzących moczem schodach, Jonathan zastanawiał się, jaka czeka go niespodzianka.

Bilety leżały na stole w kuchni oparte o butelkę keczupu. Mama Alana uśmiechała się.

– Jedźcie szybko, bo się spóźnimy i będziemy musieli siedzieć tam, gdzie załatwiają się słonie.

Jonathanowi z wdzięczności kręciło się w głowie i był tak podekscytowany, że nie mógł przetykać. Pan Harper zmierzwił mu włosy i mrugnął porozumiewawczo.

– Nie jesteś głodny, tygrysie? No, cóż. Nic się nie zmarnuje. – I nabił na widelec trzy kawałki ryby naraz, a wszyscy się roześmiali.

Jonathan próbował sobie wyobrazić swojego ojca, który nabiera na widelec tak dużą porcję jedzenia, siekanej brukwi i ziemniaków. Czasami żałował, że pan Harper nie jest jego ojcem. Pan Harper lubił cyrk, a Gerald twierdził, że to „wulgarne, krzykliwe widowisko pełne karłów, kalek i próżniaków”. Na domiar złego ojciec uważał Alana za nicponia, a pana Harpera za darmozjada i nieudacznika. Jonathan nie wiedział, co to znaczy „nieudacznik”, i nie zamierzał się dowiadywać.

W cyrku obejrzeni występ kobiety w baletowym stroju, która jeździła konno na stojąco, czterech mężczyzn chodzących na rękach oraz klaunów z pomarańczowymi włosami i wielkimi kokardami pod szyją, którzy robili fikołki. Kiedy jeden z klaunów zapytał o ochotnika, który pottrzymałby wąż strażacki i pomógłby zmoczyć pozostałych, Jonathan podniósł rękę, żeby go zauważono. Ledwie mógł uwierzyć, kiedy został wybrany.

Później, gdy mama Alana ucałowała obu na dobranoc, Jonathan wspominał ostatnie wydarzenia dnia. Uznał, że najprzyjemniej było wtedy, gdy po pomaganiu klaunowi w oblewaniu innych wesołków dostał od nich wielką torbę cukierków. Jeden z klaunów zapytał, gdzie są rodzice Jonathana, a pan i pani Harper zawołali: „Tutaj!”. Klauni podnieśli go, a widownia klaskała, a kiedy Jonathan został postawiony na ziemi, wszyscy się uśmiechali i byli z niego dumni.

Wspanialszego dnia chłopiec nie miał w całym swoim życiu.

* * *

– Spodziewałam się ciebie wcześniej – powitała go matka, gdy tylko otworzyła

drzwi.

Za jej plecami zegar w korytarzu wybił piątą. Jonathan zapowiedział się na późne popołudnie i już miał o tym przypomnieć, gdy dostrzegł, że matka wygląda na bardzo zmęczoną.

– Wybacz. – Pocałował ją w nadstawiony policzek. – Były straszne korki.

Jak zwykle była umalowana, ale dzisiaj wydawało się, że szminka i puder są nałożone niezdarnie i wyjątkowo rzuca się to w oczy.

– Ojciec jest w salonie – powiedziała. – Dołączę do was, gdy zrobię herbatę.

Zapadał zmierzch, ale Gerald nie włączył światła. Zapewnił, że doskonale widzi w słabym świetle i nie ma powodu, żeby pozwalać sobie na taką ekstrawagancję jak elektryczność tylko dlatego, że Jonathan raczył ich odwiedzić.

– Och, na litość boską – warknął Jonathan i włączył światło.

– Nie używaj imienia Pana Boga swego nadaremno. – Gerald teatralnie zasłonił sobie oczy.

Jonathan dostrzegł lekkie drżenie dłoni. Resztki włosów, jakie pozostały jeszcze ojcu, pożółkły bardziej, a pod oczyma pojawiły się głębokie ciemne podkowy. Wyglądał dzisiaj wyjątkowo krucho – był chudszy niż jeszcze trzy tygodnie temu.

– Jak się czujesz? – zapytał Jonathan, zajmując fotel naprzeciw ojca. Mimowolnie zerknął na cztery różne sterty puszek w pobliżu stolika. Z pewnością nie było ich tak wiele poprzednim razem.

– To fotel twojej matki. – Gerald podniósł fajkę, opróżnił ją, postukując w popielniczkę, po czym zaczął ją napępiać tytoniem.

– Mama przygotowuje herbatę. Przesiądę się, kiedy przyjdzie. Pytałem, jak się czujesz. Wyglądasz na zmęczonego.

– Szlag! – Ojciec wychylił się z fotela. – Gdzie, u diabła, twoja matka położyła zapalniczkę do papierosów?

Zawsze tak właśnie nazywał zapalniczkę, chociaż nie palił papierosów od wielu lat. Gdy się rozglądał, stracił „Timesa” z podłokietnika. Była złożona na krzyżówce i kiedy Jonathan podnosił gazetę, zauważył, że ojciec wypełnił tylko kilka haseł, co było zaskakujące, ponieważ zwykle rozwiązywał całą krzyżówkę jeszcze przed lunchem.

– Poczekaj, chyba znalazłem. – Jonathan dostrzegł srebrzystą zapalniczkę wystającą spod fotela Geralda. Pochylił się i podniósł, po czym wręczył ją ojcu.

– No właśnie. – Gerald wziął zapalniczkę. – Dzięki. – Wsunął cybuch fajki do ust, przytrzymał ogień nad zbitym w niej tytoniem, po czym zassał dym i wypuścił, aż w pokoju uniósł się kłęb sinoszarego dymu. Gerald wyciągnął wciąż zapaloną zapalniczkę do Jonathanana. – No? – rzucił. – Nie masz ochoty na papierosa?

Jonathan pokręcił głową.

– Nie, mówiłem ci ostatnio. Rzuciłem palenie.

Gerald wyjął fajkę z ust i odsunął najwyżej na cal lub dwa. Z fajki nadal

unosila się smużka wirującego błękitnawego dymu.

– Rzuciłeś? Nie pleć bzdur. Zrobiłeś się tak samo nieznośny jak twoja matka.

– Przecież ci mówiłem.

– Tak, ale wcześniej też rzucałeś i nigdy nie wytrzymałeś, czyż nie? Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

To jest to, pomyślał Jonathan, idealna okazja, aby powiedzieć o dziecku. Ale nie potrafił się na to zdobyć, nie teraz, gdy matka wciąż krzątała się w kuchni.

– Chyba zacząłem więcej myśleć o własnym zdrowiu.

Gerald pokręcił tylko głową z irytacją.

– Mówię ci, wcześniej umrzesz przez zamartwianie się tym, co może cię zabić, niż przez radość z dymka. – Pociągnął z fajki, po czym odwrócił się, żeby poszukać czegoś na regale obok fotela. – Ach! – Wyciągnął niedużą czerwoną paczkę schowaną między papierami na stercie książek. – Proszę! – I rzucił pudełko na stolik. Były to smukłe cygara marki Henri Wintermans. – Zapal sobie cygaro, skoro nie chcesz papierosa.

Jonathan popatrzył na paczkę. Kusząca propozycja. Ale wcześniej też palił cygara i wmawiał sobie, że się nie liczy. Wtedy też rzucił, ale poddał się po piętnastu dniach.

– Nie. – Pokręcił głową. – Dziękuję, ale lepiej nie.

– Och, dajże spokój. – Gerald nie spuszczał z niego wzroku.

Kiedy jednak Jonathan nie odpowiedział, westchnął ciężko, zabrał paczkę i rzucił ją z powrotem na regał z książkami.

Jonathan też westchnął. Zwykle palili razem. Nigdy nie robili tego dla towarzystwa, ale był to jeden z niewielu ich wspólnych rytuałów. Jonathanowi nie przyszło do głowy, że Geraldowi może tego brakować. Może od jednego cygara w towarzystwie ojca świat by się nie zawalił, ale zanim syn zdążył się odezwać, dostrzegł wyraz twarzy ojca pokazujący irytację, niechęć i zniecierpliwienie. Domyślił się, że ojciec wiedział, co mu przemknęło przez głowę.

– Cóż. – Głos Geralda znowu zabrzmiał obojętnie. – Jak tam w tej Szkole Biznesu i Przedsiębiorczości czy jak się teraz ten ogólniak nazywa?

– W szkole wszystko dobrze. – Jonathan usłyszał napięcie we własnym głosie.

Owszem, nie było to Eton, ale na ojcu zapewne nawet Eton nie zrobiłoby wrażenia. Gerald wpadł we wściekłość, że syn nie został nauczycielem zaraz po skończeniu uniwersytetu, ale Jonathan pragnął zająć się wtedy własnymi sprawami, więc udawał, że dezaprobata ojca nie ma znaczenia. Dopiero później, w wieku trzydziestu pięciu lat, zaczął pracować jako nauczyciel. Nie oczekiwał wtedy fanfar, ale też nie spodziewał się, że Gerald po prostu odwróci stronę w gazecie i zza niej zapyta, czy Jonathana pociąga ten zawód.

– Żadnych problemów z zachowaniem?

Jonathan zawahał się, jednak pokręcił głową.

– Nic ważnego.

W rzeczywistości zapanowanie nad zachowaniem uczniów stanowiło nieustanną walkę, Gerald jednak wyraziłby tylko pogardę, gdyby syn przyznał się, że nie zawsze udaje mu się uzyskać posłuch w klasie.

– Widziałem raz kilku twoich uczniów w Lewisham. Większość to dzikusy. W szkole chyba brakuje porządnej dyscypliny.

Dyscyplina. Jonathanowi przypomniawszy się własna przeszłość – ojciec odchylony nieco, ze starannie ułożonymi na brylantynę włosami, które opadły na czoło, gdy spuszczał laskę na wyciągniętą dłoń syna. Jonathan poprzysiągł sobie już dawno, że nigdy, przenigdy nie podniesie ręki na swoje dziecko.

Matka weszła, niosąc tacę, którą Jonathan od niej wziął i postawił na stoliku. Na ciągnącą się w nieskończoność chwilę, gdy Gerald dodał cukier, zamieszał, upił łyk i odstawił filiżankę na spodek, Jonathana ogarnęło uczucie, które często pojawiała się u niego w tym domu – jakby znowu miał dziesięć lat. Niewiele się od tamtej pory zmieniło, ściany pomalowano na nieco jaśniejszy kolor, ale wiszące tam obrazy pozostały te same, zasłony miały inny wzór, ale nadal były ciemne i ciężkie, a na zegarze na kominku, ozdobnych paterach, wazonach i bombonierach jak dawniej zbierał się kurz. Pamiętał niedzielne pełne napięcia popołudnia, gdy pił herbatę z ojcem. Jonathan kurczowo trzymał spodek i modlił się, żeby porcelana nie zabręczała, aby nie narazić się na krytyczne spojrzenie Geralda znad okularów. Pamiętał też odgłosy – syk i pykanie gazowego płomienia, tykanie starego zegara... i przerażający dźwięk, gdy ojciec *nasłuchiwał*.

Odstawił filiżankę na spodek i na stolik. „Chciałbym wam coś powiedzieć”. Albo po prostu: „Fiona i ja będziemy mieli dziecko”. Szkoda, że Fiony tutaj nie było. Może dziecko zbliżyłoby ich do rodziców. Ojciec przyglądał się Jonathanowi. „Po prostu to powiedz”. Jonathan odchrząknął, zerknął na matkę, potem na Geralda.

– Skoro oboje tutaj jesteście, mam coś...

Gerald cmoknął z irytacją.

– Skończyły ci się zyletki? – Głos miał rozdrażniony. – Czy to wypada, żeby nauczyciel wyglądał jak włóczęga?

Jonathan wstał.

– Och, na litość boską, czy to naprawdę...

– Geraldzie, proszę – wtrąciła się matka. – Przecież jest weekend. Chyba robisz się trochę zgryźliwy.

– Zawsze coś się znajdzie, prawda? – stwierdził Jonathan. – Nigdy nie możemy spędzić normalnie popołudnia, zawsze musisz znaleźć coś, na co będziesz narzekał.

– Jak widzę, chyba uraziłem twoją wrażliwość. – Gerald pomacał za fotelem w poszukiwaniu laski. – Zechciej mi zatem wybaczyć...

Dźwignął się z siedziska, odpędziwszy żonę, która próbowała mu pomóc.

Rozdział 4

Maggie czuła, że ktoś lekko potrząsa ją za ramię. Z trudem otworzyła oczy. Rozpoznała pielęgniarkę.

– Betty?

– Hetty. – Młoda kobieta się uśmiechnęła. – Ale wcale nieźle tym razem. Poprzednio nie mogła sobie pani przypomnieć własnego imienia, a o innych szkoda mówić. No, to wstajemy. Spała pani od śniadania, a po obiedzie odwiedzi panią Jego Zapiskowa Mość.

– Kto?

– Doktor Carver, pan i władca. Powiedział, że może się pani dziś ubrać.

Maggie zastanowiła się przez chwilę.

– Doktor Carver – wymamrotała. Nazwisko wydawało się znajome. Spojrzała na pielęgniarkę. – Nie pamiętam...

– Proszę się tym nie martwić, droga pani. Wszystko wróci, tyle że po trochu.

– Hetty poprawiła pościel. – Osobiście nie wydaje mi się, żeby pigułki jeszcze pomagały. – Sprawnie wygładziła prześcieradło. – Ale co ja tam wiem? Jestem tylko pielęgniarką.

Maggie ubrała się w rzeczy, które przyniosła jej Hetty. Chociaż mgliście pamiętała te ubrania – granatowe spodnie z poliestru, białą bluzkę i akryłowy różowy sweter – sama czynność wkładania ich wydawała się obca i dziwna, a szwy drażniły skórę.

– A teraz proszę iść i porozmawiać z innymi paniami. Doskonale, grzeczna dziewczynka...

Takie protekcyjne traktowanie powinno było zdenerwować Maggie, ale tak się nie stało, ponieważ uświadomiła sobie, kogo przypomina jej pielęgniarka – matkę. Ale wraz ze wspomnieniem matki powróciła też pamięć o ojcu i bolesna świadomość, że rodzice zmarli.

Maggie wraz z Hetty opuściła salę chorych przez dwuskrzydłowe drzwi i ruszyła ciemnym korytarzem o wykafelkowanych ścianach i lśniącym parkiecie pachnącym środkami do pielęgnacji drewna firmy Johnson. Świetlica miała tak samo sklepiony sufit i wysokie okna jak pokój, w którym spała Maggie. W promieniach słońca wirowały smużki dymu z papierosów, a kobieta przypomniała sobie, że sama też pali. Ogarnęło ją wrażenie, jakby miała znowu cztery lata i po raz pierwszy przyszła do przedszkola – nie wiedziała, gdzie powiesić płaszczyk ani obok kogo zająć miejsce. Niektóre kobiety w świetlicy grały w karty albo układały puzzle, jedna lub dwie zerknęły na Maggie, gdy mijała je z Hetty, ale większość chyba nawet nie zwróciła uwagi na obecność kogoś nowego. W kącie stał telewizor z białym napisem „Rediffusion” na dole lśniącej, drewnianej obudowy. Tuż przy ekranie klęczała

łysiejąca, chuda jak szkielet kobieta w turkusowym szlafroku. Niemal dotykała nosem telewizora i chyba oglądała teleturniej. Inne pacjentki siedziały na krzesłach pod ścianami, niektóre kołysały się, inne cicho szlochały albo po prostu patrzyły w dal.

Kiedy Maggie przechodziła przez salę z pielęgniarką, podbiegła do nich w podskokach starsza kobieta z niedbale ufarbowanymi na czarno warkoczykami.

– Cha, cha, cha! – Zaśmiała się radośnie. Głos miała wysoki jak u dziecka i uśmiechała się promiennie. – Co nadchodzi, to odchodzi! – Zakręciła się, przytrzymując rąbek za dużego szlafroka, a potem opadła w niskim dygnięciu. – Jestem dzisiaj trochę pobudzona – powiedziała do Maggie. – To lepsze niż być słabo pobudzona, ale doktor Carver mówi, że powinnam trzymać się pośrodku. Cha, cha, cha.

– Normo, kochanie... – Hetty położyła nieznajomej rękę na ramieniu. – Nie podniecaj się za bardzo, dobrze?

Norma uśmiechnęła się, dygnęła ponownie i z radosnym chichotem oddaliła się tanecznym krokiem, aby porozmawiać z kimś innym.

Maggie poczuła, że serce jej łomocze. Przysunęła się do Hetty.

– Pauline! – zawołała pielęgniarka do młodej kobiety, która właśnie weszła do świetlicy. – Nasza śpiąca królewna nareszcie się obudziła. Zaopiekuj się nią dla mnie, dobrze, kochanie?

Poklepała Maggie po plecach i skinęła jej pokrzepiająco głową, po czym ruszyła, aby zająć się kimś innym.

Pauline była mniej więcej w wieku Maggie i wyglądała jak modelka w różowej letniej sukience i białym sweterku niedbale zarzuconym na ramiona. Polakierowane włosy miała ułożone w kok i jeszcze świeży makijaż – Maggie dostrzegła puder na jej policzkach.

– Cześć, Maggie – przywitała się. Jej głos brzmiał zaskakująco głęboko i miękko. – Czujesz się już lepiej? Dobrze widzieć, że znowu wstałaś z łóżka.

– Znowu? – Maggie pomyślała, że pewnie tym pytaniem zrobiła z siebie idiotkę. Ale naprawdę nie знаła tej pięknej kobiety. Może to pielęgniarka, która już skończyła pracę? – Nie wydaje mi się, żebyśmy...

– Nic się nie martw, to przez kurację, miesza w pamięci. Zresztą teraz pewnie lekarze ci trochę odpuszczą, skoro zaczęłaś zdrowieć. Wstrząsające, prawda, co wstrząsy mogą zrobić... – Pauline roześmiała się z własnego żartu.

– Wstrząsy? – Maggie znowu przyłapała się na powtarzaniu tego, co jej powiedziano, jak głupia. – Chodzi o kurację elektrowstrząsami? – Musiała wypowiedzieć nazwę głośno, żeby to sobie uświadomić. – Czy właśnie to mi zrobiono?

Wówczas do pamięci napłynęły wspomnienia – czarne pudło z kablami, zimna galaretowata maź wcierana w skronie i gumowy knebel do zagryzania wsunięty jej w usta. Ktoś przytrzymał jej ramiona, a potem głowę wypełnił gorący, oślepiający ból, który pozbawił ją tchu. Maggie przypomniała sobie

wrażenie, że nią rzucało, a kości i zęby szczękały i klekotały nieprzerwanie, jakby nie mogły przestać, a potem uczucie spadania coraz niżej i niżej...

Wzdrygnęła się. Na wspomnienie zrobiło się jej trochę niedobrze.

– Wcześniej czy później większość z nas je przechodzi – wyjaśniła Pauline. – Sprawiają, że zapomina się, dlaczego straciło się rozum, pomagają go odnaleźć, a potem znowu sprawiają, że zapomina się, gdzie ten rozum się podział!

– Też miałaś elektrowstrząsy?

Pauline skrzywiła się ponuro.

– Początkowo cztery lub pięć razy w tygodniu. – Zerknęła na prawo i lewo. – Powinnaś być ostrożna, koniecznie rozmawiać z innymi, nawet jeśli nie masz ochoty, zwłaszcza gdy pielęgniarki patrzą. Jeżeli będziesz za cicha albo za spokojna, powiedzą, że jesteś „wycofana i markotna”. I w żadnym wypadku nie pozwól, żeby przyłapano cię na marzeniach na jawie albo patrzeniu w okno, to oznacza, że jesteś „bezprzytomna i zaabsorbowana”.

Maggie spojrzała na kobiety siedzące pod ścianami, większość wyglądała na bezprzytomne i zaabsorbowane.

– Przez większość czasu nie wiedziałam, jaki, cholera, jest dzień – mówiła dalej Pauline. – Nie miałam pojęcia, czy zaraz będzie śniadanie, obiad, czy herbata. Zwykle jednak wspomnienia w końcu wracają.

– Zwykle?

– No, tak przynajmniej mówią lekarze i pielęgniarki. Nic ci nie będzie, twoja dolegliwość nie jest chroniczna, a problemy mają głównie ci z dolegliwościami chronicznymi. – Pochyliła się do Maggie konfidencjonalnie. – Widzisz tę tam?

Wskazana kobieta chyba przekroczyła już sześćdziesiątkę. Stała i wyglądała przez okno, czesząc swoje długie siwe włosy.

– Czeka na męża, który ją stąd zabierze. Zmarł dwanaście lat temu, ale ona zapomniała. Najpierw wszyscy jej to powtarzali, w nadziei że zapamięta, ale w końcu przestali, bo tylko sprawiali, iż codziennie przechodziła przez ten sam koszmar, raz za razem.

Maggie próbowała wszystko zapamiętać, ale okazało się, że to dla niej za wiele, i oczy wypełniły się jej łzami. Pauline wyciągnęła paczkę papierosów, poczęstowała towarzyszkę. Maggie zapaliła i zaciągnęła się głęboko. Gdy tylko dym wypełnił jej gardło, poczuła spokój, zaraz jednak dopadły ją zawroty głowy i lekko się zachwiała. Pauline podtrzymała ją i pomogła dojść do krzesła.

– Nie martw się – powiedziała cicho do Maggie. – Zaopiekuję się tobą. Po południu mam wizytę w domu, ale wrócę na podwieczorek.

Dom. Słowo odbiło się od świadomości Maggie wraz z innymi wspomnieniami. Dom. Próbowała się skupić, ale nie mogła sprawić, aby słowo uwolniło wyraźne obrazy.

– Gdzie mieszkasz? – zwróciła się do Pauline.

– St. Leonard's-on-Sea. To blisko Hastings. Wiesz, gdzie to jest?

Hastings, pomyślała Maggie. Na pewno znała... i wtedy sobie przypomniała.

– Leonard! – Chwyciła Pauline za rękę. – Tak ma na imię mój brat!

Nie potrafiła przypomnieć sobie jego twarzy, ale miała brata. Leonarda! Właśnie w pamięci zaczął się materializować jego zarys, kiedy głośne klaśnięcia przerwały napływ wspomnień.

– Drogie panie, zapraszam do stołówki!

* * *

Ściany w świetlicy i innych salach na oddziale były puste, ale tutaj oklejono je tapetą w pomarańczowe, zielone i brązowe koła splątane na beżowym tle. W pomieszczeniu stało wiele kwadratowych stołów z ciemnego drewna, wszystkie zastawione dla czterech osób i wszystkie z wazonikiem czerwonych goździków dla ozdoby. Pomieszczenie wyglądało... przyjemnie. Maggie usiadła z Pauline i Normą. Z pamięci wciąż wracały wspomnienia – Maggie mieszkała w Hastings i miała starszego brata. Pojawiły się przebłyski – Leonard nakładający sobie na włosy brylantynę i zdradzający niepokój przed randką, jego szeroki uśmiech, gdy unosił Maggie i ścisnął cały dzień po powrocie ze służby w straży obywatelskiej, długa na cal blizna nad lewą brwią, pozostałość upadku z roweru, gdy miał dziesięć lat. Maggie zmrużyła oczy i zmarszczyła czoło, starając się ze wszystkich sił pamiętać, ale wtedy czoło przeszyła jej czarna błyskawica bólu.

Chuda drobna pielęgniarzka z kościstymi łokciami i brzydką cerą rozstawiła talerze z jedzeniem na stole.

Na pewno nie jest gorące, pomyślała Maggie, obserwując, jak pielęgniarzka trzyma metalowe naczynia gołymi rękami. A potem jej wspomnienia znowu się obudziły i ujrzała Leonarda z talerzem. Grzbiet ręki brata pokrywały drobne blizny. Często zdarzało mu się oparzyć o piekarnik hotelowej kuchni, ogromne urządzenie z podwójnymi drzwiczkami i ośmioma palnikami gazowymi. Maggie pamiętała gorąco w pozbawionej okien kuchni, parę i dym nad piekącym się mięsem w otwartym grillu, krzyki, brzęk garnków i rzędy białych talerzy. Spojrzała na swoje ręce i dostrzegła podobne blizny.

Jedzenie, jakie zobaczyła na talerzu, było rzadkie, rzucone byle jak. Wszystko z dania wydawało się tego samego koloru, blade i mdłe. Maggie nie od razu udało się rozpoznać, co właściwie ma zjeść – tłuczone ziemniaki nałożone na makaron spaghetti, a obok gruda oślizgłej białej kapusty, niemal całkowicie rozgotowanej.

– Nie mogę tego zjeść – mruknęła. – Nie powinno się podawać razem ziemniaków i spaghetti. Jedno i drugie zawiera skrobię. To jak podawać purée ziemniaczane z frytkami.

Norma uśmiechnęła się radośnie.

– Purée ziemniaczane i frytki – zaśpiewała. – Cha, cha! Purée ziemniaczane i frytki! Cha, cha, cha!

– Nie odpowiada pani jedzenie? – syknęła pielęgniarzka. Jej tłuste, jasne

włosy sterczały spod białego czepka w różne strony.

– Nie ma w nim nic złego, po prostu brakuje ryby albo mięsa. A spaghetti powinno się tak naprawdę podawać z wołowiną i sosem pomidorowym, nie z ziemniakami. Taka potrawa to spaghetti bolognese, danie włoskie. – Maggie nie była pewna, skąd to wszystko wiedziała.

– Och, włoskie, tak? – prychnęła pielęgniarka. – Czemu sobie myślałam, że nasze rodzime, angielskie jedzenie będzie wystarczająco dobre! Cóż, proszę mi wybaczyć, jaśnie pani. *Pardon!*

– To po francusku – szepnęła pod nosem Pauline, a usta Maggie rozciągnęły się w mimowolnym uśmiechu.

Pielęgniarka odwróciła się do Pauline.

– Co pani powiedziała, pani Wilkes?

– Nic. Nic nie mówiłam.

Spojrzenie pielęgniarki zrobiło się zimne, wbiła oczy w Pauline.

– Ależ proszę śmiało. Jestem pewna, że coś pani mówiła.

Pauline pokręciła głową.

– Nie, siostrzo. Naprawdę.

– Nie? Może zaczyna pani mówić do siebie?

Pauline gwałtownie uniosła głowę.

– Nie, nie wydaje mi się, żebym mówiła do siebie.

– Cóż, a ja na pewno coś słyszałam. Myślę, że powinna pani zostać jednak po południu na oddziale, gdzie będę mogła panią poobserwować. Nie chcemy przecież wysłać pani na wizytę w domu, dopóki nie będzie pani na to gotowa, prawda?

– O, nie, proszę. Nie miałam nic złego na myśli, to był tylko żart.

Maggie była wstrząśnięta widokiem dzikiej paniki na twarzy Pauline. Tej Pauline, która wydawała się taka spokojna i normalna.

– Nie widziałam mojej córeczki od tygodni... proszę...

Kobieta zerwała się na równe nogi. Niechcący przewróciła kubek z wodą, która wylała się jej na talerz. Głos miała podniesiony, nie panowała nad sobą.

– Musi pani pozwolić mi wyjść do domu...!

– Nie muszę nic robić, szanowna pani. – Słowa pielęgniarki brzmiały jak trzaskanie pękającego lodu. – Proszę tylko spojrzeć, jakiego narobiła pani bałaganu przy obiedzie. Nie, nie wydaje mi się, żeby wizyta w domu była dobrym pomysłem. Nie w tym tygodniu. Jest pani zbyt pobudzona.

Maggie próbowała wytrzeć rozlaną wodę papierowymi serwetkami, ale wtedy Pauline zaczęła krzyczeć.

– Proszę, siostrzo, *proszę!* Chcę zobaczyć moje dziecko, nie mogę znieść... proszę mnie puścić do domu... proszę...

Pielęgniarka próbowała odprowadzić ją na bok, ale wtedy Pauline odwróciła się i kopnęła drobną siostrę w łydkę. Pielęgniarka wrzasnęła, a wtedy podbiegły inne. Jedna dmuchnęła w gwizdek, a wtedy wszyscy rzucili się i zaczęli krzyczeć, płakać lub rozrzucać przedmioty. Norma odłożyła łyżkę

i rozejrzała się z ciekawością. Oczy rozbłysły jej z ekscytacji.

– Co nadchodzi – oznajmiła śpiewnie – to odchodzi.

Maggie zamarła na swoim krześle. Znajdowała się w środku pandemonium.

Mój Boże, pomyślała, to się dzieje naprawdę. Trafiłam do szpitala dla wariatów.

Rozdział 5

Wizyta u rodziców sprawiła, że Jonathan czuł się powolny i ciężki. Fiona była w nieurządzonym jeszcze pokoju, kiedy wrócił. Z trudem wdrapał się na schody. Żona miała na sobie czarne legginsy i obszerną zieloną bluzę, której nie rozpoznał, a włosy ściągnęła w kucyk, przez co wyglądała o wiele młodziej.

– Niedawno wpadła moja siostra – oznajmiła. – Popatrz, myślisz, że nada się na zasłony? Kupiła to do pokoju Noah i Molly, ale nigdy nie wykorzystwała.

Fiona uniosła płat tkanin w żółte kurczaczki na białym tle. Jonathan dotknął, tkanina wydawała się czysta i nowa. W kącie dostrzegł dziecięce krzeselko i przewijak, a na łóżku stos dziecięcych ubrań. Lucy najwyraźniej zrobiła przegląd szaf. Fiona wzięła poduszkę i wsunęła sobie pod bluzę.

– Jak ci się podobam? – Uśmiechnęła się szeroko i obróciła bokiem, żeby Jonathan miał dobry widok. – Nadal będziesz mnie kochać, gdy zacznę wyglądać jak hipopotam?

Jonathan też się uśmiechnął.

– Tak myślę.

Wyczuł świeży cytrynowy zapach żelu pod prysznic, gdy żona podeszła bliżej, aby rzucić poduszkę z powrotem na posłanie. Jonathan odetchnął głęboko tym aromatem, śladem, jaki zostawiła w powietrzu. Była w dobrym humorze, umiał to odczytać ze sposobu, w jaki się poruszała, niczym tancerka, pełna energii i życia. W takim nastroju była, odkąd się dowiedzieli o ciąży. Fiona wybiegła wtedy z toalety, wymachując testem ciążowym, uśmiechnięta od ucha do ucha, a potem oboje stali i dotykali się czołami, gdy patrzyli na test i głaskali różową kreskę, jakby to już było niemowlę. Po dwóch latach mierzenia temperatury i wypełniania wykresów Jonathan zaczął się zastanawiać, czy w ogóle będą kiedyś mieli dziecko, chociaż nigdy nie wyraził na głos swoich wątpliwości. Fiona też nic o tym nie mówiła. Starali się myśleć pozytywnie, ale ten lęk kładł się pomiędzy nich cieniem, co przejawiało się w dyskusjach „a jeżeli nie...” – o kuracjach płodności, może nawet adopcji. A potem ukazała się ta różowa kreska i wszystko miało już być dobrze. Na wczesnym USG Jonathan pomylił tułów dziecka z główką i nie potrafił odróżnić nóżek od rączek, ale gdy teraz patrzył na te zdjęcia i uświadamiał sobie, że są rzeczywiste, czuł przypływ... nie miłości, jeszcze nie, lecz raczej podziwu, oto widział dowód, że on i Fiona dokonali czegoś wspaniałego, stworzyli to żywe dziecko tylko we dwoje.

– No – rzuciła Fiona. – Jak poszło?

I wtedy zadzwieczał dzwonek.

– Zamówiłam coś na kolację. – Spojrzała na Jonathana z udawanym poczuciem winy. – Wiem, że to moja kolej na gotowanie, ale nie mogłam o tym

myśleć. Obiecuję, że kiedyś nauczę się gotować. Słowo!

Jonathan uśmiechnął się tylko.

– Tak, jasne.

Dopiero gdy rozpakowali małe brązowe paczki i nałożyli na podgrzane talerze ryż, szpinak i kurczaka balti, Fiona zapytała ponownie o wizytę u rodziców.

– Nie udało mi się do tego dojść – odpowiedział Jonathan, po czym nalał żonie soku grejpfrutowego, a dla siebie otworzył wino.

Fiona zamarła z widelcem w pół drogi do ust.

– Dlaczego nie, u diabła?

– Nastrój nie był odpowiedni. Wiesz, jacy oni są. Zaczęło się dobrze, ale potem...

– *Nastrój* nie był odpowiedni? Co to ma znaczyć? Na litość boską! Jakiego nastroju ci potrzeba, żebyś powiedział swoim rodzicom, że zostaną dziadkami?

– Fiona zerwała się od stołu, strącona łyżka z sosem potoczyła się po podłodze.

– Po prostu chwila wydawała mi się nieodpowiednia. Atmosfera się trochę... zepsuła.

Jonathanowi przypomniała się twarz Geralda. Ojciec był stary i schorowany, ale Jonathan próbował go sobie wyobrazić uśmiechniętego i łagodniejącego na wieść o dziecku. Jednak to tak, jakby próbował sobie wyobrazić kolor, który nie istnieje. „Ty ojcem? Boże święty, miej nas w opiece!”. Jonathan odepchnął ten obraz.

– Nie chcesz tego dziecka, prawda? – rzuciła Fiona. Stała przy zlewie i nalewała sobie wody do szklanki. – Przyznaj to.

Jej słowa były jak cios w brzuch. Jonathan nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał, nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Nie, Fi – wydusił w końcu, gdy odzyskał głos. – To nieprawda.

Delikatnie dotknął jej ramienia, ale Fiona odtrąciła jego dłoń i odwróciła się, żeby na niego popatrzeć.

– Więc co? – Oczy jej błysnęły. – Nie mogę powiedzieć znajomym, że jestem w ciąży, dopóki nie wiedzą o tym rodzice nas obojga. Dlaczego tak trudno ci przekazać swoim bliskim, że będziesz ojcem?

Zanim Jonathan zdążył odpowiedzieć, wybiegła z kuchni i trzasnęła drzwiami. Chciał za nią iść, ale szybko się rozmyślił. Wytarł wino, które się rozlało, gdy żona zrywała się od stołu, a potem opadł na krzesło, wypił lampkę i nalał sobie kolejną. Zawsze chciał mieć dzieci z Fioną, wiedział to od pierwszego spotkania. Było to na przyjęciu u nowożeńców, Malcolma i Cassie, w ciepły słoneczny wieczór pod koniec lata. Kiedy Jonathan tam przyjechał, wszyscy przenieśli się już do ogrodu i popijali schłodzone białe wino. Lekki wiaterek muskał trawę i tam właśnie stała, przy krzewie obsypanym kwiatami róż. Odchyliła głowę i roześmiała się z tego, co powiedziała jej Cassie. Opalona podczas wakacji skóra Fiony miała odcień prażonych migdałów, a spłowiałe od słońca włosy skrzyły się jak jasny bursztyn. Jej sukienka, łopocząca lekko na

wietrze, była w tym samym odcieniu co włosy i skóra, przez co ona sama wydawała się emanować złotą poświatą w zachodzącym słońcu. Jonathan nie pamiętał, co powiedział, kiedy Malcolm ich sobie przedstawił, ale musiał się bardzo starać, żeby nie jąkać się jak głupek, gdy uściśnął Fionie dłoń, ponieważ już wtedy wiedział, choć wydawało się to szaleństwem, że ta dziewczyna to jego bratnia dusza, matka jego przyszłych dzieci. Czuł się wtedy zupełnie inaczej niż przy Sian. Jonathan i Sian byli razem od pięciu lat, ale stało się to przyzwyczajeniem, łatwym i wygodnym związkiem dla obojga. Zegar biologiczny Sian zaczął tykać, czas było pomyśleć o dzieciach. I właśnie wtedy Jonathan zrozumiał. Nie chodziło właściwie o dzieci, lecz o pewność, że on i Sian nie pasowali do siebie tak do końca, a dziecko, które spłodzą, okaże się w połowie takie jak Jonathan, w połowie jak Sian, ale nigdy nie będzie w pełni jednością ich obojga.

Oderwał kawałek pieczywa naan i zanurzył w sosie balti, ale kiedy jadł, ledwie czuł smak. Zjadł jeszcze trochę stygnącego jedzenia, dopił wino i uzupełnił swoją lampkę. Wino miało na niego kojący wpływ, dlatego Jonathan wypił kolejny kieliszek i wtedy ze zdumieniem uświadomił sobie, że opróżnił butelkę. Sam. Poczul się radośnie bezmyślny i pożałował, że rzucił palenie. Wreszcie popatrzył na resztę zamówionych potraw i zdecydował, że sprzątanie zostawi sobie na rano. Teraz musiał porozmawiać z Fioną. Musiał się z nią ponownie *połączyć*, a wtedy wszystko już będzie w porządku. Zatoczył się lekko, gdy wstawał od stołu – to wino musiało być mocne – i ruszył ostrożnie na górę. Nie chciał się potknąć lub przewrócić, zwłaszcza nie chciał na nic wpaść, żeby Fiona nie pomyślała, że jest pijany. Jonathan musiał przecież powiedzieć, jak bardzo ją kocha i jak pragnie tego dziecka. Albo jeszcze lepiej pokazać, bo czyny znaczą więcej niż słowa. Tak, właśnie to zamierzał uczynić – powie jej i pokaże. Najlepszy pomysł, na jaki wpadł tego dnia. Wyszepcze jej, powtórzy raz po raz, kiedy będzie się z Fioną kochał czule i delikatnie. Fiona na pewno będzie udawała, że śpi, ale przycisnie się do Jonathana plecami, zachęci go trochę, wcale się nie odwracając. To gra, w którą grywali często – jedno udawało, że śpi, drugie całowało, dotykało, głaskało. Chodziło o to, żeby sprawdzić, jak długo można wytrzymać i nie odpowiedzieć na pieszczoty partnera. Fiona lubiła, gdy Jonathan leżał za nią przytulony na łyżeczkę, całował jej szyję, pieścił piersi, głaskał brzuch i uda. Czasami mógł nawet w nią wejść i pchnąć raz albo dwa, zanim Fiona się odwróci, uśmiechnie, wciągnie męża na siebie, obejmie nogami, aby wszedł głębiej. Kiedy była to kolej Jonathana, próbował się nie ruszać, gdy Fiona przesuwała się za jego plecami, ale wiedział, że kiedy poczuje jej ciepły oddech na brzuchu lub łaskotanie pasemka włosów na biodrze, podda się bez oporu.

Kiedy Jonathan otworzył drzwi do sypialni, nie od razu wzrok przyzwyczał mu się do ciemności. Nie potrzebował jednak światła, żeby to wyczuć. Fiony tutaj nie było. Pokój okazał się pusty i zimny, łóżko starannie zasłane. Pożądanie, które narastało, teraz wyparowało, gdy mężczyzna przeszedł przez

korytarz do nieurządzonego jeszcze pokoju. Nigdy nie spali z Fioną osobno, nigdy. Drzwi do pokoju okazały się zamknięte. Jonathan otworzył je ostrożnie, po czym zaczął przekradać się po dywanie, starając się omijać torby z ubrankami dla dziecka, które żona jeszcze kilka godzin temu oglądała z taką radością. Fiona leżała teraz na plecach, jej drobne ciało ledwie rysowało się na łóżku. Jonathan nie widział jej twarzy, ponieważ zaciągnęła pled na głowę, więc wsunął palce pod skraj i uniósł lekko. Fiona oparła ramię o czoło. Spała w starej piżamie, którą zakładała tylko, gdy miała okres albo nie czuła się dobrze. W różowawej poświacie z korytarza Jonathan dostrzegł jej podpuchnięte powieki, rozmazany tusz do rzęs pod oczami, wilgotne pasemko włosów przyklepione do policzka. To była jego wina. Jutro rodzice wybierali się do kościoła, ale przecież mógł ich złapać po powrocie i powiedzieć o dziecku. Zastanawiał się nawet przez chwilę, czy nie napisać do Geralda jak przyszły ojciec do już doświadczonego, czy nie spróbować i nie przebić się przez wzniesiony między nimi mur. Pomyśli o tym jutro. Gdy próbował cicho przejść między czarnymi torbami, potknął się, zatoczył, uderzył w ścianę i stłukł sobie paluch o szafę.

– Szlag! – wydusił napiętym szeptem.

Fiona poruszyła się, ale nie obudziła. Jonathan zaklął po raz drugi, tym razem ciszej, po czym pokuśtykał na korytarz. Palec u nogi pulsował mu boleśnie, łokieć łupał od uderzenia w ścianę. Jonathan wspiał się na łóżko i położył. Nie zasnął, nasłuchiwał, czy nie usłyszy kroków Fiony wracającej do małżeńskiego łóża. Pragnął bliskości, jaką dzielił z żoną.

Spotkali się pod koniec sierpnia, a osiem tygodni później wzięli ślub. Ponieważ oboje pracowali jako nauczyciele, na miesiąc miodowy wybrali się w połowie października, podczas ferii międzysemestralnych. Fiona wprowadziła się do Jonathana przed ślubem, ale dopiero podczas tego tygodnia w Kornwalii naprawdę dobrze się poznali. Przez cały czas padało, ale mało ich to obchodziło. Wynajęli niewielki domek na skraju wrzosowisk i spędzili cały pierwszy dzień w łóżku, słuchając bębnienia deszczu o parapet, pijąc różowego szampana i jedząc gorące bagietki oraz jajecznicę. Starali się przy tym jak najczęściej powtarzać słowa „mąż” i „żona”. Rozmawiali o swoim życiu sprzed spotkania. Fiona chciała kiedyś zostać policjantką, jak powiedziała Jonathanowi, a on wyznał, że w dzieciństwie na krótko marzył, żeby pracować jako hycel i łapać koty. Najgorszą pracą Fiony była ta w wytwórni ciast, gdzie musiała rozdzielać nafaszerowane rodzynkami bryły i układać je ponownie na taśmie. Jonathan najgorzej wspominał zatrudnienie na stoisku z frytkami, gdzie trzeba było oczkować ziemniaki, zanim wrzuci się je do maszyny krojącej. Rozmawiali też o miłości Jonathana do futbolu i uwielbieniu bilardu przez Fionę, o jego przywiązaniu do psów, a jej do kotów. Odkryli, że obojgu wycięto migdałki, gdy mieli po sześć lat, że oboje potrafią grać na gitarze, ale żadne nie umie śpiewać. Mieli sobie tyle do powiedzenia. Wydawało się, że spędzili ze sobą poprzednie życie, a potem zostali rozdzieleni

na jakieś trzydzieści lat z okładem. Tamtej nocy wybrali się wieczorem do pubu za wrzosowiskiem. Przyszli przemoknięci i przemarznięci do szpiku kości, ale mieli nadzieję, że trafią do nastrojowej knajpki pełnej opowieści o dawnych szmuglerach. Powitały ich napis „Posiłek dla dzieci za pół ceny” oraz zapach smażeniny i zaśnieżonego piwa. Byli jednak nadal upojeni swoim pierwszym dniem jako mąż i żona, dlatego rozczarowanie ich ominęło. Później, gdy wrócili do chaty, rozpalili w kominku i usiedli, żeby napić się brandy i w milczeniu spoglądać na tańczące płomienie. Nie musieli już rozmawiać, wystarczyło, że siedzieli przytuleni i zadowoleni. I nagle Jonathan poczuł napięcie w powietrzu, jakby naelektryzowanie. W tej samej chwili odstawili z Fioną lampki brandy i odwrócili się do siebie. Jonathan nadal nie potrafił sobie przypomnieć, kto kogo pociągnął na dywan, ale oboje zdarli z siebie ubrania i kochali się gorączkowo, nadal częściowo ubrani, a potem opadli razem wyczerpani i bez tchu. Niedługo potem Fiona zaczęła chichotać, Jonathan się do niej przyłączył i okazało się, że zwyczajnie nie mogą przestać, śmiali się i śmiali w swoich objęciach, aż się popłakali.

Jak przeszliśmy z tamtego do tego? – zastanawiał się teraz Jonathan. Od kiedy odgryzamy się, odchodzimy, trzaskając drzwiami?

Była to ostatnia myśl, nim wreszcie zapadł ze zmęczenia w sen.

Śnił, że brnie przez piasek na plaży o zmierzchu, po lewej stronie ciągnie się kamienny mur, po prawej roztacza ocean. Im dalej Jonathan idzie, tym bardziej plaża się kurczy, aż nie pozostaje nic, tylko mur i morze. Dzikie, szare bałwany zaczynają się zbliżać. Jonathan odwraca się, żeby wrócić na plażę, ale ciemne fale już napierają na niego, zmywają ślady jego stóp. Fiona spogląda na męża ze szczytu muru, ale jest już za późno, nad głową Jonathana zamyka się słona toń raz po raz, choć mężczyzna próbuje zaczerpnąć oddechu. Słyszy głos Fiony...

– Jonathan... Jonathan!

Ze zdławionym okrzykiem wyrwał się ze snu, z którego potrząsaniem obudziła go żona. Od razu zauważył, że fluorescencyjne wskazówki budzika pokazują za osiem czwartą, a Fiona stoi obok łóżka i trzyma telefon, ale nie wygląda już na rozgniewaną.

– C-co...?

– Jonno. – Głos Fiony był cichy. – To twoja mama...

Rozdział 6

Zbliżała się pora śniadania. Hetty, którą Maggie lubiła najbardziej spośród pielęgniarek, ponieważ pachniała kwiatowymi perfumami Heleny Rubinstein i przypominała kobiecie matkę, stanęła na środku sali chorych z tabliczką. Pielęgniarka robiła to już wcześniej, ale Maggie nie potrafiła sobie przypomnieć dlaczego.

– No, dobrze, drogie panie – oznajmiła Hetty. – Jeżeli wyczytam wasze nazwisko, idziecie na terapię, nie na śniadanie.

Na szczęście nazwiska Maggie nie było na liście, za to Pauline tak. Pauline po raz ostatni próbowała się spierać, że nie potrzebuje terapii, ale okazało się, iż uznano ją za pobudzoną i wywołano na zabiegi jeszcze następnego dnia, potem znowu i znowu. Kiedy przestała się kłócić, ograniczono terapię do jednego zabiegu w tygodniu.

– Terapia zaczyna się o dziewiętej – powiedziała Hetty. – Proszę przedtem koniecznie skorzystać z toalety. Wróć za pół godziny i zejdziemy wszystkie razem.

W ustach pielęgniarki zabrzmiało to tak, jakby pacjentki czekało coś przyjemnego, na przykład wyjście na spacer. Maggie skuliła się w łóżku pod przykryciem, ciasno jak krewetka, żeby nikt nie zauważył, że płacze. Pauline ją ostrzegła. Według niej każdy, kto zostanie przyłapany na płaczu, trafi na elektrowstrząsy.

Maggie miała dobre i złe dni. Dzisiaj nadszedł zdecydowanie zły dzień. Czasami zdawało się jej, że ciało wypełnia jej trucizna, jakby we wnętrzu gotował się kocioł, który zaraz wybuchnie. Ale tym razem czuła tylko ćmiący ból, głęboką i ciemną przepaść rozwierającą się gdzieś pomiędzy sercem a żołądkiem. Pozostała skulona, dopóki uczucie trochę nie zelzało, i zdobyła się na to, żeby wstać z posłania. Zmusiła się do zjedzenia śniadania, wodnistej owsianki i zimnej grzanki z margaryną, a potem starała się ze wszystkich sił uśmiechać do pielęgniarek, zwłaszcza do Hetty, ale także do pozostałych.

Po śniadaniu pomogła przeliczyć noże przed włożeniem do pudełka. Zgłaszanie się na ochotnika do pomocy przy drobnych pracach miało przekonać personel, że pacjentka czuje się coraz lepiej. Kiedy noże zostały przeliczone i bezpiecznie zamknięte do lunchu, Maggie skierowała się do swojej sali, modląc się w duchu, żeby reszta zesła już do sali terapeutycznej. Jednak gdy tylko przekroczyła dwuskrzydłowe drzwi, ujrzała, że wciąż tam są, pół tuzina kobiet snujących się po pomieszczeniu i zajętych nieśpiesznymi przygotowaniem. Zwlekały. Maggie uświadomiła sobie, że wszystkie starają się rozpaczliwie odsunąć chwilę przenikliwego, wstrząsającego bólu.

– No, Dolly. – Hetty podeszła do łóżka, na którym pod przykryciem ktoś się

trząśł. – Masz dzisiaj terapię, kochanie. Zostań w koszuli nocnej i włóż szlafrok, ale wyjmij sztuczne zęby. Powinnyśmy już iść.

Pielęgniarka pomogła wstać bladej z przerażenia podopiecznej, która miała iść na elektrowstrząsy, a potem podniosła głowę i zobaczyła Maggie.

– Maggie, będziesz tak miła i zajrzysz do schowka z pościelą? Spóźnię się z odprowadzeniem pań na dół.

– Dobrze. – Maggie starała się wyglądać na chętną do pomocy.

– Pójdiesz korytarzem, obok łazienek w lewo. Schowek znajduje się naprzeciw magazynu z przyborami. Trzeba przynieść poszewki na poduszki. Są oznakowane „Oddział C”, więc się nie pomylisz.

Maggie ruszyła korytarzem, ale skrzydło szpitalne okazało się o wiele większe, niż się jej wydawało. Minęła długie wąskie pomieszczenie z łazienkami, gdzie znajdowało się pięć wanien w rzędzie nawet nieoddzielonych zasłonami lub parawanami, a potem korytarz zakręcał, ale w prawo. Skręciła tam i przeszła obok szeregu zamkniętych drzwi, które jak sądziła, prowadziły do innych sal, potem natrafiła na niewielką kuchnię i jadalnię oraz jeszcze więcej nieoznakowanych drzwi. Cofnęła się do początku i tym razem poszła dalej, mijając więcej łazienek. Skręciła za nimi i ujrzała świetlicę, dzięki Bogu. Ale kiedy zajrzała do środka, okazało się, że to nie ta świetlica. Okazało się, że to sala rekreacyjna, a za nią znajdują się kolejne nieoznakowane drzwi, na dodatek zamknięte. Maggie dostrzegła również kolejne bez oznaczeń – próbowała je otworzyć, ale były zamknięte. Po prostu nie mogła odnaleźć schowka z pościelą ani nawet magazynu z przyborami, więc odwróciła się, żeby wrócić do początku i wyruszyć jeszcze raz, ale wtedy nagle wszystko wydało się jej duże i ostre, oddech jej przyśpieszył, a czarna dziura w brzuchu powiększyła się i zaczęła boleć mocniej, jakby miała ją rozerwać na pół. Oparła się o ścianę, a potem zsunęła na podłogę i skuliła. W takiej pozycji znalazła ją pielęgniarka, która nadeszła, pchając wózek z herbatą. Siostra podniosła Maggie i poprowadziła na oddział, do łóżka. Pacjentka zwinęła się tam i próbowała powstrzymać łzy.

* * *

Tego dnia nazwisko Maggie pojawiło się na liście. Hetty poprowadziła ją i inne kobiety korytarzem i betonowymi schodami w dół, do sali zabiegowej.

– Nie martw się – powiedziała pielęgniarka do Maggie. – O wszystkim potem zapomnisz. Przecież nie pamiętasz wcześniejszych zabiegów, prawda?

– No, nie, ale... – Maggie nie pamiętała dokładnie, ale krótkie przebłyski wspomnień wracały, a to wystarczało, żeby kolana się jej trzęsły.

Kiedy szła z Hetty korytarzem, z pomieszczenia, które jak się potem dowiedziała, było salą pozabiegową, wyszły dwie pielęgniarki. Podtrzymywały kobietę poruszającą się powoli jak staruszka. Maggie jednak widziała, że

kobieta jest młoda. Miała potargane, słomiane włosy. Jej śliczna podomka, granatowa z pąkami róż wokół dekoltu i na obrąbku, nie była zawiązana, pasek ciągnął się po posadzce. Na skroniach kobiety odcinały się czerwienią ślady wielkości monety, widać też było zaczerwienienie w kącikach ust. Strużka śliny spływała jej na podbródek. Spojrzała na Maggie, ale oczy miała martwe.

– Jesteśmy na miejscu, drogie panie. – Hetty wskazała długą ławkę obok zamkniętych drzwi sali zabiegowej.

Ledwie Maggie usiadła, rozległ się głośny pisk i prychnięcie zza dwuskrzydłowych drzwi, które potem otworzyły się, aby można było wywieźć na noszach pacjentkę, wciąż jeszcze wstrząsaną konwulsjami, do pomieszczenia pozabiegowego. Kilka minut później nosze wróciły do sali zabiegowej.

Maggie siedziała sztywno. Czas zamarł, zestalił się na chwilę w absolutnej ciszy. A potem drzwi się otworzyły i rumiana pielęgniarka z szerokimi biodrami oraz wielkim biustem wyszła na korytarz.

– Możemy teraz wziąć Margaret? – Spojrzała na pacjentki na ławce. – Margaret?

Maggie pozwoliła sobie nie odpowiedzieć od razu. Podziwiała pantofelki pielęgniarki i zastanawiała się, jak takie małe stóпки mogą utrzymać tak wielkie ciało.

– Margaret Harrison. – Pielęgniarka spojrzała wprost na nią. – Chodź, *proszę*.

Na środku sali zabiegowej znajdowały się wysokie łóżko i czarna skrzynka z pokrętłami i tarczami. Widać było kable i pasy do krępowania. Lekarz, z wyglądu Hindus, którego Maggie wcześniej nie widziała, uśmiechnął się do niej, jakby na pokrzepienie, ale nic nie powiedział.

– Jakies sztuczne zęby lub koronki? – rzuciła pytająco pielęgniarka, po czym wsunęła jej palec do ust, żeby sprawdzić uzębienie jak koniowi na targu. – Jakies zegarki lub spinki do włosów?

Maggie pokręciła głową. Wielka pielęgniarka pochyliła się i wtarła jej tłustą maź w skronie. Kobieta śmierdziała smażonym tłuszczem i papierosami. Wcisnęła gumowy knebel w jej usta, potem stanęła za plecami i przytrzymała głowę obiema rękami.

Maggie chciała powiedzieć, żeby przestała, poczekała, bo chce się przygotować, ale gumowy knebel zdusił słowa. Próbowwała unieść rękę, żeby przyciągnąć uwagę lekarza i pielęgniarki, ale ktoś ją przytrzymał. Lekarz przyłożył dwa metalowe dyski do skroni pacjentki. Spojrzała mu w oczy, krzyczała spojrzeniem, żeby zrozumiał, że muszą porozmawiać. A potem mózg Maggie eksplodował. Przeszył ją ból, błyskawice uderzyły w oczy, kości rozpląnęły się i zarazem roztrzaskały, nogi się napięły i zaczęły drżeć. Zamachała ramionami, usłyszała gulgotanie w gardle. Próbowwała się uwolnić, ale była związana, jakby oplótł ją gigantyczny bluszcz. A potem poczuła, że spada coraz szybciej, aż opadła głęboko, jakby na dno pod ciemną toń.

Rozdział 7

Szron iskrzył się na stopniach krematorium. Po stłumionym świetle w kaplicy słońce odbijające się od karawanu i innych samochodów wydawało się niemal boleśnie jasne. Krewni i sąsiedzi stali w grupkach, niektórzy przytupywali i chuchali w dłonie, inni palili, niecierpliwie wyczekując, kiedy będą mogli iść na rozgrzewającą sherry, którą im obiecano. Jonathan obserwował, jak matka pochyla się, żeby przeczytać karty kondolencyjne na bukietach i wieńcach pogrzebowych. Wydawała się mniejsza niż zwykle, a czarna sukienka i płaszcz podkreślały jej wiotkość – jakby była źdźbłem trawy. Jonathana ogarnęło wrażenie, że matka stała się niematerialna, i przestraszył się, że byle podmuch wiatru może ją porwać jak Dorotkę z książki *Czarnoksiężnik z krainy Oz*. Matka wyglądała za to na bardzo opanowaną, gdy z uprzejmością przyjmowała wyrazy współczucia podchodzących do niej żałobników. Rano, gdy czekał z nią na samochód, Jonathan próbował matkę pocieszyć. Zaskoczyło go, jak niezręcznie mu to szło. Zaczął się zastanawiać, kiedy ostatnio mieli fizyczny kontakt – poza grzecznościowym pocałunkiem w policzek. Rodzice Fiony obejmowali Jonathana przy każdym spotkaniu i zawsze wydawało się to tak naturalne, ale tego ranka, kiedy własna matka przytuliła się do niego, poczuł się dziwnie spięty.

Spojrzał na zegarek. Pogrzeb go zdenerwował, Jonathan miał wrażenie, że Gerald obserwuje go zza grobu, czeka na jakieś potknięcie lub powiedzenie czegoś niestosownego.

– Jonathanie. – Matka podeszła bliżej. – Nie miałbyś nic przeciwko temu, kochanie, żeby pojechać z Fioną do domu? Trzeba wcześniej ogrzać trochę pokoje i upewnić się, że wszystko już gotowe. – Wydawała się nieco zagubiona, gdy podawała mu klucze. – Dziękuję, mój drogi. Nie masz nic przeciwko, prawda?

– Oczywiście, że nie – zapewnił Jonathan. Starał się nie pokazać po sobie ulgi, że ma wymówkę, aby się stąd wynieść.

* * *

Kiedy szli podjazdem do domu rodziców, Jonathanowi zrobiło się niespodziewanie lekko na sercu. Po raz pierwszy w życiu miał przekroczyć próg tego domu bez zbierania w sobie odwagi, żeby znieść dezaprobatę ojca.

Fiona odwiesiła płaszcz.

– Jak się czujesz?

Jonathan zamyślił się. Ojciec zmarł, ot co. Było już za późno na próby

pogodzenia się, za późno na wszystko.

– Oszołomiony – przyznał. – Ale tak naprawdę trudno powiedzieć, co czuję... Tylko taką nieznaczną ulgę, że nie będę już musiał się starać, żeby zrobić na nim wrażenie.

– Nic dziwnego, prawda? Po tym jakie były wasze kontakty...

– Ale jednak byliśmy spokrewnieni. Szkoda... – westchnął. – No, nie wiem. Nawet jeżeli nie ogarnia mnie smutek, powinienem chyba mieć jakieś poczucie straty, prawda?

– Nie bądź dla siebie taki surowy. Wielu ludziom nie układa się z rodzicami, nie ma się czego wstydić.

– Chyba tak...

Jonathana ogarnęło nagle zimno i niemal równie gwałtowne pragnienie, żeby go ktoś przytulił. Przyciągnął Fionę w ramiona. Jej włosy pachniały zimą, lecz ciało było ciepłe. Już miał ją pocałować, ale się cofnęła.

– Rozpalmy ogień – powiedziała. – Tutaj jest cholernie zimno.

Wygląda wspaniale, pomyślał, gdy patrzył, jak żona pochyla się nad piecykiem gazowym, który zawsze miał swoje narowy. Skóra jej jaśniała, a pod ubraniem rysował się brzusek, chociaż pewnie nikt inny by tego nie zauważył. Jest taka pociągająca, pełna życia.

– No, ogniu, pal się! – zachęca piecyk. – Dobry ogień!

– Jesteś szalona. – Jonathan przesuwając dłoń po jej pośladku. – Ale masz śliczny tyłeczek.

– Jonathan! – Fiona parska śmiechem i odpycha jego rękę.

Odgarnął jej włosy i pocałował białą, delikatną skórę na szyi.

– Nie powinniśmy się obmacywać na pogrzebie – zaprotestowała Fiona, ale i tak pocałowała męża.

– Wiem. – Przesunął dłoń po jej udzie, gładki nylon wydawał się gorący dla jego zmarzniętych palców. – Jak sądzisz, kiedy tu przyjadą?

– Och, nie wiem. Za piętnaście, dwadzieścia minut?

– Myślisz, że mamy dość czasu?

Fiona odsunęła się i popatrzyła na Jonathana uważnie.

– Nie mówisz poważnie? Jonno, to pogrzeb twojego ojca! Jesteśmy w jego domu.

– Wiem, ale naprawdę cię pragnę.

Mruknęła cicho.

– Nie możemy – szepnęła, ale oczy jej zabłyśły.

– No to wyjdźmy, wtedy nie będziemy w „jego domu”.

– Na zewnątrz? Ale tam jest zimno! – roześmiała się. – Oszalałeś?

Ujął ją za rękę i podprowadził do tylnych drzwi. Rzeczywiście wydawało się to szalone, ale nie mógł się powstrzymać. Nie było to pragnienie czy nawet pożądanie, lecz przemożna potrzeba bliskości z Fioną, połączenia się z nią, dotknięcia jej skóry, zaznania jej ciepła i wilgoci, gdy serca biją w tym samym rytmie, blisko, coraz bliżej, razem...

– Jonno, naprawdę straciłeś rozum. – Ale Fiona poszła za nim, a po drodze zabrała ich płaszcze.

Dziesięć minut później, zarumienieni, powiesili okrycia i wpadli do salonu, tuż przed przyjazdem pierwszych samochodów. Płomień gazowy o chemicznym zapachu lśnił jak pomarańczowy grzebień. Jonathan i Fiona rozgrzewali się przez chwilę w jego bliskości, zanim zerwali się do działania. Kiedy goście, którzy już rozmawiali i byli wyraźnie zadowoleni, że najbardziej ponura część uroczystości dobiegła końca, weszli do pokoju, Jonathan zdążył napełnić kieliszki sherry, a Fiona nalać herbatę do filiżanek. Zgromadzeni rozluźnili się nieco przy herbacie, z grupki zabrzmiał nawet nieco skrepowany z powodu okoliczności śmiech.

Jonathan przyniósł kanapki. Zmieszane zapachy majonezu, sherry, mocnej herbaty i wód kolońskich sprawiły, że zrobiło mu się niedobrze, więc ruszył do kuchni, żeby napić się wody. Stał przy zlewie i spojrzał na widoczny za oknem zadbane ogród. Ojciec tak naprawdę dbał tylko o ten ogród. Nigdy już nie będzie wiadomo, czy urodziny dziecka by to zmieniły. Jonathanowi przez głowę przemknęło odległe wspomnienie.

Wieczór pod koniec lata, Jonathan jest jeszcze mały, ma może trzy–cztery lata. Ojciec w ciemnych spodniach, koszuli z krótkim rękawem i zawsze noszonym krawatem pochyla się nad krzewem róż, ścina rozkwitający pąk niemal z czułością. „Ostrożnie – ostrzega, gdy kładzie go na wyciągniętej dłoni syna. – Nie zgnieć”.

Obraz pękł jak bańka mydlana i znikł.

Po kilku minutach Jonathan wrócił do salonu. Fiona stała przy nim z porozumiewawczym uśmiechem, ale męża ogarnął wstyd, który zapadł głębiej, wywołując falę samoobrzydzenia.

– Fi, przepraszam – westchnął Jonathan. – Nie wiem, co mnie napadło.

To prawda, chociaż wcale nie żałował tego, co zrobił, wciąż był nieco oszołomiony intensywnością swoich uczuć w tamtej chwili.

– Jonno, nie zrobiliśmy nic strasznego. – Fiona objęła męża w pasie. – Czytałam, że pragnienie, żeby uprawiać seks, jest częstą reakcją na śmierć kogoś bliskiego. To normalna odpowiedź na żałobę i śmierć. Chodziło chyba o to, że chcemy poczuć się bardziej żywi w obliczu niepodważalnych dowodów na naszą śmiertelność.

Wyjaśnienie wydawało się sensowne, ale Jonathana nie całkiem przekonało. Zapewne dlatego że w głębi duszy zastanawiał się, czy nie chciał po prostu w jakiś pokretny sposób zaszutować Geraldowi z ironią.

– Posłuchaj, teraz liczy się tylko twoja mama – powiedziała cicho Fiona. – Daje sobie radę, bo ma u boku nas oboje i jest za to wdzięczna. Jesteś dobrym synem, więc przestań się teraz łamać.

Dobry syn. Jako dziecko Jonathan próbował być dobrym synem, naprawdę próbował. Było to jednak, zanim sobie uświadomił, że ojciec po prostu go nie lubi.

– Wiesz – mruknął do Fiony. – Jestem dokładnie w tym samym wieku co mój ojciec, gdy się urodziłem.

– Co z tego?

– Nie martwi cię to? Może wcale się nie nadaję?

– Nie nadajesz? Nie rozumiem?

– Może nie nadaję się, będę jak mój tato... Wiesz, on kazał mi nosić szerokie spodnie przed kostkę, a mama musiała obcinać mi włosy, bo nie chciał płacić za fryzjera. Opowiadałem ci o tym. Kiedy rówieśnicy mnie pobili, bo wyglądałem jak z lat pięćdziesiątych, powiedział mi, żebym nie był beksą.

– To nie ma nic wspólnego z wiekiem, to tylko zimny chów. I nadal uważam, że mama powinna była się za tobą wstawić.

Jonathan powtórzył, naśladowując matkę:

– „Jeżeli ci chłopcy napadli na ciebie tylko dlatego, że nosisz krótsze spodnie niż oni, to nie należą do osób, z którymi chciałbyś się przyjaźnić”.

Oboje uśmiechnęli się, po czym zerknęli, aby się upewnić, że matka Jonathana niczego nie usłyszała.

– Problem w tym, że jeżeli czegoś nie zrozumie, jeżeli źle ocenię sytuację, kiedy biedny smarkacz zechce nosić świecące czerwone pantalone czy co oni będą wtedy nosić... No... Po prostu nie chcę, żeby nasze dziecko przechodziło przez to samo co ja.

– Jasne, posłuchaj. Po pierwsze, może i jesteś starszy ode mnie, ale zgodziliśmy się, że nie aż tak stary, a po drugie, to, że jesteś starszy, nie oznacza automatycznie niemożliwości porozumienia się z własnymi dziećmi. – Fiona znowu ściszyła głos. – W gronie moich znajomych nie ma żadnej poniżej trzydziestu pięciu lat, a co najmniej trzy przekroczyły czterdziestkę. A większość ojców jest starsza od matek. Nie możesz porównywać się ze swoim ojcem. On zawsze był stary, sam tak powiedziałaś.

Jonathan westchnął, przyciągnął Fionę i pocałował ją w czoło.

– Chcę tylko powiedzieć, żebyś mi nigdy nie pozwoliła stać się takim jak on, dobrze?

Fiona uścisnęła go mocno.

– Jonno, nie jesteś ani trochę jak on, różnisz się od niego tak bardzo, jak to tylko możliwe w przypadku ojca i syna.

* * *

Kiedy wszyscy wyszli, Jonathan i Fiona sprzątnęli i umyli zastawę. Wydarzenia całego dnia odbiły się na żonie, wyglądała na zmęczoną, więc Jonathan odwiózł ją do domu, a potem wrócił, żeby sprawdzić, co z matką. Kiedy przyjechał, właśnie się przebierała do snu – długa różowa podomka i koszula nocna sprawiały, że starsza kobieta wydawała się bardzo krucha.

– Chyba wszystko udało się raczej dobrze, nie sądzisz? – Usiadła zaskakująco

ciężko jak na tak drobną osobę. Jonathan dostrzegł pulsujące sine żyłki na jej stopach. Skinieniem głowy wskazała butelkę whisky obok fotela i uniosła szklankę. – Pomyślałam, że w tych okolicznościach chyba mogę sobie pozwolić. Nalej sobie, mój drogi, i usiądź. To był długi dzień dla nas wszystkich.

Jonathan prowadził, więc wrzucił do szklanki dużo kostek lodu i nalał niewiele trunku o zapachu torfu. Pudełko z tytoniem Old Holborn Geralda i jego srebrzysta zapalniczka leżały nadal na regale z książkami, fajka ze śladami zębów od zagryzania na cybuchu spoczywała obok. Było w tym coś wzruszającego i zarazem niewinnego – te przedmioty położył tutaj ojciec, który już nigdy więcej ich nie dotknie. Jonathan odwrócił wzrok na matkę.

– Wiem – westchnęła. – Posłałam większość jego ubrań do sklepu charytatywnego, ale nie mogłam się zdobyć na... cóż, jeszcze nie teraz. Zapewne kiedyś sobie z tym poradzę.

Jonathan już miał odpowiedzieć, kiedy matka zaskoczyła go – wyjęła z torebki paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Zły nałóg, wiem – mruknęła. – Ale teraz nie ma już sensu rzucać.

– Rzucać? Przecież nie paliłaś od lat!

– Paliłam. Ale powiedziałam twojemu ojcu, że przestałam. Kiedy przerzucił się na fajkę, nie mógł znieść, gdy paliłam papierosy, więc udawałam, że rzuciłam. Dla świętego spokoju.

Jonathan westchnął.

– Ale dlaczego zawsze robiłaś wszystko dla świętego spokoju, mamó? Nie chodzi mi tylko o palenie. Dlaczego zawsze tak bardzo bałaś się go zdenerwować?

– Nie bądź nieznośny, Jonathanie – warknęła matka. Ale zaraz też westchnęła, a kiedy znowu się odezwała, jej głos zabrzmiał łagodniej. – Wiem, że twój ojciec czasami wpadał w irytację, ale...

– Wpadał w irytację? Wielki Boże, rzucił w ciebie obiadem, bo rozgotowałaś kapustę!

– Jonathanie, *proszę*. Nie nadużywaj imienia Pana Boga nadaremno.

– Wyrzucił moją nową kolejkę do kosza, bo zostawiłem ją na podłodze...

– Miało cię to nauczyć, żebyś nie zostawiał rozrzuconych zabawek.

– Mamó, ale on *wiedział*, że śmieciarze przyjadą tego ranka.

Urwał i zamilkł, gdy przypomniał sobie dokładniej tamto wydarzenie. Nie dodał tego, co cisnęło mu się na usta: „Ty również wiedziałaś, mamó”.

Zawsze broniła Geralda. Jonathan pamiętał, jak kiedyś, gdy miał może osiem lub dziewięć lat, wrócił ze szkoły i zobaczył, że jego świnki morskie zniknęły. Przechodził zawsze przez ogród, dlatego od razu dostrzegł puste miejsce, tam gdzie powinna stać klatka. Z niedowierzaniem chłopiec pobiegł do kuchni, gdzie matka kroїła na desce nerki. Zatrzymał się, oczy miał na wysokości usmarowanego krwią noża.

– No, co? – rzuciła matka. – Czego chcesz?

Jonathan próbował coś powiedzieć, ale nie mógł oderwać oczu od nerek,

które krwawiły niemal jak żywe, jak skaleczony palec.

– Jonathanie, mam obiad do zrobienia. Nie mogę tak stać cały dzień i czekać, aż wreszcie...

– Salt i Pepper – wydusił. – Gdzie one są?

– Ach. – Matka odłożyła nóż, wzięła ściereczkę i wytarła blat, zanim znowu się odwróciła do syna. – Twój ojciec oddał je rano do schroniska.

– Ale... dlaczego? – Jonathanowi wydawało się, że można usłyszeć łomotanie jego serca.

– Ponieważ nie troszczyłeś się o nie. – Głos matki zabrzmiał ostro. – Przrzekłeś, że będziesz im sprzątał co sobota, a kiedy twój ojciec poszedł tam dzisiaj rano... cóż, powiedział, że to, co zobaczył w klatce, było obrzydliwe. Przykro mi, Jonathanie, ale ojciec miał rację. Jeżeli nie dotrzymałeś słowa i nie dbałeś o swoje zwierzątka, należało oddać je komuś, kto okaże się bardziej obowiązkowy.

Jonathanowi udało się opanować płacz i zaprotestować, że przecież chciał wyczyścić klatkę dzisiaj i spóźnił się tylko dwa dni, ale matka kazała mu tylko przestać pyskować.

W pokoju zapadła cisza zakłócana tylko sykiem gazu w piecyku i brzękiem kostek lodu w szklance. Matka zgasiła papierosa i upiła szkockiej.

– Wiele rzeczy zrobiliśmy źle, Jonathanie. Powinniśmy byli... – zamilkła, a po pomarszczonym policzku spłynęła jej łza.

– Mamo, nie chciałem cię martwić. – Jonathan pochylił się, żeby położyć dłoń na jej ramieniu. – Nie winię cię za to, co zrobił ojciec, żałuję tylko...

Urwał. Nie powinien do tego wracać, nie teraz, ale po raz pierwszy matka zdradziła, że też czegoś żałuje. Wtedy właśnie przypomniały się Jonathanowi słowa, które usłyszał od swojego znajomego. Rozmawiali o dobrych i złych rodzicach, a starszy mężczyzna stwierdził: „Właśnie to jest największą zaletą posiadania wnuków – to szansa, żeby naprawić błędy, które popełniło się wobec własnych dzieci”. Może to prawda? Jonathan popatrzył, jak matka ociera oczy haftowaną chusteczką. Może jednak dziecko wszystko zmieni?

– Wiesz, kochałam Geralda bardzo mocno – oznajmiła matka. – Był najbardziej czarującym mężczyzną, jakiego spotkałam. Takim szarmanckim... Był prawdziwym dżentelmenem. – Sięgnęła po kolejnego papierosa. – Traktował mnie jak księżniczkę, gdy się zalecał. I tak dobrze się prezentował.

Jonathan wiedział, co jeszcze usłyszy. Chyba rzeczywiście matka potrzebowała czegoś innego, co odwróci jej uwagę od przeszłości.

– Moim rodzicom bardzo się spodobał. Matka powtarzała, że Gerald ma bardzo stanowczy głos i gdyby rozkazał słońcu, żeby zaszło, ono na pewno by posłuchało. – Zaśmiała się cicho. – Wiesz, nawet gdy byliśmy już małżeństwem, często miałam wrażenie, że powinnam się do niego zwracać „panie Robson”.

– Tak. – Jonathan skinął głową. – Pamiętam, już mi to mówiłaś.

Pomyślał przy tym, że jeżeli matka dowie się o przyszłym wnuku lub wnuczce, będzie miała na co czekać, pojawi się dla niej nowy cel.

– Po ślubie Gerald pozwolił, żebym nadal pracowała. Nie przeszkadzało mu to. Pamiętam, jak kiedyś...

Jonathan przestał słuchać. Nagle bardzo zaczęło mu zależeć, żeby powiedzieć matce o dziecku – to wszystko zmieni, a co więcej, będą mieli wspólny temat, coś, co ich połączy.

Matka podniosła na niego wzrok.

– Powinnam była...

– Mamo, mam ci coś do powiedzenia.

Na jej twarzy odmalowało się niedowierzanie i do Jonathana dopiero wtedy dotarło, że przerwał matce w pół słowa.

– Przepraszam, że tak się wtrąciłem, ale ja, to znaczy, my... chcieliśmy powiedzieć wcześniej, tylko ojciec był chory... – Poczucie winy ścisnęło go za gardło za tę wymówkę. – Nic wcześniej nie powiedziałem, ale...

Zdaje się, że matka odzyskała panowanie nad sytuacją.

– Och, kochanie, mów śmiało. – Zapaliła kolejnego papierosa, choć uniesienie go do ust sprawiło jej nieco trudności.

– Tak, oczywiście, przepraszam. Cóż, chodzi o to, że Fiona i ja... To znaczy... spodziewamy się dziecka. Będziesz babcią!

Czekał. Nie wiedział, czego się spodziewać, ale na pewno nie ciszy. Twarz matki była bez wyrazu. Poruszał się tylko dym z papierosa wirujący w poszarzałym pokoju.

– Powiedziałem, że zostaniesz babcią.

Gazowy płomień syczał i trzaskał. Stary zegar na kominku tykał tak głośno, jakby wybijał godziny.

– Mamo? – Jonathan próbował wyczytać coś z wyrazu jej twarzy, ale matka patrzyła w dal, jakby go nie widziała.

– To trochę wstrząsające – stwierdziła.

Jonathan był tak nieprzygotowany na jej reakcję, że wszystko, co zamierzał powiedzieć, zamarło mu na ustach. Starał się znaleźć właściwe słowa, ale żadnego nie potrafił sobie przypomnieć, w głowie miał tylko bezdenną pustkę.

– Wstrząsające? – zdołał wreszcie wydusić.

Matka jednak nie odpowiedziała. Minęło kilka minut i cisza zaczynała się robić denerwująca. Jonathanowi zaschło w ustach, a w piersi poczuł chłód.

– Może powinienem już iść – odezwał się po chwili. – Lepiej, żebyś się położyła.

Matka nadal milczała, mimo to Jonathan wstał i życzył jej dobrej nocy. Patrzyła przed siebie, jakby nic nie widziała, z zaciśniętymi ustami. Jonathan zatrzymał się przy drzwiach.

– Dobrze się czujesz, mamo?

– Co? – Podniosła głowę i popatrzyła na syna, jakby zapomniała o jego obecności. – O, tak. Tak, dziękuję. – Głos jej się zmienił, wydawała się myślami daleko, gdy podniosła się z fotela. – Chyba pójdę się położyć. Nie odprowadzę cię, jeśli pozwolisz.

W domu zastał Fionę przy lodówce, żona zjadała resztki pizzy. Kot z sąsiedztwa ocierał się o jej nogi.

– Kiedy wreszcie skończyły mi się mdłości, nie mogę przestać jeść. – Uśmiechnęła się do męża. – No? Jak się czuje twoja mama?

– Powiedziałem jej.

– Co jej powiedziałaś?

– O dziecku.

Uśmiech Fiony przygasł.

– Powiedziałeś jej? Właśnie teraz?

Jonathan przytaknął skinieniem głowy.

– Ona... eee... – Zastanowił się, czy nie skłamać i nie powiedzieć, że mama była uszczęśliwiona i już nie może się doczekać narodzin wnuka, ale to nie miało sensu. Podszedł i objął żonę. – Nie ma chyba sposobu, żeby powiedzieć to łagodnie. Nie wydawała się zadowolona.

Wyczuł, że Fiona zeszywniała, a potem wysunęła się z jego objęć.

– Trudno się dziwić, nie sądzisz? Dlaczego, cholera, uznałeś, że musisz jej powiedzieć właśnie dzisiaj?

– Może to nie był najlepszy...

– Oczywiście, że nie był! Na litość boską, twoja matka właśnie pochowała męża!

– Wiem, ale myślałem...

– Czasami, Jonathanie, jesteś takim pieprzonym idiotą. – Fiona odsunęła krzesło i usiadła ciężko. – O czym ty w ogóle myślałeś?

– Właściwie to o tobie. – Jonathan rzucił kluczyki na stół i podszedł do lodówki. Omal nie przewrócił się o kota, zwierzę zasyczało na niego wściekle. – Wracałeś do tego od tygodni. – Nalał sobie resztę chardonnay do kieliszka. – Kiedy w końcu...

– Kiedy w końcu się zdecydowałeś powiedzieć matce o dziecku, było to kilka godzin po pogrzebie twojego ojca. Nie do wiary, kurwa! – Fiona potrząsnęła głową, wstała, wzięła lampkę z suszarki, kiedy jednak próbowała nalać wina, okazało się, że butelka jest pusta. – Szlag! – Z trzaskiem odstawiła butelkę, po czym spojrzała na męża. – No to mów – rozkazała, ale z jej głosu uszedł już gniew. – Lepiej opowiedz mi dokładnie, co się stało.

– Powiedziała, że to trochę wstrząsające.

– Wstrząsające?

– Wiem. Niespodziewane albo zaskakujące byłoby bardziej odpowiednie, jak mi się zdaje, ale...

Fiona odwróciła się plecami.

– Myślałam, że choć trochę się ucieszy. – Głos miała urywany. Sięgnęła do rolki papierowych ręczników, oddarła jeden i wytarła sobie oczy.

– Ja też. Może potem do niej dotrze. Zresztą liczy się tylko to, co my myślimy.

Ale Jonathan też był wstrząśnięty. Często mówił, że czuł się „wypatroszony”,

gdy chodziło o drobne rozczarowania, które teraz wydawały się bez znaczenia, ale słowo to doskonale opisywało stan Jonathana w tej chwili – czuł się jak ryba, której wyrwano wnętrzności.

Rozdział 8

Sesje Maggie z doktorem Carverem odbywały się poniedziałki, środy i piątki. Pamiętała o tym. Pamiętała też imiona pielęgniarek i niemal wszystkich pacjentek, przynajmniej tych ze swojej sali. Jej pamięć zaczęła się rozrastać, ale korzeni nadal nie miała zbyt mocnych.

– Niech pani nie wymaga od siebie za wiele – powiedział jej lekarz. – Rozluźni się, porozmawia z innymi i pozwoli, aby natura zrobiła swoje.

Dwukrotnie puknął się w skroń.

– Wiem. „Nie można zmusić szarych komórek do działania...” – zacytowała Maggie do wtóru lekarzowi.

– ...skoro jeszcze nie są gotowe. Właśnie. – Doktor Carver uśmiechnął się, a potem odprowadził ją do drzwi. – Proszę pamiętać, niech pani wieczorem udziela się towarzysko. Dobrze to pani robi.

* * *

Na wieczór według zapowiedzi doktora zaplanowano ucztę – naleśniki, ser i ananasy oraz kiełbaski, ale nie szaszłyki – niektórym pacjentkom nie można było ufać, mogłyby sobie zrobić krzywdę patykami. Dlatego lunch była lekki: wątrobianka albo mielonka z keczupem Heinz, sałatka warzywna i razowy chleb z masłem albo fasolka i grzanka. Maggie nie miała apetytu, więc zjadła tylko grzanekę, a potem wróciła do sali, gdzie zapaliła papierosa i usiadła na łóżku. Wyciągnęła nogi i obserwowała, jak smugi dymu wirują w świetle zmierzchu. Zastanawiała się, jak to będzie „udzielać się towarzysko”. Przywykła do Pauline, Normy i pozostałych pacjentek ze swojej sali, ale spotkanie z nieznanymi osobami, pacjentami z innych oddziałów... Żołądek ścisnął się jej na samą myśl. Pauline uważała, że będzie wesoło.

– Zawsze się cieszę z tych spotkań, gdy tylko tam przyjdę – powiedziała rano. – Ale zmuszam się, żeby tam iść.

– Dolly? – Maggie podniosła wzrok na przechodzącą obok starszą kobietę. – Idziesz na spotkanie wieczorem?

– Zebranie? Nie, kochana, nie mam czasu. Muszę się zacząć pakować. Niedługo wracam do domu.

– Och, rozumiem. – Maggie skinęła głową. – To dobrze.

Początkowo wierzyła każdej pacjentce, która zapowiadała swój powrót do domu, ale teraz już wiedziała, że zwykle to tylko pobożne życzenia. Jednak po kilku tygodniach codziennych zabiegów wydawało się, że Dolly rzeczywiście zaczyna się polepszać. Chodziła wyprostowana, uśmiechała się do wszystkich

i czasami słyszano, jak śpiewa, gdy pomagała w pralni. Obecnie Maggie również pomagała w pralni, ale spytała pielęgniarki, czy nie mogłaby się przenieść do kuchni. Zastanawiała się także, jak długo jeszcze będzie w szpitalu. I jak wygląda jej *prawdziwe* życie. Głośne kłaśnięcie przerwało te rozmyślenia.

– Drogie panie. – Pielęgniarka uniosła małe kartonowe pudełko. – Macie kwadrans, żeby zrobić się na bóstwa.

Położyła pudełko na stoliku i splotła ramiona na piersi, a kobiety z całej sali ruszyły do niej pośpiesznie. Maggie zgasiła papierosa i poszła za nimi. Pacjentki stłoczyły się wokół pudełka, grzebały w nim i wyciągały drobiazgi, z którymi podchodziły do rzędu luster ustawionych przez salową. Kiedy Maggie udało się dotrzeć na tyle blisko, żeby zajrzeć do pudełka, zobaczyła szminki, prawie zużyte cienie do powiek, tusz do rzęs ze zniszczonym grzebykiem i resztki różowobeżowego pudru. Zapach przypomniawszy jej matkę i Maggie zalała fala tęsknoty. Zwalczyła pragnienie, aby się rozplakać, i skupiła na wybraniu kosmetyków do makijażu. Kiedy dołączyła do innych kobiet przy lusterkach, zaskoczyło ją, że dobrze pamięta swoją twarz – wyglądała na niemal niezmienną, oprócz ciemnych podków pod oczami. Tusz do rzęs okazał się popękany i przesuszony, więc Maggie napluła i połamanym grzebykiem zamieszała zawartość. Zerknęła w lewo na kobiety, które malowały się obok. Pobudziło to falę nowych wspomnień. Maggie zamarła z grzebykiem uniesionym w pół drogi do twarzy. Przypomniała sobie długą wąską garderobę i rząd dziewcząt nakładających sobie tłusty makijaż. Maggie jechała pociągiem, żeby tam się dostać, miała walizkę...

Kiedy skończyła przygotowania, przeszła na drugi koniec sali, żeby znaleźć Pauline. Przyjaciółka leżała na łóżku, ściskając zdjęcie i patrząc w sufit.

– Idziesz na to spotkanie towarzyskie?

Pauline pokręciła głową i spojrzała na trzymaną fotografię.

– Och, przestań – oburzyła się Maggie. – Powiedziałaś, że zawsze się cieszysz, gdy tam przyjdiesz.

– Nie mam dzisiaj na to siły. Idź sama. Potem wszystko mi opowiesz.

– Nie chcę iść sama. Proszę, chodź ze mną.

Pauline nie odpowiedziała.

– Chodź, tylko na pół godzinki.

Pauline westchnęła, a potem usiadła i odgarnęła włosy z czoła.

– No, dobrze, ostatecznie mogę iść. – Spuściła nogi z łóżka. – Tylko daj mi chwilkę...

Twarz Pauline była blada i napięta, oczy puste, a powieki opuchnięte i zaczerwienione. Przy kącikach warg odcinały się półksiężycowe ślady, jakby sińce, podobnie jak ślady na skroniach. Pokazała Maggie fotografię.

– Patrz, to moja córeczka Angela. Dzisiaj ma pierwsze urodziny, ale lekarze nie pozwolili mi wrócić do domu, ponieważ to „nieodpowiedni czas na wizytę”. Zobaczą ją we wtorek, ale to jednak nie będzie to samo. – Wyciągnęła grzebień

z torebki i z szarpnięciem zaczęła przesuwać go po włosach. – Ma rok i pewnie mnie nawet nie rozpozna.

Maggie spojrzała na zdjęcie. Dziecko miało jasne włosy i loczek nad czołem, maleńką rączką przyciskało pluszową zabawkę, chyba psa, i uśmiechało się do kogoś, kto je fotografował. Uśmiech małej jest nieco krzywy, jak u Pauline. Przystojny mężczyzna, który trzyma dziewczynkę na rękach, spogląda na małą z dumą. Zdjęcie sprawiło, że pamięć Maggie drgnęła, przypomniała sobie, że miała coś zrobić, za trzynaście... a może trzynastego? Nie wiedziała jednak, jaki jest miesiąc, ani tym bardziej nie знаła daty. Zaczęła sobie przypominać coś jeszcze, ale nie mogła się skoncentrować, głos pielęgniarki rozproszył jej myśli.

– Chodźcie, drogie panie. Idziemy!

* * *

Świetlica była pełna ludzi, pacjentek i personelu w uniformach lub po cywilnemu. Maggie najpierw uderzył zapach, zatechły zapach ciał. Potem zobaczyła mężczyzn. Ich obecność ją zaskoczyła. Oprócz lekarzy widywała jedynie sanitariuszy wyprowadzających wózki z jedzeniem z głównej kuchni oraz świniarza, pulchnego Irlandczyka, który zabierał zlewki dla świń w poniedziałki. Maggie powachlowała się dłonią. Świetlica była tak zatłoczona, że niemal od razu zgubiła Pauline. Pomimo uchylonych okien na dole i na górze upał był nieznośny i Maggie poczuła kropelki potu na czole. Na suficie obracały się wentylatory, ale tylko mieszały gorące, ciężkie powietrze. Próbowwała sobie przypomnieć, co takiego miała zrobić, coś, o czym przypominało jej zdjęcie pokazane przez Pauline... ale zaduch i upał oraz nieustanne potracanie przez zebranych w sali ludzi uniemożliwiały jakiegokolwiek skupienie. Maggie zdecydowała, że później się będzie zastanawiać.

Przeszła przez świetlicę, dopóki nie wypatrzyła Normy siedzącej na szerokim parapecie i przyglądającej się okolicy. Pszczoły krzątały się w ostatnich promieniach słońca, brzęczały leniwie nad kwiatami lawendy, która rosła tuż pod oknem.

– Hej, Normo. – Maggie uśmiechnęła się, jednak twarz, którą zobaczyła, gdy kobieta odwróciła głowę, miała nieobecny wyraz, oczy, jeszcze wczoraj figlarnie błyszczące, teraz wydawały się puste i martwe.

– Za daleko do ziemi. – Głos Normy był cichy, ledwie szmer w gęstym powietrzu. – Dzisiaj za daleko.

A potem odwróciła się znowu do okna. Słońce skryło się za drzewami i ogród niemal od razu spowił cień przecinany smugami różu, czerwieni i żółci, które odcinały się radośnie od surowego wnętrza szpitala. Maggie przyglądała się przez chwilę. Rozmawiała jeszcze z kilkoma innymi kobietami z załamaniem

nerwowym. „Jak długo tu jesteś?”, „Miałaś elektrowstrząsy?”, „Kiedy wracasz do domu?”. Zadawały sobie te same pytania, powtarzały opowieści każdemu, kto słuchał, i porównywały swoje sesje z doktorem Carverem. Maggie udawało się to znosić, dawała sobie także radę ze znoszeniem promiennej i dziecinnej Normy, która krążyła po salach jak motyl, ale teraz Norma zachowywała się inaczej, była zimna, smutna i nieprzenikniona. Maggie położyła jej rękę na ramieniu, ale nie doczekała się żadnej reakcji. Gruba pszczoła przecisnęła się przez uchylone okno, zatoczyła krąg wokół głowy Normy i zaczęła uderzać szaleńczo w szybę. Norma chyba nawet tego nie zauważyła.

Rozdział 9

Telefon zadzwonił, ledwie Jonathan wyszedł spod prysznic.

– Jonathanie, tak się cieszę, że cię złapałam... Obawiałam się, że już wyszedłeś do pracy. Ja... Nie mogłam spać zeszłej nocy. Myślałam o tym, co powiedziałaś. Cieszę się, naprawdę, to wspaniale dla was dwojga i przykro mi z powodu mojego wczorajszego zachowania. Po prostu nie byłam...

– Nie, to ja *przepraszam*. Chwila była nieodpowiednia. – Jonathan przypomniał sobie Fionę potrząsającą gniewnie głową.

– Posłuchaj, kochanie, mógłbyś wpaść? Chciałabym się wytłumaczyć...

Jonathan się zawahał. Wolne wziął tylko na wczorajszy dzień. Mógłby zwolnić się na dłużej, ale wydawało mu się to nieuczciwe, skoro tak naprawdę nie czuł żalu ani smutku. Zresztą, kiedy uczył, nie wracał myślami do niedawnej nieprzyjemnej wizyty u ojca. Chociaż bardzo się starał, nie potrafił sobie przypomnieć ostatnich słów, jakie ze sobą zamienili.

– Wybacz, mamó, ale obiecałem przyjść dzisiaj do pracy. Może wpadnę, gdy będę wracał do domu, dobrze?

* * *

Jonathanowi udało się przebrnąć przez lekcje, chociaż wiedział, że nie jest w dobrej formie. Może powinien był wziąć więcej wolnego. Kiedy jechał przez Blackheath Village, szybko zapadał zmierzch. Przyglądał się światełkom rozwieszonym nad wąskimi ulicami i choinkom migoczącym na wystawach. W przyszłe święta będzie ojcem, a jego matka – Jonathan zawahał się nieco – zostanie babcią. Nigdy nie była szczególnie czułą matką, ale to przecież nie znaczy, że nie okaże się czułą babcią, prawda?

Salon był ciepły i zadymiony. Jonathan zerknął na niemal pełną popielniczkę.

– Wiem – westchnęła matka. – Nie będę mogła tyle palić, kiedy urodzi się dziecko.

Uśmiechnął się z nieproporcjonalnie dużym zadowoleniem, że usłyszał „kiedy urodzi się dziecko”.

– Pewnie uznałeś moją wczorajszą reakcję za wyjątkowo nieuprzejmą. – Matka wyjęła kolejnego papierosa, a Jonathan dostrzegł, że ręka jej drży.

– Nie, to była moja wina. Nie wiem, co sobie myślałem.

– Przepraszam, kochanie, mógłbyś mi odpalić?

Wziął zapalniczkę i przytrzymał płomyk przy papierosie. Spodziewał się, że ogarnie go przemożna ochota na palenie, ale wcale tego nie poczuł.

– Nie chodziło o to, że się nie ucieszyłam, tylko o... cóż, jak powiedziałam, trochę mną to wstrząsnęło. Och, nie patrz tak na mnie. Wiem, że nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale ożeniłeś się... ile to już... osiem lat temu? Chyba myślałam, że postanowiliście nie mieć dzieci. Oczywiście nie zadaje się takich pytań. – Matka zaciągnęła się głęboko. – Jonathanie, bardzo się cieszę, że będziecie mieli dziecko, naprawdę. I postaram się być taka... jaka powinna być dobra babcia.

– Dziękuję. – Jonathan uśmiechnął się, ale matka wciąż wydawała się spięta.

– Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. Coś, o czym pewnie powinnam powiedzieć ci już dawno. Ta nowina... Ta *wspaniała* nowina – uśmiechnęła się – sprawiła, że wróciłam myślami do tego, co się zdarzyło na długo przed tym, zanim się pojawiłeś. – Matka zamilkła, podjęła jednak po chwili: – Widzisz, miałam dziecko, małego chłopca, który umarł wkrótce po urodzeniu. Nazwaliśmy go Gerald po ojcu i dziadku. Żył tylko dwie godziny, taka kruszyna. Twojemu ojcu ta śmierć złamała serce.

– Mamo – szepnął Jonathan łagodnie. – Nie wiedziałem...

– Och, o wielu rzeczach jeszcze nie wiesz. – Upiła trochę chyba zimnej herbaty z kubka. – Nie pozwolono mi go potrzymać, w tamtych czasach tak się robiło. Mogłam tylko popatrzeć, a potem go zabrano i powiedziano, żebym znowu spróbowała, póki jeszcze mogę. – Pochyliła głowę, sięgnęła do torebki i wyciągnęła chusteczkę. Wydmuchała nos, a potem wzięła głęboki, drżący oddech. – To bardzo zmieniło Geralda.

Jonathan próbował wymyślić, co mógłby odpowiedzieć, ale nic nie przyszło mu do głowy, więc tylko słuchał.

– W tamtych czasach trzeba było jakoś sobie radzić samemu. Mnie jednak zajęło to trochę czasu. Początkowo ledwie mogłam wstać z fotela, dlatego twój ojciec zajmował się i mną, i domem. Bardzo się starał, nawet czytał mi i zabierał na spacer. Ale nie był tak silny, jak się ludziom wydawało. Kiedy zaczęłam dochodzić do siebie, przygasł, nie mógł spać, nie mógł czytać. Nie chciał nawet słuchać radia. Czasami siedział godzinami w moim fotelu i tylko patrzył w ścianę.

Jonathan próbował sobie wyobrazić rodziców ogarniętych smutkiem, niepotrafiących jeszcze uwierzyć w to, co się stało, próbujących poradzić sobie ze stratą dziecka. Dlaczego matka nie powiedziała mu o tym wcześniej?

– Tak bardzo chciałam mieć drugie dziecko. Myślałam, że to by wszystko zmieniło, naprawiło, ale...

Jonathan pochylił się do niej.

– Ale co? – zapytał cicho.

– Twój ojciec nie... to znaczy nie mógł...

– Nie chciał mieć drugiego dziecka? – Teraz wszystko zaczynało nabierać sensu.

– To niezupełnie tak było... Chodziło o to, że... Och, kochanie, to takie trudne!

Matka zdusiła papierosa i sięgnęła po kolejnego.

W głębi duszy Jonathan miał ochotę naciskać, zapytać, jak zareagował ojciec, kiedy dowiedział się, że matka znowu zaszła w ciążę. Czy się rozgniewał? Czy był rozgniewany po narodzinach Jonathana? Ale tak naprawdę wcale nie chciał wiedzieć.

Matce jeszcze bardziej drżała ręka, ale chyba zrezygnowała z kolejnego papierosa – próbowała go niezdarnie schować do paczki. Nie udało się.

– Mamo, posłuchaj, nie musimy teraz o tym rozmawiać, zwłaszcza jeśli nie chcesz.

Sięgnęła znowu po chusteczkę.

– Nie. Musimy.

Jonathan czekał, ale matka tylko przyciskała chusteczkę do ust, próbując się uspokoić i opanować. Jak długo miał tak siedzieć i czekać, aż ona odzyska równowagę?

– Mamo, nie. – Położył jej rękę na ramieniu. – To może poczekać.

* * *

Tego wieczoru siedział długo w wannie. Woda stygła. Myślał o swoich rodzicach starających się wykonywać codzienne czynności pomimo żałoby po dziecku, które nie przeżyło nawet jednego dnia. Wyobrażał sobie, jak matka gotowała, chodziła na zakupy i zmagala się ze swoim smutkiem. Jak, u diabła, można sobie poradzić ze śmiercią własnego dziecka? Jonathan wolał o tym nawet nie myśleć. Zanurzył się głębiej, po szyję, żeby usunąć napięcie z ramion. Na dole Fiona włączyła muzykę na CD – Elgara, zapewne dlatego że to dobre dla dziecka. Jonathan nigdy nie zwracał szczególnej uwagi na muzykę, ale teraz nieoczekiwanie stał się jej głęboko świadomy, poruszyły go głębokie tony i akordy, ich bolesna melancholia. Gdy słuchał, zdawało się, że melodia przedziera się przez podłogę, wnika w wodę i szarpie ciało. Jonathan miał wrażenie, że dźwięki zdzierały mu skórę i odsłaniały najbardziej wrażliwe miejsca.

* * *

Kiedy przyszedł do łóżka, Fiona już głęboko spała z dłonią wsuniętą pod policzek. Jej usta rozchyłały się z cmoknięciem przy każdym wydechu. Wieczorem wydawała się przejęta, płakała, gdy Jonathan powiedział jej, że matka straciła pierwsze dziecko. Może powinien był to zachować dla siebie. Pomyślał o tym zmarłym dziecku, swoim bracie. Czy byliby podobni? Jonathan nie był podobny do ojca, ale mówiono mu, że ma oczy po matce. Chciałby zapytać matkę, jak się poczuła, gdy po raz drugi zaszła w ciążę, i jak sobie radziła po urodzeniu Jonathana. Może przeszła depresję poporodową.

Wyobraził sobie, jak ojciec spogląda na niego i widzi tylko marną podróbkę zmarłego syna i przyczynę cierpienia matki. Jonathan nie miał szans, żeby zdobyć uczucie Geralda, teraz to wiedział. I co dziwne, dostrzegł w tym logikę. A gdyby coś się stało Fionie, czy umiałby przebaczyć dziecku? Pomyślał o Geraldzie, jakiego opisała matka – pogrążony w smutku mąż, który musiał opiekować się załamana żoną. Matka wyznała, że Gerald płakał.

Jonathan obrócił się na drugi bok i zacisnął mocniej powieki, ale im bardziej się starał, tym większą miał pustkę w głowie i tym mniej chciało mu się spać. Wyciągnął się na plecach i zaczął przyglądać się odbłyskom świateł z ulicy na suficie. Fiona wymamrotała coś przez sen i odwróciła się na drugi bok. Niedobrze, że Jonathan nie mógł zasnąć. Ostrożnie wyslizgnął się z pościeli i zszedł na dół.

Nalał sobie trochę brandy i otworzył tylne drzwi. Stał w progu i popatrzył na ogród. Zapach świeżej sosny przebił się w wilgotnym powietrzu grudnia. Choinka stała oparta o ścianę domu i czekała, aż zostanie wniesiona do salonu, udekorowana, a potem – za tydzień lub dwa – wyrzucona na śmietnik. Myśl o tym obudziła falę dzieciennego smutku, który go zaskoczył. Wspomnienia z wczesnego dzieciństwa Jonathan miał niewyraźne, ale to było chyba normalne. Wyobraził sobie Geralda z noworodkiem na rękach i znowu przyłapał się na rozważaniach, czy gdyby ojciec żył, zmieniłby się we wspaniałego dziadka.

Pomimo zimna Jonathan upił brandy i ruszył ścieżką do ławeczki przy ogrodzeniu. Usiadł tam. W księżycowej poświacie ogród wyglądał jak posrebrzony, wokół panowała cisza. Jonathan owinął się ciaśniej szlafrokiem. Wzdrygnął się, gdy kątem oka wychwycił nagły ruch, ale okazało się, że to tylko młody lis węszący za kawałkami chleba i resztkami mięsa, które Fiona tu zostawiała dla zwierząt. Stworzenie podniosło głowę i spojrzało Jonathanowi w oczy. „Widzisz? – zdawało się mówić jego spojrzenie. – Fiona troszczy się nie tylko o ciebie”. A potem lis potruchtał i zniknął w dziurze ogrodzenia, a Jonathan został znowu sam.

Fiona już kochała to nienarodzone dziecko, mówiła do niego z czułością w głosie, nawet patrzyła na swój brzuch, gdy to robiła. Jonathan próbował sobie wyobrazić, jak wygląda ich syn lub córka, istotka skulona w ciele kobiety i słuchająca wznoszącego się i opadającego głosu matki przy akompaniamencie uderzeń jej serca, ale nie wychodziło, miał tylko ulotne wrażenie, ogólny zarys. Chyba jeszcze nie umiał myśleć o swoim dziecku jak o rzeczywistej osobie, jeszcze nie.

Niedługo potem mróz i brandy sprawiły, że umysł Jonathana zrobił się otepiały i mężczyzna uznał, że może teraz wreszcie uda mu się zasnąć. Wrócił do sypialni, położył się bardzo ostrożnie obok Fiony. Pilnował, aby nie dotknąć jej zmarzniętą ręką lub nogą. Od razu zaczął zapadać w drzemkę, a jego myśli zmieniły się w sny.

Jonathan bawi się w ogrodzie przy domu rodziców, kiedy zaczyna padać

śnieg. Wchodzi do domu przez drzwi od tarasu, salon jest pełen ludzi, a na środku stoją dwie małe białe trumienki. Rodzice patrzą, jakby go nie widzieli. Jonathan odwraca się, aby wyjść do ogrodu, gdzie dostrzegł ruch. Wydaje się, że to para kociąt lub lisiąt. Próbuje otworzyć drzwi, ale są zamknięte, przyciska więc nos do szyby i wtedy dopiero dostrzega, że to dwoje malutkich dzieci, które siedzą, śmieją się i bawią śniegiem. Uderza w szybę i jedno z dzieci odwraca głowę, a potem wyciąga do niego rączki. Śnieg jednak jest tak gruby i gęsty, że maluchy są już prawie do połowy przysypane. Trzeba działać szybko. Jonathan odwraca się do zebranych w domu dorosłych i próbuje do nich mówić, ale z jego ust nie dobywa się żaden dźwięk, więc staje przed każdym, szarpie za ubranie kobiety lub mężczyzny, wskazuje na ogród, gdzie pod śniegiem znikają dzieci. Jednak nadal nikt go nie widzi.

Rozdział 10

Świetlica była naprawdę pełna. Tłoczyło się w niej więcej pacjentek, wystrojonych i wymalowanych – Maggie z trudem je rozpoznawała. Dopiero teraz zrozumiała, że nie miała pojęcia, jak wielki jest ten szpital.

– Ach, Margaret! – Znajomy głos doktora Carvera przebił się przez gwar. – Cieszę się, że przyszłaś, wspaniale. – Na jego niedźwiedziozowej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Dobrze się bawisz?

Maggie już miała odpowiedzieć, że nie jest pewna, jak naprawdę się czuje, ale lekarz pokiwał głową, jakby chciał ją pokrzepić.

– Doskonale, doskonale. Spróbuj porozmawiać z innymi pacjentami, przecież nie chcesz podpierać ścian, prawda?

Maggie uśmiechnęła się w odpowiedzi. Wolą, żeby doktor Carver nie szukał dla niej rozmówczynie.

– Właśnie miałam sobie wziąć coś do picia – wyjaśniła. – A potem zamierzam się wmieszać w tłum.

– Świetne nastawienie. – Lekarz poklepał ją po ramieniu. – Dobrej zabawy.

Maggie podeszła do długiego stołu tuż przy drzwiach i wzięła papierowy kubek z pepsi. Nadal była wstrząśnięta po spotkaniu z Normą. Wydawało się, że Norma nigdy nie traci radosnego nastroju, zawsze czuje się szczęśliwa w swoim świecie dziewczęcych ukłonów, tańca i dzieciennych piosenek. Maggie westchnęła. Otaczało ją tyle nieznanomych osób, z których wiele wyraźnie miało lekko nie po kolei w głowach. Gdyby tylko znalazła kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Mogła zawsze poszukać Peggy, przynajmniej tak sądziła. Peggy siedziała w kącie na swojej walizce, a makijaż miała tak rozmazany, że wyglądał, jakby nakładała go szympanśca. Jeżeli jednak Maggie by tam podeszła, musiałaby usiąść i udawać zainteresowanie, podczas gdy Peggy otworzyłaby walizkę i zaczęła przeliczać tysiące biletów na autobus, które tam właśnie przechowywała.

Po chwili Maggie przyzwyczaiła się do upału i zapachu. Rozejrzała się. W niektórych zakamarkach sali znajdowały się oazy normalności – ludzie grający w karty lub gry planszowe przy stoliku, rozmawiająca i paląca grupka, która śmiała się jak zwyczajni goście na przyjęciu (różniącym się tylko tym od normalnego, że nie było żadnego alkoholu). Przez pamięć przemknęło Maggie wspomnienie animowanego jelonka w muszce z reklamy drinka Babysham...

Wreszcie dostrzegła Pauline. Rozmawiała z chudym ciemnowłosym mężczyzną trochę podobnym do George'a Harrisona. Maggie zamarła. Jak to możliwe, że pamiętała nazwisko jakiegoś muzyka z jakiegoś głupiego zespołu, a tak niewiele potrafiła sobie przypomnieć z tego, co się jej stało przez ostatnie siedem lub osiem miesięcy? Pauline, która wyglądała już na rozbawioną,

właśnie podchodziła. Maggie przypomniało się zdjęcie męża i córki młodej kobiety, przez co zaczęła sobie zadawać pytanie, czy sama też... nie. Zerknęła na swoją rękę – ani obrączki, ani nawet śladu po obrączce.

– Masz ochotę zagrać w monopol? – zapytała Pauline.

Mężczyzna popatrzył na nią z uśmiechem. Nie wydawał się szalony, więc Maggie podeszła i usiadła z nim i Pauline przy stoliku.

– Sam – przedstawił się mężczyzna i ucisnął dłoń Maggie.

Skórę miał ciepłą i suchą, mówił z lekkim szkockim akcentem, miękkim i mrocznym jak wilgotna ziemia. Maggie przyłapała się, że słucha uważnie jego melodyjnego głosu. Kiedy rozkładała planszę, Sam podwinął rękawy koszuli i wtedy ukazały się blizny na nadgarstkach. Maggie próbowała nie patrzeć. We troje zaczęli grać i rozmawiać głównie o tym, kto ostatnio pojechał do domu, a kto niedługo tam wróci. W końcu, co było nieuniknione, rozmowa zesłała na ich załamania i kurację.

– Nadal ledwie mogę uwierzyć, że dostałam elektrowstrząsy. – Maggie rzuciła kostki i przesunęła pionką o sześć pól. – Regent Street. Kupuję. – Wyliczyła pieniądze. – Mgliście pamiętam, że szłam do sali zabiegowej, i wcieranie mi maści w skronie, ale wstrząsu nie mogę sobie przypomnieć.

Pauline westchnęła.

– Czasami nie pamięta się od razu, ale potem pojawiają się w powracających koszmarach. To nie takie złe jak rzeczywistość, ale i tak człowiek budzi się z krzykiem i kuli, chowając głowę w ramionach. A wtedy dostaje następną serię elektrowstrząsów.

– A to znowu kończy się na krzykach – podsumował Sam.

Maggie nie potrafiłaby sobie wyobrazić, żeby ten mężczyzna choćby podniósł głos, a co dopiero krzyczał.

– Elektrowstrząsy pomagają zapomnieć o tych strasznych sprawach, przez które tutaj się znaleźliśmy – stwierdził. – Ale nie są tak selektywne, co?

Włosy miał długie, zasłaniały mu kark i poruszały się, gdy Sam potrząsał kostkami przed rzutem.

– Nadal nie wiem, dlaczego tu trafiłam – westchnęła Maggie. – Dziwne, prawda? Pamiętam, jak się gra w monopol, potrafię przypomnieć sobie słowa piosenki Beatlesów, pamiętam nawet imię kota, którego miałam jako dziesięciolatka. – Urwała, gdy nadeszła jej kolej, a potem przesunęła pionkę w kształcie konia na bieżniach o trzy pola na planszy. – Jednak nie mogę sobie przypomnieć nic istotnego poza przebłyskami.

Sam spojrział na nią uważnie, naprawdę słuchał tego, co mówiła.

– To musi być trudne – przyznał. – Wolałem myśleć, że nic nie pamiętam, ale niektórzy tutaj nie rozpoznają nawet swoich bliskich z rodziny.

– Więc ty pamiętasz?

Skinął głową, zapalił papierosa.

– Nie twierdzę, że moje wspomnienia pozostały nietknięte. Nie pamiętam, gdzie rzuciłem skarpetki albo kiedy mam iść na terapię zajęciową. – Zaciągnął

się mocno. – Ale pamiętam każdy szczegół z dnia...

Sam zamknął oczy.

Pauline dotknęła ostrożnie jego ramienia. Mężczyzna potrząsnął głową, palcami nerwowo obracając obrączkę.

– ...z dnia, gdy straciłem żonę i synka. Każdy szczegół.

– Tak mi przykro. – Maggie zdała sobie sprawę, że to coś, co powtarzała bardzo często w ciągu ostatnich kilku tygodni. Jednak tym razem była o wiele bardziej szczerą. Naprawdę chciała okazać współczucie temu spokojnemu mężczyźnie.

– Dziękuję. – Sam wziął kostki, jakby chciał je rzucić po raz drugi, ale zaraz je odłożył. – Morze ich zabrało, zmyło z pomostu. Skoczyłem za nimi, ale nie mogłem ich znaleźć. Potem pamiętam tylko łódź i ratowników, którzy mnie wyciągnęli. – Potrząsnął głową na to najstraszniejsze ze wspomnień. – Powinienem skoczyć od razu, ale najpierw rzuciłem jej linę.

– I tak właśnie powinieneś postąpić – zauważyła Maggie.

– Owszem, ale lina była sparciła i pękła.

Maggie położyła dłoń na ręce Sama. Nie była pewna, czy wypada dotykać mężczyznę, którego dopiero co się poznało, ale sytuacja rządziła się własnymi zasadami. Ręka Sama była koścista, skóra ciepła i sucha. Maggie wyczuła włoski. Zaskoczona intensywnością tego doznania szybko cofnęła dłoń, ale Sam odwrócił swoją i ich palce się musnęły.

Muzyka zabrzmiała głośniejsz. Wspólnymi siłami we troje udało im się zaśpiewać niemal całą piosenkę *She loves you*, nie przerywając gry. Nikt oprócz Peggy i paru pielęgniarek nie przyłączył się do *Wakacji w lecie*, pewnie dlatego że pojęcie wakacji wydawało się całkowicie odległe od codzienności szpitala i nawet myślenie o nich sprawiało ból. Piosenka przypomniła też Maggie dom – zatęskniła za morzem. Już miała to powiedzieć, gdy przypomniła sobie, co właśnie opowiedział Sam o swojej stracie żony i dziecka.

Po kilku innych przebojach nastąpiła przerwa. Maggie zerknęła na adapter. Grupa pielęgniarek przeglądała płyty długogrające, zanim wreszcie wybrały jedną.

– Co myślicie? – Pielęgniarka uśmiechnęła się do pozostałych.

– Nie mogłaś wybrać lepiej – zapewniła Julie, koścista kobieta, która zawsze była taka niedobra dla Pauline. – Puść.

Pielęgniarki cofnęły się, niektóre splotły ramiona na piersiach i uśmiechały się złośliwie, a po świetlicy poniósł się głos, który Maggie rozpoznała – Patsy Cline śpiewała piosenkę *Crazy* – „Szalona”. Pielęgniarki z trudem powstrzymywały się od śmiechu.

Sam tylko pokręcił głową.

– Nie warto się nimi przejmować. Niech się cieszą...

– Czekać, mam coś lepszego! – Pielęgniarcz gwałtownie przerwał odtwarzanie i położył na talerz adapteru inną płytę. Ponownie śpiewała Patsy Cline, tym razem piosenkę *I Fall to Pieces* – „Rozpadam się na kawałki”.

Pielęgniarki śmiały się, ale wtedy pojawiła się siostra przełożona. Uda grube jak pnie poruszały się niczym tłoki. Maggie nie chciałyby nigdy nadebrać na odcisk siostrze przełożonej. Kilkoro pacjentów, najwyraźniej nic nierozumiejących, śpiewało także zachęconych przez pielęgniarki, inni ruszyli na środek sali i próbowali tańczyć. W pamięci Maggie znowu coś drgnęło, głęboko na dnie. Przypomniała sobie tę piosenkę i tańczących ludzi, którzy palili papierosy. Ujrzała siebie, jaką była naprawdę, znajdowała się na tamtym przyjęciu, stała na środku pomieszczenia uśmiechnięta i wystrojona. A mężczyzna, który przed nią klęczał, śpiewał właśnie tę piosenkę. Śpiewał dla Maggie.

Znowu w trzewiach otworzyła się jej czarna dziura, ta bolesna i bezdenna pustka, a potem Pauline i Sam zaczęli znikać. Maggie zadrżała. Znajdowała się na zewnątrz, było zimno i ciemno, w uszach jej dzwoniło... a potem ogarnął ją mrok. Pod Maggie ugięły się nogi.

Kiedy otworzyła oczy, nogi miała wyciągnięte i rozłożone, widziała swoje stopy w czarnych balerinkach. Na szczęście włożyła spodnie, nie sukienkę.

– Cofnijcie się trochę, dziewczyna potrzebuje powietrza!

Czuła, że ktoś podtrzymuje jej głowę. Chciała się wyrwać, ale wtedy przypomniała sobie, gdzie się znajduje i kto jej pomaga.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział Sam. – Och, spokojnie, nie płacz.

* * *

Kiedy wróciła do sali chorych, Maggie naciągnęła kołdrę na głowę i udała, że śpi. Słyszała inne kobiety, które też przyszły ze świetlicy, potem zaskrzypiał i zaturkotał wózek z lekami i pielęgniarki zaczęły wyczytywać nazwiska pacjentek oraz wymieniały przeznaczone dla nich medykamenty. Maggie próbowała odciąć te głosy, ponieważ wolała się skupić na własnych wspomnieniach. Myślała o mężczyźnie podobnym do George'a Harrisona, o Samie, ale potem odepchnęła te myśli – o Samie mogła pomyśleć jutro. Pielęgniarki z nocnej zmiany rozmawiały o kimś, kto potrzebował lekarstw na infekcję płuc. *Infekcję*. Słowo obito się na poszarpanym brzegu pamięci Maggie. O tym też musiała pomyśleć, ale okazało się, że jest bardziej zmęczona, niż sądziła, i obrazy zaczęły się mieszać i rozmywać, gdy kobieta zapadła w sen.

* * *

Tuż po północy Maggie obudziła się gwałtownie. Złapała oddech. Oczy miała szeroko otwarte, jakby nigdy ich nie zamykała. Przypomniała sobie, wiedziała już, dlaczego znalazła się w szpitalu psychiatrycznym.

Rozdział 11

Promienie zimowego słońca przebijały się przez chmury. Na chwilę posrebrzyły dziedziniec, zanim znikły w szarości popołudnia. Jonathan przygotował się i opanował, gdy zmierzał do klasy. Nauczanie jest wyzwaniem, dlatego znowu przez głowę przemknęło mu, że chyba powinien wziąć więcej wolnego. Nie wiedział, czy tak wstrząsnęła nim niespodziewana śmierć ojca, czy wyznanie matki o zmarłym dziecku, bracie Jonathana. Nadal nie potrafił pojąć, dlaczego nie powiedziała mu wcześniej.

W klasie unosił się zapach sztucznej wykładziny, wilgotnego tynku i niedomytych nastolatków. Dawał się też wyczuć słaby smród papierosa, ale ponieważ nie widać było, żeby ktoś palił, zapewne Jonathan mógł to bezpiecznie zignorować. Zatarł ręce. W pomieszczeniu było zimno jak w cholernej lodówce.

– Wejdźcie, siadajcie. Mamy sporo materiału do omówienia. Amber, przestań rozmawiać i odwróć się, jeśli mogę prosić.

Amber odwróciła się z obrażonym grymasem. Pozostali uczniowie nadal rozmawiali.

– Proszę o uwagę. – Jonathan klasnął głośno. – No już, wystarczy.

Hałas powoli ucichł.

– Świetnie. Przypomnijmy sobie teraz *Kobietę w czerni*...

– Dlaczego nie moglibyśmy pójść do teatru, panie profesorze? – Amber splotła ramiona na piersi, wygląda na wściekłą. – Fawcett powiedziała, że nam nie wolno.

Jonathan westchnął.

– *Pani* Fawcett. I nie rozumiem, o co chodzi z tym, że wam nie wolno?

Uczniowie zaczęli mówić jeden przez drugiego.

– Zaraz, zaraz! Pojedynczo, proszę. Amber, o co chodzi?

– Fawcett była wczoraj w Szkole Biznesu i powiedziała nam, że nie możemy iść na *Kobietę w czerni*, no to zapytaliśmy, dlaczego nie. Bo jakiś facet z tej szkoły miał nam zrobić wykład w środę, ale będzie w czwartek zamiast tego, a Fawcett stwierdziła coś takiego, że „nie możemy sobie pozwolić na przepuszczenie takiej okazji” i takie tam pitu-pitu.

Jonathan westchnął znowu.

– Jak wielu z was podziela opinię Amber?

Podniosło się dziewięć rąk, niemal połowa grupy. Jonathan przymknął oczy. Ta grupa skorzystałaby o wiele bardziej na jednym wyjściu do teatru niż dziesięciu pogadankach udzielanych przez jakichś grubych biznesmenów w odprasowanych garniturach.

– Powiedział pan, że możemy iść, profesorze. Jak Fawcett może nam teraz

nie pozwalać?

– Nie wiem, Danielu – przyznał Jonathan. – Pierwszy raz o tym słyszę. – Zabębnił palcami po blacie, żeby się zastanović. – Posłuchajcie, nie mogę nic obiecać, ale porozmawiam z panią Fawcett i sprawdzę, czy można to jakoś poprzekładać. – Jednak już kiedy to mówił, przypomniał sobie, co o nowej wicedyrektor powiedział mu Malcolm: „Fawcett? Twarda jak łom i całkowicie odporna na sugestie”.

Drzwi się otworzyły i do klasy wkroczył Ryan Jenkins. Cudownie. Cholerny Ryan Jenkins wrócił. Chłopak od razu zaczął przybijać piątki swoim kolegom, gdy przechodził na swoje miejsce.

– Szybciej, Ryan – upomniał go Jonathan. – Usiądź wreszcie.

Tydzień temu musiał własnoręcznie powstrzymać Ryana od pobicia przewodniczącego młodszej klasy podczas porannej przerwy. Ryan był bystry, ale piekielnie nieznośny. Większość nauczycieli wołała raczej przymknąć oko niż radzić sobie z tym urwisem, przez co chłopakowi zaczęło się wydawać, że jest nietykalny. Jonathan jednak nie zamierzał przymykać oczu, gdy Ryan tłukł młodszego ucznia na kwaśne jabłko. Osobiście zaprowadził ucznia do gabinetu dyrektora, gdzie Ryan został zawieszony, jak należy. Ale teraz wrócił.

– Ryanie, usiądź, proszę. – Jonathan mówił spokojnie, ale wyczuwał kłopoty.

Ryan pochylił się i zaczął rozmawiać z Chloé Nichols, wciąż obrażoną na Jonathana, pewnie dlatego że kazał jej wyjść podczas lekcji geografii, na której miał niedawno niezaplanowane zastępstwo. Chloé słuchała Ryana i zerkała uważnie na Jonathana, a potem i ona, i siedzące obok dziewczyny zaczęły chichotać.

– No, dobrze. – Jonathan nadal starał się nie przejmować, niech chłopak ma swoją chwilę chwały. – Wiem, że Ryan jest bardziej zajmujący ode mnie, ale mamy lekcję. Więc jeżeli pozwolisz, Ryanie...

Wskazał krzesło, a chłopak ku zaskoczeniu Jonathana usiadł.

– Dobrze, zacznijmy wreszcie. Kto mi powie...

– O, patrzcie! – Ryan wskazał na kolana Jonathana i mężczyzna odruchowo opuścił wzrok. – Obsikał się pan, profesorze.

Klasa ryknęła śmiechem, a Jonathan przeklął w duchu, że dał się tak łatwo nabrać.

– Popatrzyl pan! – Ryan zaczął się bujać na krześle z szerokim uśmiechem, zadowolony z pełnych podziwu spojrzeń, jakie posyłały mu dziewczyny.

Wszyscy uczniowie znowu rozmawiali.

– Bardzo śmieszne. A teraz proszę już o ciszę. Ryanie, chyba już wystarczy, przestań się zachowywać jak dwulatek. Skupmy się na tym, co mamy zrobić.

Ryan ziewnął i przeciągnął się teatralnie. Jonathan zignorował to zachowanie, ale Ryan ziewnął znowu, tym razem głośno.

– Ryanie, chcesz uwagę do dzienniczka?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie może pan, profesorze. Nic nie zrobiłem, nie?

– Powiedział tylko, jak jest, panie profesorze – dodał Daniel, który był dobrym dzieciakiem, ale łatwo ulegał innym.

– Właśnie – wtrącił się Craig Willis. – Powiedział, że się pan obsikał, profesorze. – A potem odwrócił się do Ryana. – Co nie?

Po klasie znowu przetoczył się śmiech.

– To nie siki – rozległ się dziewczęcy głos z kąta. – To rzygi!

Kolejny chichot. Kto to był? Lauren? Jonathan nie miał pewności.

Osiem lub dziewięć dziewcząt siedziało razem, wszystkie chciały zwrócić na siebie uwagę chłopaków. Jonathan się zawahał – fatalny błąd. Grupa wyczuła to i nabrała śmiałości.

– Panie Robson, podobają się panu cycki Chloé?

Byle nie reagować, przykazał sobie w duchu, byle nie reagować.

Uczniowie wbili w niego wzrok, obserwowali, co Jonathan robi. Zwykle udawało mu się rozdzielić grzecznych uczniów od nicponiów, ale tym razem chyba wszyscy się wymieszali, zjednoczyli w stado. Z pamięci wypłynęły słowa ojca: „Dzikusy, większość z nich”. Nie, to tylko dzieciaki, trudne dzieciaki.

– Może profesor woli chłopców, co nie? Założę się, że chciałby pomacać Kierana.

– Nie, on nie może być pedałem! – zawołał z drugiego końca sali Craig. – Sam widziałem jego żonę.

– Pewnie to suka – dopowiedziała Lauren.

Chantelle zerwała się na równe nogi i zaczęła szczekać. Klasa znowu ryczy ze śmiechu, teraz wszyscy już dali się ponieść wesołości.

– Cisza! – krzyknął Jonathan i uderzył pięścią w biurko. – Albo wszyscy zostaną dziś do zamknięcia szkoły!

Przez klasę przetoczyły się szybko stłumione szepty i przez chwilę Jonathan miał nadzieję, że mu się udało zapanować nad tą grupą. A potem Ryan odwrócił się do pozostałych.

– Jasne, zamknijcie się, wszyscy. Pani Robbo jest wcale niezła.

Craig wyszczerzył zęby.

– No nie? Niezła z niej laska.

– *Dość!* Craig, *wyjdź!* Lauren, Chantelle, to ostatnie ostrzeżenie. A jeżeli reszta nie chce szlabanu, radzę natychmiast się uciszyć! Ryane, proszę o twój dzienniczek. – Jonathana paliło w gardle od krzyku. Paskudnie mu poszło – naprawdę koszmarnie.

Lauren się rozpłakała, Chantelle objęła ją i obie dziewczyny spojrzały na Jonathana, jakby im właśnie zamordował kotka i jeszcze urwał mu łebek. Ryan rozparł się na krześle i wpatrzył z przesadnie znudzoną miną w sufit.

– Ryane, dzienniczek. Już!

Chłopak ostentacyjnie zaczął grzebać w swoim plecaku, wyjmował każdy przedmiot, przyglądał mu się uważnie i demonstrował klasie.

– Pośpiesz się!

– Przecież się śpieszę – mruknął chłopak. Westchnął teatralnie, spojrzawszy

na Jonathana, po czym znowu odwrócił się do klasy.

Hałas nieco przycichł, gdy uczniowie wyczuli nową zagrywkę i czekali, co tym razem się wydarzy.

– Znalazłem, profesorze. – Ryan uniósł dzienniczek i pomachał nim z uśmiechem. Popatrzył na swoich kolegów, po czym podszedł do Jonathana, powoli, ostentacyjnie... i cofnął się szybko. Zerknął na klasę, posłał jej szeroki uśmiech, po czym obrócił się i ruszył moonwalkiem do wyjścia.

– Jenkins – wycedził Jonathan powoli i wyraźnie. – Nawet nie myśl o wyjściu z mojej klasy bez pozwolenia.

– Do głowy mi nie przyszło, profesorze – zapewnił Ryan z drwiącym oburzeniem.

Jonathan wziął głęboki oddech. Może jednak uda mu się jeszcze wybrnąć z tej sytuacji. Spróbował pojednawczego tonu.

– Więc wracaj. Podaj mi swój dzienniczek, proszę.

Ryan wyciągnął rękę z dzienniczkiem, ale gdy tylko Jonathan sięgnął, gówniarz cofnął się poza jego zasięg. Nauczyciel przez chwilę zastanawiał się, czy nie posłać smarkacza od razu do Malcolma albo do któregoś z asystentów dyrektora, ale co to za pedagog, który nie potrafi poradzić sobie sam? Jeszcze raz wyciągnął rękę, ale chłopak schował dzienniczek za plecami, przełożył do drugiej ręki i znowu podał, i cofnął się szybko. Jonathan słyszał śmiech uczniów. Zdawał sobie sprawę, że przestał myśleć jasno, tylko reagował. Dzienniczek znowu pojawił mu się przed oczyma, potem zniknął, chyba po prawej, potem znowu pojawił się po lewej i zniknął... Twarz Ryana znajdowała się blisko, zbyt blisko, Jonathan czuł zapach gumy do żucia...

Cisza dotarła do niego szybciej niż świadomość, że poprzedziło ją głośne westchnienie. Ryan stał już nieruchomo, emanowało z niego przebiegłe zadowolenie, nie do pomylenia z niczym innym. Uczniowie szeptali. Na tynku Jonathan dostrzegł niewielkie wgniecenie, a w otarciach na kłykciach wzbierały mu kropelki krwi. Zdaje się, że uderzył pięścią w ścianę, nawet o tym nie wiedząc. O włos minął Ryana. Sam nie wiedział, jak mu się udało nie rozkwasić małemu gnojkwowi nosa.

– Siadaj! – rozkazał Ryanowi, a potem wyszedł z klasy i zamknął za sobą drzwi, najciszej jak zdołał.

* * *

W gabinecie Malcolma wszędzie piętrzyły się ćwiczenia w niebieskich okładkach. Mężczyzna rozparł się na krześle i popijał kawę z kubka ozdobionego napisem „Najlepszy tata na świecie”, gdy Jonathan opowiadał, co się stało.

– Nie sądziłem, że mogę być tak bliski uderzenia dziecka – przyznał Jonathan. – Pozwoliłem, żeby mnie wytrącił z równowagi. Och, a słyszałeś, że

Fawcett odwołała wyjście do teatru? Uczniowie już byli zdenerwowani, zanim jeszcze zaczęła się lekcja. Potem przyszedł Ryan i cóż... stało się. Dlaczego on w ogóle już wrócił? Myślałem, że miał być zawieszony jeszcze przez tydzień.

– Wiem – westchnął Malcolm. – Tyle jeśli chodzi o odstraszenie. Słuchaj, nie przejmuj się. Będę musiał złożyć raport, a ciebie czeka pogadanka w dyrekcji, ale wszyscy wiedzą, że Ryan Jenkins to mały arogancki smarkacz. Pewnie teraz dobrze się schowa. – Zamilkł i zamyślił się na chwilę. – Jak pogrzeb?

– W porządku. Cóż, przynajmniej na ile można tak powiedzieć o pogrzebie.

Jonathan nie dodał, że udało mu się zmartwić dodatkowo matkę, a zaraz potem zdenerwować Fionę.

– Ale wszystko dobrze, tak? Fi też czuje się dobrze?

Jonathan zawahał się odrobinę, ale zaraz skinął głową. Malcolm był dobrym przyjacielem, ale nie wypadało z nim rozmawiać o własnym małżeństwie.

– Nic jej nie jest. Oboje jesteśmy tylko trochę zmęczeni.

Starszy mężczyzna pokiwał głową.

– Cass też była zmęczona przez pierwszych kilka miesięcy ciąży. Fiona jest w podobnym wieku jak Cass, gdy rodziła Poppy, prawda?

– Fiona ma trzydzieści dziewięć lat.

– Właśnie, Cass miała czterdzieści. Zmęczenie przeszło po kilku miesiącach ciąży, potem rozpierała ją energia, Ale gdy dziecko się urodzi, oboje będziecie przemęczeni. I możesz zapomnieć o wysypianiu się przez co najmniej dwa lata.

– Od dawna nie sypiam dobrze, szczerze mówiąc.

– Nic dziwnego, wyglądasz jak wypluty. Wypiszę ci receptę na dużą szkocką przed snem. – Malcolm wstał i zdjął z oparcia swoją marynarkę. – Zalecam, naprawdę. Z pewnością ten incydent rozejdzie się po kościach, wiem też, że właśnie straciłeś ojca, ale musisz na siebie uważać. Nie byłbym dobrym przyjacielem, gdybym ci o niczym nie wspomniał. O ile mnie pamięć nie myli, nasza pani Fawcett chce się komuś dobrać do tyłka, żeby usankcjonować swoją obecność tutaj.

Jonathan skinął głową z wdzięcznością.

– Będę o tym pamiętał. – Wstał.

– Nie, zostań tutaj. Sam pójde i porozmawiam sobie z tymi uroczymi dziećmi, a ty się przez ten czas uspokój. – Malcolm zerknął na zegarek. – Całe piętnaście minut do przerwy.

Klepnął Jonathana w plecy i wyszedł z gabinetu. Na korytarzu poniosło się jego pogwizdywanie.

Rozdział 12

Styczeń 1962

Chociaż było już dobrze po północy, pod sufitem nadal wisiały blaknące papierowe łańcuchy, a anielski włos zwisał z ram obrazów ze scenami polowania, które zdobiły ściany. W pokoju unosił się zapach przypalonych kiełbasek i keczupu, ale mieszkanie było tanie i tylko to się liczyło – zarabiała tylko pięć funtów i dziesięć szylingów na tydzień.

Pokój znajdował się na przebudowanym strychu – sufit był tu spadzisty po obu stronach, a przez niewielkie okienko widać było pordzewiałe od deszczu dachy Sheffield. Koścista właścicielka stanęła za plecami Maggie, dysząc po wspinaczce po schodach. Na upudrowanych policzkach miała półksiężycowe pasma różu, usta przypominały świeżą, czerwoną bliznę.

– Trzydzieści szylingów tygodniowo – oznajmiła, gdy złapała oddech. – Z góry.

Maggie popatrzyła na zielone linoleum ze śladami przypaleń po papierosach, kubek ze zużytymi zapalkami przy palniku gazowym, wyblakłe pomarańczowe wezglowie łóżka i wazon z zakurzonymi czerwonymi tulipanami z plastiku na szafce nocnej.

– Nie pozwalam gotować w pokojach, żadnej głośnej muzyki i żadnych mężczyzn. Toaleta jest dwa piętra niżej, a łazienka w piwnicy. Bierze lub wychodzi.

– Biore, dziękuję. – Maggie zdawała sobie sprawę, że jej głos brzmiał wysoko i entuzjastycznie w porównaniu z głosem gospodyni, która jak się później okazało, wypalała czterdzieści papierosów marki Players dziennie.

Maggie miała też nadzieję, że południowy akcent w jej głosie nie był wyraźnie słyszalny, chociaż panu Howardowi – Clive'owi – bardzo się podobał. „Śliczny głos – powiedział jej. – Mógłbym znaleźć ci czytana rolę, jeżeli się sprawdzisz”.

– Pracuje? – Gospodyni nie uśmiechnęła się, gdy spojrzała na banknoty wyciągnięte do niej przez Maggie, oznajmiła tylko, nadal trzymając się pod boki, że nie wynajmuje pokoi dziewczynom bez pracy, pod żadnym pozorem nie i nie.

– Pracuję – zapewniła Maggie pośpiesznie. – Zaczynam w Playhouse od poniedziałku jako asystentka menedżera sceny.

Gospodyni nieco się rozluźniła.

– Cudnie. – Przeliczyła pieniądze z wprawą, po czym schowała je do kieszeni fartucha. – Jestem Dot. Spotkasz Alfa, mojego męża, i innych współlokatorów na herbacie, czyli wpół do szóstej. Żadnych spóźnień. Jak się do ciebie zwracać?

– Maggie. Maggie Harrison.

Dot skinęła głową.

– W toalecie jest umywalka, ale jeżeli chcesz wziąć kąpiel, płacisz szylinga i musisz uprzedzić dzień wcześniej. Żadnych kąpieli w niedzielę, to mój dzień i Alfa. A pan Tolley na parterze bierze kąpiel w piątki.

A potem przeszła do zasad panujących w domu: radia trzeba słuchać cicho, żadnej muzyki po dziewiątej i żadnych gości po ósmej wieczorem. Maggie może przeprać sobie rzeczy w łazience, jeżeli wrzuci szylinga do licznika, ale w pobliżu znajduje się pralnia – Dot wymawia to jak „pralnija” – tuż za rogiem. Na ulicy przy przystanku autobusowym stoi budka telefoniczna. Telefon w domu należy tylko do Dot i lokatorzy mogą go używać jedynie w wyjątkowych okolicznościach za pięć pensów. Palnik gazowy ma licznik na jedno- i dwupensówki, a Dot ma zapas drobnych, więc może rozmienić Maggie banknot. Maggie zaczęła się zastanawiać, co znaczyło „wszystkie wygody wliczone” z ogłoszenia w prasie.

– No to rozpakuj się, kochana, i zobaczymy się na herbacie. Przyjdź do kuchni, drugie drzwi po prawej przy schodach.

Łóżko prawie się zapadło, gdy Maggie usiadła, z pościania unosił się zapach wilgoci. Nie był to pałac, ale należał do niej.

Gdy się urządziła, zatelefonowała z budki do brata.

– Dotarłam bezpiecznie.

– Świetnie.

– Wynajęłam ten pokój, o który pytałam przez telefon. Powinieneś zobaczyć właścicielkę! Sześćdziesiątka tak na oko, wymalowana i wyfiokowana jak manekiny na wystawie C&A.

– Doprawdy?

– Och, Leonardzie, tylko się nie dąsaj.

– Wcale się nie dąsam.

– Dąsasz się. Masz taki nadąsany głos.

– Strasznie tu cicho bez ciebie.

– Przywykniesz. Zresztą, przecież nie wyjechałam na zawsze, prawda? Przyjedź w odwiedziny, gdy tylko się urządzę. Możemy też do siebie pisać.

– Właśnie chciałem napisać, bo nie miałem okazji opowiedzieć ci, co się stało wczoraj w pracy. Posikas się ze śmiechu! – Głos brata zabrzmiał już weselej, ale Maggie poczuła ukłucie bólu.

Będzie tęskniła do dawnej pracy, a przynajmniej dramatów i skandali, które zawsze stanowią część życia toczącego się w hotelowych kuchniach. Gdyby jednak nie wyjechała, skończyłaby na tym samym zajęciu w tym samym miejscu przez następne trzydzieści lat. Rodzice zarabiali gotowaniem na życie, pracowali w dusznych, pozbawionych okien kuchniach, a Leonard poszedł w ich ślady.

Rozległo się piknięcie i Maggie wrzuciła do automatu kolejną monetę.

– Zaraz będę musiała iść – powiedziała bratu. – Właścicielka bardzo pilnuje,

żeby wszyscy punktualnie przychodzili na posiłki. Dzisiaj na kolację będą parówki w cieście. Obrzydliwie cuchną.

– Nie możesz się żywić takim świństwem! Jeszcze się rozchorujesz!

– Bardzo możliwe. A co ty będziesz gotował w hotelu?

– Eskalopki cielece w sosie winno-grzybowym, wołowinę Wellington i risotto z homarem. Widzisz, co tracisz? Słuchaj, przeglądałem prasę dziś rano, w Brighton są przesłuchania...

Maggie westchnęła.

– Chcę spróbować gdzie indziej, poczuć nie tylko zapachy morza, gdy wychodzę na spacer.

– Myślałem, że lubisz morze?

– Lubię, ale... Och, Lenny, wiesz przecież, że zawsze chciałam wyjechać.

– A co z Londynem? Znamy tam mnóstwo ludzi.

– Właśnie! I nawet gdybym dostała w Londynie pracę w teatrze, w co bardzo wątpię, wpadałabym nieustannie na znajomych. Chcę pomieszkać gdzieś, gdzie mogę wyjść i nie natykać się co pięć minut na kogoś, kto mówi mi „dzień dobry” i powtarza, że jestem coraz bardziej podobna do mamy.

Od śmierci matki Maggie miała wrażenie, że dorastała pod mikroskopem. Czy mała Margaret będzie podobna do matki? Czy będzie gotować równie dobrze jak matka? Zostanie równie dobrą szwaczką? Będzie taka rozważna i serdeczna jak jej zmarła matka? Maggie wydawało się, że powinna pójść w ślady matki i to jej jedyny życiowy cel.

– Co w tym złego, że wyglądasz jak...

– Nic. Ale czasami chciałabym wyglądać jak ja.

Rozdział 13

Nie powinieneś już iść? – Fiona zerknęła znad „Guardiana” – Mleczarz zaraz wpadnie na poranne dymanko.

– Nadal mamy mleczarza?

– Ach, trafna uwaga.

Fiona miała tego ranka comiesięczne badanie, dlatego wciąż jeszcze była w szlafroku. Gazetę czytała w okularach, nie włożyła jeszcze soczewek kontaktowych. Ciężkie, ciemne oprawki sprawiały, że wyglądała jak surowa intelektualistka, tyle że ciągle zsuwały się z nosa. Gdy je poprawiała palcem, wyglądała wyjątkowo rozczulająco. Szlafrok był luźno zawiązany i kiedy sięgnęła po tost, rozchylił się nieco, ukazując kuszącą krzywiznę piersi.

– Jakoś mi się dzisiaj nie śpieszy – stwierdził Jonathan.

Fiona odłożyła gazetę i zdjęła okulary.

– Nie, na pewno nie. Obowiązkowo czeka cię pogadanka dyscyplinarna, ale miejmy nadzieję, że Malcolm miał rację i to nic takiego. Przecież nie uderzyłeś tego dzieciaka, prawda?

– Prawda. – Jonathan pochylił się, żeby pocałować żonę. – Szkoda, że nie mogę jechać z tobą.

– Nie ma potrzeby. To tylko ważenie i mierzenie ciśnienia. Do zobaczenia wieczorem. Powodzenia!

* * *

Ruch na ulicach był spory, spowalniany jeszcze przez mżawkę, która jakoś nie chciała zmienić się w porządny deszcz. Kiedy Jonathan skręcił ostrożnie na szkolny podjazd, na asfalcie roіło się od dzieci. Niektóre przyglądały mu się uważnie, gdy przejeżdżał obok. Nagle rozległ się łomot na dachu, a potem uderzenie z tyłu.

– Przepraszam, panie profesorze – zawołał chłopak z siódmej klasy, który rzucił swoją torbę na samochód, a potem ściągnął ją z karoserii.

Jonathan skręcił na parking i wyłączył silnik. A potem przy oknie pojawiła się dziewczyna. Leah Richards, ósma klasa, uśmiechnęła się szeroko, a potem nadmuchała grubą, różową gumę do żucia, pochyliła się i wypluła ją na szybę. Dziewczyna uciekła z piskiem, a Jonathan westchnął. Przynajmniej to tylko guma. Malcolmowi uczniowie wylali zmywacz do paznokci na przednią szybę i markerami wypisali wulgaryzmy na masce. Każdy belfer miał wcześniej czy później poprzebijane opony, a nowy nauczyciel informatyki pewnego wieczoru zastał po wyjściu z pokoju nauczycielskiego puszkę po coli przyklejone do

siodełka motocykla... Podobno z biegiem czasu nauczanie staje się łatwiejsze, ale Jonathan miał wrażenie, że próbuje wspinać się po ruchomych schodach jadących w dół.

Gdy zamykał samochód, wyczuł, że ma towarzystwo. Ken Pinkerton, jeden z asystentów dyrektora, stanął obok.

– Dzień dobry, Ken – przywitał się Jonathan.

Od mężczyzny zalatywało odorem niemytego ciała. Dzieciaki nazywały go Śmierdzielem.

– Zechce pan pójść ze mną do gabinetu pani Fawcett.

– Co? Teraz? Ale za parę minut zaczynają się lekcje. Nie mogę zajrzeć na długiej przerwie?

Ken przybrał jeszcze bardziej surowy wyraz twarzy i powtórzył regulamin słowo w słowo.

– Daj spokój, Ken – westchnął Jonathan. – A kto poprowadzi moją lekcję? Uczniowie oszaleją, jeżeli nie stawię się w klasie punktualnie.

– Zorganizowano już zastępstwo. – Ken gestem nakazał, aby Jonathan ruszył za nim.

– No, dobrze.

Z jakiegoś powodu zaczynało to wyglądać bardzo poważnie i kiedy Jonathan szedł za Kenem po schodach, miał wrażenie, jakby był prowadzony na szubienicę.

– Proszę wejść, panie Robson. Niech pan siada.

Wicedyrektor Fawcett czekała, wspierając spiczasty podbródek na splecionych dłoniach. Jonathan usiadł.

– Wcześniej rano otrzymałam skargę...

Otworzył usta, żeby się wtrącić, ale wicedyrektor uniosła dłoń, jakby zatrzymywała ruch drogowy.

– Kierownik pana wydziału opisał mi zdarzenie, na ile mógł. Ale muszę usłyszeć pańską wersję.

Pani Fawcett zdjęła okulary.

– Na tym etapie jest to, oczywiście, nieoficjalne. Ale zapewne zechce pan porozmawiać ze swoim przedstawicielem związku zawodowego. – Usiadła wygodniej. – Co się stało?

– Cóż, klasa była trochę podenerwowana już na początku. – Jonathan starał się patrzeć wicedyrektor prosto w oczy, ale przypominało to patrzenie w ślepią psa, który tylko czekał, aby rzucić się człowiekowi do gardła. – Byli rozgoryczeni, właśnie się dowiedzieli, że wyjście do teatru zostało odwołane.

– Och? – Fawcett udało się wymówić to słowo, jakby składało się z dwóch sylab.

– Czekali na tę wycieczkę. I szczerze mówiąc, znalazłem się w trochę nieprzyjemnej sytuacji, ponieważ nic o tym nie wiedziałem.

Oczekiwał, że kobieta przeprosi, a potem Jonathan zapytał, czy można jakoś rozwiązać ten problem.

– Myślę, że w swojej skrytce znajdzie pan moje powiadomienie w tej sprawie, panie Robson.

Jonathanowi opadły ręce.

– Musiałem je przeoczyć – mruknął. Miał ochotę przypomnieć, że we wtorek miał wolne z powodu pogrzebu ojca, ale ugryzł się w język. Wiedział, że to bez znaczenia. Nigdy nie sprawdzał swojej skrytki, nikt tego nie robił. Dlaczego wicedyrektor nie mogła używać maila jak wszyscy? – W każdym razie, gdy wszedł Ryan, sprawy wymknęły się spod kontroli...

Opowiedział wszystko, najdokładniej jak pamiętał. Miał świadomość, że pocą mu się ręce. Kiedy skończył, w pokoju zapadła cisza zakłócana tylko cichym furkotem skrzydeł, zapewne ćmy uwięzionej w kloszu lampy.

– Ryan twierdzi, że pan go uderzył.

Jonathan poczuł, jakby dostał cios w brzuch.

– Nie, absolutnie nie. Na pewno nie. – Pokręcił głową.

Fawcett włożyła okulary i przejrzała dokumenty, jakie miała przed sobą.

– Powiedział swojej matce, że uderzył go pan w bok głowy. – Spojrzała na Jonathana znad szkieł, przez chwilę wyglądała zupełnie jak jego ojciec.

To się nie działo naprawdę.

– Nie wiem, co powiedzieć. Naprawdę się zdenerwowałem i uderzyłem w ścianę, a Ryan stał w pobliżu, ale z całą pewnością go nie uderzyłem.

Fawcett pozwoliła, aby znowu zapadła cisza.

– Zatem twierdzi pan, że ani przez chwilę pana ręka nie zetknęła się z głową Ryana?

– Właśnie.

– Dobrze. – Wyglądziła kartki na blacie. – Ten incydent wciąż kwalifikuje się jako naruszenie regulaminu, ale znacząco mniej poważny niż przemoc fizyczna.

– Znowu zdjęła okulary. – Jonathanie. – Ton jej głosu złagodniał, użycie imienia zamiast nazwiska sprawiło, że w gabinecie nieco zelżało napięcie. – Nie jesteś pierwszym nauczycielem fałszywie oskarżonym ani też nie ostatnim. Zbierzemy zeznania uczniów i mam nadzieję, że szybko to wyjaśnimy. – Wicedyrektor wstała i wskazała Jonathanowi drzwi. Posłusznie podniósł się z krzesła. – Jednakże zawieszam cię, dopóki nie zakończę śledztwa. Zadzwoń, gdy tylko tak się stanie. Do tego czasu będziesz musiał mi zaufać. – Otworzyła drzwi.

Przemoc fizyczna, *przemoc fizyczna*. Czy ten chłopak nienawidzi mnie tak bardzo?

Ken nadal czekał w sali nauczycielskiej.

– Wszystko w porządku, panie Pinkerton. – Fawcett skinęła głową Kenowi, po czym zwróciła się jeszcze do Jonathana: – Obawiam się, że musisz opuścić teren szkoły. Pan Pinkerton cię odprowadzi.

Jonathan doszedł do samochodu na miękkich nogach. Czuł, że serce mu łomocze. Wymacał kluczyki, ale nie mógł otworzyć drzwi.

– No, cóż... – Pinkerton ledwie mógł ukryć uśmiezek. – Do zobaczenia

niebawem!

Drań. Wyglądał, jakby właśnie zdobył tytuł pieprzonego nauczyciela roku.

Jonathan włączył silnik, przesunął bieg na wsteczny, po czym przyśpieszył, aby dostać się na jezdnię. W głowie kłębiły mu się myśli. Chciał jak najszybciej wrócić do domu, znaleźć się z dala od drwiącego spojrzenia Kena i nareszcie wszystko sobie przemyśleć. Skręcił ostro na drogę i otarł się o wyglądające jak nowe srebrzyste volvo zaparkowane na rogu. Zwolnił, zerknął we wsteczne lusterko, ale nikogo z tyłu nie było, nikt nie wybiegł, wymachując i krzyząc. Jonathan przycisnął ponownie pedał gazu i nie zdjął z niego nogi, dopóki nie dotarł do domu.

* * *

Przyjemny, rytmiczny stukot krojenia uspokoił Jonathana. Poczuł się lepiej, gdy dodał szalotki do garnka z roztopionym masłem, skórką z cytryny i ryżem. Potem zwiększył ogień i nalał trochę białego wina, które zasyczało przenikliwie. Z garnka uniósł się kuszący aromat. Gdy ryż był niemal gotowy, dodał sok z cytryny, pokrojony kabaczek i parmezan, przyprawił czarnym pieprzem i skropił oliwą z oliwek. Risotto wymagało cierpliwości, trzeba było dodawać składniki po kolei, aby ryż powoli dochodził, robił się puszysty i gładki, ale nie rozgotował się na papkę. Jednak Jonathanowi tym razem nie wyszło, za szybko dodał warzywa, zbyt długo wszystko dusił.

– Wybacz – powiedział, gdy stawiał talerze na stole. – Marny popis kulinarny.

– I tak lepszy niż to, co ja mogłabym ugotować – Fiona spojrzała na niego uważnie. – Wszystko się wyjaśni za parę dni, Jonno.

Jonathan pochylił się i pocałował ją w czoło.

– Dziękuję za twój spokój i rozwagę. Co ja bym bez ciebie zrobił?

Uniosła widelec, aby spróbować risotto.

– Zapewne mniej byś gotował, a więcej ironizował.

Po obiedzie oglądali program o niedźwiedziach w Kanadzie.

– O, patrz na to – rzuciła Fiona.

Na ekranie niedźwiedzie stały na szczycie wodospadu, który musiały pokonać łososie powracające na tarło do miejsca swoich narodzin. Kiedy ryba wyskakiwała z wody, aby pokonać przeciwny prąd, niedźwiedzie po prostu otwierały paszcze. Niektóre łososie wróca do miejsca narodzin i złożą ikrę, wiele jednak nie przetrwa wędrówki. Jonathan zastanawiał się, jak się czuły, gdy uświadamiały sobie, że skoczyły prosto w paszczę głodnego zwierzęcia. Zapewne podobnie jak on. Chryste. Jak mógł być tak głupi? Dlaczego od razu nie posłał Ryana do Malcolma, tylko próbował się mierzyć sam z tym chłopakiem?

Malcolm zadzwonił w środę, żeby sprawdzić, czy pojedą na próbę. Amatorski teatrzyk wystawiał w tym roku *Królową Śnieżkę*, a Jonathan i jego przyjaciel, każdy mierzący ponad sześć stóp, dostali rolę krasnoludków – Śmieszka i Mądrusia. Nie mogli użyć Wesołka i Mędrka, ponieważ, ku oburzeniu Malcolma, Disney zastrzegł sobie prawa autorskie do oryginalnych imion (poza chyba tylko Śpioszkim). Obsadzenie Cassie w roli Królowy Śnieżki również zakrawało na ironię – co to za królowa z szerokimi biodrami, smagłą cerą dzięki swojemu ojcu z Gujany oraz krótkimi włosami, obecnie ogniście pomarańczowymi... Cassie zapowiedziała, że może je ufarbować na czerwono-zielono z okazji świąt Bożego Narodzenia, podczas których miał się odbyć występ. „Niech będzie kolorowo – powiedziała – wszystko, co wy robicie, chłopaki, jest takie cholernie czarno-białe”.

Jonathan zupełnie zapomniał o próbie.

– Przekaż, że coś mi wypadło – powiedział Malcolmowi. – I tak nie mógłbym się skupić. Cały tydzień czatowałem przy telefonie, w nadziei że zadzwoni Linda Fawcett, a tu nic, więc dzisiaj sam zadzwoniłem. Sądziłem, że skończyła już przepytывanie uczniów, ale wiesz, co mi powiedziała? Powiedziała, że to jeszcze trochę potrwa ze względu na planowanie świątecznych atrakcji. Dasz wiarę? Może powinienem do niej pójść.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił. Nasza pani Fawcett nie lubi, by ją poganiać. Nie chciałbyś przecież jej wkurzyć i spowolnić jej działań jeszcze bardziej, prawda?

Jonathan pokiwał głową.

– Prawda. Ale wariuję od tego czekania.

– Nie dziwię się. Ale przynajmniej możesz wykorzystać wolny czas, żeby uzupełnić oceny.

– Właśnie tym się głównie zajmuję, ale i tak mam wyrzuty sumienia, że siedzę na tyłku, podczas gdy Fi musi codziennie rano zrywać się do pracy.

Malcolm westchnął.

– Wiem, mnie też by się to nie podobało, ale zastanów się, jeżeli zaczniesz się teraz ukrywać, ludzie mogą pomyśleć, że nie bez powodu.

– Chcesz powiedzieć, że nie ma dymu bez ognia?

– Pamiętasz tego gościa, który uczył geografii, gdy Wilkins był dyrektorem? Jak się nazywał? Wiesz, ten Walińczyk, przemity facet...

Młody mężczyzna, łagodny i uprzejmy. Była to jego pierwsza praca na stanowisku nauczyciela. Uczył też plastyki. A może muzyki? W każdym razie został oskarżony o „niestosowne zachowanie” przez dziewczynę z dziewiątej klasy. Najwyraźniej jednak zeznania koleżanek rozmijały się z prawdą, ponieważ policja uznała całą sprawę za nonsens. Jednak nauczyciel nawet nie wrócił do szkoły, co było spowodowane mściwymi szeptami z jednego kąta

pokoju nauczycielskiego.

– Och, no dobrze – poddał się Jonathan. – Wygrałeś.

* * *

W końcowym rozrachunku Jonathan ucieszył się jednak, że poszedł na próbę. Fiona przyszła popatrzeć, a potem wszyscy wybrali się do Malcolma i Cassie. Tam Malcolm z Jonathanem przygotowali wcale niezły omlet, który jedli z ciabattą i popijali czerwonym winem. Powtarzali przy tym swoje role. Gdy Jonathan kładł się do łóżka, uświadomił sobie, że przez cały wieczór nie pomyślał ani razu o szkole. Fiona zdążyła już zasnąć, chociaż położyła się zaledwie dziesięć minut wcześniej. Wyglądała na wyczerpaną, zerówka stanowiła dla niej nie lada wyzwanie i teraz się to odbijało na samopoczuciu przyszłej matki.

Dla odmiany Jonathan obudził się wypoczęty. Śnił o lecie, siedzeniu na plaży i przyglądaniu się morzu. Sen przywołał spojrzenia znad morza, gdy jako chłopiec obserwował fale. Jonathan nie mógł wyjść ze zdumienia, że nawet po powrocie do domu, nawet podczas lekcji albo gdy spał w nocy, fale przyplływały i odpływały w nieznużonym rytmie.

Dzień był chłodny, ale słoneczny. Jonathan powinien wykorzystać jak najlepiej ten przymusowy urlop, przynajmniej tak doradził mu Malcolm. Gdyby Fiona nie musiała wyjść do pracy, pojechaliby do Hastings na cały dzień, wędrowaliby po rynku, zjedli jak zwykle rybę z frytkami Pod Syreną i z przystanku autobusowego przyglądaliby się wędkarzom na plaży. Jonathan uwielbiał Hastings, nawet o tej porze roku. Nie było tak modne i sławne jak Brighton, ale miało swój urok. Po raz pierwszy przyjechał do Hastings na szkolną wycieczkę, gdy miał dziesięć lat. On i Alan Harper przyglądali się wysokim drewnianym budynkom, gdzie za czasów wiktoriańskich rybacy rozwieszali sieci, aby wyschły. Potem chłopcy wędrowali po targu rybnym, gdzie można było kupić rybę złowioną zaledwie kilka godzin wcześniej. Lśniące sterty makreli i śledzi, cętkowane flądry, kraby wielkości spodka i inne owoce morza, jakich nie potrafiliby rozpoznać, gdyby nie zabrali książki o morskich stworzeniach. Z typową dla młodych uczniów żądzą krwi obserwowali zafascynowani, jak jakiś mężczyzna brał ryby ze sterty i z wprawą rozcinał je, wyciągał wnętrzności i wrzucał do plastikowego wiadra pełnego zakrwawionych resztek. Mewy łopotały wielkimi skrzydłami, skrzeczały i krzyczały na rywali, pikowały, aby ukraść z wiadra kąsek, po czym odlatywały ze zdobyczą w dziobach.

Jonathan pomyślał, że może teraz mógłby pójść połowić. Chwila spokoju dobrze by mu zrobiła, na dodatek nie siedziałby w domu i nie czekał na telefon od Lindy Fawcett. I wtedy rozległ się dzwonek do drzwi. Jonathan go zignorował, zapewne jakiś sprzedawca ścierek chciał zarobić przed świętami.

Ale dzwonek zabrzmiał znowu, tym razem bardziej natarczywie, więc Jonathan wstał z łóżka, wciągnął dresowe spodnie i podkoszulek, po czym zszedł na dół. Przez szybę dostrzegł policyjne mundury. Musiało chodzić o ten samochód, który potrącił – zupełnie o tym zapomniał i teraz zaczął sobie układać przeprosiny, gdy otworzył drzwi.

– Jonathan Hugo Robson? – zapytał funkcjonariusz, po czym spojrzał na swoją partnerkę, kobietę wielką jak Hefalump, ale o głosie zaskakująco dziewczęcym i radosnym, który u Jonathana przywoływał wspomnienia wiosennych amatorskich zawodów i pikników.

Nie od razu zrozumiał, o czym mówi policjantka, ale dotarło do niego, że ma się stawić wieczorem na posterunku w celu złożenia zeznań w sprawie „rzekomej napaści”. Punktualnie o szóstej, powiedziała policjantka, Jonathan miał się zgłosić do dyżurnego.

Rozdział 14

Kilka tygodni po przyjeździe do Sheffield Maggie stała się tak dobra w swojej pracy, że zaczęto ją nazywać Królową Kulis. Potrafiła znaleźć – albo zrobić – wszystko, co było potrzebne w dowolnej sztuce. Udawało się jej jak dotąd za każdym razem. Szczególny talent przejawiała w przypadku mebli, potrzebowała niewiele czasu, by za pomocą poduszek i starych brokatowych kotar zmienić zniszczoną sofę w wiktoriański szezlong, a stare siedzisko w klubowy fotel. Maggie uwielbiała czuć się częścią tej wielkiej rodziny, która obejmowała jej teatr i drugi, na końcu ulicy. Ta rodzina często wydawała przyjęcia, na które byli zaproszeni wszyscy z obu zespołów.

Tego wieczoru wybierała się właśnie na takie przyjęcie z Jackiem, nowym w zespole. Maggie włożyła nową bieliznę, którą kupiła tuż przed wyjściem – biustonosz, majtki i pas do pończoch, wszystko koronkowe i do kompletu, słowem bielizna dorosłej kobiety. Kiedy Maggie była mała, nie rozumiała, po co bielizna ma być w komplecie. Uśmiechnęła się na wspomnienie, jak jako dziesięciolatka przyglądała się matce ubierającej się na wieczorne wyjście.

– Przecież nikt i tak tego nie zobaczy – mówiła, wzięwszy się pod boki, i kręciła głową, jaka to matka jest niemądra.

Teraz Maggie przypięła pończochy i obciągnęła półhalkę, potem wzięła lusterko ze stolika nocnego i wysypała kosmetyki z kosmetyczki. Wytuszczała rzęsy, zwłaszcza górne, ponieważ słyszała, że dzięki temu oczy wyglądają na większe. Dostrzegła, że odruchowo otworzyła usta i uśmiechnęła się. W zeszłym tygodniu zajrzała do garderoby pod sceną i widziała przygotowujące się do występu dziewczyny – wszystkie siedziały w rzędzie i miały otwarte usta, gdy nakładały tusz na rzęsy. Maggie pomalowała usta pomadką Max Factor, uczesała włosy, a potem spryskała je lakierem.

Wieczór był zimny, nawet jak na luty, dlatego włożyła dzianinową, w kolorze musztardy sukienkę z marszczoną górą i szerokim pasem. Sprawdziła jeszcze, jak wygląda. Dokładnie tak jak chciała – jak niezależna młoda kobieta, która wybiera się na randkę.

– Uważaj na siebie – ostrzegł ją Alf, gdy mijała kuchnię w drodze do wyjścia.
– Wiem wszystko o tych aktorzynach. Ci, którzy nie są pedałami, polują na posag.

* * *

Wiatr zburzył starannie ułożone włosy Maggie.

Powinnam była włożyć chustkę, pomyślała, gdy czekała na autobus.

W powietrzu unosiła się wyjątkowo wyraźna woń lukrecji. Początkowo Maggie myślała, że tylko się jej wydaje, ale kiedyś Dot wspomniała, że jeden z lokatorów pracuje w fabryce słodczy, gdzie produkowano lukrecjowe cukierki i lizaki. Zapach był kojący, zwłaszcza w zimne noce.

– Leniwy wicher, ot co, maleńka – oznajmił konduktor w autobusie, gdy odbierał od Maggie zapłatę. – Zbyt leniwy, żeby człowieka owiewać, więc się w niego wbija!

Maggie uśmiechnęła się na ten opis pogody. Wyjęła puderniczkę, którą Leonard podarował jej na dwudzieste pierwsze urodziny, i przesunęła palcem po lśniącym wieczku. Puderniczka była piękna, szmaragdowa, z ozdobnym kręgiem klejnotów podobnych do diamentów. Gdy Maggie ją otworzyła, poniósł się zapach pudru, jakby pylistego karmelu, suchego i perfumowanego. Zapach przypominał o matce. Maggie upudrowała się lekko. Czy wyglądała odpowiednio teatralnie? Zatrzasnęła puderniczkę i wsunęła do torebki. Oby goście na zabawie nie wyglądali zbyt wyrafinowanie i „aktorsko”. Ale też Maggie była przecież tylko asystentką menedżera sceny, znajdowała się najniżej w hierarchii aktorskiego świata.

Wiatr zrobił się naprawdę porywisty. Unosił płachty gazet nad ulicą, nad drzewami wirowały plastikowe reklamówki, rozdęte, jakby zaraz miały pęknąć. Maggie wysiadła z autobusu i schroniła się w budce telefonicznej, przy której miał czekać Jack. Nie było go. Dziewczynę ogarnęły wątpliwości. Może Jack umówił się tylko dla żartu? Może inni go namówili. „Umów się z nową, tą sztywniaczką z południa. Poczekamy i zobaczymy, czy się pojawi. No, Jack, śmiało, będzie zabawa”. Jak mogła być tak głupia? Jack był bardzo wysoki i przystojny, czemu miałyby się umówić ze zwykłą dziewczyną, skoro mógł znaleźć sobie jakąś bardziej interesującą?

Jakaś kobieta pisnęła, gdy wiatr porwał jej parasol na jezdnię. Parasolka wygięła się, ukazując druty. Dla Maggie wyglądało to tak, jakby dziewczynka robiła koziołka i przypadkowo pokazała bieliznę.

A potem dostrzegła Jacka. Szedł z rękoma w kieszeniach i z postawionym kołnierzem. Włosy, zwykle zaczesane do tyłu i przylizane, teraz sterczały na wszystkie strony.

– Chodź – powiedział, gdy tylko dostrzegł Maggie. – To niedaleko, przy tej ulicy. Schronimy się przed tym przeklętym wiatrem.

Ujął ją pod ramię i poprowadził. Maggie trochę się oburzyła, że nawet na nią nie spojrzął, ponieważ włożyła sporo wysiłku, żeby dobrze wyglądać, chociaż także dla siebie.

Jak inne kobiety, które mijali, Maggie przytrzymała sobie włosy ręką. Jack się nie odzywał, ale dotyk jego dłoni był pokrzepiający. Skręcili w uliczkę, gdzie nie było ogródków przed domami, tylko chodnik i stopnie. Jack rozglądał się, szukając numeru domu.

– To tutaj. – Poprowadził ją w przejście między domami.

Maggie zawahała się. W zaułku było ciemno jak, cytując ulubione

powiedzonko matki, u psa pod ogonem, nie widać było przejścia na inną ulicę.

– Dlaczego mamy iść właśnie tam?

Jack popatrzył z nieskrywaną irytacją.

– Ponieważ właśnie tam odbywa się zabawa. – A potem twarz mu złagodniała. – Och, zapomniałem. Nie robi się tego na południu, prawda?

Maggie spojrzała na niego bez zrozumienia.

– Miałem na myśli, że nie wchodzicie od tyłu.

Nadal nie rozumiała. Jak dotąd nie wychodziła za często z domu – co najwyżej do pralni i kilku pobliskich pubów. Po raz pierwszy miała wejść do domu kogoś innego.

– Gdybyśmy weszli od frontu, prosto z ulicy trafilibyśmy od razu do salonu. Moja gospodyni jest taka sama, ustawiła sobie sofę na wprost drzwi frontowych. Chodź. – Jack ujął Maggie za rękę. – Dopilnuję, żebyś się nie potknęła.

Na końcu przejścia – zaułka, jak nazwał to Jack – było trochę światła. Padało z okna kuchni i można było zobaczyć niewielkie podwórko. Przy trzeszczącym płocie stał rower, a na sznurze wisiały ubrania, które łopotwały dziko na wietrze, jakby zaraz miały się zerwać.

Z wnętrza domu dochodziły śmiechy i muzyka. Tylne drzwi nie były zamknięte, Maggie i Jack weszli do małej kuchni, za którą znajdował się pokój pełen gości. Zgromadzeni rozmawiali, śmiali się i palili papierosy. Muzyka niosła się z salonu – Del Shannon śpiewał *Runaway* – o dziewczynie, która od niego uciekła.

Kobieta z długimi rudymi włosami i gęstymi rzęsami wynurzyła się z kłębow papierosowego dymu w pokoju dalej. Jej strój – fioletowe spodnie i za duży pomarańczowy sweter z wielkimi czarnymi guzikami – sprawił, że Maggie poczuła się za bardzo wystrojona i zarazem nudna.

– Vanda, kochanie! – Jack wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Dawno się nie widzieliśmy.

Maggie jeszcze nie całkiem przywykła do zwyczajowego w teatralnym światku nazywania każdego „kochanie”. Nadal zastanawiała się, czy sama się na to ośmieli. Wyobrażała sobie, że tak zawoła do brata: „Leonardzie, *kochanie*, to ja...”.

– Nie wiedziałam, że przyjdiesz. – W głosie kobiety zabrzmiała niemal wrogość. – Z całą pewnością cię nie zapraszałam.

– Powiedziano mi, że „im więcej, tym weselej”. – Położył rękę na plecach Maggie i lekko pchnął ją do przodu. – Nie sądzę, żebyś już spotkała Maggie.

Wydawało się, że Vanda się otrząsnęła, jakby przypomniała sobie o dobrych manierach.

– Nie, nie spotkałam. Witaj, kochanie. – Uśmiechnęła się promiennie. Była starsza, niż się zdawało na pierwszy rzut oka, po trzydziestce, może nawet około czterdziestki.

– Maggie to nasza nowa AMS. Maggie, poznaj Vandę. Vanda wykonuje

prawdziwe cuda w kostiumie kąpielowym, owinięta boa dusicielem.

– Wężem? – Maggie wytrzeszczyła oczy.

– Nie pleć bzdur, Jack. Boris jest niegroźny. – Spojrzała na Maggie z wyraźną ulgą, że może porozmawiać z kimś innym niż Jack. – Jest absolutnie uroczy i absolutnie nieszkodliwy. To stary, spokojny zwierz, który strasznie mnie lubi.

Wskazała na obraz wiszący na ścianie. Był to afisz Vandy w błyszczącym jaskrawym kostiumie i butach na wysokich obcasach. Kobieta uśmiechała się promiennie do węża owiniętego wokół jej uda i talii, który unosił głowę na wysokości jej twarzy.

Maggie wzdrygnęła się.

– Wygląda... eee... imponująco.

– Dziękuję, kochanie. – Vanda nachyliła się do niej. – Tak naprawdę na imię mi Elsie, ale pseudonim sceniczny przyłgnał do mnie na stałe. Weź sobie drinka, a potem porozmawiamy. Przypomnij, żebyś cię przedstawiła Borisowi.

Rzuciła jeszcze niechętnie spojrzenie na Jacka i zniknęła w tłumie.

– O co chodziło? – zapytała Maggie.

Jack wzruszył ramionami.

– Jest trochę nadęta. Chodźmy po drinka. Masz papierosy? Zapomniałem kupić.

Maggie wyjęła z torebki nową paczkę Embassy Tipped. Jack wyłuskał dwa papierosy, podał jej jednego, drugiego podrzucił i złapał zrećnie zębami, po czym mrugnął porozumiewawczo. Paczkę schował do kieszeni.

Naprawdę jest niesamowicie przystojny, pomyślała Maggie, gdy ze skrzynki wyjął dwie butelki piwa i podał jej jedną. Maggie wolałaby się napić czegoś innego, choćby dzinu z sokiem pomarańczowym, ale przyjęła piwo i stanęła obok Jacka, który oparł się o ścianę, podrygiwał do rytmu muzyki i palił, nie wyjmując papierosa z ust.

– No to... – zaczęła, ale zaraz musiała prawie krzyczeć, bo ktoś pogłośnił muzykę. – Skąd przyjechałeś?

Jack roześmiał się.

– Nieważne, skąd pochodzisz, ważne, dokąd zmierzasz.

Uśmiechnęła się i upiła trochę piwa, zanim spróbowała jeszcze raz.

– A w jakim zespole pracowałeś wcześniej?

Ale Jack już się od niej odwrócił. Maggie rozejrzała się po pokoju. Dlaczego tak trudno się jej było rozluźnić? Przecież nie chodziło o to, że nie przywykła do przyjęć i zabaw w Hastings, ale te w Hastings, a nawet w Londynie, na które chodziła, gdy uczyła się w szkole aktorskiej, nie były tak tłumne ani tak głośne. Z salonu niosła się teraz piosenka *Let's Twist Again*, ale głos wokalisty Chubby'ego Checkera zagłuszał śpiewający goście. Kilkoro wyszło na korytarz i zaczęło tańczyć. Maggie uwielbiała tańczyć, ale Jack pograżył się w rozmowie z Clive'em o przedstawieniu. Właśnie zaczęła się zastanawiać, czy nie spróbować i nie włączyć się do ich pogawędki, gdy pojawiła się Vanda, zdyszana i bez tchu.

– Aggie, kochanie! Spotkałam twoją znajomą w salonie! Chodź, przywitaj się!

– Mam na imię Maggie...

– Co? – Vanda przystawiła dłoń do ucha.

„Nie mówi się «co», mówi się «proszę»”, przypomniały się Maggie słowa matki, wyraźne i dobitne.

– Och, nieważne. – Pozwoliła się poprowadzić do salonu.

Jak się okazało, pokój był niemal zupełnie pozbawiony sprzętów, żeby służyć za salę taneczną. Na stoliku w kącie stał adapter, obok torby i pudełka z płytami, a także karton z singlami. Chudy chłopak w sznurkowym krawacie i okularach z grubymi oprawkami chyba zajmował się wyborem muzyki.

– Cześć, mała Mag!

Znajomy głos sprawił, że Maggie się odwróciła. Una, asystentka Clive'a, nie przerywała twistowania. Maggie się roześmiała.

– Wspaniałe! – zawołała.

Już miała się przyłączyć, gdy muzyka się skończyła. Podczas krótkiej przerwy chudy okularnik wymienił płyty. Dyszący tancerze spoglądali wyczekująco. Kiedy zabrzmiał głos Patsy Cline, jęknęli, pokręcili głowami i wycofali się, żeby zrobić miejsce dla innych par.

Una wzruszyła ramionami.

– Nie można do tego tańczyć. Chodź, porozmawiajmy w kuchni.

Maggie ruszyła za nią, podczas gdy towarzystwo zaczynało tańczyć do *I Fall to Pieces*.

– Co myślisz o Jacku? – Una otworzyła butelkę dzinu.

– Właściwie nie wiem. To nasza pierwsza randka... Och, mogę trochę? Nie przepadam za piwem.

Una nalała hojnie do dwóch szklanek, dopełniła tonikiem i podała dziewczynie drinka.

– Ślicznie dziękuję. – Maggie upiła trochę. Pomyślała, że może Una chce poderwać Jacka albo jest jego byłą dziewczyną. – Nawet nie wiem, jak długo Jack jest w zespole.

Una pokręciła głową.

– Dołączył tuż przed tobą. Vanda znała go wcześniej. Oboje pracowali w Leeds.

Jak na zawołanie Vanda właśnie wtoczyła się do kuchni.

– Ups! – Uśmiechnęła się szeroko i wsparła o stół, żeby utrzymać równowagę. – Czyżbym słyszała, że ktoś wymawia moje imię nadaremno?

Maggie przyszło do głowy, że może to Vanda jest byłą dziewczyną Jacka. Wyglądał na kogoś, kto lubi starsze kobiety, a Vanda była naprawdę atrakcyjna.

I wtedy do kuchni zajrzał Jack.

– Co się dzieje? – Mrugnął do Maggie. – Spotkanie z mamusią?

– Jack! – Vanda obróciła się chwiejnie. – Zanedbujesz małą Aggie.

– Maggie – poprawiła ją Maggie. Tak, ta Vanda musiała coś czuć do Jacka, dlatego specjalnie przekręcała imię Maggie i wprawiała ją w zakłopotanie.

– Maggie? Och, kochanie, bardzo przepraszam. Dlaczego od razu nie powiedziałaś? Nazywałam cię Aggie przez cały wieczór!

Rozdział 15

Telefon wydaje się zimny i ciężki w dłoni, gdy Jonathan czeka, aż Fiona odbierze. Nie zadzwonił wcześniej, ponieważ myślał, że to będzie tylko formalność i szybko wróci do domu.

– Halo? – W głosie Fiony słychać lekką irytację.

– Halo, to ja.

– Dobrze. Już zaczynałam się zastanawiać, gdzie cię poniosło. Gdzie jesteś? Kiedy wrócisz?

– Niedługo, mam nadzieję. Słuchaj, nie martw się, ale jestem na posterunku policji.

– Co? O Boże! Co się stało?

* * *

Dochodziła prawie dziewiąta, gdy policjanci skończyli z Jonathanem. Po tym jak złożył zeznanie, pobrali mu odciski palców i próbkę DNA.

– Standardowa procedura przy aresztowaniu – oznajmił funkcjonariusz, gdy wsuwał mu wacik do ust i pocierał po wewnętrznej stronie policzka Jonathana.
– Gotowe. – Uśmiechnął się.

Jonathan poczuł się jak dziecko po raz pierwszy u dentysty.

W końcu mógł opuścić posterunek. Jechał bardzo ostrożnie.

Napaść fizyczna z uszkodzeniem ciała. Napaść. Uszkodzenie ciała.

Zatrzymał się przy sklepie nocnym, żeby kupić kilka piw. Cieszył się z krótkiego wytchnienia od ponurych myśli, gdy chodził między regałami. Gdy stanął przy kasie, zobaczył na półce papierosy w dużych lśniących paczkach. Powinien już dawno się odzwyczaić, ale zbyt często ochota na palenie wypełzała z ciemnych zakamarków umysłu i zmieniała się w bolesne pragnienie ściskające Jonathana w gardle. Nie, powiedział sobie. Nie, nie, nie!

Jednak gdy tylko wrócił do samochodu, wspomnienia z tego, co się niedawno zdarzyło, wróciły. Duża kobieta, konstabl Sandy Clark, początkowo była przyjazna – jej szwagier pracował jako nauczyciel w Lambeth i nie rozumiała, jak sobie z tym zajęciem radzi.

– Nie zamieniłabym się z panem nawet za pięćdziesiąt tysięcy pensji co miesiąc, najnowsze bmw i wakacje na Barbados – westchnęła i wzdrygnęła się przesadnie. – Proszę potwierdzić, że to nowa, fabrycznie opakowana kasetka.

Jonathan skinął głową.

– Na głos, proszę.

– Tak, to nowa kasetka.

– A teraz proszę opowiedzieć własnymi słowami...

I Jonathan opowiedział, jak źle zaczęła się lekcja, jak Ryan omal nie wyleciał ze szkoły, gdy Jonathan przyłapał go na biciu młodszego ucznia, jak potem Ryan się popisywał przed klasą i przeszkadzał, a wreszcie jak Jonathan stracił panowanie nad sobą i uderzył pięścią w ścianę. Kiedy wydawało się, że już nie jest tak źle, do pokoju zajrzał inny funkcjonariusz i wręczył notatkę konstabl Clark. Kobieta wtedy wstała.

– Przesłuchanie przerwane o... – sprawdziła na zegarku – ...dwudziestej trzynaście.

Wyłączyła magnetofon i wyszła.

To jak w filmie, pomyślał Jonathan. Siedział sam, a policjanci rozmawiali cicho za drzwiami. Tyle że nie można było tego wyłączyć.

– Przesłuchanie wznowione o dwudziestej szesnaście – oznajmiła policjantka, gdy wróciła, usiadła i włączyła znowu nagrywanie.

– A więc, panie Robson... – Wyglądała teraz mniej przyjaźnie. – Powiedział pan, że nigdy wcześniej nie miał problemów z policją?

Zaczęła denerwująco postukiwać długopisem w blat. Jonathana świerbiły palce, żeby zabrać jej ten długopis i zagrozić, że dostanie uwagę do dzienniczka.

– Uważa się pan za praworządnego obywatela?

– Oczywiście. Nigdy nie miałem problemów z prawem. No, może oprócz mandatu za przekroczenie szybkości...

I wtedy go to uderzyło. Uśmiezek, którego nie można było pomylić z niczym innym, rozciągnął usta pulchnej konstabl Clark.

– Gdyby zatem, powiedzmy, brał pan, teoretycznie, udział w wypadku drogowym i pana samochód, który znajdował się w ruchu, uderzyłby w nieruchomy pojazd, zostawiłby pan swoje dane właścicielowi tego pojazdu, ponieważ jak pan na pewno wie, tego wymaga prawo, albo przy najbliższej okazji zgłosiłby pan wypadek na miejscowym posterunku policji?

– O Boże, nie, to było...

– Zatem *nie zgłosiłby* pan wypadku?

Funkcjonariusz przy drzwiach stłumił śmiech. Policjanci doskonale się bawili. Jonathan potrząsnął głową i spróbował jeszcze raz.

– Dobrze, wiem – przyznał. – Potrąciłem samochód i się nie zatrzymałem. Może mi pani nie uwierzy, ale naprawdę zamierzałem to zgłosić. To słabe usprawiedliwienie, ale było to właśnie tego dnia, gdy powiedziano mi o złożeniu skargi w sprawie Ryana. Właśnie wtedy zostałem niesłusznie oskarżony. Proszę posłuchać, zapłacę za szkody, to oczywiste. I osobiście przeproszę właściciela samochodu.

– Niezgłoszenie wypadku to wykroczenie. – Konstabl Clark przybrała surową minę. – Właścicielka pojazdu nie była uszczęśliwiona, gdy wróciła z podróży służbowej i zobaczyła, że na tylnym zderzaku jej nowego samochodu widać wyraźne wgniecenie. Najwyraźniej wypadek zobaczył sąsiad, ponieważ spisał

pana numer rejestracyjny. Dzięki cudom nowoczesnej techniki odnaleźliśmy pana w bazie danych i dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności okazało się, że już tutaj pan jest!

Policjanci uśmiechali się teraz szeroko.

– Nie zamierzam zaprzeczać – powtórzył Jonathan. – Czy to pomoże, jeżeli pokryję koszt wynajmu samochodu zastępczego na czas naprawy?

Funkcjonariuszka Clark przygryzła usta, gdy na niego spojrzała. Czy w jej spojrzeniu kryła się groźba, czy współczucie?

– Może pan zostać pozwany. – Wyglądała, jakby rozważała różne możliwości. – Ale już znalazł się pan w tarapatach, prawda? Przekażę pana propozycję właścicielce samochodu, może nie będzie chciała iść do sądu.

* * *

Fiona otworzyła drzwi, gdy Jonathan podchodził do domu.

– Dzięki Bogu – westchnęła. – Wieki cię nie było.

– Wybacz. – Ruszył za nią do kuchni. – Powinienem był zadzwonić jeszcze raz.

– O co chodziło policji?

– Cóż, zdaje się, że zawieszenie mnie nie wystarczyło. Ryan twierdzi teraz, że go uderzyłem. Powiedział, że specjalnie wymierzyłem w bok głowy, żeby nie było widać, a matce poskarżył się, że niezbyt dobrze teraz słyszy.

– O mój Boże! Czy dyrektorka nie rozmawiała z innymi dziećmi?

– Tak, ale większość twierdzi, że nie widziała, co się stało. To oczywiście bzdury, ponieważ wszyscy patrzyli. Za to Chloé Nichols przypomniała sobie, że widziała, jak uderzyłem chłopaka.

– Co?! Ale dlaczego?

Jonathan przez straszną chwilę myślał, że Fiona w niego wątpi.

– Nie wiem. Chloé i Ryan są parą, więc może dlatego. A jeżeli chodzi o resztę, Bóg jeden wie – westchnął.

– Szlag, Jonno, to straszne.

– Wiem, ale nie przejmuj się. Na pewno niewiele z tego wyniknie. Podśluhałem, jak policjanci mówili, że wersja Ryana to pewnie same brednie.

– To dlaczego policja cię spisała? – Fiona wyjęła z piekarnika naczynie żaroodporne i postawiła przed Jonathanem. – Niestety, to tylko danie ze słoika. I trochę chyba zrobiło się suche.

– Dzięki. – Część makaronu była sucha, niemal chrupiąca, ale pod spodem, w sosie, potrawa zachowała miękkość. – Najbardziej mnie zdenerwowało, że gdyby sprawę prowadził inny glina, wątpię, abym musiał przez to przechodzić. Słyszałem, jak policjant powiedział, że to strata czasu, a wtedy ta druga, Clark, stwierdziła, że nie może tak po prostu odpuścić, bo jeżeli istnieje możliwość, że jednak coś się stało, sprawą powinien zająć się sąd.

– I jak to się skończyło?

– Jeżeli nic się nie zmieni, to znaczy jeżeli Ryan nie zmieni zeznań, odbędzie się rozprawa. Policjanci powiedzieli, że sąd wyznaczy termin przesłuchania.

– Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę... – Fiona pokręciła głową.

– Ani ja. Ale jeżeli odbędzie się proces, powiem po prostu prawdę. – Nie zabrzmiało to tak pokrępiąco, jak Jonathan by chciał. – Miejmy jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Fiona zaczęła ogryzać kciuk. Żadne z nich nie odezwało się, ciszę zakłócał tylko odległy jęk syreny policyjnej, który wkrótce ucichł.

Noc przewinęła się przed oczyma Jonathana jak film, ostre obrazy, jaskrawe kolory, wyraźne dźwięki. Świadomość nie pozwalała mu oderwać się od ponurych wspomnień nawet we śnie, był w pułapce.

Klatka po klatce, Jonathan widzi: swojego ojca – „Głupi chłopak, wszystkich martwi”, matkę palącą papierosa, chociaż przecież nie pali – „Wiele rzeczy zrobiliśmy źle, Jonathanie... To trochę wstrząsające...”, drwiącego Ryana – „Obsikał się pan!”, i Lindę Fawcett – „Przemoc fizyczna; Ryan twierdzi, że pan go uderzył... uderzył... Ryan twierdzi...”.

Rozdział 16

Jesteś dziewczicą? – szepnął Jack.

Maggie wypła całkiem sporo dżinu, a teraz znalazła się w ciemnej sypialni. Leżała na stosie płaszczy, nadal wilgotnych od deszczu. Słyszała głucho pogwizdywanie wiatru w kominie i trzaski, gdy sadza i inne zanieczyszczenia spadały do paleniska kominka w pokoju.

– Nie ma znaczenia, jeśli nie jesteś, wiesz? – Czuła jego ciepły oddech na szyi, gdy mówił. Głos miał zduszony, napięty. – Mnie to nie przeszkadza. Nie wydaje mi się, żeby dziewczyny musiały się prowadzić inaczej niż mężczyźni. Założę się, że jesteś ognista, co?

Jack przycisnął się do niej i Maggie wyczuła na udzie, jak jest twardy i nabrzmiały.

Była dziewczicą. Kiedyś niemal to zrobiła, ale ani ona, ani chłopak tak naprawdę nie wiedzieli, co i jak, więc dali sobie spokój.

Jack zaczął się pocić. Głaskał wewnątrz ud Maggie tam, gdzie kończyły się pończochy.

– Jack, zwolnij, to nasza pierwsza randka.

– Co z tego? – mruknął i pocałował ją jeszcze raz.

Dobrze całował, Maggie musiała to przyznać. Jego dłoń znowu powędrowała wyżej, bardziej nagłaco tym razem, do majtek. Jęknął, gdy jej dotknął. Maggie także oddychała ciężko. Odruchowo wciągnęła brzuch, żeby Jack mógł wsunąć palce pod jej bieliznę. Pieszczoty wywołały westchnienia i Maggie zaczęła się zastanawiać, jak by to było pójść na całość. Już miała zapytać, czy ma francuskie kondomy, gdy drzwi otworzyły się z trzaskiem.

– Ups! Wybacz, stary!

Maggie rozpoznała Jimmy'ego i jego dziewczynę, która tylko zachichotała.

Z dołu dochodziła stłumiona muzyka. Maggie i Jack podnieśli się, ubrania mieli w nieładzie. Drzwi się zamknęły.

– Na czym skończyliśmy? – Jack pociągnął ją z powrotem na posłanie.

Wiatr się wzmagił. Słyszała rytmiczny brzęk, jakby metalowa pokrywa kosza na śmieci toczyła się po bruku ulicy.

– Nie, Jack. – Maggie usiadła znowu, poprawiła włosy. – Wybacz, ale jeszcze nie. Poczekajmy, aż będziemy się spotykać trochę dłużej.

– Och, przestań, mała Mags. – Pociągnął ją na łóżko, podciągnął sukienkę i szarpnął majtki. – Będę uważał.

Maggie poczuła jego język w uchu, ciepły, twardy i wilgotny. Nie miała jednak ochoty, jednak jeszcze nie teraz. Nie miała poczucia, że tak jest dobrze.

– Nie, Jack. Naprawdę. Nie chcę.

– Chcesz – szepnął Jack. Jego oddech był gorący i wilgotny. Cuchnął

obrzydliwie mieszanką piwa, tytoniu i słonymi paluszkami. – No, przestań. Chcesz tego, prawda? Powiedz, że tego chcesz.

– Nie! – krzyknęła Maggie i odepchnęła go mocno.

Wstała pośpiesznie i wygładziła ubranie. Jack wyglądał na wściekłego.

– Wiesz, jak się nazywa to, co robisz? – Wymacał papierosy, rzucił jej jednego, a potem zmrużył oczy, gdy odpalił drugiego dla siebie. – Tylko drażnisz, ale nic nie dajesz.

Ale zaraz odetchnął i uśmiechnął się łobuzersko.

– Nie miej żalu, że próbowałem, co?

* * *

Na dole zrobiło się spokojniej. Zabawa się kończyła, część gości, która nie wyszła, siedziała na podłodze w salonie. Niektórzy śpiewali do *I Fall to Pieces*, piosenkę puszczono już chyba po raz trzeci. W ciemności jarzyły się tylko końcówki papierosów. Drzwi na ulicę trzaskały od wiatru, przy każdym podmuchu podnosił się skraj dywanu.

– Jack – odezwała się Maggie. – Chyba muszę wracać do domu.

– Tak, już późno. Wyjdziemy za chwilę. Ale najpierw ze mną zatańcz.

Maggie zawahała się lekko.

– Och, tylko nie to. Chyba nie chcesz, żebym rozpadł się na kawałki jak biedna Patsy? – zażartował Jack z piosenki, a potem dał prawdziwy pokaz – padł na kolana, rozłożył ramiona i zaczął śpiewać.

Maggie cieszyła się, że w pomieszczeniu jest ciemno i nie widać, jak bardzo się zarumieniła.

– Przestań, Jack – poprosiła, ale nie mogła opanować uśmiechu.

Jack śpiewał teraz głośniej, a gdy nagranie się skończyło, chwycił się za serce i upadł. Goście wybuchli śmiechem, zaczęli klaskać, a Maggie poczuła odrobinę zdradliwej dumy, gdy się kłaniał. Uśmiechnął się do niej.

– No, to przyniosę twój płaszcz i odprowadzę cię do domu.

* * *

Na dworze wiało o wiele mocniej niż wcześniej. Maggie pozwoliła, aby Jack wziął ją pod ramię, gdy szli ulicą do przystanku autobusowego. Dziewczyna przytuliła się mocniej do mężczyzny, gdy szczególnie mocny podmuch cisnął jej w nogi mokrą gazetą. Niełatwo było się wyplątać z papierowej płachty. Potem obok nich przetoczyło się kartonowe pudło, a w oddali rozległ się trzask, gdy z dachu spadła dachówka.

Maggie otworzyła usta, żeby się odezwać, ale wiatr porwał jej słowa. Kolejna dachówka rozbiła się za plecami Jacka.

– Szlag! – krzyknął, po czym przyciągnął Maggie bliżej pod ścianę.

Dziewczyna nie słyszała, żeby Jack wcześniej przeklinał. Śmieci polatywały i toczyły się po ulicy, psy szczekały, a w oddali brzęknęło zbite szkło.

Maggie, która całe dotychczasowe życie spędziła w pobliżu morza, przywykła do silnych wiatrów i zmiennej pogody. Widziała na własne oczy, jak sztorm wyrwał część molo i cisnął nad fale niczym patyk, widziała wezwanych strażników wybrzeża odcumowujących łódź ratunkową oraz żony i matki rybaków stłoczone na wschodnim klifie, gdzie czekały na wieści. Ale nigdy nie spotkała się z czymś takim jak tutaj. Czy to możliwe, aby przez Anglię przechodził huragan?

Coś potoczyło się po dachu kościoła, zbyt duże na dachówkę lub deskę. Rozległy się odgłosy głośnego turlania, a potem potężny łomot przy uderzeniu o ziemię. Matka Boska roztrzaskała się na drobny mak.

– Chodź! – krzyknął Jack i pociągnął Maggie do przejścia.

Dziewczyna cofnęła się. Zaulek był zupełnie ciemny, żadnych świateł w domach, tylko w jednym rozbitym oknie łopotwały zasłony, jakby chciały koniecznie zwrócić na siebie uwagę. Kolejny strącony z dachu odłamek uderzył Maggie w skroń. Krzyknęła i pozwoliła, aby Jack pociągnął ją w mrok.

– Poczekamy tutaj, dopóki się nie uspokoi – powiedział. – To na pewno nie potrwa długo.

Objął dziewczynę i odgarnął jej włosy z twarzy. A potem pocałował, delikatnie i czule, a Maggie odpowiedziała pocałunkiem.

Rozdział 17

Jonathan ostrożnie odstawił torby. Rączki pozostawiły mu głębokie czerwone ślady na palcach. Usiadł na ławeczce przed placem zabaw dla dzieci, gdzie miał się spotkać z Fioną. Popatrzył w sufit. Te aniołki mają za ostry makijaż. Wyobraził je sobie nie wśród dzwonków i lampek świątecznych podwieszonych na kablach pod szklanym dachem centrum handlowego w Levisham, lecz w klasie, jak żują gumę, gdy na próżno Jonathan próbuje je zainteresować *Hamletem*.

Wokół placu zabaw stoi pełno wózków dziecięcych i koszy sklepowych. Rodzice, głównie matki, lecz jest też kilku ojców, tłoczą się w pobliżu, rozcierając bolące kolana, jedzą mandarynki lub karmią butelkami niemowlęta i przyglądają się starszym dzieciom na zjeżdżalni. Jonathan zaczyna się zastanawiać, czy jego ojciec też się nim tak zajmował. Nie pamięta, żeby chodzili do parku, kiedy był mały, chociaż przypomina sobie wycieczkę do lasu i wizytę w Windsor Safari Park zaraz po jego otwarciu. Wyjście skończyło się po paru godzinach, ponieważ szympanś zerwał jedną z osłon klatki i Gerald był tak wściekły, że zepsuł całą radość z wycieczki.

Za rok o tej samej porze może Jonathan też się tutaj pojawi i będzie karmił butelką niemowlę w nosidełku, podczas gdy Fiona pójdzie na zakupy. Opieka nad dziećmi Malcolma lub Lucy wydawała się łatwa, ale z własnym będzie na pewno inaczej. Można się opiekować cudzymi dziećmi, kochać je nawet, ale przecież jest się odpowiedzialnym tylko za ich fizyczne samopoczucie, a i to tylko wtedy, gdy występuje się w roli opiekuna *in loco parentis*. Nie ponosi się odpowiedzialności za szczęście tych dzieci i ich poczucie bezpieczeństwa, aby wyrosły na pewnych siebie, towarzyskich i spełnionych dorosłych.

– Robbo! – Chłopięcy głos, ochrypli, przesycony testosteronem. Jonathan odwrócił się, ale nikogo nie dostrzegł.

– Robbo! – Inny głos, głośniejszy. – Uderzyłeś jeszcze jakieś dzieci ostatnio?

Tym razem Jonathan zerwał się i rozejrzał szybko. Słyszał chichoty, ale nadal nikogo nie wypatrzył. Zawsze było tak samo, gdy uczniowie spotykali go poza szkołą: „Widzieliśmy pana w czasie ferii, profesorze”, „Był pan w Levisham w sobotę, profesorze, przywitaliśmy się z panem”. Dzieciaki nie mogły pogodzić się z tym, że życie Jonathana nie toczyło się wyłącznie w klasie. Dostrzegł Fionę. Usłyszała komentarz, podobnie jak kilkoro rodziców w pobliżu.

– To tylko dzieci ze szkoły, próbują mnie zdenerwować – oznajmił na tyle głośno, żeby rodzice też usłyszeli. Wziął od żony torby z zakupami. – Chodź, wracajmy do domu.

– Cholera jasna, czy ktoś jeszcze o tym *nie* słyszał?

– Co masz na myśli?

Fiona odwróciła głowę.

– Fi?

Westchnęła.

– Nie powiedziałam ci wcześniej, ale Laura, wiesz, ta, która uczy w drugiej klasie obok mnie, dowiedziała się, że zostałeś zawieszony. Ale nie o przesłuchaniu przez policję.

– No, to już coś. Skąd się dowiedziała?

– Niektórzy z jej uczniów mają starsze rodzeństwo w twojej szkole. Część moich zapewne też, gdyby się zastanowić. Do głowy mi nie przyszło wcześniej.

– Ale tylko Laura wie? – zapytał Jonathan przy samochodzie. Otworzył bagażnik i zapakował zakupy.

– Obawiam się, że nie tylko. Sporo osób patrzyło na mnie ze współczuciem, a Judy Wickson powiedziała mi, że przecież „wszyscy wiedzą”.

Jonathan zatrasnął bagażnik.

– Wszyscy wiedzą – westchnął. – Świetnie.

W drodze do domu włączył radio, w nadziei że popołudniowa audycja i muzyka odciągną oboje od ponurych myśli, ale wcale nie słuchał. Żaden z tych głosów w centrum handlowym nie brzmiał jak Ryana, ale zapewne wszyscy już słyszeli nowinę, każdy uczeń od siódmej klasy w górę, każdy nauczyciel, a także dyrektor, no i oczywiście również rodzice. Chryste. A według przedstawiciela związków zawodowych Jonathan nie mógł nic, dosłownie nic zrobić – musiał tylko czekać.

Minęli zjazd do szkoły. Wokół kręciło się sporo dzieci, chociaż nie powinny wychodzić podczas przerwy na lunch bez pozwolenia.

– Założę się, że połowa tej zgrai nie ma przepustek – stwierdził Jonathan. – Ale to nie mój problem, prawda? Przecież jestem zawieszony.

– Słuszna uwaga – przytaknęła Fiona. – Jak rodzice mogą im na to pozwalać? O Boże, mówię zupełnie jak moja matka. Ale doprawdy, czy tym dziewczynom wolno nosić do szkoły takie krótkie spódniczki?

Dziewczęta, które wskazała, rozmawiały i chichotały, idąc do budynku szkoły. Odsłonięte uda poruszały się jak ostrza nożyczek, krótkie spódniczki kołysały się, gdy dziewczyny drobiły w butach na nieprawdopodobnie wysokich obcasach.

– Nie, spódnica powinna sięgać przynajmniej cztery cale nad kolano, ale podciągają ją tak wysoko, że praktycznie widać pośladki, a kiedy się je pośle do wychowawcy, obciągają spódnice i twierdzą, że nauczyciel się na nie uwziął.

– Sama tak robiłam. – Fiona się uśmiechnęła. – Musiałam. Nie chciałam być inna.

– Domyślam się. Nie rozumiem jednak, dlaczego nie wolno im nosić spodni, skoro chcą.

Fiona pokręciła głową.

– Szaleństwo, co? Zwłaszcza w tych czasach.

Minęli kilka dziewcząt z dziesiątej klasy, w której miał zastępstwo po pogrzebie, tuż przed lekcją z Ryanem. Było to po pierwszej po lunchu, gdy uczennice miały mnóstwo energii po paleniu do upadłego, zjedzeniu fury słodczy i chipsów. Siedziały w klasie, umalowane, z rozpiętymi kołnierzykami, ukazując swoje płaskie dekolty, i patrzyły na Jonathana wyzywająco. Staraly się wyglądać na starsze, ale wciąż jeszcze dorastały, ich głowy były nadal za duże w stosunku do reszty ciała, na litość boską. Chloé Nichols siedziała z przodu i wdzięczyła się jak przed lustrem, pewnie ćwiczyła, jak siedzieć, tak by nauczyciel mógł zobaczyć jej biust. Co chwila unosiła rękę do kołnierzyka, aby bardziej odsłonić dekolt, i pochylała się lekko. Jonathan musiał się pilnować, aby na nią nie spojrzeć i nie zauważyć krzywizny piersi unoszącej się w zielonym staniku. Chloé odrzuciła jasne, spłowiałe włosy na plecy i bawiła się srebrnym kolczykiem wpiętym w ucho. Uśmiechała się do Jonathana. Kiedy rozchyłała usta, widać było gumę truskawkową, którą obracała na języku i żuła.

– Patrzy pan na mój biust, panie profesorze? – zapytała, rzuciwszy mu spojrzenie spod pomalowanych rzęs.

Szczerze mówiąc, patrzył. „Tak, Chloé, jak mógłbym nie patrzeć na twój biust? Myślisz, że jesteś taka sprytna i dorosła, bo wypinasz do mnie swoje kuszące małe piersi, ale mam żonę w ciąży, a ty dla mnie jesteś wciąż jeszcze dzieckiem”.

Jednak odpowiedział tylko:

– Wyjdź, proszę, Chloé. Wróć, kiedy zdejmiesz kolczyki. Bransoletkę również.

– Nie podobają się panu kobiety, które dbają o swój wygląd, panie profesorze? – Chloé spojrzała na swoje koleżanki, oczekując aprobaty.

Jonathan nie zamierzał dać się tak podejść. Poprzednim razem, gdy poprawił dziewczynę, która mówiła o sobie „kobieta”, zagroziła, że opíše swój ostatni stosunek seksualny. Tym razem Jonathan tylko powtórzył polecenie. Uśmiech Chloé zniknął. Wstała obrażona, wymamrotała pod nosem coś niemilego i ruszyła do drzwi.

– I upewnij się, że jutro przyjdiesz do szkoły w regulaminowym mundurku, jeśli mogę prosić.

Nie wiedział jeszcze wtedy, że po przerwie Chloé pojawi się też na jego lekcji, a przecież niedługo potem dziewczyna przysięgła, że widziała, jak Jonathan uderzył Ryana Jenkinsa. Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Jak to ujął Congrave:

„Niebo nie zna wściekłości takiej jak miłość w nienawiść zmieniona, ni piekło nie zna furii takiej jak kobieta wzgardzona”.

Rozdział 18

Stopy Maggie plaskały po chodniku, gdy biegła w ciemności tak szybko, że nawet gdyby próbowała, nie mogłaby się zatrzymać. Po ulicy wala się tyle śmieci i odłamków, że musiała przez nie przeskakiwać. Wichura dęła dziewczynie w plecy, zdawało się, jakby dodawała Maggie skrzydeł, więc dziewczyna pozwoliła się jej nieść – wiedziała tylko, że nie wolno się zatrzymać. Tuż przed Maggie upadła kłoda, za blisko, aby dziewczyna mogła ją ominąć. Dłonie zapiekły, gdy uderzyły o zimne płyty, dziewczyna dźwignęła się, ale zaraz znowu upadła. Usłyszała plusk, gdy ręce poślizgnęły się jej po ziemi. To ostatnie, co zostało jej w pamięci.

* * *

Leżała na zimnej, wilgotnej ziemi. Uniosła głowę. Próbowała zrozumieć, dlaczego wyszła w tę dziką wichurę w środku nocy i jak znalazła się w miejscu, którego nie potrafiła rozpoznać. Była zabawa, Maggie poszła z Jackiem. Starła się przypomnieć sobie szczegóły, zatrzymać przebłyski, ale myśli tylko przemykały jej przez głowę i znikwały. Podniosła się i spróbowała biec, ale przelatujące odłamki i śmieci sprawiały, że się potykała. Obejrzała się, ale nigdzie nie dostrzegła Jacka. Chciała się gdzieś ukryć, ale nie знаła tej okolicy, zresztą w ciemności wszystko wyglądało inaczej. Poczowała uderzenie w nogę i odskoczyła, a drewniana konstrukcja, chyba furтка, prześlizgnęła się po drodze. Maggie musiała wrócić do domu. Gdyby tylko umiała się tam magicznie przenieść, do pokoiku na strychu z linoleum i trzeszczącym łóżkiem oraz klamką, która odpadała za każdym razem, gdy próbowała jej użyć... Znowu rzuciła się do biegu, ale z większą rozwagą. Jeżeli uda się dotrzeć do głównej ulicy, zdoła się zorientować, gdzie się znajduje. Maggie ruszyła w dół, a potem – właśnie wtedy zaczęła mieć pewność, że śni – ujrzała niewielki domek lecący z wiatrem. Zamrugła. Na ziemi leżały dachówki, kawałki szyb, garnki, kawałki cegieł i mnóstwo innych śmieci. Mniejsze przedmioty unosił wiatr podobnie jak ten mały domek, który właściwie nie był domem, ale leciał na wietrze, a po jednej stronie zwisali ludzie i krzyczeli wśród wycia wichury. Maggie miała wrażenie, jakby nagle znalazła się w świecie *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. Gdy biegła, jeden z mężczyzn zapytał, czy nic jej nie jest, ale dziewczyna go zignorowała – to przecież nie działo się naprawdę.

* * *

Dot i Alf nie położyli się przez całą noc. Oni i jeszcze troje lokatorów, wszyscy w szlafrokach, siedzieli w kuchni. Wichura zdarła połowę dachu, jak powiedziała Dot, teatralnie wymachując rękami, a z komina została tylko kupka cegieł na podwórzu. Gospodyni nalała do miski wrzątku i dodała TCP, od której woda zmętniała i zbielała. W innych okolicznościach, stwierdziła, gdy przemywała skaleczenia na głowie Maggie oraz otarcia na dłoniach i kolanach, zastanawiała się, dlaczego młoda dziewczyna nie wróciła do domu o przyzwoitej porze, ale przecież widać, że to przez burzę. I jeszcze te dachówki i odłamki latające we wszystkie strony – prawdziwy cud, że Maggie nie odniosła gorszych ran, właściwie to prawdziwy cud, że w ogóle udało się jej wrócić cało do domu. Przyjaciółka Dot, pani Hallam, która mieszka niedaleko, w Burngreave, byłaby już na tamtym świecie, gdyby Kenny nie kazał jej włożyć kasku, gdy poszła do przybudówki na podwórku. Co za wicher. Dot zmieniła różową od krwi wodę i dołała więcej środka aseptycznego. TCP wywoływało pieczenie, ale Maggie to nie obchodziło. Szklarnia Alfa została rozbita w drobny mak, jak oznajmiła gospodyni, wiatr cisnął szklaną konstrukcją prosto do ogrodu sąsiadów. Maggie milczała. Nie odezwała się, odkąd weszła do domu, ale w zamieszaniu wywołanym dziurą w dachu i w oburzeniu na zniszczenie szklarni Alfa nikt tego nie zauważył. Dot po raz kolejny opróżniła miskę i dopiero teraz, przechyliwszy głowę, uważniej przyjrzała się Maggie.

– Zrób herbaty, Alf – nakazała. – Dziewczyna jest w szoku.

Może Maggie była w szoku, ale wiedziała, że chce tylko, aby przestało ją boleć. Nie czuła tego, gdy biegła, jednak teraz ręce i kolana miała pozdzierane, głowa bolała ją z boku i z tyłu, ale najbardziej martwiła się pulsowaniem i pieczeniem między nogami.

– Chodź, maleńka. – Dot pomogła jej wstać. – Dobrze, że twój pokój jest od frontu, tam nie ma takich zniszczeń. Pomogę ci się położyć.

A potem, zanim pomogła Maggie wspiąć się na schody, zawołała jeszcze przez ramię:

– Przynieś herbatę na górę, Alf!

Kiedy dotarły do pokoju, Maggie usiadła na łóżku. Była tak szczęśliwa, że wreszcie tutaj dotarła, że zaczęła płakać.

– Nie daj się, kochana – powiedziała Dot. – No, już. Gdzie masz koszulę nocną?

Pomogła Maggie zdjąć sukienkę i zamarła. Maggie podążyła za jej spojrzeniem i napotkała to, co tak wstrząsnęło Dot. Siniaki, większe niż półkoronówka, rozdarte majtki, smugi krwi i poszarpane pończochy.

Maggie zaczęła drzeć, zęby jej szczękały i skuliła się w ciasny kłębek. Dlaczego nie pamiętała, co się stało?

Rozległo się pukanie i pytanie Alfa:

– Mogę wejść?

Dot stanęła w drzwiach.

– To nazywasz herbatą? – warknęła. – Słaba jak siki starej panny. – Potem

jednak głos jej się załamał. – Zrób mocniejszą, dobrze? – Prawie zamknęła drzwi, ale zaraz je otworzyła i zawołała do męża: – Alf? Dorzuć kilka kostek cukru.

Rozdział 19

Jonathan podrzucił Fionę do Lucy i obiecał, że do powrotu żony postara się zapakować przynajmniej część prezentów. Ledwie wszedł do domu, zadzwonił telefon. Jego prawniczka, jak obiecała, chciała mu przekazać najnowsze wieści, ale tak naprawdę nie wiedziała nic nowego.

– Komisje dyscyplinarne odrzucają takie sprawy nieustannie – zapewniła niemal radośnie. – Słabe dowody przedstawione przez niechętnych do ryzyka policjantów, którzy wolą nie podejmować żadnych decyzji. Trzeba po prostu przeczekać.

– Możemy coś zrobić, żeby to przyśpieszyć?

– Nie, obawiam się, że trzeba tylko czekać. Odezwę się po świętach, a na razie proszę się nie przejmować i cieszyć Bożym Narodzeniem.

Jonathan przejrzał kolekcję płyt CD, aby znaleźć coś głośniego do słuchania przy pakowaniu prezentów, może Led Zeppelin albo Deep Purple, coś, co oderwie myśli od Ryana Jenkinsa i Chloé Nichols. Wybrał Led Zeppelin, wsunął płytę do odtwarzacza i maksymalnie zgłośnił, aby ostra gitara i mocna perkusja wypełniły pokój. Zdążył tylko położyć kolorowy ksylofon na środku arkusza ozdobnego papieru, kiedy przerwało mu głośnie pukanie w okno.

Jonathan wyłączył muzykę i otworzył drzwi.

– Przepraszam! – powiedział stojący na ganku mężczyzna. – Dzwoniłem, ale...

Uśmiech miał szeroki i pozornie szczery, krzaczaste brwi i nieco rozbiegane oczy. Był wzrostu Jonathana, wyglądał na mniej więcej pięćdziesiąt lat i nosił ciemną impregnowaną kurtkę z ćwiekami, klapami i sporą liczbą kieszeni. Zbyt niedbały strój jak na świadka Jehowy.

– Pan Robson? – upewnił się nieznajomy.

– Tak?

– Nazywam się Don Hutchinson. – Podał Jonathanowi wizytówkę. – Wiem, że już prawie święta, ale chciałem pana złapać, zanim wszyscy pozamykają się na ferie. Zabiorę panu tylko kilka minut.

Jonathan spojrział na wizytówkę, zawahał się, a potem cofnął od progu.

– Dobrze, proszę wejść.

Hutchinson pachniał lekko miętą i nieznacznie kulał.

– Co mogę dla pana zrobić? – zapytał Jonathan.

– Jestem z wydziału zajmującego się niezamkniętymi śledztwami dotyczącymi przestępstw kryminalnych – wyjaśnił Hutchinson, rozglądając się po pomieszczeniu. – Z policji południowego Yorkshire. Prowadzimy ponowne dochodzenia niektórych starych spraw i możliwe, że pan wyjaśni...

– Nie. – Jonathan stanowczo pokręcił głową. Jeszcze tylko tego mu było

potrzeba. – Nigdy nie miałem wcześniej problemów z policją, zanim zaczął się ten nonsens z pobiciem.

– Możliwe – zgodził się Hutchinson. Był postawnym mężczyzną, solidnym jak bohaterowie z tak twardymi mięśniami, że niemal przebijają skórę przy zaciśnięciu pięści. – Przejdę do rzeczy. – Uśmiechnął się uprzejmie. – Jak wynika z policyjnej bazy danych, pański profil DNA odpowiada częściowo próbce sprawcy kilku przestępstw, w których dochodzenie zostało niezakończony.

Jonathan od razu poczuł się winny i bez wątpienia taką właśnie miał minę – jak dziecko na zebraniu klas, gdy dyrektor obiecuje, że znajdzie winnego jakiejś psoty.

– Przysięgam, że nic nie...

Hutchinson uniósł dłonie.

– O nic nie jest pan oskarżony, panie Robson. To podobieństwo, więc wiadomo, że nie jest pan sprawcą. Zresztą jest pan za młody, niektóre z tych przestępstw zdarzyły się w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

– Pan żartuje!

– Nadzwyczajne, prawda? Analizy stały się tak nowoczesne, że kryminaliści mogą sprawdzać DNA nawet wiele lat po tym, jak dokonano zbrodni, o ile oczywiście dowody zostały zebrane i odpowiednio przechowywane przez ten czas. Chodzi o to... – Hutchinson spojrział Jonathanowi w oczy, co go trochę wytrąciło z równowagi, ponieważ gdy jedno oko patrzyło wprost, drugie wbijało się gdzieś ponad jego lewym ramieniem, jakby sprawdzało, co jeszcze się zdarzy – ...że sprawca tych właśnie przestępstw może być z panem spokrewniony.

Jonathan zmusił się do zrozumienia tego, co właśnie usłyszał.

– Dlatego muszę panu zadać kilka pytań dotyczących pańskiej rodziny. – Hutchinson przeszukał kieszenie swojej kurtki, wyjął pół słoiczka dropów miętowych, po czym wrócił znowu do poszukiwań.

– Co to za przestępstwa...

– Ach, już mam. – Policjant wyjął notes i długopis. – To zajmie tylko kilka minut.

Wziął dropy, oderwał pasek zielonego opakowania, potem sreberka, żeby odsłonić cukierki ustawione rzędem jak opony.

– Miętówkę?

– Nie, dziękuję.

Hutchinson wsunął sobie dropa do ust i pogryzł głośno, zanim otworzył notes i wpisał coś na górze strony.

– A... co ten sprawca właściwie zrobił?

– Obawiam się, że nie mogę... – zaczął Hutchinson, ale zaraz przerwał. – Mógłbym poprosić o szklanę wody?

Jonathan poczuł lekką irytację, chociaż prośba o wodę nie była przecież żadną bezczelnością. Napełnił szklanę. Rękę miał gorącą i śliską.

Hutchinson skinął głową.

– Dziękuję.

Wziął naczynie i opróżnił jej szybko. Zanim Jonathan zapytał o więcej szczegółów, policjant skinieniem głowy wskazał leżącą na stole gazetę.

– Widział pan mecz Liverpoolu? Pierwsza połowa była ciężka, miałem wrażenie, że oglądam, jak wysycha farba.

– Nie widziałem. – Jonathan starał się mówić spokojnie.

Futbol, uniwersalny język facetów, jak twierdziła Fiona. Ale dlaczego ten policjant zwlekał?

– Będę kibicował w środę drużynie Sheffield. Chociaż ostatnio grają jak osły.

– Sheffield? Tam właśnie się urodziłem.

– Naprawdę? – W głosie Hutchinsona pojawiła się teraz czujność. Jedno oko obróciło się na Jonathana, drugie umknęło od obowiązków. – Więc pana rodzina pochodzi z południa?

– Nie, z Sussex. Nie mieszkaliśmy w Sheffield, urodziłem się trzy tygodnie wcześniej, gdy rodzice przebywali u znajomych.

– Czy mieszkali kiedyś na północy?

– O ile wiem, to nie. Proszę posłuchać, czy to przestępstwo, o którym pan wspomniał...

– Hm... – Hutchinson zapisał znowu coś w notesie, po czym wziął kolejnego dropsa i zaczął gryźć. Wyglądał na zaskoczonego.

Jonathan podszedł do zlewu i nalał sobie wody, napił się i odstawił szklanekę.

– Proszę zrozumieć, naprawdę chciałbym wiedzieć, o co dokładnie chodzi.

– Dobrze. – Hutchinson zdjął kurtkę. Pod spodem nosił czerwony sweter i białą niegdyś koszulę. – Mój zespół przegląda stare sprawy, dawne śledztwa, w których zebrano dowody, ale nigdy nikogo nie skazano. Kryminaliści używają tych dowodów do sprawdzenia profilu DNA podejrzanych. A potem, jeżeli próbka DNA pasuje do kogoś, kto już znalazł się w bazie danych... bingo!

– Ale jaki *podejrzany*?

– W tej chwili nie mamy podejrzanego, ale kiedy pana próbka trafiła do ogólnokrajowej bazy danych, okazało się, że częściowo pasuje do już istniejącego profilu, w tym przypadku do mężczyzny, który dokonał przestępstw w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i wczesnych osiemdziesiątych.

– Ale...

– Nie ma dwóch ludzi o identycznym DNA – wyjaśniał dalej Hutchinson. – No, oprócz bliźniąt jednojajowych. Wyraźne podobieństwo pana próbki i próbki sprawcy wskazuje jednak, że mężczyzna, którego szukamy, prawdopodobnie jest z panem spokrewniony. Wszyscy dziedziczymy po połowie DNA od rodziców, a jeśli wziąć pod uwagę różnice wieku między panem i poszukiwanym, zapewne mamy tu do czynienia z...

– Chyba nie chce pan powiedzieć, że szukacie mojego ojca?

– Niekoniecznie. Musimy uwzględnić różne okoliczności, choćby to, czy

podejrzany znajdował się w odpowiednim miejscu i czasie. Na pewno jednak muszę wiedzieć jak najwięcej. I będę musiał porozmawiać z pana ojcem. – Zachowanie Hutchinsona było rzeczowe, bez śladu współczucia.

Jonathan podszedł do stołu bez słowa. Wytarł wilgotne dłonie o dzinsy i usiadł. Przypomniał sobie pochylającego się nad nim Geralda. I cichy gniew ojca, który trząsał całym domem. Jonathan i matka chodzili wtedy na paluszkach, aby nie wywołać fali zalewającego wszystko gniewu. Gerald zawsze był zły, gniew go określał najpełniej. Ale poważne przestępstwo? Nie, do tego nie byłby zdolny.

Hutchinson zerknął znad notesu i wyjął jeszcze dwa dropsy.

– Przepraszam – stwierdził i ponownie zaproponował Jonathanowi poczęstunek. – Rzucam palenie i miętówki mi pomagają. Żona twierdzi, że najlepsze jest żucie gumy, ale tego nie znoszę... – Skrzywił się.

Jonathan nie odpowiedział, nie miał ochoty rozmawiać o uzależnieniu od nikotyny.

– No, to co pan mi może powiedzieć o swoim ojcu? – Policjant spojrzał na Jonathana.

– Umarł. Pogrzeb odbył się dwa tygodnie temu.

Zez Hutchinsona stał się bardziej widoczny.

– Przykro mi.

Przykro mi. Właśnie to się mówiło, gdy ktoś umarł, ponieważ tak właśnie człowiek powinien się czuć.

– Dziękuję, ale nie ma potrzeby. Nie byliśmy blisko.

– Rozumiem...

Hutchinson zadał więcej pytań o Geralda. Zwłaszcza o wyjazdy – na szkolenia, konferencje lub coś podobnego.

– Wyjechał parę razy, gdy byłem dzieckiem – przyznał Jonathan. – Ale zdarzało się to rzadko. Zawsze żałowałem, że nie wyjeżdżał częściej. Podczas jego nieobecności czułem się lepiej.

– Dlaczego? Był trudny? Pił? Używał przemocy?

– Nie, nie był pijakiem. Dlaczego pyta pan o przemoc? Czy on...

– Próbuję sobie tylko wyrobić opinię, nic więcej. Więc jaki był? To znaczy, czy był zdolny do przemocy?

Jonathan poczuł napięcie narastające w głowie. Czy Gerald byłby zdolny do przemocy? Gdy się wspomniało kruchego starca, w jakiego z wiekiem zmienił się ojciec, wydawało się to niemożliwe. Ale Gerald za młodu?

Jonathan odchrząknął.

– Raz uderzył moją matkę. Popchnął ją i matka uderzyła głową o kominek. – Próbował przełknąć, lecz zaschło mu w ustach. – Jednak to był wyjątek. Zwykle ograniczał się do słów, miał bardzo wybuchowy temperament.

Atmosfera w całym domu zmieniała się wyraźnie, gdy coś się Geraldowi nie spodobało – zbyt pognieciona gazeta, za głośno grający telewizor, posiłek za zimny lub za gorący. Kiedyś, gdy Jonathan miał może osiem lat, potrącił fotel

ojca i stojąca na podłokietniku popielniczka spadła na dywan. Gerald spojrzął na rozsypany czarno-szary popiół, hebanową fajkę i przewróconą do góry dnem popielniczkę, po czym wstał, zacisnął zęby i pięści. Jonathan zamarł, szykując się na uderzenie laską stojącą zawsze obok fotela. Lecz po długim milczeniu Gerald po prostu wyszedł sztywno z pokoju – oczy miał pociemniałe z gniewu, emanowała od niego złowroga cisza.

– Proszę mi powiedzieć tak po prostu, co zrobił.

Hutchinson popatrzył na Jonathana i tym razem oboje oczu wydawało się mierzyć w tym samym kierunku, co okazało się jeszcze bardziej denerwujące.

– Uważa pan, że to pański ojciec?

– Nie, chciałem tylko... Och, na litość boską, skąd mam wiedzieć? – Jonathan znowu wstał. – Co niby mam myśleć?

Hutchinson westchnął, sięgnął po dropsy, ale zaraz zmienił zdanie.

– Najpierw ustalmy fakty. Wiemy, że pana ojciec wyjeżdżał, gdy był pan dzieckiem. A potem? Czy wyjeżdżał również, gdy był pan nastolatkiem albo gdy miał pan około dwudziestu lat? Czy ojciec wtedy też bywał poza domem?

– Przykro mi, nie mam pojęcia. Staralem się go wtedy unikać.

W pokoju zapadła cisza, gdy Hutchinson zapisywał to w notesie.

– Proszę posłuchać, nawet jeżeli to mój ojciec popełnił przestępstwo, czy już nie za późno na dochodzenie prawdy?

– Może się tak wydawać. – Hutchinson zamknął notes. – Zwłaszcza gdy w sprawie nie pojawiło się nic nowego przez trzydzieści lat. Ale tutaj nie chodzi o złapanie sprawcy, nie po tak długim czasie. Chodzi o spokój umysłu. Nie lubię określenia „zadośćuczynienie”, ale właśnie ono najbardziej pasuje. Jeżeli możemy ustalić, kto był odpowiedzialny, nawet jeżeli sprawca już nie żyje, przynajmniej zamkniemy dochodzenie. Nikt też nie będzie mógł uznać, że uda mu się uniknąć złapania. – Wstał. – Dziękuję za pańską pomoc.

Uścisnęli sobie ręce.

– Więc nie powie mi pan?

Hutchinson uśmiechnął się lekko.

– Czego nie powiem?

– Jakże to były przestępstwa, o które podejrzewa pan mojego ojca. Nie mam prawa wiedzieć?

– Obawiam się, że nie. Przynajmniej dopóki nie zyskam pewności, że chodzi właśnie o pańskiego ojca. A to mi przypomina... Gdzie znajdę pana matkę?

Rozdział 20

Rankiem po burzy Maggie zwlokła się boleśnie z łóżka. Tył głowy jej pulsował, sińce na ramionach i udach również. Jeden czuła na piersi, więc rozwiązała sznurek przy dekolcie, żeby zobaczyć. Ślad był czerwony, przypominał znamię pourodzeniowe, ale z półksiężycowymi mniejszymi śladami i ciemniejszą plamą w środku. Maggie wstrzymała oddech. Ten siniak wyglądał jak... nie, niemożliwe. Przesunęła palcami po półksiężycowych śladach, były lekko opuchnięte i zaczynał się tworzyć strup. Dziewczynie do oczu napłynęły łzy, gdy zrozumiała, co to za ślady – od ugryzień. Zdawało się jej, że w uszach słyszy tylko szum krwi i swój płytki, urywany oddech. Miała ochotę uciec, choć wiedziała, że to bez sensu, bo przecież znajdowała się u siebie, bezpieczna we własnym pokoju. Maggie zmusiła się do wzięcia głębokiego oddechu. Potem kolejnych. Poczowała się trochę lepiej. Napiła się wody zostawionej na stoliku nocnym i ponownie spróbowała sobie przypomnieć, co się stało po tym, jak Jack ją pocałował.

Skupiała się tak mocno, że niemal bolało. Sprawdzała zakamarki pamięci, jednak niczego nie znalazła.

Włożyła szlafrok. Dochodziła dziewiąta i Maggie powinna się już przygotować do pracy, jednak myśl o pójściu do teatru, jakby nic się nie stało... I co miałyby powiedzieć Jackowi?

– Maggie, kochana! – zawołała ze schodów Dot. – Jest tu dziewczyna z teatru. Telefony nie działają, więc musi zawiadamiać wszystkich osobiście. W każdym razie następne przedstawienia są odwołane, więc możesz zostać w domu do odwołania.

– Dziękuję, Dot – odpowiedziała Maggie.

Dzięki Bogu, nie musiała dzisiaj wychodzić... I tak nie mogłaby, po prostu nie mogła...

– I przygotowałam dla ciebie kąpiel, kochana, bezwarunkowo. Jak się już oporzędzisz, zejdź i dotrzyмай mi trochę towarzystwa, dobrze? Wkrótce zaparzę herbatę.

Myśl o kąpeli i filiżance gorącej herbaty w kuchni Dot wydała się dziewczynie najwspanialszym pomysłem na świecie.

– Tak, chętnie! – odpowiedziała Maggie. Starła się nie rozplakać. – Dziękuję!

* * *

Wyglądało na to, że całe Sheffield ucierpiało od nocnej wichury, która

przetoczyła się i narobiła szkód w mieście. Dot od świtu była na ulicy i wraz z innymi kobietami zmiatała śmieci i gruz, jakie pozostawił żywioł, a przy okazji zbierała wieści, gdzie się dało.

– Wszystko wygląda jak pobojuwisko. – Gospodyni postawiła czajnik na ogniu. – W radiu powiedzieli, że ponad połowa domów w Sheffield została zniszczona. Baraki w Heeley zwały się jak domki z kart, przynajmniej tak twierdzi nasz pan Tolley, bo jego mama mieszka w tamtej okolicy. Ludzie stracili domy, wielu zostało rannych, niektórzy nawet zginęli, a przynajmniej tak słyszałam.

Maggie zadrżała. Podczas kąpieli odkryła, że nie tylko czuje ból, ale też krwawi lekko spomiędzy ud, ale cieszyła się, że żyje.

Dot spojrzała na nią uważnie.

– Jeśli chodzi o ostatnią noc, dziewczyno. Telefon jeszcze nie działa, ale zastanawiałam się, czy nie chciałabyś zadzwonić do mamy. To znaczy jak tylko będzie naprawiony.

– Nie. – Maggie pokręciła głową. – Nie, dziękuję.

– Miałaś ciężkie przeżycia, maleńka. Na pewno twoja mama chciałaby usłyszeć, że żyjesz. Mogę do niej zadzwonić w twoim imieniu... – Gospodyni popatrzyła wyczekująco.

– Nie... To znaczy dziękuję, ale moja matka nie żyje. Umarła, gdy miałam szesnaście lat.

Gdyby mama żyła, co Maggie by jej powiedziała? Zdaje się, że straciłam dziewictwo, ale nie pamiętam, jak to się stało?

– Och, przykro mi to słyszeć, kochana. A kto został w domu rodzinnym? Twój tata?

Maggie widziała, jak Dot przegląda listy, które przyszły do najemców. Gospodyni wkładała wtedy okulary, żeby przeczytać stemple pocztowe. „Jeden dla ciebie, maleńka, z Sussex. A pan Tolley dostał kolejny list z Manchesteru”.

Maggie znowu pokręciła głową.

– Mam tylko brata.

– Cóż, powinnaś mu powiedzieć, że zostałam ranna podczas burzy. Może zechce przyjechać. Pozwoliłabym mu zająć pokój na tyłach na kilka nocy. Musiałby zapłacić parę szylingów za śniadanie i podobne, ale...

– Nie, Dot. Dziękuję za propozycję, ale nie ma potrzeby.

Dot zamyśliła się.

– Może... – zauważyła łagodnie. – Wiem, że to nie moja sprawa, ale... – Pochyliła się, żeby zamieszać herbatę, postukała łyżeczką w brzeg kubka, potem podniosła oczy na Maggie. – Pomyślałaś, żeby pójść na policję, kochana?

Maggie nie odpowiedziała. Zastanawiała się, czy nie pójść na policję. Jack ją zgwałcił, Maggie była już tego pewna. Miała siniaki i skaleczenia, a do tego krwawiła spomiędzy ud, ale jak mogłaby zgłosić to na policję, skoro nie pamiętała, co właściwie się stało. Policjanci tylko by ją wyśmiali. Westchnęła.

– Nie – szepnęła ledwie słyszalnie.

Dot pokiwała głową.

– Skoro się już odświeżyłaś, kochana, czemu nie usiądziesz na trochę i nie odpoczniesz? Lepiej, żebyś nie siedziała sama w pokoju, nie po uderzeniu w głowę. Z głową różnie się może stać. Chodź, dziewczyno. – Skinieniem głowy wskazała krzesło przy palenisku. – Usiądź przy ogniu, rozgość się. Zrobię więcej herbaty, jak skończę na zewnątrz.

Maggie rzeczywiście czuła się nieco rozchwiana. Oprócz siniaków i śmienia miała też guza wielkości śliwki oraz rozcięcie za uchem, zapewne skaleczenie od spadającej dachówki. Może powinna odpocząć dzień lub dwa.

– Dobrze, Dot, Dziękuję.

Kiedy gospodyni nie wystawała z miotłą przed frontowymi drzwiami i nie plotkowała z sąsiadkami, robiła kanapki Alfowi i jego bratu. Mężczyźni starali się prowizorycznie naprawić dach. W przerwach parzyła herbatę, dodawała mleka i siadała z Maggie, aby wypalić kolejnego papierosa. Z paczki ubywało ich w zastraszająco szybkim tempie. Maggie z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że dobrze jej się siedzi w ciepłe i tylko słucha nowin. Próbowwała też wymyślić, co powiedzieć Jackowi, gdy go zobaczy.

Dot nie pytała wprost, ale wyraźnie chciała skłonić Maggie do mówienia, a Maggie czuła, że gospodyni trochę się jednak należy, choć odrobina rozmowy.

– Nie wyobrażasz sobie, co widziałam ostatniej nocy – powiedziała po trzeciej filiżance herbaty. – Pewnie to po uderzeniu w głowę, ale wydawało mi się, że widziałam mały dom niesiony wiatrem.

Dot wyglądała początkowo na oburzoną, ale zaraz uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Och, to nie był dom. Pani Bowden, moja przyjaciółka, słyszała, jak chłopcy z odlewni o tym rozmawiali. Jej Frank, on był na porannej zmianie. Podobno wiatr porwał cały garaż z blachy, a połowa ulicy za nim pogoniła. Chciałabym to zobaczyć – zachichotała i zapaliła kolejnego papierosa. – W radiu mówi się, że to huragan. Dotarł tylko do Sheffield i musnął Chesterfield. – Pokręciła głową. – Nigdy czegoś takiego nie widziałam, przysięgam na Boga, nigdy. Garaż lecący nad ulicą. Pewnie myślałaś, że zwariowałaś, co?

Rozdział 21

Po kolacji wigilijnej zapakowali prezenty dla rodziny Fiony do torby na pranie, którą trzymali właśnie do tego celu. Gdy Jonathan pogodził się z tym, że odwiedzą rodziców Fiony, nie mógł się już doczekać. Jednak wizyta policjanta trochę go rozstroiła. Matka na Boże Narodzenie wyjechała do siostry, do Edynburga, ale Hutchinson chciał z nią porozmawiać zaraz po powrocie.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Jonathan żonę. – Powiniennem zadzwonić do ciotki czy poczekać, aż matka wróci?

– Myślę, że powinieneś poczekać – doradziła Fiona. – Po co ją teraz martwić?

– Hutchinson chce się z nią spotkać sam na sam, stwierdził, że może są sprawy, o których „trudno będzie jej mówić” w mojej obecności.

– Możliwe, że ma rację. Nie chcesz być tam razem z nim, prawda? Masz, potrzyмай to, dobrze?

Przytrzymał krawędzie torby, żeby Fiona mogła zapiąć zamek.

– Pewnie nie. Ale nie chciał nawet, żebym ją uprzedził o jego wizycie. Przecież nie mogę pozwolić, żeby pojawił się tak bez zapowiedzi, prawda? To znaczy prawie przyznał, że mój ojciec był brutalnym przestępcą. Jak przyjmie to matka?

Fiona przerwała to, co robiła, i odgarnęła pasemko włosów z czoła. Wyglądała na zmęczoną. Chyba od wieków Jonathan nie widział, żeby się śmiała.

– Ale to tylko prawdopodobne, że ta sprawa może mieć związek z twoim ojcem?

– Dość prawdopodobne, jak powiedział Hutchinson. Wydaje się to całkiem wiarygodne, nie uważasz?

– Nie wiem. – Spuściła głowę i dopięła zamek. – Ale jeżeli teraz zadzwonisz do matki, zepsujesz jej święta. Będzie chciała jak najszybciej wrócić do domu. Lepiej będzie porozmawiać później.

– Racja. – Jonathan położył wypchaną torbę na podłodze.

– Niech ten Hutchinson porozmawia z twoją matką po jej powrocie z Edynburga, a potem będziesz mógł ją odwiedzić, gdy już wszystko sobie przemyśli. – Fiona odsunęła krzesło i usiadła. – Przecież ten policjant nie przyjdzie tak po prostu i nie rzuci jej tych podejrzeń w twarz, prawda? To starsza pani.

– Właśnie to mu powiedziałem. Zapewnił, że nie zachowa się jak gbur, ale taką ma pracę. – Jonathan westchnął i usiadł naprzeciw żony. – A przez to, że chodzi o DNA, będę musiał powiedzieć matce, że zostałem aresztowany. Na pewno będzie chciała wiedzieć, skąd policja miała moje DNA.

Fiona pokręciła głową i westchnęła.

– Naprawdę myślisz... Chodzi mi o to, czy *naprawdę* uważasz, że policja szuka właśnie twojego ojca?

– Początkowo uznałem, że to niemożliwe, ale na podstawie tego, co Hutchinson powiedział o DNA... istnieją spore szanse.

Gdy zastanawiał się, co to właściwie znaczy, miał wrażenie, że w piersi otwiera mu się wielka czarna dziura.

Fiona znowu westchnęła.

– Nieszczęścia chodzą parami, co?

Jonathan podszedł i położył jej dłoń na ramieniu, ale żona wstała.

– Idę na górę – oznajmiła.

– Jest dopiero wpół do dziesiątej, myślałem...

– Jutro czeka nas długi dzień. – Ruszyła do drzwi, jakby na barkach dźwigała wielki ciężar. – Zresztą jestem zmęczona. Do zobaczenia w łóżku.

Jonathana zalała fala rozczarowania. Zwykle w wigilijny wieczór wymieniali prezenty, spędzali ten czas tylko we dwoje, zanim pogrążą się w radosnym świętowaniu u rodziców Fiony lub w sztywnych, opanowanych odwiedzinach u rodziców Jonathana.

Usiadł ciężko. Zawsze cieszyły go święta z rodzicami Fiony, przyjemny chaos, ciepło Jean, zatłoczona kuchnia, wesołe „wypijmy coś rozgrzewającego na wieczór” Nicka, co oznaczało wypicie whisky lub dwóch. Ale to było ostatnie Boże Narodzenie bez dziecka i Jonathan miał nadzieję, że spędzą je we dwoje. Fiona wydawała się chętna – do pewnego wieczoru. Gdy Jonathan zaczął planować, co przygotowuje – wołowinę pieczoną z chrzanem, ziemniaki i sos z czerwonego wina, a potem pudding świąteczny ze świeżych fig oraz z własnoręcznie przygotowanym kremem – dostrzegł, że żona wcale się nie cieszy.

– O co chodzi? – zapytał.

– Wspaniały plan, Jonno, ale... – Westchnęła. – Nie miałbyś nic przeciwko temu, żebyśmy jednak poszli do rodziców?

– Ale myślałem...

– Po prostu tyle się wydarzyło... Myślę, że obojgu nam dobrze zrobi oderwanie się od znajomego otoczenia.

Jonathan chciał się nie zgodzić, ale wtedy Fiona dodała:

– I wiem, że to zabrmi głupio albo dziecinie, ale czuję, bo ja wiem... Czuję, że potrzebuję mamy.

Mimo to Jonathan założył, że przynajmniej wieczorem będą świętować jak poprzednio. Ale nadeszła Wigilia, a Fiona znikła w sypialni. Kuchnia wydawała się bez niej pusta i zimna. Jonathan poczuł się beznadziejnie. Zza ściany dobiegł stłumiony śmiech z telewizji, lodówka zaburczała, po czym wróciła do pomrukiwania. Jonathan też powinien był pójść do sypialni, ale wiedział, że nie zaśnie, więc powlókł się do salonu. Pachniało tu świętami – sosnowo od drzewka i cytrusowo od pomarańczy. Jonathan włączył telewizor i położył się na sofie, żeby pooglądać, jak jakiś kucharz celebryta wsuwa

półfuntowe kawałki masła do indyka i mówi widzom, że święta Bożego Narodzenia to nie pora, aby martwić się atakiem serca, potem kamera pokazała przytulną kuchnię i kobietę w zielonym swetrze z głębokim dekoltem, która między ozdabianiem lukrem babeczek chyba pieściła się kciukiem.

Jonathan chwycił pilota i wyłączył odbiornik. Kiedy tak leżał, powieki mu opadły. W domu zapadała cisza. Jonathan był zbyt śpiący, aby kontrolować swoje myśli, ale nie dość śpiący, aby pogrążyć się w nieświadomości, a w pobudzonym umyśle pojawił się ojciec jako wcielenia zabójców z Yorkshire, od Kuby Rozpruwacza po doktora Crippena.

Wydostanie się z tej ziemi niczyjej wymagało niemal nadludzkiego wysiłku, ale Jonathan zmusił się do otwarcia oczu. Wstał i zapalił lampę, w nadziei że światło przepłoszy upiory czające się w zakamarkach jego umysłu. W kuchni nalał sobie szklanekę mleka. Upił łyk i zaraz wypluł wszystko do zlewu – kwaśny, zgniły smak przywrócił go do rzeczywistości.

– Pieprzyć to – mruknął.

Przeszukał torby przy drzwiach, aż znalazł porto, które mieli zabrać jutro do rodziców Fiony. Nalał sobie hojnie i wrócił do salonu. Prezenty dla obojga nadal stały pod choinką ozdobioną złotymi bombkami i światełkami. Jednak chociaż Jonathan długo spoglądał na drzewko, nie potrafił wzbudzić w sobie świątecznej radości.

Rozdział 22

Była niedziela, więc nie odbywało się przedstawienie, a Maggie siedziała przy stole roboczym, na którym stała wielka puszka skorupek jajek. W sztuce zapowiedzianej na przyszły tydzień główna bohaterka przygotowywała ciasto i musiała pokazać, że wbija do miski dwa jajka. W tygodniu odbywały się trzy przedstawienia, czyli trzeba by zużyć sporo jajek. Właśnie dlatego cały zespół przynosił skorupki, a zadaniem Maggie było je skleić, tak aby wyglądały jak prawdziwe jajka. Dziewczyna opanowała to już po mistrzowsku – brała połówkę skorupki, wsuwała ją w drugą, a potem maczała pędzelek w białku i наносiła je w miejscu złączenia. Teraz wystarczyło tylko, aby wszystko zaschło i sklejoną skorupka wyglądała jak jajko. Maggie uspokajała się przy tej pracy. Członkowie trupy powtarzali jej, że jest najlepszą asystentką, jaką poznali, a jej chęć do pracy robiła chyba na wszystkich wrażenie, dlatego dziewczyna starała się teraz ignorować skurcze w żołądku na widok wyjątkowo grubego pasma albuminy na jednej ze skorup. Skupienie się na pracy pomagało też nie myśleć o Jacku. Kiedy teatr został otwarty ponownie po burzy, Clive posłał kogoś do domu, gdzie Jack wynajmował pokój, ale gospodyni wyjaśniła, że lokator wyjechał. Zapłacił czynsz do końca miesiąca i wyprowadził się zaraz potem.

– Ha! – stwierdziła Vanda, gdy to usłyszała. – Tak samo zrobił w Leeds, zniknął bez pożegnania.

Początkowo Maggie czuła ulgę, że nie będzie musiała z nim rozmawiać, ale potem ogarnął ją gniew. Jak ten mężczyzna śmiał jej to zrobić, a potem po prostu zniknąć? Jak mógł zostawić ją pobitą i zakrwawioną? Przez chwilę zastanawiała się w głębi duszy, czy się myli, czy istniało inne wyjaśnienie podartych ubrań i poranionego ciała. Część tamtej nocy nadal pozostawała niewiadoma, ale od czasu do czasu, gdy Maggie najmniej się tego spodziewała, w pamięci pojawiały się przemykający obraz albo dźwięk, który sprawiał, że zaczynała drzeć, dopóki nie zniknął. Gardło jej się wtedy zaciskało, a do oczu napływały łzy, ale nie zamierzała płakać, *nie*.

Jimmy stał na drabinie i pogwizdywał, malując scenę do nowego przedstawienia. Zrobił dopiero pierwsze pociągnięcia, które maskowały czerwień i złoto z poprzedniej sztuki rozgrywającej się w wiktoriańskim salonie. Nie było jeszcze widać, co zostanie pokazane tym razem, ale kiedy Jimmy skończy, na pewno trudno to będzie odróżnić od rzeczywistości.

Maggie wzięła kolejną połówkę skorupki i już miała przymocować ją do drugiej, gdy dostrzegła czerwoną smugę krwi w kleistych pozostałościach białka. W brzuchu jej zaciążyło. Upuściła skorupkę, zerwała się na równe nogi i pognęła do najbliższej toalety, gdzie wyrzuciła z siebie śniadanie. Kiedy

wracała, wszystko wydawało się powiększone i o wiele za jaskrawe. A potem nastąpiło coś jeszcze bardziej zaskakującego – Maggie zdała sobie nagle sprawę, że siedzi na drewnianej podłodze i opiera się o poutrącaną nogę stołu, a na kolanach ma poobijaną puszkę po herbatnikach. Jednak osiem skorupek było już sklejonych, chociaż dziewczyna pamiętała, że złączyła tylko trzy. Potrząsnęła głową. Może odpłynęła myślami? Ale w pamięci miała tylko pustkę. Nieważne, jak bardzo się starała, nie potrafiła sobie przypomnieć ostatnich... ile czasu minęło? Rozejrzała się jak wyklute dopiero co pisklę. Powierzchnia, którą malował Jimmy, była odmieniona. Widniała na niej pełna sprzętów wiejska kuchnia z dębowym kredensem po jednej stronie i poczerniałym piecem po drugiej. Na malowanej ścianie wisiały malowane garnki i sprzęty kuchenne, na płycie stał duży czajnik. Jimmy namalował nawet kwiatowy wzór na talerzach w szafce – był artystą, geniuszem. Maggie rozejrzała się, ale nigdzie nie dostrzegła chłopaka, a kiedy podeszła do dekoracji i dotknęła jej palcem, przekonała się, że malunek jest bezwzględnie suchy.

* * *

Przez następne kilka dni Maggie czuła się coraz gorzej. Nieustannie miała wrażenie oderwania się od rzeczywistości, a poprzedniego dnia zemdłała. Podobnie musiało się stać wtedy, gdy sklejała skorupki. A Vanda chyba ją ostrzegła, że Jimmy lubi robić innym psoty? Podobno zawsze zszywał aktorom końce nogawek spodni, w których mieli wystąpić, albo wsypywał im do rękawiczek suszony groszek. Pewnie posklejał skorupki, gdy Maggie była nieprzytomna, tylko po to, żeby poczuła się niepewnie.

Niedługo po incydencie ze skorupkami jajek, gdy Maggie prała bieliznę i drobne ubrania w piwnicznej łazience domu, gdzie wynajmowała pokój, znowu to się powtórzyło. Był to dzień, gdy Dot robiła pranie i stara pralka warkotała w kącie wilgotnego i zaparowanego pomieszczenia. Gospodyni wyjmowała pozwijane prześcieradła z mydlin i wrzucała do balii z czystą wodą, aby je przepłukać. Od czasu do czasu stękała z wysiłku. Maggie stała przy kamiennym zlewie i wyciskała pończochy. A potem nagle ocknęła się w łóżku, całkowicie ubrana i z załamioną twarzą. A Dot waliła w drzwi i wołała jej imię.

Maggie zatoczyła się i otworzyła drzwi, czysty zapach mydła wypełnił pokój.

– W czym problem, malutka? – Twarz gospodyni była zarumieniona od prasowania, starsza kobieta dyszała od wysiłku po pokonaniu schodów.

– Nie wiem... – odpowiedziała Maggie powoli. Nie wiedziała, która jest godzina i co właściwie powinna robić.

– Musiałaś mieć jeden ze swoich ataków – stwierdziła Dot. – Wydawałaś się trochę roztrzęsiona, więc pomyślałam, że do ciebie zajrzę i sprawdzę, ale gdy

tylko podeszłam do drzwi, usłyszałam taki rozdzierający płacz. Wyłaś jak dziecko, ot co. Powinnaś pójść do doktora, jeśli mogę zauważyć, masz stargane nerwy.

Rozdział 23

Rankiem w Boże Narodzenie ledwie ze sobą rozmawiali. Fiona stwierdziła, że Jonathanowi na pewno nie wywietrzało jeszcze wczorajsze porto, więc wzięli jej samochód. Jonathan nawet nie mógł się spierać. Żona prowadziła z zaciśniętymi zębami, kierownicę trzymała tak kurczowo, że pobiełały jej kłykcie, a oczu nie odrywała od drogi.

– Naprawdę cię przepraszam – zaczął Jonathan jeszcze raz.

– Jasne. – Wzruszyła ramionami.

Wymienili się prezentami przed wyjazdem, ale Fiona nie założyła podarowanej bransoletki. A kiedy Jonathan wręczył jej *Aksamitnego Królika*, ulubioną książkę dla dzieci, której szukała od lat, ledwie się uśmiechnęła. Sama kupiła Jonathanowi komplet czternastu filmów Hitchcocka na DVD.

– Fantastycznie. – Uśmiechnął się, gdy je rozpakował. W pierwszy weekend, jaki spędzili razem, w telewizji nadawano maraton filmów Hitchcocka. Fiona i Jonathan oglądali je, nie wychodzili z łóżka, kochali się i żywili słodyczami. – To cudowny prezent i wiem, że na niego nie zasłużyłem.

Popatrzył Fionie w oczy, szukając błysku na wspólne wspomnienie, ale żona tylko spojrzała na zegarek, dając do zrozumienia, że muszą się pośpieszyć, po czym sięgnęła po płaszcz.

Dojazd do domu jej rodziców zajął tylko godzinę. Cisza w samochodzie wydawała się głęboka jak krater, w którym słowa Jonathana spadały i znikały.

* * *

Świąteczny nastrój u Nicka i Jean oznaczał, że Fiona i Jonathan musieli się postarać. Udało im się w miarę radośnie przejść przez lunch i grę w małego detektywa z Noah i Molly. Potem wszyscy usiedli, żeby obejrzeć film *To wspaniałe życie*, a Jonathan odetchnął z ulgą, że nie musi się już ciągle uśmiechać. Zerkał na żonę, ale Fiona nie chciała na niego patrzeć, więc zrezygnował i próbował skupić się na oglądaniu. Bohater grany przez Jamesa Stewarta, przekonany, że byłoby lepiej, gdyby nigdy się nie urodził, właśnie miał się rzucić z mostu, gdy wtrącił się Clarence, jego anioł stróż. Jonathan pomyślał, że gdyby znalazł się w takiej sytuacji i nawet miał jowialnego skrzydlatego strażnika, to pewnie anioł stróż powiedziałby tylko, żeby podopieczny sobie nie przeszkadzał i skoczył.

Tamtego ranka, w Boże Narodzenie, Fiona obudziła się wcześniej, więc znalazła opróżnioną do połowy butelkę, gdy tylko zeszła do kuchni. Wróciła wściekła do sypialni, kiedy Jonathan właśnie wstawał.

– Ty samolubny draniu! – krzyknęła.

W oczach lśniły jej łzy, ale Jonathan w tamtej chwili zupełnie nie miał pojęcia, o co chodzi.

– Masz pojęcie, ile to kosztowało? – Fiona uniosła butelkę z resztkami porto.

– E... nie...

– Prawie pięćdziesiąt funtów!

– Aż tyle? Dlaczego...

– Kupiłam dla taty na urodziny!

Jonathan spojrział na nią przytomniej. Zupełnie zapomniał, że Nick ma urodziny tuż po Bożym Narodzeniu.

– O Boże, przepraszam. Nie zdawałem sobie sprawy, że to specjalny trunek. Myślałem, że zabieramy go jak butelkę wina.

– Przecież ci powiedziałam, że wybrałam to porto specjalnie dla taty!

Dopiero wtedy Jonathan przypomniał sobie, że rzeczywiście mu powiedziała, ale był tak pochłonięty spisywaniem przez policję, wizytą Hutchinsona i próbkami DNA, że słowa Fiony wyleciały mu z głowy.

– Co cię opętało? – zapytała Fiona.

Oczywista odpowiedź, że sporo starego porto, raczej nie zostałaaby przyjęta dobrze, więc Jonathan przezornie milczał.

Po obejrzeniu filmu spędzili czas na torturach gry w szarady, a potem na spacerze z Lucy, Mattem i dziećmi, podczas gdy Jean przygotowywała kolację z zimnego indyka, gotowanych ziemniaków i pikli. Po kolacji Fiona wypła dwie lampki czerwonego wina i zaczęła płakać, że to zaszkodzi dziecku. Postanowiła więc pójść do łóżka, a Jonathana zostawiła, aby wymyślił wiarygodne wyjaśnienie jej zachowania.

* * *

W drugi dzień świąt zebrali się do wyjazdu po lunchu. Tym razem prowadził Jonathan.

– No, miłe święta, prawda? – powiedział, gdy skręcili na dwupasmówkę.

– Tak.

– Dzieci chyba świetnie się bawiły.

– Na to wygląda.

– A Lucy i Matt są w dobrej formie.

– Mmm.

Jonathan zerknął na Fionę, ale ona patrzyła w okno. Chciał się znowu odezwać, ale jej milczenie wypełniło samochód jak piana, więc zrezygnował.

Kiedy podjechał pod dom i już miał zaparkować obok swojego wozu, dostrzegł głęboką rysę biegnącą wzdłuż karoserii, jakby przeciągnięto po lakierze śrubokrętem albo kluczem. Jonathan wysiadł i pochylił się, żeby ocenić szkody. Przeciągnął palcem po poszarpanej blasze.

– O Boże. Kto mógłby zrobić coś takiego? – zdziwiła się Fiona.

Jonathan zawahał się. Nie miał pewności, ale przecucie podpowiadało mu, że Ryan Jenkins miał z tym coś wspólnego.

Fiona zmarszczyła brwi.

– Myślisz, że to ten dzieciak, prawda?

– Możliwe.

– Ale przecież nie wie, gdzie...

I wtedy Jonathan sobie przypomniał.

– Jakiś czas temu przechwalał się w klasie, jak to łatwo znaleźć adres w Internecie, gdy zna się nazwisko i okolicę, a niedługo potem widziałem go w Greenwich Market.

Fiona chyba wątpiła. Jonathan zaczął się już zastanawiać, czy nie popada w paranoję, ale wtedy dostrzegł, że żona zerknęła na ulicę, zanim ruszyła do domu.

Rozdział 24

Poczekalnia była ciemna i wyglądała obskurnie, z nierównych ścian obłaziła byle jak nałożona farba. Recepcjonistka okazała się również żoną lekarza, a według Dot, która sporo o nich wiedziała, dom służył nie tylko jako przychodnia, lecz także jako mieszkanie małżonków. Doktor Sarka, jak powiedziała, jest kolorowy, ale bardzo miły, a jego żona, Herta, stateczna Niemka w średnim wieku, należała do osób raczej szorstkich.

Herta rejestrowała pacjentów w kącie przy koślawym biurku z ciemnego dębu. Od czasu do czasu rzucała karcące spojrzenie zza rogowych okularów, żeby uciszyć kaszlące dziecko. Kobieta w zaawansowanej ciąży poprosiła o szklankę wody. Z niechętnym cmoknięciem Herta spełniła tę prośbę.

Herta chyba domyślała się celu wizyty Maggie u lekarza. Młoda dziewczyna bez wyraźnych objawów choroby, choćby kaszlu albo opatrunków, mogła przyjść tylko w jednej sprawie. Łatwo było skojarzyć, skoro na ścianach wisiały plakaty o planowaniu rodziny. Maggie, odkąd przyjechała do Sheffield, zdążyła się już zorientować, że w oczach niektórych ludzi dziewczyny pracujące w teatrze i mieszkające w wynajętych pokojach to praktycznie prostytutki.

Metalowe pudełko na ścianie zabręczczało, błysnęła czerwona lampka.

– Panna Harrison – oznajmiła Herta. – Może pani wejść do doktora.

Doktor Sarka był o głowę niższy od żony i równie szeroki jak wysoki. Ciemne, błyszczące resztki włosów zaczesywał, tak aby zasłaniały łysinę, i nosił takie same oprawki jak żona. Maggie zastanawiała się, czy specjalnie z Hertą nosili takie same okulary, żeby do siebie pasować, choć nie pasowałiby do nikogo innego w całym mieście.

Maggie wymieniła swoje objawy – omdlenia, rozmyte widzenie, mdłości, uczucie dezorientacji, opowiedziała też o dachówce, która uderzyła ją w głowę podczas wichury. Doktor zrobił notatki, zapytał, czy cierpiała na „podobne ataki” przed tamtą nocą, a potem wyjął małą latarkę i stanął blisko. Pochylił się, tak że Maggie mogła dostrzec włoski w jego wielkim nosie. Cofnęła się. Lekarz zapewnił, że nie zamierza jej skrzywdzić, chce tylko zobaczyć, jak źrenice reagują na światło.

Maggie przeprosiła. Ton głosu lekarza był spokojny, pokrzepiający, ale mężczyzna stał tak blisko, że czuła zapach jego oddechu, jakby gruszki z dodatkiem cebuli. Od lekarza czuć też było zapach przypraw i pot niemal całkowicie maskowany przez intensywny aromat wody kolońskiej. Maggie zgodnie z poleceniem popatrzyła w prawo, potem w lewo. Spróbowała się rozluźnić.

Zdawała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech i zaciska mocno splecione dłonie.

– Czy jeszcze coś panią męczy? – Doktor Sarka odłożył latarkę, która wyglądała jak długopis. Zdjął okulary i odwrócił się na obrotowym krześle, żeby spojrzeć na Maggie. Użył biurka, żeby to zrobić, bo nie sięgał stopami do podłogi, jak zauważyła.

– Nie – zaprzeczyła Maggie. – Nic więcej.

Lekarz włożył okulary i pochylił się nad biurkiem.

– Wnętrzności w porządku?

Skinęła głową.

– Kiedy się pani załatwia, czuje pani ból lub pieczenie?

Zawahała się, a potem znowu pokręciła głową.

– Kiedy ostatni raz pani miesiączkowała?

Maggie spuściła oczy. O tym właśnie próbowała ostatnio nie myśleć. Czytała, że brak okresu w jednym miesiącu jest normalny, zdarzało się to podczas dużego napięcia emocjonalnego, jak choćby wyprowadzka z domu. Zapewne to była przyczyna. Ale nawet gdy tak pomyślała, już zaczynała przeczuwać, że nie o to chodzi i nie wszystko jest dobrze. Mówiono jej, że miesiączka to przekleństwo kobiet, ale to brak okresu okazał się dla Maggie nieszczęściem.

* * *

Tydzień później doktor Sarka potwierdził to, czego Maggie najbardziej się obawiała i w co nie mogła uwierzyć. Czuła się inaczej, nieswojo. Lekarz podejrzewał, że ataki mogą być powiązane – dziwne rzeczy dzieją się z kobietami w ciąży, stwierdził, zwłaszcza w tej nieplanowanej. Zapytał też, czy Maggie i ojciec dziecka zamierzają się pobrać, ale dziewczyna tylko pokręciła głową. Doktor Sarka uniósł brwi i popatrzył na nią uważniej.

Maggie spuściła oczy na podolek.

Chyba powinnam mu powiedzieć, co się stało, pomyślała. To lekarz, mogę mu powiedzieć.

Ale co miałyby mu powiedzieć, skoro sama nic nie pamiętała?

Lekarz popatrzył na nią znowu, nie bez życzliwości.

– Może powinna pani powiedzieć mu o dziecku?

Nie podnosząc wzroku, Maggie pokręciła głową.

– Ja... Nie wiem, gdzie on jest. – Poczowała gorąco na policzkach. Co ten lekarz sobie o niej pomyśli?

Lekarz westchnął. Wpisał do notesu adresy i numery telefonów do trzech domów dziecka, po czym wyrwał kartkę i wręczył dziewczynie.

Maggie знаła kelnerkę z hotelu w Hastings, która wychowała się w jednym z tych domów. Okazało się, że to raczej warsztat niż dom. Dziewczyna wsunęła kartkę do torebki, podziękowała lekarzowi i wymknęła się przez poczekalnię, obok Herty i jej oskarżycielskiego spojrzenia, na zabłoconą od marcowych deszczów ulicę.

Lekarz patrzył, dopóki drzwi się nie zamknęły, westchnął znowu, a potem wcisnął guzik, aby brzęczykiem wezwać kolejnego pacjenta.

* * *

Kiedy Maggie obudziła się w niedzielny poranek, straszna prawda o jej kondycji dotarła do świadomości i zawisła tam jak trujący bluszcz. Zwykle dziewczyna cieszyła się z niedziel, gdy nie musiała wychodzić z pokoju do lunchu, ponieważ w teatrze trwała wtedy zmiana dekoracji, pakowanie rekwizytów i ustawianie nowych. Jimmy malował nowe obrazy na scenie, a aktorzy jęczeli, że muszą czytać nowe role i znowu im się pomyłają z tymi, które grali przez tydzień.

Maggie włożyła szlafrok i zaczęła spacerować po pokoju. Zapaliła papierosa, rozmyślając, co ma zrobić. Dżin, można coś zrobić za pomocą dżinu i gorącej kąpieli. I musztardy. Nie była nawet pewna, czy ten dżin należało wypić, czy może się w nim wykąpać. I jeszcze pigułki, o których słyszała. Chinina? Jeżeli Maggie miała coś zrobić z dżinem, musiała zająć się tym jak najszybciej. Kogo mogłaby zapytać? Po raz pierwszy od przyjazdu do Sheffield uświadomiła sobie, jak daleko znajduje się od domu. W Hastings miała znajomych, z którymi mogłaby porozmawiać, ale po wyjeździe wysłała im tylko kilka pocztówek i nie starała się bardziej podtrzymać kontaktu. Nie mogła teraz odezwać się tak nieoczekiwanie i na dodatek zapytać, czy wiedzą, jak się pozbyć niechcianej ciąży.

Później, gdy pakowała gumowego węża ze sztuki, Maggie doznała olśnienia. Vanda! Dostała adres od Uny i zdołała się wymknąć po południu z teatru pod pretekstem znalezienia nowych rekwizytów do przygotowywanej sztuki. Kiedy Maggie szła na wzgórze do domu Vandy, niemal wpadła na jezdnię, tak bardzo starała się uniknąć przejścia między budynkami. Serce jej łomotało i ledwie mogła oddychać. W połowie drogi usłyszała krzyk, jakby przerażenia. Zatrzymała się i odwróciła, ale ulica była pusta. Wtedy dopiero Maggie uświadomiła sobie, że ten krzyk wyrwał się z jej zaciśniętej krtani.

Próbowała iść dalej, ale w uszach jej huczało i nie mogła zaczerpnąć tchu. Zdawało się jej, że coś ją przygniata, gorąca, dławiąca masa wyciskająca powietrze z płuc. A potem leżała na chodniku, a ktoś spryskiwał jej twarz wodą. Maggie zatchnęła się i otworzyła oczy.

– No, dziewczyno. Już dobrze. Podnieś się.

Postawny, starszy mężczyzna, od którego bił zapach fajki, pomógł jej wstać. Tęga kobieta w fartuchu zanurzyła palce w szklance i prysnęła na Maggie trochę wody.

– Wystarczy, Florrie, dziewczyna chyba się ocknęła.

Kobieta wymamrotała przeprosiny i podsunęła szklanekę do ust Maggie. Wokół zebrał się tłumek gapiów, ktoś zaproponował, żeby wezwać lekarza.

– Dziękuję. – Maggie napiła się wody. – Już nic mi nie jest, naprawdę.

– Straciłaś przytomność – stwierdziła kobieta w fartuchu. – Właśnie myłam okna, jak zobaczyłam, że łapiasz się słupa latarni, a potem padasz jak podcięta, prawda, Stan?

– No. Nieźle się uderzyłaś w głowę, dziewczyno. Jak się czujesz?

Zatroskane twarze, które Maggie widziała wokół siebie, sprawiły, że czuła się jak oszustka. Odmówiła propozycji, żeby wypić herbatę i odpocząć, zapewniła, że nic jej nie jest, i wtedy dostrzegła nadbiegającą Vandę.

– Maggie, kochanie! Co się stało? Wyglądałam przez okno i zobaczyłam, jak upadasz! Pomyślałam: oto młoda Maggie z teatru odgrywa finałową scenę.

Starszy mężczyzna cmoknął głośno.

– Dziewczyna zemdląła, Elsie – stwierdził. – Nie widać?

Maggie zapomniała o prawdziwym imieniu Vandy i podziwiała, jak kobieta zmienia osobowość, aby uchodzić za Elsie. Maggie podziękowała sąsiadom raz jeszcze i pozwoliła, aby Vanda poprowadziła ją do domu. Kiedy przechodzili zaułkiem między domami, Maggie wstrzymała oddech i mocniej zacisnęła palce na ramieniu towarzyszki. Trochę za mocno.

Podwórko wyglądało jak po wybuchu bomby. Walały się tam sterty śmieci, a ogrodzenie się przechyliło.

– Tylną ścianę i obie furtki porwała burza – wyjaśniła Vanda. – Ale mogło być gorzej. U sąsiadów komin zwałił się do salonu.

Vanda napełniła czajnik, a Maggie się rozejrzała. Dom wyglądał zaskakująco inaczej, gdy wypełniały go meble. Wnętrze stanowiło mieszanekę starego i nowego, ciemnego i jasnego. Dębowy kredens ze szklanymi drzwiczkami stał obok prostej szafki, sofa była nowoczesna, na cienkich drewnianych nóżkach i z kraciastym, czarno-białym obiciem, ale fotele przy kominku przypominały te z domu babci Maggie. Na obudowie kominka stały teatralne fotografie – Vandy i Borisa, chóru magików i wielu innych aktorów, wszystkie z zamaszystymi autografami. Jedna przedstawiała mężczyznę wyglądającego zupełnie jak James Mason. Maggie podkochiwała się w tym aktorze, ale było to bardzo dawno temu.

– No? – Vanda wyjęła z kuchennej szafki dwa spodki i filiżanki, jasnożółte w białe groszki, jaskrawe jak sama Vanda. – Co cię sprowadziło do tej zabitej dechami dziury?

– Przyszłam do ciebie. – Żołądek Maggie zrobił salto, gdy usiadła przy nowoczesnym stoliku kawowym i patrzyła, jak Vanda parzy w czajniczku herbatę. – Potrzebuję rady. Naprawdę. Widzisz, ja...

Ledwie mogła wydusić słowo.

– Rady w jakiej sprawie? – zawołała Vanda, przekrzykując gwizdzący czajnik. – Nie znam sposobu na zdobycie sławy i fortuny, jeżeli o to ci chodzi.

– Nie... Nie o to... – Dziewczyna znowu urwała.

– Kochanie, wyduś to wreszcie. Umieram z ciekawości.

Maggie wzięła głęboki oddech.

– Jestem w ciąży. – Zabrzmiało to ostro i wulgarnie, ale „spodziewam się dziecka” nie wydawało się odpowiednim określeniem. – Byłam u lekarza, więc wiem na pewno.

Przejdź do sedna, nakazała sobie w duchu, po prostu zapytaj.

– Zastanawiałam się, czy może wiesz... Nie mam dużo pieniędzy, ale podobno są pigułki, które mogą przywrócić okres, tylko nie wiem, jak się nazywają.

Maggie zdawała sobie sprawę, że papła nerwowo, słowa wypływały z jej ust jak woda z dziurawego garnka.

– I zastanawiałam się, czy wiesz, jak, no, wiesz, co zrobić z dżinem, prawda? Ale nie wiem, ile go trzeba i czy razem z musztardą... – urwała.

Kiedy mówiła, rozerwała na strzępy papierową serwetkę, którą wzięła. Spojrzała z zaskoczeniem na strzępki, które niczym śnieg spadły na linoleum. Uklękła, żeby je pozbierać. Nie zauważyła, że Vanda zamilkła w kuchni i przestała się krzątać, żeby podać cukiernicę i łyżeczki.

– A dlaczego pomyślałaś, że będę mogła ci pomóc? – Vanda stała nienaturalnie nieruchomo, odwrócona do Maggie plecami, z rękoma wspartymi na drewnianym blacie szafki przy zlewie. Głos miała ostry, plecy sztywne, wydawała się niemal iskrzyć od napięcia.

Maggie zerwała się z krzesła.

– Pomyślałam tylko...

– Masz mnie za prostytutkę czy co? Za jakąś kobietę upadłą, tylko dlatego że pokazuję nogi na scenie i nie mam męża? – Vanda odwróciła się do dziewczyny.

Maggie zaskoczył gniew bijący z oczu kobiety.

– Nie, nie, wcale tak nie myślałam – zaprzeczyła niezdarnie.

Przecież *założyła* z góry, choć nie to, co Vanda sądziła, ale rzeczywiście coś podobnego. I to na jakiej podstawie? Makijażu? Jaskrawych strojów? Dlatego że Vanda była starsza? Maggie poczuła, że się rumieni.

– Posłuchaj mnie – Vanda niemal wypluła każde słowo. – To nie moje zmartwienie, że wpakowałaś się w kłopoty, i nie zamierzam ci pomagać w pozbyciu się tego kłopotu. – Odwróciła się znowu plecami do Maggie i naląła herbaty z takim rozmachem, że napar rozprysł się na spodek. – Cukru? – zapytała lodowatym tonem. Uniosła cukiernicę z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Nie o to chodzi. – Maggie spuściła wzrok. – Przepraszam, nie chciałam cię obrazić. Nie wiedziałam, kto jeszcze... – Jej słowa tylko pogorszyły sytuację. – Lepiej już pójdę.

Wymamrotała jeszcze raz przeprosiny, otworzyła tylne drzwi i pożegnała się cicho.

Niemal przebiegła przez zaułek między domami. Oddychała płytko. Pomimo że ranek był chłodny, na czole skroplił się jej pot.

Tej nocy Maggie nie spała, nawet nie zmrużyła oka. Leżała w łóżku wpatrzona w ciemność i myślała. Skoro Vanda nie chciała jej pomóc, Maggie zamierzała poradzić sobie sama. Ranek spędziła, siedząc w łóżku i paląc. Czekwała na otwarcie sklepu monopolowego. Na dziesięć minut przed jedenastą włożyła płaszcz i chustkę, chwyciła torebkę i pośpieszyła po schodach do wyjścia. Zatrzymała się, tylko żeby się upewnić, że Dot wyszła. Dysząc, otworzyła drzwi do piwnicy. Wilgotny, grzybiczny zapach wywołał u Maggie mdłości, ale kiedy minęły, zeszła, żeby zapalić pod kotłem, tak aby po powrocie z dżinem woda już się dobrze podgrzała. Działała teraz w gorączkowym pośpiechu, chciała jak najszybciej mieć to za sobą. Zaczęła sobie już wyobrażać to dziecko, jego groteskową, brzydką twarz i pomarszczoną skórę, jak coś, co przez wiele dni pozostawało w morzu.

„Wypij do dna i jeszcze raz”! Gdzie to Maggie czytała? Napiała się. Ledwie widziała krany do wody – nie tylko przez gęstą parę, ale też przez wypity alkohol. Maggie była już nieźle wstawiona. Pijana w sztok, jak powiedziała by Leonard.

Początkowo naląła sobie dżinu do szklanki i zapaliła papierosa, ale teraz piła już prosto z butelki i powtarzała sobie, że to lekarstwo. Próbowwała sprawdzać, ile już wypiała, ale wszystko dwoiło się jej w oczach. Dlatego Maggie zrobiła to co Leonard, gdy naprawdę mocno się upił – zasłoniła sobie dłonią jedno oko. Zadziałało! Dwie butelki znowu zlały się w jedną i teraz dziewczyna wyraźnie mogła zobaczyć, że wypiała połowę. No i tyle chyba wystarczy?

Odstawiła butelkę na podłogę i pochyliła się, niemal wpadła do wanny. Zachichotała. Sięgnęła po puszkę musztardowego proszku. Pokrywka dała się łatwo otworzyć, zbyt łatwo – Maggie upuściła ją i spora część zawartości wysypała się do wody jak śmiernie żółta sól kąpielowa. Dziewczyna ustawiła drewniany stołek obok wanny, żeby miała gdzie postawić butelkę, napiła się jeszcze i zaczęła rozbierać. Kiedy jednak ściągała przez głowę sweter, straciła równowagę, przewróciła stołek i strąciła z niego butelkę. Przeklinając, Maggie chwyciła ręcznik i zaczęła wycierać z podłogi dżin, ale wtedy zahuczało jej w uszach i zakręciło się w głowie, a potem dostała mdłości. Próbowwała wstać, ale ściany wirowały, więc Maggie mogła się tylko doczołgać do zlewu w kącie przez kałużę dżinu.

Wymioty szarpnęły dziewczyną tak mocno, że zastanawiała się, czy dziecko też tak wywali – prosto do zlewu. Nigdy nie było jej tak niedobrze. Wydawało się, że konwulsje nigdy się nie skończą. Maggie czuła się tak źle, że nie usłyszała wołania Dot spod drzwi.

Dot pomyliła się, zapomniała, że spotkanie niedzielne zostało w tym tygodniu odwołane, więc wróciła do domu z postanowieniem, że dokończy cerowanie, a potem położy nogi na stołku i posłucha radia.

– Kto tam jest? – Dot zabębniła pięścią w drzwi łazienki.

Drzwi od razu się otworzyły, ponieważ Maggie nie pofatygowała się, żeby je zamknąć na zamek.

Dziewczyna wisiała nad zlewem. Myślała, że umrze. Nagle poczuła zimny powiew i ruch wśród kłębow pary.

Dot popatrzyła na swoją lokatorkę, jakby nie wierzyła własnym oczom. Maggie zwymiotowała znowu, a potem w uszach jej załomotało, zaczęła widzieć na czerwono i osunęła się na zimną podłogę.

Ocknęła się, gdy Dot przemyła jej twarz szmatką zmoczoną w zimnej wodzie. Nie od razu Maggie zrozumiała, gdzie się znajduje, ale zaraz przypomniała sobie, dlaczego jest w łazience. Chciała się podnieść, ale Dot kazała jej leżeć. Para już się trochę przerzedziła, a sądząc po odgłosach bulgotania, gospodyni wyjęła korek, żeby opróżnić wannę.

– Dobra. – Dot się wyprostowała. – Ile wypita?

– Chyba pół – odparła Maggie. Wziąwszy pod uwagę, ile dzinu udało się jej w siebie wlać, czuła się dość trzeźwa.

– Przy odrobinie szczęścia wszystko zwróciłaś. – Gospodyni nie patrzyła na nią, gdy cedziła słowa przez zaciśnięte zęby. – To szanowany dom, wiadomo. Wyjdę teraz, ale będę miała na ciebie oko. Jeżeli to się powtórzy, wezwę ambulans.

– Nie, proszę... Przepraszam. Nie wiedziałam, co jeszcze...

– Szanowany dom – powtórzyła Dot, po czym otworzyła drzwi.

Maggie usłyszała jeszcze, jak gospodyni mamrocze, wspinając się po piwnicznych schodach. „Po wszystkim, co dla niej zrobiłam... żadnej wdzięczności... jednak taka dziewczyna...”.

Maggie zaczęła zbierać swoje rzeczy. Była zbyt zmęczona, zbyt wyczerpana, aby choć zapłakać. Nogi jej się trzęsły i znowu zakręciło się jej w głowie. Nie chciała jednak zemdleć. Oparła się o wilgotną od pary ścianę, żeby utrzymać równowagę, a wtedy silny skurcz ścisnął jej brzuch i talię.

Mój Boże, pomyślała Maggie. Chyba się udało!

Rozdział 25

W sześciu, z białymi brodami i w spiczastych czapeczkach, ścisnęli się w nie większej od schowka na miotły skrytce na tyłach widowni. Chodziło o to, żeby widzowie byli zajęci oglądaniem popisów Kichusia na scenie, podczas gdy pozostali podkradną się niezauważeni i poczekają, a potem, wspólnie śpiewając *Hej-ho*, dołączą marszowym krokiem do występującego krasnoludka.

Jonathan zerkał przez szparę w drzwiach. W ciasnym pomieszczeniu zrobiło się duszno i wilgotno. Próbował zmienić pozycję, ale było zbyt tłoczno, ledwie mógł się ruszyć. Pocił się, więc wsunął palec pod kołnierzyk, żeby go oderwać od mokrej szyi. Co gorsza, Jonathan miał pewność, że przed chwilą widział Ryana Jenkinsa na zewnątrz wraz z kilkoma innymi chłopakami.

– Jestem pewien, że to on – szepnął do Malcolma.

– Niemożliwe. To przecież nie jego tereny. A poza tym... wychodzimy.

Kichuś właśnie zaczął popisowo kichać, więc reszta wyślizgnęła się ze schowka. Drzemek zarzucił szpadel na ramię i zaintonował powoli i głośno *Hej-ho*. Pozostali również zarzucili łopaty na ramię i zaczęli śpiewać, gdy maszerowali ciemnym przejściem przez widownię do jasno oświetlonej sceny. Jonathan szedł ostatni w rzędzie. Widział, że widzowie patrzyli już na krasnoludki w mroku, dostrzegał uśmiechnięte twarze małych dzieci i zaczął nawet myśleć, że może jednak życie nie jest takie złe.

A potem poczuł pchnięcie i znalazł się na podłodze. Dźwignął się niezdarnie. Nadgarstek go zabolął, zadrapał się chyba w policzek.

– Wszystko w porządku, kolego? – Mężczyzna z kucykiem i złotym kolczykiem w nosie, trzymający na kolanach małego chłopca, podał Jonathanowi łopatę. – Musiałeś się potknąć.

Jonathan zerknął przez ramię. Nie było żadnych fałd na wykładzinie ani żadnej torby pozostawionej lekkomyślnie w przejściu. Widownia się śmiała.

– Śmieszku! – Pozostałe krasnale stanęły przed sceną i wzięły się pod boki.

Malcolm posłał mu porozumiewawcze spojrzenie, po czym spróbował wpleść ten incydent, jakby był częścią przedstawienia.

Jonathan zerknął na roześmianych widzów, ale oświetlenie pozwalało mu widzieć tylko najbliższe twarze. Zdawało mu się, że rozpoznaje chłopca z dziesiątej klasy przy końcu rzędu, ale chyba się pomylił. Nawet facet z kolczykiem uśmiechał się szeroko.

– Pośpiesz się, Śmieszku! – zawołał Malcolm, nie wychodząc z roli. – Śnieżka zaraz przyjdzie, a jeżeli zobaczy, że zwlekasz, za karę pójdziesz wcześniej spać i nie będzie bajki na dobranoc!

Wszyscy się śmiali, cieszyli z upokorzenia Jonathana. Czuł pot kroplący się na twarzy, serce biło mu mocno, jakby właśnie wbiegł po schodach. Rozejrzał

się po widowni. Fiona gdzieś tam siedziała i widziała, jak mąż robi z siebie głupka. Raz jeszcze spojrzął na rzędy roześmianych twarzy, ale nikogo nie rozpoznał. Może jednak był przeczulony.

Próbował się wziąć w garść, wiedział przecież, że powinien teraz uśmiechnąć się szeroko, jak najszerszej, zaśpiewać głośno *Hej-ho* i radośnie pomaszerować przejściem, aby dołączyć do pozostałych krasnoludków. Jednak co będzie, jeżeli Ryan Jenkins czai się gdzieś w pobliżu i zaraz zacznie wykrzykiwać zaczepki z widowni albo rzucać w scenę pomidorami? Jonathanowi gniew załomotał w skroniach, nie był pewien, czy zdoła jeszcze nad sobą zapanować. Powoli ruszył na scenę. Starał się rozsądnie potraktować sytuację, ale miał coraz większe podejrzenia. Czuł na sobie spojrzenia widzów. Wszystkich.

To tylko dzieci, powtarzał sobie w duchu, to tylko przypadek. To tylko widownia pełna małych dzieci, które śmieją się z komika, w czym nie ma nic dziwnego ani podejrzanego.

Jonathan miał teraz okazję, żeby wrócić do roli – wystarczy, żeby pomaszerował i zaśpiewał tę cholerną piosenkę. Po prostu. Musiał tylko wejść na scenę po drewnianych stopniach, potem uśmiechnąć się promiennie i ukłonić, a przedstawienie potoczyłoby się dalej. Ale nogi Jonathana poruszały się wbrew jego woli. Gdy szedł, miał dziwne wrażenie, jakby znajdował się poza własnym ciałem. Przypomniawszy sobie określenie „wyjść z siebie”, gdy spoglądał, jak dociera na scenę, po czym mija Malcolma i pozostałych, a na koniec wychodzi przez drzwi obok. Niemal z zaskoczeniem, lekkimi zawrotami głowy i drżeniem stanął za kulisami, w korytarzu za sceną służącym za garderobę. Jonathan usiadł między torbami i płaszczami oraz pudłami na rekwizyty i dopiero wtedy dotarło do niego, co zrobił – zszedł ze sceny, odłączył się od przedstawienia. Wiele dałby teraz za papierosa. A potem usłyszał głosy widowni i aktorów, falę śmiechów, potem kolejną, głośniejszą. Bez wątplenia wszyscy śmiali się właśnie z Jonathana... Pieprzyć ich.

* * *

– Tylko na kilka dni. – Fiona postawiła walizkę przed drzwiami. – Nie odchodzę od ciebie, po prostu... nie wiem... jestem przemęczona.

– Skoro jesteś przemęczona, odpocznij. Dlaczego musisz jechać do matki, na litość boską? Zajmę się tobą. – Jonathan starał się mówić racjonalnie i spokojnie, ale czuł narastającą panikę. To nie mogło się przecież zdarzyć, nie im.

– Nie miałam na myśli zwykłego przemęczenia – westchnęła Fiona z irytacją. – Chodzi o to, że jestem zmęczona... tym wszystkim, co się dzieje. Muszę się od tego na chwilę oderwać.

– Oderwać ode mnie?

– Posłuchaj, nie mogę już nawet jasno myśleć. Pozwól mi wyjechać, dobrze?

Stała obok walizki z kluczykami do samochodu w ręku. Nawet na niego nie spojrzała. Jonathanowi zrobiło się niedobrze.

– To przez tamtą noc?

Fiona westchnęła ponownie.

– Nie tylko. Chociaż cholernie się wstydziłam, gdy musiałam oglądać twoje zejście ze sceny. Zachowałeś się jak obrażone dziecko.

Jonathan już otworzył usta, aby się bronić, ale uświadomił sobie, że to bez sensu. Fiona miała rację.

– Wszyscy patrzyli na mnie, Jonathanie. Do tego siedziałam w środku rzędu, więc nawet nie mogłam szybko wyjść, sąsiedzi musieli wstać, żeby mnie przepuścić. – Pokręciła głową. – A na dodatek opisała to miejscowa gazeta.

Najnowszy numer tygodnika „Merkury” wciąż leżał otwarty na stronie ze wspomnianym artykułem. Nagłówek głosił: „Śmieszek zmienił się w Ponuraka”, a to nie poprawiało nastroju ani Fionie, ani Jonathanowi.

– To tylko krótki artykuł.

– Ale wielu ludzi go przeczytało. Zresztą, nie o to chodzi. Wiem, że to trudny okres, ale wypicie pół butelki starego portu w Boże Narodzenie też nie było z twojej strony dojrzałym sposobem na radzenie sobie ze stresem, prawda? – Spojrzała na męża z grymasem gniewu.

„A ty w Wigilię wyniosłaś się do łóżka o wpół do dziesiątej” – miał zamiar odgryźć się Jonathan, ale w duchu uznał to za samolubne. Spuścił wzrok.

– Wiem, że masz rację.

– A ty nawet nie próbujesz sobie radzić. Pijesz tylko za dużo, nie śpisz...

– To raczej nie moja wina, prawda?

– Nie, ale unikanie lekarza to już twoja wina. Nie sypiasz dobrze od miesięcy, a wystarczy, żebyś poszedł...

– Proszę, nie krzycz.

– Nie krzycz! – krzyknęła Fiona, rzuciwszy kluczyki na konsolę w przedpokoju. – Chcę tylko, żebyś zachowywał się odpowiedzialnie. – Zerwała swój płaszcz z wieszaka. – Wizyta u lekarza nie pozbawi cię męskości.

– Dobrze, dobrze, jeżeli to cię uszczęśliwi, pójdę do tego cholernego lekarza.

– Nie chodzi o mnie, tylko... – Fiona przeciągnęła palcami po włosach, a potem podjęła spokojniejszym tonem: – Posłuchaj... To nie pomaga. Porozmawiamy później. Potrzebuję trochę samotności, rozumiesz? Proszę.

Pocałowała go krótko, ale bez serdeczności, a kiedy Jonathan próbował ją przytulić, szybko się cofnęła. Otworzyła drzwi frontowe.

– Muszę odetchnąć. Zadzwoń za parę dni, przyrzekam. – I wyszła.

Odetchnąć, pomyślał Jonathan w dzwoniącej ciszy opuszczonego domu. Kiedy ktoś mówi, że musi odetchnąć...

Jonathan skrzywił się do swojego odbicia w lustrze, gdy sięgnął po maszynkę do golenia. Miał pięciodniowy ciemny zarost. Oczy podbiegły mu krwią, skóra pożółkła. Tabletki na sen sprawiały, że czuł się jak trup, ale z pewnością działały. Dzięki Bogu, matka uparła się, że z Euston wróci taksówką. Zarezerwowała sobie kuszetkę z Edynburga, a pociąg przyjeżdżał o szóstej czterdzieści. Jonathan nie zdołałby zwlec się z łóżka o tak wczesnej porze, nie wspominając o stanie umysłowym, w którym lepiej byłoby nie prowadzić, gdy się musiało przejechać przez centrum Londynu. Przez kilka minut mężczyzna moczył się pod prysznicem, żeby gorąca woda przywróciła go do życia. Użył żelu Fiony, zamknął oczy i wyobraził sobie, że znajomy cytrynowy zapach unosi się nie z jego, lecz z jej skóry. Nie było jej od tygodnia.

Kiedy wyszedł z domu, zaczęło padać. Kot sąsiadów siedział wyprostowany na parapecie, jego ogon owijał się wokół łap w idealnym kształcie litery C. Jonathan przytrzymał drzwi.

– No? – powiedział do łaciatego zwierzaka. – Wchodzisz czy nie?

Kot zmrużył oczy, mrugnął powoli, zastrzygł uszami i lekko poruszył końcem ogona.

– Śmiało, sierściuchu – zachęcił Jonathan i wyciągnął rękę, aby podrapać kota pod brodą.

Jednak zwierzak, który zwykle spędzał więcej czasu z nim i z Fioną niż ze swoimi właścicielami, wygiął tylko grzbiet i zasyczał, a potem usadowił się znowu i spojrzał na Jonathana, jakby mężczyzna był najobrzydliwszym stworzeniem, jakie kot miał nieprzyjemność napotkać w swoim życiu.

– No to się wypchaj – mruknął Jonathan i zatrzęsął drzwiami.

* * *

Wycieraczki pracowały z pełną mocą, gdy Jonathan podjechał przed dom matki. Nawet przez deszczową szarówkę rozpoznał jednak impregnowaną kurtkę Hutchinsona i jego lekkie utykanie, kiedy policjant odchodził w kierunku głównej ulicy. Jonathan westchnął i wyłączył silnik.

Matka wyglądała na zaskoczoną jego widokiem.

– Ten mężczyzna uprzedził, że zapewne się dzisiaj u mnie pojawisz, ale nie spodziewałam się, że tak wcześnie – powiedziała cicho, a głos lekko jej drżał.

Gestem zaprosiła Jonathana do kuchni. Bagaże jeszcze stały w przedpokoju.

– Wyglądasz okropnie – stwierdziła matka i napełniła czajnik. Jonathan dostrzegł, że ręce wyraźnie się jej trzęsą. – Dlaczego nie powiedziałaś, co się stało? W szkole? I na policji?

– Nie wiedziałem... Nie wiem. Chyba bałem się, co sobie pomyślisz... I uwierzysz, że uderzyłem tego chłopaka...

Zapadła cisza.

– Naprawdę tak sądzisz? – Matka spojrzała mu w oczy. – Uważasz, że

mogłabym tak pomyśleć, uwierzyć, że byłbyś zdolny uderzyć dziecko?

Jonathan spuścił głowę.

– Pewnie nie myślałem. W każdym razie niezbyt jasno.

– Fałszywe oskarżenia nauczycieli o przemoc w dzisiejszych czasach zdarzają się często, tak przynajmniej twierdzą gazety. Co zamierzasz zrobić z tym wszystkim?

– Szkoła nie może anulować mojego zawieszenia, skoro czekam na proces sądowy, mimo że moja adwokat jest przekonana, że sąd odrzuci skargę. Zdaje się, że nauczyciele traktowani są inaczej niż reszta społeczeństwa, jesteśmy winni, dopóki nie udowodni się nam niewinności. Nieważne. Co powiedział ci Hutchinson?

– Cóż... – Matka odwróciła się i sięgnęła po filiżanki i spodki. – Opowiedział mi o DNA i że policja szuka kogoś, kto popełnił... i że...

Filiżanki spadły z brzękiem na podłogę, jedna się rozbiła.

– Mamo, usiądź. – Jonathan ostrożnie podprowadził matkę do krzesła.

Miał wrażenie, że pierś opasuje mu ciasna obręcz, niemal bał się oddychać. Czego matka się dowiedziała od Hutchinsona?

Nabrała głęboko tchu.

– ...i powiedział, że ta osoba niemal na pewno jest z tobą blisko spokrewniona.

– Czy to był ojciec? To możliwe? Po prostu mi powiedz, mamo, proszę.

– Jonathanie, powinnam powiedzieć ci to już dawno. Próbowałam, ale... – Matka usiłowała wyjąć papierosa z leżącej na stole paczki, ale za bardzo trzęsły się jej ręce.

Pewnie to możliwe, pomyślał Jonathan. Zrobiło mu się niedobrze.

– Pan Hutchinson chciał się jak najwięcej dowiedzieć o twoim ojcu. Niestety, nie mogłam mu pomóc, ponieważ, musisz wiedzieć, kochanie... – Popatrzyła na Jonathana, a w jej oczach odbił się strach i wahanie. – Gerald nie był twoim ojcem.

Rozdział 26

Maggie chodziła po pokoju. Tyle bólu na nic, nie zadziałało. Zastanawiała się, co jeszcze mogłaby zrobić, gdy do drzwi zapukała Dot. Gospodyni miała ponury wyraz twarzy. Powiedziała, że przedyskutowała to z Alfem i bardzo im przykro, ale nie mogą sobie pozwolić, aby takie rzeczy działy się pod ich dachem.

– Ale przecież nic się nie stało! – zaprotestowała Maggie.

– Nie o to chodzi. Skąd mam wiedzieć, że znowu nie spróbujesz? Albo zrobisz coś gorszego? Do końca tygodnia, kochana, wyprowadź się, jeśli można prosić.

Gdy Dot zeszła na dół, Maggie wyjrzała przez okno i zapaliła papierosa. W głowie pojawiła się jej płatanina obrazów i głosów. Dziewczyna rozejrzała się po dachach w większości jeszcze pokrytych brezentem po wichurze. Przez cały ranek padało, a na wschodzie zbierały się ciężkie, ołowiane chmury zwiastujące kolejną ulewę. Padało tak chyba już od tygodnia. Maggie zgasiła papierosa, włożyła płaszcz i zabrała parasol. Lepiej ruszać i rozejrzeć się po ogłoszeniach, może znajdzie gdzieś tani pokój do wynajęcia. Kiedy nacisnęła klamkę – jak zwykle została jej w ręce – usłyszała głosy w holu. Niski, ochrypły głos gospodyni i wyższy, kobiecy, który Maggie od razu rozpoznała.

– Dostałam twój adres od Uny – wyjaśniła Vanda, gdy wspięła się po schodach. Nie uśmiechała się, ale też nie wyglądała na tak wściekłą jak podczas ich poprzedniego spotkania. – Przyszłam przeprosić. Nie powinnam była tak na ciebie naskoczyć.

Maggie spuściła wzrok.

– Ja też przepraszam. Naprawdę nie chciałam cię obrazić.

– Wiem, że nie. Byłam zła, ale chyba trochę przesadziłam. Zresztą... Chciałam ci powiedzieć... – Vanda zerknęła na schody. – Posłuchaj, nie próbuj z dzinem, rzadko działa, wywołuje tylko mdłości i potwornego kaca.

– Wiem. – Maggie skinęła głową. – Już próbowałam. I gospodyni mnie za to właśnie wyrzuciła.

– Och, biedactwo. Powinnam cię od razu ostrzec – westchnęła Vanda. – Kiedyś też tego próbowałam. Nie zadziałało. Skończyło się na tym, że poszłam do pewnej kobiety... Myślałam, że ona przynajmniej wie, co robi, ale...

– To też nie podziałało?

– Och, podziałało doskonale, tak że nie będę już mieć dzieci. Nigdy.

Dopiero po chwili do Maggie dotarł sens tego, co powiedziała Vanda.

– Bardzo mi przykro...

Vanda podeszła do okna i wyjrzała.

– Ten chłopak, to znaczy ojciec. Czy jest jakaś szansa, że...

– Nie, to nie było... to nie było... – Głos Maggie był cichszy od szeptu, ale dziewczyna urwała, bo nie chciała się rozplakać.

Vanda odwróciła się i spojrzała na nią uważnie.

– O Boże. To był Jack, prawda? Czy on... zmusił cię?

Maggie skinęła głową i już nie mogła powstrzymać łez. Vanda objęła ją mocno i pokołysała jak dziecko, a Maggie po prostu się rozplakała. Sweter kobiety wydawał się taki ciepły i miękki w dotyku, jej skóra pachniała mydłem marki Wright's Coal Tar.

– Przepraszam – wydusiła Maggie, gdy trochę się uspokoiła. Wyprostowała się i wymacała w kieszeni chusteczkę. – Nie jestem nawet pewna, jak to się stało. Pamiętam tylko niektóre fragmenty. Chyba musiałam go zachęcić. Nie powinnam była go całować.

– Nie obwiniaj się tak łatwo, do cholery – stwierdziła Vanda. – I nie wierz w te bzdury, że mężczyźni nie potrafią się opanować. Powtarzają to, żebyśmy czuły się winne.

Zapaliła dwa papierosy i podała jednego Maggie.

– Zranił cię?

– Tak. – Maggie opowiedziała Vandzie o podartej bieliźnie, skaleczeniach i sińcach oraz śladach ugryzień.

Vanda słuchała uważnie, a potem pokręciła głową.

– Tak mi przykro. Powinnam... – Ukryła twarz w dłoniach. – Chryste.

Maggie podniosła na nią oczy.

– Zawsze było w nim coś, co mnie niepokoiło. – Vanda zaciągnęła się głęboko. – Kiedy pracowałam z nim w jednym zespole w Leeds, umówił się z jedną dziewczyną. Pat była bystra i pogodna, taka ładna drobna dziewczyna, ale po tym, jak wyszła na randkę z Jackiem, zmieniła się nie do poznania. Zniknęła na kilka tygodni, co w trupie jest nie do pomyślenia, a kiedy wróciła, w tym czasie Jack przypadkowo zniknął, wydawała się zupełnie inną osobą.

– Co masz na myśli?

– Ledwie się odzywała. Wyglądała okropnie, spóźniała się, opuszczała występy. W końcu została wyrzucona z zespołu, ale chyba w ogóle jej to nie obeszło. A przecież występowała w chórze, odkąd skończyła czternaście lat, i chciała zostać gwiazdą. – Vanda zgasiła papierosa. – Tamtej nocy, gdy do mnie przyszlście, powinnam cię ostrzec.

Maggie pokręciła głową. Pamiętała, że podejrzewała Vandę o ukryte uczucie do Jacka.

– Pewnie bym ci nie uwierzyła. Zresztą, nie ma już sensu się nad tym... Teraz najbardziej zależy mi, żeby zrobić coś... z tym. – Wskazała na swój brzuch. Wciąż nie mogła uwierzyć, że rośnie w niej dziecko.

– Mogłabyś zrobić to chyba legalnie – stwierdziła Vanda. – Biorąc pod uwagę okoliczności.

– Nikt mi nie uwierzy. Przede wszystkim prawie nic nie pamiętam, a nawet gdybym pamiętała, przecież Jack był moim chłopakiem, więc nie mógł mnie zgwałcić.

– Chyba rozumiem, co masz na myśli – westchnęła Vanda. Milczała przez

chwile. – Znam kogoś – przyznała. – I żałuję, że nie poznałam go dwanaście lat temu. Jest lekarzem, więc zrobi to jak należy, sterylnie. Mogę go zapytać, ale nic nie obiecuję. A ty będziesz musiała dać mi słowo, że nikomu nie zdradzisz jego nazwiska.

Maggie skinęła głową. I tak nie miała wyboru.

* * *

Maggie dostała rolę w najnowszym przedstawieniu – pokojówki, która miała wygłosić jedną kwestię: „Tak jest, proszę pani”. Wcale jednak się z tego nie cieszyła, ponieważ musiała przekonać Clive’a, że rozchorowała się i nie może wziąć udziału w wieczornym przedstawieniu. Okazało się, że Clive niemal wyrzucił ją z teatru – nie chciał, żeby Maggie rozniosła infekcję i zaraziła grypą resztę zespołu, jak to się zdarzyło w 1958 roku. Przynajmniej tak wyjaśnił swój pośpiech.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, był wysoki i chudy, z siwymi włosami i starannie przystrzyżoną brodą.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

Miał na sobie fartuch w niebiesko-białe kwiaty, zasłaniający ciemne spodnie i powyciągany szary sweter. Nie wyglądał na lekarza.

– Chyba pomyliłam adresy.

– A do kogo pani przyszła? – Spojrzał Maggie w oczy. – Może gdyby się pani przedstawiła...?

– Harrison. Margaret Harrison.

– Ach, oczywiście, panna Harrison. Mieliśmy się spotkać, prawda? Jestem doktor Montague. Proszę wejść.

Był starszy, niż Maggie się spodziewała, bardzo stary. Poruszał się powoli. Zdjął fartuch, a potem poprowadził dziewczynę wąskim korytarzem do schodów, którymi zeszli w kolejny korytarz wiodący do ciemnego pokoju na tyłach domu. Maggie czuła się niezręcznie, że przyszła do lekarza wieczorem. Doktor Montague zapalił światło.

W ciasnym pokoiku unosił się zapach wilgoci. Ledwie starczało tu miejsca na wielkie dębowe biurko i kozetkę, która wystawała zza granatowej zasłony. Ściany pokrywała jasnoczerwona tapeta z białymi kwiatami i czarnymi ptaszkami, a na obudowie kominka stały dwie ceramiczne kaczki zrywające się do lotu, zupełnie jak w salonie Dot.

– Proszę usiąść. – Wskazał jedyne krzesło w pokoju.

Rozległ się syk, gdy włączył palnik gazowy. Długo szukał zapalek, Maggie zaczęła się już bać, że zaraz dojdzie do wybuchu, ale wtedy rozległo się głośne buchnięcie i ogień zaczął grzać pomieszczenie.

Doktor Montague usiadł za biurkiem i splótł palce.

– W którym jest pani miesiącu? – Niczego nie zapisywał.

– Około ósmego tygodnia.

– Rozumiem, że pani chłopak nie ma zamiaru się żenić?

Maggie spuściła oczy na dłonie, pokręciła tylko głową. Czy powinna powiedzieć temu lekarzowi prawdę? Uwierzyłyby jej?

– Dobrze. – Doktor Montague westchnął. – Operacja jest prosta, ale niesie ze sobą pewne ryzyko.

Wyjaśnił, co ma zamiar zrobić i czego można się potem spodziewać, ale ona nie słuchała. Nie chciała znać szczegółów, chciała po prostu mieć to już za sobą.

– Musi pani opróżnić pęcherz – powiedział na koniec lekarz. – A potem będziemy mogli zacząć.

Kiedy szła po schodach do toalety, zauważyła ćmę. Owad leżał do góry brzuchem, odnóża mu drżały, ze skrzydeł osypał się pyłek. Biedna ćma, w jakim okropnym miejscu przyszło jej umierać. Na ścianach wiszą fotografie rodziny królewskiej, głównie oficjalne – księżniczka Elżbieta jako panna młoda, potem z Filipem oraz księciem Karolem i księżniczką Anną, a obok zdjęcie z koronacji. Jednak jedna fotografia, wyraźnie wyrwana z jakiegoś magazynu i wstawiona w ramki, przedstawiała królową ubraną zwyczajnie, bez kapelusza i rękawiczek, za to z dzieckiem, księżniczką Anną na rękach. Królowa uśmiechała się promiennie. Maggie wyciągnęła rękę i dotknęła pulchnej nóżki dziecka ze zdjęcia.

Kiedy była w ubikacji, usłyszała podniesione głosy. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie uciec z tego domu. Chyba przestraszyły ją te krzyki. Ale potem rozległa się muzyka z serialu *Z Cars* i Maggie zateęskniła za Hastings i Leonardem, butelką tizera i talerzem tostów, gdy oglądali w nowiutkim telewizorze marki Rediffusion właśnie ten film i plotkowali o znajomych z hotelu. Zamiast być z bratem, Maggie znajdowała się w toalecie obcego domu w obcym mieście i zamierzała pozwolić obcemu mężczyźnie zabić zarodek, który zagnieździł się w jej macicy.

Uspokoila się, gdy po powrocie zobaczyła doktora w białym kitlu. Kozetka do badania przypominała łóżko, ale nakryto ją ciężkim ciemnozielonym prześcieradłem i gumową brązową płachtą. Lekarz stał na stołku i majstrował przy suficie. Na dłoniach miał plamy wątrobowe, a kłykcie wydawały się opuchnięte i błyszczące od artretyzmu.

– Dwadzieścia pięć gwinei, prawda? – Maggie sięgnęła do torebki i wyciągnęła nowiutkie banknoty schowane do biurowej oprawki.

– Ach, tak. – Lekarz zszedł ze stołka, a Maggie ujrzała zwieszające się z poprzeczki nad kozetką strzemiona. – Proszę zostawić je na biurku, a potem zdjąć bieliznę i położyć się na kozetce.

Maggie odwróciła się i zaczęła odpinać pończochy.

– Może je pani zostawić, wystarczy, żeby zdjęła pani, hm...

Dziewczyna zdjęła majtki i wsunęła je do torebki, a potem wspięła się na stołeczek i na posłanie. Zaczęła się pocić i drzeć.

– Proszę się rozluźnić – powiedział lekarz.

Wyjął z szuflady instrumenty i ułożył na metalowej tacy.

Maggie tak trzęsły się nogi, że widziała ich ruch. Szczękała też zębami i słyszała swój oddech. Próbowała się opanować, starała się rozluźnić. Już niedługo będzie po wszystkim. Przyglądała się, jak postać w bieli układa narzędzia na tacy. Dlaczego nie mógł po prostu zacząć i skończyć? Kiedy jednak lekarz się do niej odwrócił, ogarnęła ją ciemność i Maggie usłyszała krzyk.

* * *

Vanda podała dziewczynie filiżankę słodkiej herbaty.

– Proszę, wypij. – Otworzyła paczkę papierosów i poczęstowała Maggie. – Naprawdę nic nie pamiętasz?

Maggie pokręciła głową.

– Pamiętam, że położyłam się na kozetce, ale potem wszystko jest rozmazane. Wiem, że krzyczałam, i chyba pamiętam, że doktor mnie spoliczkował.

– Wpadłaś w histerię.

– Nie mogę sobie tylko przypomnieć dlaczego. – Maggie wciąż była roztrzęsiona i filiżanka zabrzęczała o spodek, gdy ją odstawiała.

– Cóż, na pewno już nie możesz wrócić do Teda. Był nieźle wkurzony, kiedy po mnie zadzwonił. Powiedział, że chyba tylko cudem nie zjawiała się u niego policja po tych hałasach, jakich narobiłaś.

Maggie westchnęła.

– Wolę nie wiedzieć, co musiał sobie o mnie pomyśleć.

– Ted to dobry człowiek, nie taki jak inni – zapewniła Vanda, po czym sięgnęła do torebki i zaczęła w niej grzebać. Wyjęła kopertę i podała dziewczynie.

– Co to?

– Twoje dwadzieścia pięć gwinei. Nie wziął ani pensa.

I rzeczywiście, w kopercie znajdowały się nowe banknoty oraz dwie półkoronówki. W głębi duszy Maggie nie chciała patrzeć na te pieniądze ani nawet o nich myśleć, przecież miały być splamione krwią. Kusiło ją, aby poprosić Vandę o oddanie ich lekarzowi, ale wiedziała, że byłoby to głupie.

– Powiedz mu... Podziękuj mu ode mnie. I powiedz, że bardzo mi przykro... I mam nadzieję, że nie narobiłam mu żadnych kłopotów.

Vanda pokiwała głową.

– Przekażę mu. – Odpaliła papierosa dla siebie, a potem dla Maggie. – Ale co teraz zrobisz?

– Nie wiem. – Maggie westchnęła. – Chyba będę musiała...

Poczuła silny ucisk w podbrzuszu na samą myśl.

– Chyba będę musiała urodzić to dziecko, a potem oddać do adopcji. Doktor Sarka zapisał mi parę adresów... sierocińców, jak sądzę. Cokolwiek się jednak stanie, nie poddam się aborcji.

– Z Tedem nic ci nie groziło, wiesz o tym, prawda?

Maggie przytaknęła.

– Wiem, ale po prostu nie mogę. – Zaciągnęła się głęboko papierosem. – Myślisz, że Clive mnie zwolni?

– Nie, dopóki nie będzie widać, że jesteś w ciąży, czyli masz jeszcze trochę czasu. Ale z tego, co słyszałam, te sierocińce to nic przyjemnego.

– Wiem – westchnęła Maggie. – Znałam dziewczynę, która wychowała się w jednym z takich domów. Zakonnica kazała jej czyścić podłogę szczoteczką do zębów. Ale to najwyżej na parę miesięcy, nie dłużej.

– Posłuchaj, zastanawiałam się nad czymś. Potrzebujesz mieszkania, prawda? Mam wolny pokój. Miałam lokatora, ale odkąd się wyprowadził, nie szukałam nowego. A przydałoby mi się trochę pieniędzy z wynajmu. Nie wezmę dużo, naprawdę, może mogłabyś pomóc mi w domu, gdy już nie będziesz mogła pracować w teatrze, no, wiesz, w gotowaniu, sprzątaniu, naprawianiu moich kostiumów i tym podobnych...

Maggie nie była pewna.

– Śmiało – zachęciła Vanda. – Obu nam wyjdzie to na dobre, dotrzymamy sobie towarzystwa. Zaczynam się już męczyć, bo wieczorami nie mam z kim porozmawiać, został mi tylko Boris.

Boris, zapomniała o Borisie.

– Gdzie go trzymasz?

– Chodź i sama zobacz. – Vanda ujęła Maggie za rękę i poprowadziła na górę do niewielkiej sypialni, gdzie znajdował się zbiornik, czy raczej ogrodzenie sięgające niemal sufitu i ciągnące się wzdłuż całej ściany. Wewnątrz spoczywał wielki zwinięty wąż, który spał pod jedną z lamp. Jego ciało było grube jak przedramię Maggie, łuski miał ciemnobrązowe, ale na grzbiecie tworzyły wzór z szarych rombów z brązowym środkiem. Przy ogonie brąz zmieniał się w wyrazistą czerwień. Maggie musiała przyznać, że wąż wyglądał imponująco.

– To kolumbijski boa dusiciel czerwonoogonowy. Bardzo spokojny. Ma prawie dwadzieścia lat i wiek trochę mu już doskwiera. Mam go od szesnastu lat, odkupiłam od tancerki egzotycznej o pseudonimie Lola zaraz po wojnie. Poznałyśmy się w Eastbourne.

– Co robiłaś w Eastbourne? – Maggie nie mogła oderwać oczu od węża, bo gdyby się poruszył, wolałaby mieć szansę na ucieczkę z pokoju.

– Stamtąd pochodzę. No, prawie, mieszkałam niedaleko. Mama tam została.

– Ja urodziłam się w Hastings.

– Niemożliwe! Byłyśmy sąsiadkami! Tęsknisz za morzem? Bo ja bardzo.

– Trochę. I brakuje mi brata.

– Zazdroszczę ci, że masz brata. Ja wychowałam się tylko z matką.

– Ale przynajmniej twoja mama żyje.

– Tak, cóż. No, ale co powiesz? Osiemnaście szylingów tygodniowo i pomoc w domu. Potem będziesz musiała przeczekać tylko parę tygodni. Może nawet uda ci się wrócić do pracy, łatwo znajdziesz zajęcie, gdy już będzie po wszystkim.

Maggie nie do końca była pewna, czy chce dzielić dom z Borisem, ale musiała się wyprowadzić w sobotę od Dot, więc wyraziła zgodę.

Rozdział 27

Matka naląła Jonathanowi brandy, a potem położyła na stole pudełko po butach.

– Znajdują się tutaj wszystkie dokumenty i tym podobne. A także... Sądziłam, że będziesz chciał, cóż, zakładałam... – Położyła dłoń na wieczku. – Zachowałam ubranka, które miałeś na sobie, gdy cię nam przekazano.

Jonathan połknął brandy w dwóch łykach. Miał nadzieję, że dobroczynne działanie alkoholu pojawi się od razu. Pokrywka pudełka była wyblakła i znajdowały się na niej ślady taśmy klejącej, którą kiedyś je zamknięto. Na środku starannym i eleganckim charakterem pisma matka wykaligrafowała imię Jonathana, ale fioletowy atrament też mocno wyblakł.

Jonathan podniósł wieczko. W pudełku znajdowały się duża gruba koperta i sterta ubrań. Wysypał zawartość na stół. Znalazł tu listy wyglądające na urzędowe, dokumenty sądowe dotyczące adopcji oraz kartę medyczną opisującą badania krwi i listę szczepień, ale ręce trzęsły mu się tak bardzo, że ledwie mógł utrzymać arkusze, a co dopiero czytać. Ukrył twarz w dłoniach, ale wyczuwał obecność matki i jej zaniepokojone spojrzenie. Musiał się opanować. Wziął głęboki oddech i odchrząknął, po czym wrócił do rzeczy na stole. Wśród ubranek znajdował się mały wełniany sweter, granatowy i gruby, z pięcioma żółtymi guzikami w kształcie kaczek. Jonathan przesunął palcem po jednym z guzików, a potem odłożył sweterek. Pod spodem znalazł dziecięce ogrodniczki z białymi lamпасami oraz cienką białą koszulę. Matka nie spuszczała z Jonathana wzroku.

– Kochanie?

Nigdy nie widział jej tak zmartwionej. Chciałby coś powiedzieć, ale nie mógł wydusić słowa.

– Wszystko jest tutaj, Jonathanie. Dokumenty, ubrania i parę przedmiotów, które miałeś przy sobie.

Jonathan znowu podniósł plik dokumentów.

„Mamy przyjemność powiadomić, że Państwa podanie zostało przyjęte. W związku z tym pragniemy przekazać Państwu w opiekę...”. Przejrzał karty. „Dziecko będzie gotowe do zabrania w południe...”. „Gotowe do zabrania” – jak para naprawionych starych butów. „Dziecko będzie ubrane i zaopatrzone w jedzenie na podróż. Prosimy naszych opiekunów dzieci o dobrowolną składkę na placówkę. Koszt każdej adopcji szacowany jest na 10 funtów”. A zatem Jonathan został kupiony za dziesiątaka. Słowa rozmywały mu się przed oczami. Dokumenty były datowane na 1962 rok. Podniósł ogrodniczki i popatrzył na wszytą metkę. „Na 12–18 miesięcy”. Sprawdził jeszcze raz, ale się nie mylił. Gerald i Daphne Robsonowie adoptowali go 27 lutego 1964 roku,

czyli nie jako noworodka, lecz kiedy miał już prawie szesnaście miesięcy.

„Okres próbny wynosi trzynaście tygodni i w tym czasie matka może się rozmyślić”, przeczytał Jonathan.

Dlaczego trzynaście tygodni? – zdziwił się. Fiona pewnie uznałaby liczbę za pechową. Przejrzał dokumenty jeszcze raz, wyjął „Akt adopcji”. Oficjalny dokument stwierdzający, że wniosek o adopcję złożono w sądzie hrabstwa Hastings. Jonathan nie zauważył tego od razu, tylko datę – 28 maja 1964 roku. Zatem okres przejściowy dobiegł końca bez zakłóceń.

Jego biologiczna matka miała trzynaście tygodni, żeby zmienić zdanie. W dowolnym momencie tego okresu mogła zadzwonić i powiedzieć, że chce odzyskać syna. Jonathan pomyślał o Poppy, siedemnastomiesięcznej córeczce Malcolma i Cassie. Gdy przed świętami Bożego Narodzenia odwiedzili z Fioną przyjaciół, dziewczynka rozśmieszała wszystkich, niezdarnie chodząc po pokoju, zbierając kawałki ozdobnego papieru do pakowania prezentów, po czym z okrzykiem „Jaj-ma!” wręczała je matce. Daty i zdarzenia zaczęły się układać w głowie Jonathana. Jego biologiczna matka nie była smarkatą nastolatką zmuszoną do oddania noworodka przez surową rodzinę lub zakonnicę, pozbyła się syna, który umiał już chodzić, mówić i zapewne pomachać na pożegnanie.

Wstał i zdjął płaszcz z oparcia krzesła.

– Muszę odetchnąć – oznajmił. – Nie mogę... To znaczy potrzebuję czasu, żeby... żeby to wszystko do mnie dotarło.

* * *

Poranny deszcz zmienił się w ulewę, było mokro i zimno. Jonathan musiał wyjść, powietrze w kuchni matki zdawało się gęste i ciężkie od ujawnionej prawdy. Bał się, że zaraz się załamie, jeżeli nie wyjdzie na otwartą przestrzeń. Przeszedł szybko przez Lee Terrace i skręcił w Blackheath Village. Lodowaty deszcz zmoczył mu włosy. Nie czuł wilgotnych kropli spływających mu po karku. Ludzie wokół śpieszyli do bram i drzwi. Jonathan zerwał się do biegu. Początkowo nie budziło to zaskoczenia, ponieważ wiele osób pośpiesznie szukało schronienia pod markizami sklepów lub na wiatach przystanków autobusowych, ale Jonathan się nie zatrzymywał. Minął sklepy. Oddychał ciężko. Zgrzał się, więc rozpiął płaszcz, poły łopotwały na wietrze. Słyszał uderzenia swoich butów o chodnik i plusk rozpryskiwanej wody z kałuż. Kiedy próbował przyśpieszyć, płaszcz przeszkadzał mu ruszać ramionami, więc Jonathan zdjął go i zwinął na ramieniu, ale kiedy i to się nie sprawdziło, rzucił okrycie na pobliskie ogrodzenie. Czuł pot wzbierający na karku, plecach i na czole. Lodowate krople przynosiły Jonathanowi teraz ulgę, chłodziły przegrzaną skórę, gdy przedzierał się przez mokre ulice i mijał dzielnicę w drodze na wrzosowisko. Dżinsy mu przemokły, wilgoć drażniła nogi, gdy

biegł i biegł, dopóki ziemia pod stopami nie zaczęła się uginać i mlaskać wśród przyniętej trawy.

Jonathan zatrzymał się, żeby odpocząć pod starym dębem. Oddychał ciężko. Oparł się o poczerniały od wilgoci pień, rozejrzał się po szarówce i wsłuchał w szum ulewy. Próbował zrozumieć i przyjąć, naprawdę próbował przyjąć to, czego właśnie się dowiedział, ale słowa matki wciąż rwały mu się w pamięci. Poczuł się jak podrzutek, jakby oszukał matkę, zwiódł ją. Zdawał sobie sprawę, że to śmieszne – to nie on przecież oszukiwał, lecz sam został oszukany. Ale kiedy zobaczył te ubranka i dokumenty, wiarygodne i niepodważalne dowody, miał wrażenie, że zaczął zanikać – niezupełnie nauczyciel, niezupełnie ojciec, niezupełnie syn...

Komórka Fiony była wyłączona, nikt też nie odebrał telefonu w domu Nicka i Jean. Jonathan próbował dodzwonić się do Malcolma, ale przyjaciel też wyłączył telefon. Po incydencie na przedstawieniu stosunki między Jonathanem i Malcolmem zrobiły się chłodne, ale przynajmniej nadal ze sobą rozmawiali.

Jonathan odetchnął głęboko. Próbował jeszcze raz zebrać myśli, przyglądając się ulewie marszczącej powierzchnię stawu. Jako chłopiec spędzał tutaj sporo czasu, w słoneczne dni siedział na brzegu z zarzuconą siecią i starał się wyłowić małą rybkę przemykającą pod wodą. Gdy mrużył oczy, widział w tafli wody swoje odbicie wśród rozbłysków słońca. Czyją twarz zobaczyłby teraz w stawie? Jeszcze wczoraj, pomimo trudnych zdarzeń, które przeżył, Jonathan wiedział, kim jest. Kopnął zabłoconą gałązkę do wody. Po wstrząsającym wyznaniu matki Jonathan poczuł jednak ulgę, że to nie Geralda szukała policja. Trwało to tylko kilka sekund, dopóki mężczyzna nie przypomniał sobie, że jego DNA nadal łączyło go z tym nieznanym przestępcą.

Temperatura spadała z minuty na minutę, Jonathan poczuł chłód swojego nosa, uszu, a nawet oczu. Ołowiane, szare chmury z pasmami żółci kłębiły mu się nad głową, gdy stał nad stawem. Ulewa trochę zelżała, ledwie marszczyła ciemną tafłę, ale niebo zdawało się zbierać nowe siły i tym razem spuścić śnieżyce. Jonathan musiał wracać. Ale nie zrobił nawet kroku. Sięgnął po portfel i wyjął prawo jazdy. Przyjrzał się fotografii. Zdjęcie zostało zrobione około pięciu lat temu. Uśmiechał się na nim. *Robson*, widniało obok. *Jonathan Hugo*. Ha!

Uniósł rękę i ruchem nadgarstka posłał prawo jazdy w mrok. Karta poszybowała nad stawem, a potem wbiła się w wodę i znikła wśród drobnych fal.

Jonathan ruszył do domu matki powoli. Był przemoczony do suchej nitki, lecz ledwie to zauważył. Zadzwoiła komórka.

– Fi, dzięki Bogu...

– O co chodzi, Jonathanie? – Głos żony brzmiał beznamiętnie. – Obiecałeś, że nie będziesz dzwonił...

– Wiem, posłuchaj, przepraszam, ale muszę ci powiedzieć... – urwał.

Fiona chciała się oderwać od tego wszystkiego, a on właśnie zamierzał obciążyć ją jeszcze tą nową wieścią. Nabrał głęboko tchu i zaczął jeszcze raz, spokojniej:

– Nie wiem, jak mógłbym ci tego nie powiedzieć.

Usłyszał jej westchnienie.

– No to mów.

– Cóż, okazało się, że jestem... – Nie zdołał jednak tego wydusić. – Właśnie byłem u matki. Opowiedziała mi więcej o tym, co się stało po śmierci pierwszego dziecka. Okazało się, że zaszła w ciążę po raz kolejny, właściwie to nawet cztery razy, ale każde dziecko poroniła. Czterech chłopców.

– Ale...

– Poczekaj. Chodzi o coś więcej. Powiedziała, że chciała próbować dalej, ale zaczęło chyba do niej docierać, że ona i mój... że ona i Gerald są jakoś „biologicznie niedopasowani” i nigdy nie uda im się doczekać żywego dziecka. Dlatego pomyślała o adopcji.

Fiona nie odezwała się, ale Jonathan wyczuwał, że słucha go uważnie.

– Gerald był początkowo przeciwny, ale w końcu dał się przekonać – umilkł.

– Fi?

Nie odpowiedziała od razu.

– Słucham.

– Powiedz coś.

– Ja... nie wiem, co powiedzieć – westchnęła. – No dobrze, pozwól, że to jakoś poukładam. Chcesz mi powiedzieć, że Daphne i Gerald...

– Tak. Nie byli moimi prawdziwymi rodzicami.

Rozdział 28

Maggie była dopiero w piątym miesiącu, kiedy Clive kazał jej odejść. Był bardzo miły, ale jej stan stał się widoczny, a on wyjaśnił, dlaczego nie mógł zatrzymać dziewczyny dłużej. Maggie zajęła się zatem prowadzeniem domu Vandy i przejęła rolę jej garderobianej. Od poniedziałku do środy Vanda pracowała na zmiany w pubie za rogiem, a od czwartku do niedzieli występowała w klubach i teatrach w Sheffield, Leeds i Manchesterze. Czasami Maggie przychodziła na występy. Na scenie Vanda błyszczała od cekinów naszytych na kostiumy. Nawet Boris ożywiał się w ostrym świetle reflektorów, oplatał wokół ramion Vandy, jej talii i nóg, a potem unosił głowę, patrzył w oczy swojej pani i wysuwał złowrogo język, jakby chciał zaatakować. Vanda kupowała martwe gryzonie od małego brudnego mężczyzny, który pukał do drzwi raz na miesiąc i wyglądał na nieco spiętego, gdy podawał gospodyni ciasno związaną plastikową torbę. Potem Vanda machała martwym zwierzęciem przed nosem Borisa, a wąż rozwierał paszczę i połykał truchło w całości. Ku własnemu zdziwieniu Maggie pokonała swój strach przed dusicielem, nawet go polubiła. Spędziła sporo długich wieczorów z wężem drzemiącym jej na ramionach i opierającym łeb na ciepłym, rosnącym brzuchu dziewczyny.

Dziecko – Maggie zmusiła się nazywać to, co rosło w jej łonie, dzieckiem – musiało być duże, ponieważ szybko się rozrastała, przypominała balon, który zaraz pęknie. Według doktora Sarki rozmiary dziecka oznaczały, że w macicy nie ma wiele miejsca na ruch. Na szczęście. Przy kilku okazjach, gdy czuła wewnątrz ruchy, krzywiła się, ale znosiła to ze spokojem. I tak przecież zamierzała oddać noworodka i nawet na niego nie spojrzeć, dlatego mały miał prawo jej odpłacić kopniakiem od czasu do czasu.

* * *

Dwa tygodnie przed terminem porodu Maggie poczuła ból i ucisk wokół brzucha, gdy podnosiła się z łóżka. Ból nie był silny, ale wystarczył, by dziewczyna wstrzymała oddech. Kiedy minął, zeszła powoli po schodach.

– Dzień dobry, Grubasku – powitała ją Vanda z uśmiechem i podsunęła jej krzesło.

Maggie posmarowała kromkę chleba masłem, rozmazała na niej łyżeczką miód i ugryzła, gdy ból dopadł ją ponownie i tym razem przetrzymał na tyle długo, że jęknęła.

Vanda wytrzeszczyła oczy.

– Co się dzieje? Chyba nie zaczynasz rodzić, prawda?

Kiedy Maggie mogła już mówić, wypuściła powietrze z płuc.

– To pewnie tylko skurcze przepowiadające.

Ale wtedy odeszły jej wody. Na podłodze rozlała się spora kałuża. Maggie wsunęła sobie serwetę między nogi, a Vanda zadzwoniła po ambulans, niemal krzyczała w panice, dopóki telefonistka w centrali jej nie uspokoiła.

Maggie próbowała się rozluźnić. Pytała położną, jak bardzo będzie bolało.

– Gorzej niż wyrywanie zęba, ale mniej niż odcinanie nogi – stwierdziła akuszerka, nie patrząc na dziewczynę. – Może trzeba było o tym pomyśleć przed wskoczeniem chłopakowi do łóżka.

Ból był potworny. Unosił Maggie i rzucał bezwładnie, potem wracał wraz ze strachem. Kiedy Vanda oznajmiła, że zadzwoni na pogotowie jeszcze raz, żeby sprawdzić, co tak długo i dlaczego, na Boga, jeszcze nie ma karetki, pod oknem kuchni pojawiło się dwóch sanitariuszy.

Mężczyźni weszli do pokoju. Byli postawni, duzi i uśmiechnięci. Wyglądali na kompetentnych. Starszy zatarł ręce i oznajmił, że to wspaniały prezent na święta, a potem zapytał, gdzie jest dumny tatuś.

– Nie ma – odpowiedziała Maggie cicho. – Dziecko przekażę do adopcji, nie zabiorę go do domu.

Uśmiech mężczyzny osłabł tylko na chwilę.

– No to lepiej ci się przyjrzyjmy, sprawdzimy, jak ci idzie.

– Mam rodzić dopiero za dwa tygodnie.

– Bez wątpienia już zaczęłaś, kochana. Lepiej zabierzemy cię do szpitala, tak na wszelki wypadek.

Maggie przytaknęła. Im szybciej tam dotrze, tym szybciej będzie po wszystkim. A potem ktoś zabierze dziecko i jej życie znowu zacznie się toczyć normalnie.

* * *

Maggie rodziła dwa dni. Kiedy ją przyjmowano do szpitala, sądziła, że to nie potrwa długo. Ból rozdzierał ją od środka, ogarniał każdą komórkę i końcówkę nerwową, otwierał przepastną paszczę i zaciskał coraz mocniej. Maggie miała wrażenie, że zaraz trafi w zaświaty. Zaciskała oczy od ostrego światła na porodówce, ale słyszała lekarzy i pielęgniarki.

– To powinno pójść szybko – wymamrotał lekarz, po czym przesunął stetoskop i przyłożył do wielkiego brzucha Maggie. – Słyszać serce, ale nierówno.

Podał stetoskop swojemu koledze, który osłuchiwał brzuch Maggie uważnie, po czym skinął głową.

– Lekkie echo. Myślę, że nie powinniśmy czekać.

Z góry, gdzieś pod sufitem, Maggie przyglądała się kobiecie i otaczającym ją

ludziom. To wielkie, pokrwawione ciało wydaje się trochę znajome, ale nie za bardzo.

– Chwileczkę! – zawołała położna. – Widać główkę!

Maggie wróciła do ciała. Wydawało się, że ktoś próbuje ją udusić, więc walczyła z maską, od której dochodził odór gorącej gumy. A potem usłyszała brzęczenie pszczoł, poczuła łaskotanie ich skrzydeł w nosie i ogarnął ją spokój.

– Dobrze – rozległ się w oddali obcy głos. – Grzeczna dziewczynka, głęboki wdech, przygotuj się na następne.

Co następne? – zdziwiła się Maggie, ale potem znowu przeszył ją ból.

– Wytrzymaj! – usłyszała. – Dasz radę!

Ogarnęło ją pragnienie, aby jak najszybciej wypchnąć z siebie tego stwora, który zajmował dwie trzecie jej ciała. Dopiero wtedy sobie przypomniała, że przecież rodzi dziecko. Czerwona zasłona bólu ustąpiła jednak tylko na chwilę.

Tylu tu ludzi, pomyślała Maggie, a potem znowu wszystko przesłonił ból i nie pamiętała już nic.

– No, dziewczyno, nie chcesz, żeby cię pocięto, prawda?

A potem jeszcze krzyki:

– Dawaj, dziewczyno! Jeszcze jedno parcie i po wszystkim!

Maggie zdobyła się na nieludzki wysiłek i usłyszała odgłos z dołu swojego ciała, tak odległy, że wydawał się dochodzić z innego kraju, a potem ból się zmienił, wydostał się i zapłonął, jakby przetoczyła się przez nią kula ognia.

Główka wyszła i wszyscy wydawali się zadowoleni.

– Jeszcze raz – powtarzali. – Przyj, jeszcze tylko raz.

Dziewczyna czuła, jak dziecko się z niej wyślizguje, i otworzyła oczy. W porę, aby zobaczyć, że pielęgniarzka je zabiera. Maggie przypomniała sobie, że miała nie patrzeć, ale i tak udało się jej zobaczyć. Nie tego się spodziewała. Ani trochę. Dziecko nie było różowe i pulchne, lecz sine i chude jak pisklę, które wypadło z gniazda. Nie słychać też było płaczu niemowlęcia.

– Z dzieckiem wszystko dobrze? – zapytała uczennicę akuszerki, ale dziewczyna spojrzała przestraszona i nie odpowiedziała.

Lekarze stłoczyli się wokół noworodka, dotykali jego ust, obrócili głowę w dół. Maggie wiedziała, że to jej nie dotyczy, już nie, ale czy musieli być tak bardzo brutalni?

Po krzykach i jękach na porodówce panowała teraz dziwna cisza. Poza drobną uczennicą, która wydawała się przerażona, wszyscy tłoczyli się wokół noworodka. Maggie nie mogła dostrzec, co właściwie robią. Zapytała znowu, czy z dzieckiem wszystko w porządku, ale ją zignorowano. Przygryzła usta.

Proszę, niech ono nie umrze, pomyślała. Nie chciałam go nienawidzić, niech ono nie umrze, proszę.

I wtedy ku jej zaskoczeniu chwycił ją kolejny skurcz, wygiął ją na posłaniu i wyrwał z ust głośny krzyk.

Starsza akuszerka, postawna, wyglądająca groźnie kobieta, podniosła głowę i rozejrzała się zdziwiona.

– Chyba zaraz wyjdzie łożysko – powiedziała swojej uczennicy. – Możesz je odebrać. Daj jej więcej gazu i powietrza, a jeżeli nie wyjdzie po trzech–czterech skurczach, uciśnij brzuch.

Maggie sama chwyciła maskę i zacisnęła na niej palce jak tonący na brzytwie. Przypuszczała, że łożysko po prostu się z niej wyślizgnie, nie będzie tak duże jak to, co przed chwilą urodziła. Kolejny skurcz chwycił ją i ścisnął w głąb. Bąble bólu pękły jej przed oczami. Ledwie odzyskała świadomość, kiedy kolejny skurcz znowu rzucił ją w otchłań cierpienia, ale tym razem Maggie pozwoliła się ponieść i odkryła, że chyba stała się bardziej przytomna. Wszystko wydawało się wyraziste i jasne. A zatem taka była jej kara za chęć zabicia dziecka, za myślenie o nim jak o potworze. Uczennica akuszerki zaczęła uciskać brzuch Maggie, ale Maggie wyrwała się i odepchnęła pomocnicę.

– Nie rób teraz zamieszania. To ci pomoże wydalić łożysko – powiedziała przyszła położna, starając się naśladować protekcyjny ton starszej akuszerki.

Maggie ogarnęła kolejna fala bólu i zanim zamknęła oczy – chciała się zamknąć, oddzielić od świata – dostrzegła, że starsza położna mówi coś do uczennicy, a ta płacze. Kiedy ból sięgnął szczytu, Maggie otworzyła usta i krzyknęła. Nie miała powodu, aby odgrywać odważną.

Kiedy jej krzyk ucichł, usłyszała inny, wysoki, dziki i nagły, wzbijający się nad okrzyki radości i gratulacje oraz dziękowanie Bogu, z których Maggie wychwyciła tylko krótkie słowa „ona” i „jej”. A zatem urodziła dziewczynkę.

Wyciągnęła szyję i spróbowała usiąść. Nikt jej nie powstrzymał. Z radości, że udało się przywrócić dziecku oddech, lekarze i pielęgniarki zapomnieli chyba o nakazie, żeby nie pokazywać dziecka matce.

– Jest doskonała! – Uczennica wytarła umazane tuszem do rzęs policzki. A Maggie dostrzegła maleńkie zawiniątko, już różowe i krzyczące z oburzeniem na otaczające je zamieszanie.

Starsza akuszerka podeszła do łóżka, gdy Maggie szarpnął kolejny skurcz.

– Postaraj się – ponagliła dziewczynę ze zniecierpliwieniem. – To trwa już za długo.

Maggie już miała krzyknąć, że nic na to przecież nie może poradzić, kiedy uciszył ją ból. Akuszerka zaczęła uciskać jej brzuch, a potem zamarła, odwróciła się do uczennicy i zapytała jak nauczycielka na odpytywaniu:

– Co musimy zawsze sprawdzić, zanim pomożemy wydalić łożysko, siostró?

– Ale powiedziała pani...

– Powtarzam, co musimy sprawdzić, zanim...

– Och, zamknij się i wyciągnij to ze mnie wreszcie! *Proszę!* – wrzasnęła Maggie, po czym chwyciła gumową maskę i przycisnęła sobie do twarzy.

– Spokojnie, matko – odpowiedziała położna.

Maggie miała ochotę krzyknąć, że nie jest żadną cholerną matką, ale musiała oszczędzać siły, żeby utrzymać się na powierzchni tego oceanu bólu.

– Dziecko! – stwierdziła uczennica. – Musimy się zawsze upewnić, czy nie ma

drugiego dziecka.

– Właśnie, a teraz, gdybyś...

Maggie poczuła, że ból się zmienia tak jak wcześniej. Znowu ją palił, ale nie tak mocno. Nieoczekiwanie wszyscy znowu stłoczyli się wokół niej – dwaj lekarze, położna i uczennica, wszyscy zaczęli krzyczeć z podniecenia. A potem Maggie poczuła, że coś się z niej wyślizguje, jednak od razu, a lekarze to podnieśli – kolejny siny kłębek umazany krwią i białym śluzem, z pasemkiem złotych włosów. Dziecko zaczęło płakać od razu – nabrało tchu, wykrzywiło pomarszczoną, czerwoną buzię i zaskrzeczało z wściekłością.

– Bliźnięta! – Młoda pielęgniarzka roześmiała się podekscytowana. – Dziewczynka i chłopiec!

Rozdział 29

Jonathan siedział w kuchni matki i starał się nie drżeć z zimna w przemoczonym ubraniu. Raz jeszcze spojrzął na swój akt urodzenia. Rubryka „Imię i nazwisko ojca” jest pusta. „Imię i nazwisko panięskie matki: Margaret Letitia Harrison”. Przysunął sobie akt adopcji. „W imieniu Jonathana Hugona Harrisona, dziecka”.

Dlaczego Gerald i Daphne nie zmienili mu imion, zdziwił się Jonathan. Ucieszył się jednak – były to imiona nadane mu przez matkę po narodzinach. Wydawało się, że to jakaś więź z tym, kim naprawdę był. Pod ubrankami i dokumentami Jonathan znalazł też sznurowany bucik z miękkiej czerwonej skóry i wydzierganego małego misia oraz niewielkie aksamitne zawiniątko, w którym znajdowało się siedem kamyków, każdy z dziurką.

– Tylko tyle miałeś – powiedziała matka i postawiła przy Jonathanie filiżankę herbaty. – Agencja powiedziała, że możesz je zatrzymać. Kochałeś tego misia. I uwielbiałeś ten bucik. Drugi musiał zginąć, zanim zamieszkałeś z nami, ale tego pilnowałeś jak żrenicy oka. Nigdy jednak nie zdradzałeś zainteresowania tymi kamykami. Pewnie zebrałeś je na plaży w pobliżu miejsca, gdzie mieszkałeś.

– Na plaży? Myślałem, że urodziłem się w Sheffield. To też nie było prawdą?
Matka się przygarbiła.

– Wybacz. – Jonathan westchnął. – Nie chciałem, żeby zabrzmiało to tak...

– Tak było. Dane w twoim akcie urodzenia są prawdziwe, twoje narodziny zarejestrowano w Sheffield. Ale do nas przysłano cię ze wschodniego Sussex. Mieszkaliśmy wtedy tuż pod Hastings, ale przeprowadziliśmy się, nie chcieliśmy, żebyś dorastał zbyt blisko swojej... naturalnej matki.

– Hastings? Tam mnie adoptowaliście?

Matka skinęła głową, a potem zapaliła papierosa. Jonathan wbił sobie palce w dłoń, żeby również nie sięgnąć po papierosa. Do dziś radził sobie całkiem nieźle, ale teraz miał ochotę oderwać filtr od marlboro i wypalić go do końca.

– Napisano nam, że zakwalifikowaliśmy się do adopcji, a parę dni później zadzwoniła kobieta z agencji. Zapewniła, że znajdzie szybko odpowiednie dziecko. Starali się zawsze dobierać dzieci, tak aby ich kolor włosów i oczu był taki jak u rodziców adopcyjnych...

– Żeby nie było wątpliwości i niewygodnych pytań, jak sądzę.

– Jonathanie. – Matka spojrzała na niego spokojnie. – Wtedy wszystko było inaczej. Tak wiele dzieci oddawano do adopcji. Naprawdę to takie złe, że próbowano zmniejszyć fizyczne różnice między dzieckiem i nowymi rodzicami? Boże, było tyle innych różnic, z którymi ludzie musieli sobie radzić.

Wstała i zapaliła światło, w pomieszczeniu zrobiło się ciemno, choć do

wieczora zostało jeszcze kilka godzin.

Jonathan popatrzył w okno, właśnie zaczęły spadać pojedyncze płatki śniegu. To chyba najchłodniejszy styczeń od dwunastu lat. Pomyślał o wełnianym sweterku z guzikami w kształcie kaczek i zaczął się zastanawiać, czy w sześćdziesiątym czwartym też było tak zimno, czy tamtego dnia, gdy zmienił się z Harrisona w Robsona, też padał śnieg. Popatrzył na matkę.

– Ale dlaczego byłem taki... Chciałbym wiedzieć, dlaczego byłem już taki duży?

– Zaraz do tego dojdę. – Nuty zniecierpliwienia uspokoiły Jonathana, słabość i niepewność matki okazały się trudniejsze do zniesienia niż jej zwykła drażliwość, do której przywykł. – Pani Wells z agencji, bardzo miła kobieta, powiedziała, że znajdą nam chłopca w ciągu paru tygodni. Wiedziała, że niedługo pojawi się w domu opieki więcej dzieci. – Zerknęła na Jonathana. – Wiem, to ci się pewnie kojarzy z handlem, prawda? Ale w tych domach opieki przebywały matki i dzieci. W każdym razie pani Wells powiedziała, że możemy mieć nawet wcześniej dziecko, o ile weźmiemy starsze. Opowiedziała mi o tobie i od razu się zgodziłam. Chciała, żebym to przemyślała i porozmawiała z Geraldem, ale wiedziałam, że chcę ciebie. Poroniłam już wtedy pięcioro dzieci, a ty nie miałeś matki...

Jonathan zamarł zaskoczony, ale matka pokręciła głową.

– Nie, przepraszam, nie chodziło mi o to, że zmarła. Podobno gdzieś wyjechała i zostawiła cię z bratem.

Nie zrozumiał.

– Miałem brata?

– Nie, z jej bratem. O ile wiem, nie miała więcej dzieci. Chociaż chyba była dość młoda.

Przez chwilę Jonathan wyobrażał sobie brata, czternasto- lub piętnastolatka, ich dwóch porzuconych jak sieroty i mogących polegać tylko na sobie. Odrzucił jednak zaraz tę fantazję o krewnym.

– Więc co, po prostu miała mnie dość, zostawiła mnie i wyjechała w siną dal?

Matka potrząsnęła głową.

– Wybacz, kochanie, nie znam szczegółów.

– A co z... – Jonathan poczuł skurcz w żołądku. – Co z tym mężczyzną... Chodzi mi o biologicznego ojca.

Westchnęła.

– O nim nie wiedzieliśmy nic. Nie sędzę, aby w agencji też wiedziano, kim on był.

Jonathan podsumował, co już wie o ludziach, którzy powołali go na świat. Ojciec popełnił przestępstwo, za które policja szukała go nawet po czterdziestu latach, a matka... czy wiedziała, kim był ojciec jej dziecka? Może wiedziała, może nie wpisała jego danych do aktu urodzenia, żeby go chronić. Jak to o niej świadczyło? Oto, jakich Jonathan miał rodziców.

- Zastanawiam się, co zrobić.
- Co masz na myśli, mój drogi?
- Mój... biologiczny ojciec. Ten, którego policja nadal poszukuje. Chciałbym wiedzieć, kto nim był.

Matka cmoknęła.

- Na twoim miejscu raczej bym się nad tym nie zastanawiała.
- Mamo, nie można zawsze unikać trudnych...
- Kochanie, posłuchaj. – Wyciągnęła rękę nad stołem i ujęła dłoń Jonathana. Omal się nie cofnął, z czystego zaskoczenia. Skóra matki była chłodna i sucha, ciężar jej drobnych palców niemal niewyczuwalny. – Kimkolwiek był, nic na to już nie można poradzić. Ten policjant, pan Hutchinson, powiedział, że nigdy nie zamyka się takich spraw, ale nie wiem, co dobrego przychodzi z rozpamiętywania przeszłości. Naprawdę nie wiem. – Westchnęła i pokręciła głową. – Lepiej iść naprzód. – Podniosła oczy na Jonathana. – Nie sądzisz?

– Nie wiem. Nie mam nawet pojęcia, skąd miałbym wyruszyć.

Kiedy zbierał się do wyjścia, dostrzegł, że matka wsuwa małą białą kopertę do pudełka po butach. Wyglądała na bardzo zmęczoną, przygniecioną ciężarem znużenia. Jonathana ogarnęło przemożne pragnienie, żeby ją pokrzepić, ale w czym? Upewnić ją, że ma status matki? A on jest nadal jej synem? Powinien przynajmniej ją objąć, uścisnąć, pocałować. Ale zawahał się i chwila minęła.

Odjechał nieco dalej główną ulicą, zanim zaparkował na poboczu i wyjął kopertę, którą matka wsunęła do pudełka.

Mój drogi Jonathanie,

jak powiedziałam rano, zawsze będę żałować, że nie uprzedziłam Cię wcześniej. Miałeś prawo wiedzieć, kim jesteś, i mam nadzieję, że zdołasz mi wybaczyć. Twój Ojciec uważał, że tak będzie najlepiej. Sądził, że jeżeli poznasz prawdę, nigdy nie staniesz się Robsonem, a jak wiesz, nazwisko było dla niego bardzo ważne. Początkowo się z nim zgodziłam, chyba sądziłam, że powiemy Ci o tym, gdy będziesz starszy, ale Twój Ojciec bardzo się denerwował, ilekroć o tym wspominałam. Dużo o tym myślałam po jego śmierci i sądzę, że zdał sobie sprawę, jak wielki popełnił błąd. Ale jak wiesz, Twój Ojciec nigdy nie lubił przyznawać się do błędów.

Obawiam się, że trochę go pod tym względem przypominam, ponieważ i mnie trudno przychodzi takie wyznania. Byłam bardzo głupia. Wiem, że jest już za późno, ale proszę, zrozum, że kocham Cię równie mocno jak każda inna matka swoje dziecko.

Jonathan przeczytał list dwa razy, zanim dostrzegł, że nie ma podpisu. Wyobraził sobie, jak matka siedziała przy stole i zastanawiała się z bólem, czy napisać „Twoja mama”. Z kartką w dłoni odchylił głowę na zagłówek fotela i zamknął oczy. Chciał nie tylko pozbyć się obrazu cierpiącej matki, ale też

powstrzymać łzy, które napłynęły mu do oczu. Gerald często używał zwrotu „Daphne” zamiast „twoja matka”, Jonathan pewnie też tak o niej czasami myślał, choć miała nadzieję, że jednak nieczęsto. Naprawdę miał taką nadzieję.

Przełknął łzy i usiadł prosto, a kiedy to zrobił, zaburczało mu w brzuchu. Ostatnio jadł tłuste resztki kurczaka chow mein o ósmej rano. Teraz dochodziła dopiero trzecia... Jak to możliwe, że tyle się wydarzyło zaledwie w kilka godzin?

Rozdział 30

Kiedy Maggie obudziła się o zmierzchu, pielęgniarki właśnie zapalały lampki, które roztaczały lekką pomarańczową poświatę nad łózkami. Dziewczyna rozejrzała się po oddziale. Niektóre kobiety miały dzieci przy sobie. Wtedy sobie przypomniła. Zebrała resztki sił, których już prawie nie miała.

– Sostro! – zawołała. – Sostro, zmieniłam zdanie, chcę zatrzymać moje dzieci!

– Nie bądź głupia – odpowiedziała pielęgniarka. – Jesteś po prostu wyczerpana. Byłaś bardzo osłabiona, ale rano poczujesz się lepiej.

Maggie zaczęła krzyczeć, domagając się przyniesienia jej dzieci.

– Spokojnie, spokojnie. – Pielęgniarka oddziałowa zakrzętnęła się i wygładziła dziewczynie pościel. – Co to za zamieszanie, pani Harrison? Niepokoi pani inne pacjentki.

– Panna Harrison – poprawiła Maggie cicho.

– Wiem, moja droga. To przez grzeczność. A teraz powiedz, co to za nonsensy? Położysz się czy mam wezwać siostrę przełożoną?

– Zmieniłam zdanie, sostro. Chciałam oddać dzieci do adopcji, ale gdy okazało się, że to bliźnięta i to nie ich wina, że mogły umrzeć, a ja jestem ich matką i muszę się nimi zająć, więc...

– Chwileczkę. – Pielęgniarka uniosła ręce. – Powoli. Będziesz się czuła trochę rozemocjonowana przez parę dni, to normalne. Poród podrażnia nerwy, zwłaszcza w przypadku młodych kobiet, czyli także w twoim. Ale to przejdzie. Dlaczego się teraz nie wyśpisz i...

– Nie, nie chcę spać. Chcę zobaczyć siostrę przełożoną. To moje dzieci i nie macie prawa mi ich odebrać, a jeżeli...

– Wystarczy, pani Harrison! Siostra przełożona zaraz tu przyjdzie, proszę zachować to dla niej. – Pielęgniarka poprawiała poduszki i – Maggie była niemal pewna – uśmiechnęła się promiennie.

* * *

Trzy dni później Maggie ujrzała doktora Sarkę, który wszedł na oddział. Był ubrany w ciemnoszary płaszcz i pasujący do niego kapelusz, przez co wydawał się wyższy. Lekarz zdjął nakrycie głowy, gdy tylko wypatrzył Maggie, a kiedy stanął przy łóżku, wyczuła słaby korzenny zapach jego skóry i zimno bijące od ubrań.

Doktor Sarka zapytał ją o samopoczucie, a kiedy zapewniła, że jest obolała, ale w obecnych okolicznościach nie może narzekać, z powagą pokiwał głową.

A potem spojrzął jej w oczy i wyznał, że rozmawiał z siostrą przełożoną, i zapytał, czy Maggie naprawdę uważa się za rozsądną. Jak zamierza sobie poradzić z dwójką dzieci bez męża, a na dodatek bez żadnych dochodów? Maggie skrzyżowała palce i zapewniła, że brat jej pomoże.

– Wiem, że wszyscy uważają mnie za szaloną. Siostra przełożona twierdzi, że odmawiam swoim dzieciom szczęśliwego życia i odpowiednich rodziców. Wiem, że sobie poradzę. To nie wina tych malców, że się urodziły, i nie mogę ich po prostu wyrzucić jak zepsutego jedzenia.

– Życie bywa ciężkie dla samotnej matki. – Doktor Sarka westchnął. – I dla dzieci z nieprawego łoża. Niech się pani nie obawia, jeżeli znowu zmieni zdanie.

A potem wstał, podniósł kapelusz, ukłonił się lekko i obiecał, że jeszcze do niej zajrzy.

Maggie skinęła głową i podziękowała. Wiedziała jednak, że nie zmieni zdania.

Po wyjściu doktora Sarki pojawiła się Vanda. Była właśnie w drodze do pracy i zajrzała. Miała na sobie stary szynel i brązowe oficerki, ale Maggie dostrzegła, że pod spodem Vanda nosi kostium sceniczny, jednocześnie obcisły strój obszyty cekinami. Pocałowała dziewczynę i wręczyła jej tabliczkę czekolady oraz torbę pomarańczy.

– Ślicznie dziękuję. Gdzie Boris?

– W torbie na tylnym siedzeniu taksówki. Mam nadzieję, że się nie obudzi!

Uśmiechnęły się obie.

– Van... – Maggie spoważniała. – Postanowiłam je zatrzymać.

Vanda otworzyła usta ze zdumienia. Po raz pierwszy Maggie zobaczyła, że nie może dobyć z siebie słowa.

– Ale nie możesz – odpowiedziała w końcu Vanda. – Z czego będziesz żyła? Gdzie będziesz mieszkać?

Maggie zapewniła, że wyprowadzi się, gdy tylko wyjdzie ze szpitala. Pewnie wróci do Hastings, żeby zamieszkać z Leonardem, jak wyjaśniła, przynajmniej na jakiś czas. A potem zamilkła. Szkoda, że nie czuła się tak pewnie, jak by to wynikało z jej słów. Napisała Leonardowi, że chce zatrzymać dzieci, ale list został wysłany dopiero wczoraj i Maggie nie wiedziała, co odpowie brat.

– Poprosiłam Leonarda, żeby zatrudnił mnie do prowadzenia domu, przynajmniej dopóki bliźnięta nie urosną i nie pójdą do żłobka. Musiał zatrudnić pomoc po moim wyjeździe i nigdy tak naprawdę nie chciał, żebym się wyprowadziła, więc wszystko powinno się ułożyć.

Vanda skinęła głową z namysłem.

– Będę za tobą tęsknić.

– Ja też.

Dziewczynę ogarnął smutek. Przyjechała do Sheffield z głową pełną marzeń i planów na przyszłość. Tutaj miał być jej nowy dom, nowe miejsce. Tutaj miała być nową Maggie.

– Dziękuję, że pozwoliłaś mi zostać i za wszystko... wiesz, za wcześniej.

Vanda tylko machnęła ręką. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale się zawahała.

– O co chodzi? – zapytała Maggie.

– No... Pomyślałam właśnie... A co będzie, jeżeli dzieci, to znaczy, kiedy będą dorastać, okażą się podobne do...

Maggie pokręciła głową.

– Nie mają z nim nic wspólnego. Nic!

Po chwili rozejrzała się po sali. Wszystkie pielęgniarki były zajęte matką, która urodziła w nocy, bladą i wyczerpaną, zupełnie jak Maggie kilka dni temu.

– Chciałabyś je zobaczyć? – szepnęła do Vandy.

– A wolno nam?

– Właściwie nie. Powinnam przychodzić do nich tylko w porach karmienia.

– Zupełnie jak w zoo – skomentowała Vanda.

– Śmierdzi tak samo. – Maggie się roześmiała. Tak długo już tego nie robiła, że teraz wyraźnie poczuła mięśnie twarzy.

Bliźnięta leżały twarzami do siebie w łóżeczku, przytulone jak płatki tulipana. Musiały spać razem, przynajmniej według pielęgniarki opiekującej się salą noworodków, inaczej „robiły się marudne, wrzaskliwe i niespokojne, jakby nadeszła apokalipsa”.

– Ale para maluchów. – Twarz Vandy złagodniała, gdy patrzyła na śpiące noworodki.

Maggie sięgnęła do łóżeczka. Zapragnęła ciepła nowo narodzonego dziecka w swoich ramionach. Kiedy przytuliła swoje dzieci po raz pierwszy – po tym jak personel w końcu przyjął do wiadomości, że zamierzała je zatrzymać – oczarowało ją, gdy oparły główki na jej ramionach, oszołomił ciepły zapach talku na skórze syna i słona wilgoć na włosach córki. Jej syn, jej córka – jak Maggie mogła myśleć o ich oddaniu?

– Matko! Dlaczego wstała pani z łóżka?

Maggie cofnęła szybko rękę.

– Przepraszam, siostrze przełożona, ja...

– Pielęgniarka przyprowadzi panią, gdy dziecko będzie potrzebowało karmienia. A teraz proszę wracać.

Do oczu dziewczyny napłynęły gorące łzy. Jak siostra przełożona mogła zapomnieć, że Maggie ma dwoje dzieci, nie jedno? I czy odesłanie matki noworodków to nie najbardziej idiotyczny rozkaz, jaki można wydać świeżo upieczonej matce?

Kiedy Maggie ruszyła powoli na salę, stawiając ostrożnie kroki, zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie mogła normalnie chodzić.

Rozdział 31

W oddali pojawił się znajomy zielono-kremowy szyld Blackheath Tea Hut. Na trawniku przy lokalu parkowały trzy ciężarówki i kilka vanów, taksówka, koniowóz i samochód policji. Niektórzy z kierowców tylko stali i ogrzewali sobie dłonie plastikowymi kubkami, inni siedzieli w pojazdach. Tutaj zawsze był ruch, dzień i noc, niezależnie od pogody. Jonathan zatrzymał się i wysiadł z samochodu. Sądząc po kłębiących się nad drzewami fioletowych chmurach, wkrótce miało porządnie sypnąć śniegiem. Od wielu dni były tylko deszcz lub mżawka, ale teraz powietrze zrobiło się inne, bardziej suche i ostrzejsze. Jonathan kupił herbatę i kanapkę z pieczonym boczkem, po czym wrócił do samochodu. Powinien wracać do domu. Wyobraził sobie, że siedzi w salonie, z tacą na kolanach i ogląda telewizję. Nie mógł znieść nawet takiej myśli. Dom stał się symbolem jego porażki – siedział w domu, zamiast zarabiać na życie, do tego nie było tam Fiony.

Jonathan przeżuł machinalnie jedzenie, ledwie zauważając jego smak. Wczoraj o tej porze był jeszcze Jonathanem Robsonem, synem Daphne i Geralda. Kilka tygodni temu, chociaż nie powiedziała, że swoje życie uważa za idealne, przynajmniej pracował jako pełnoetatowy nauczyciel angielskiego i miał żonę, która go kochała i chciała z nim być.

Zadzwoił telefon. Jonathan odebrał przekonany, że to Fiona.

– Pan Robson? Tu Don Hutchinson. Przepraszam, że znowu pana męczę, ale zastanawiałem się, czy rozmawiał pan już z matką.

Jonathan westchnął.

– Właśnie od niej wracam.

– Więc już pan wie? – Pozwolił, aby między nimi zapadło milczenie. – Chodziło mi o to, czy już państwo rozmawiali, pan i pańska matka?

Och, do diabła, to przecież nie wina Hutchinsona.

– Tak, powiedziała mi. Zostałem adoptowany, więc to nie mój ojciec... To nie był mężczyzna, którego uważałem za ojca. I co teraz?

W ciszy usłyszał chrupanie. Hutchinson i jego przekłete miętówki.

– Dlatego właśnie dzwonię. Przepraszam, że pana niepokoję, ale chciałbym wiedzieć, czy planuje pan poszukiwanie prawdziwych rodziców...

– To nie są moi prawdziwi rodzice.

– Przepraszam, zły dobór słów, chodziło mi o rodziców biologicznych.

Jonathan westchnął ponownie.

– Jeszcze nie wiem. Nie znam nazwiska mojego biologicznego ojca, więc nie ma szans, żebym odszukał tego mężczyznę, zanim znajdę matkę... O ile ona wie, kim był mój ojciec.

– Rozumiem, że to dla pana trudny okres, obawiam się jednak, że muszę

wykonywać swoją pracę. Ze względu na pana bliskie pokrewieństwo ze sprawcą, na co wskazało DNA, muszę porozmawiać z pana matką, to znaczy z biologiczną matką. To bardzo ważne. A pan ma prawo zobaczyć swoją dokumentację adopcyjną, więc...

– Proszę posłuchać, w tej chwili, szczerze mówiąc, próbuję dopiero oswoić się z tym, czego się dowiedziałem.

Przez chwilę panowała cisza, zanim Hutchinson odezwał się ponownie, tym razem łagodniejszym tonem, chyba nawet ze współczuciem.

– Proszę mnie informować, dobrze? Będziemy w kontakcie.

Jonathan dokończył herbatę, wyrzucił pusty kubek na tylne siedzenie i ruszył na A2, ale zamiast przejechać przez wrzosowiska do domu, skierował się dłuższą drogą do szkoły. Lekcje chyba się już skończyły, a gromadki uczniów tłoczyły się przy sklepach ze słodyczami i na przystanku autobusowym. Jonathan ruszył dalej na wzgórze, ale zaraz musiał gwałtownie zahamować, żeby uniknąć pędzącego czerwono-białego mini, przez którego omal nie uderzył w zaparkowany obok wóz. Było tak blisko, że Jonathan już się przygotował na zderzenie. Jeszcze tylko tego mu brakowało. Ostatnio miał szczęście – właścicielka volvo potraktowała incydent rozsądnie, ale Jonathan już wyobrażał sobie pełen satysfakcji uśmiech funkcjonariuszki Clark, gdyby się dowiedziała o kolejnym identycznym wypadku.

Na szczycie wzgórza zawrócił i wyłączył silnik. Bóg jeden wie, jak szybko jechał tamten mini. I to w pobliżu szkoły. Zapewne w samochodzie siedzieli chłopcy, którzy się ścigali, niewiele starsi od uczniów. Jonathan przyłapał się na przyglądaniu się przechodzącej obok młodzieży i szukaniu aroganckiego grymasu Ryana wśród młodych twarzy. Większość dzieciaków już poszła do domu, zostali tylko maruderzy. Zresztą, co Jonathan tutaj robił? Już miał ruszyć, gdy dostrzegł Chloé Nichols. Szła z koleżankami, torbę przerzuciła przez ramię i wyglądała, jakby nic jej nie obchodziło – zapewne planowała już weekend. Gdyby nie potwierdziła historii Ryana, cała sprawa dawno by się zakończyła. Jonathan z pewnością nie zostałby spisany przez policję, nie pobrano by próbki DNA i nie dowiedzieliby się o... Chryste, czy ta dziewczyna miała pojęcie, co rozpętała? A wszystko dlatego że podobał się jej cholerny Ryan Jenkins. A gdyby Jonathan teraz z nią porozmawiał? „Jesteś bystrą dziewczyną, Chloé, dlaczego kłamiesz dla Ryana?”. Chloé właśnie parsknęła śmiechem na słowa swojej koleżanki, odrzuciła włosy i poprawiła torbę na ramieniu. Czy ta dziewczyna miała pojęcie, w co się pakowała?

Jonathan wysiadł z samochodu i nie oglądając się, zatrzasnął drzwi. Ruszył po asfalcie w stronę dziewcząt. Dostrzegł kilkoro nauczycieli schodzących ze wzgórza, niektórych z nich znał. No i co z tego? To wolny kraj.

Chloé uniosła głowę, gdy się zbliżał, ich oczy się spotkały.

Jonathan nie odwrócił wzroku, ale nie potrafił również odczytać wyrazu twarzy dziewczyny. A potem z lewej dostrzegł czerwoną smugę i usłyszał zgrzyt hamulców. Chloé poszybowała w niebo jak bożonarodzeniowy anioł spod

sufitu centrum handlowego. Wydawało się, jakby przysiadła na boku mini, a potem przetoczyła się po karoserii i z łomotem uderzyła w jezdnię. Czas wstrzymał oddech, gdy Jonathan zrobił krok naprzód. W ułamku sekundy do mężczyzny dotarło, że w czerwonym mini siedzi mnóstwo pasażerów, a Chloé ma wykręconą nienaturalnie nogę, krew na policzku i błoto w jasnych długich włosach. Podszedł bliżej i dostrzegł kolejną smugę – drugi rozpędzony samochód zbliżał się do dziewczyny i Jonathana. Rozległ się krzyk koleżanek Chloé. Jonathan pochylił się, chwycił leżącą za kostkę i pociągnął tak mocno, że głowa dziewczyny odbiła się od asfaltu, a jej włosy rozsypały się w kałuży. Pomyślał, że nie powinno się ruszać człowieka potrąconego przez samochód – przecież mógł odnieść obrażenia kręgosłupa. A jeżeli Chloé spędzi resztę życia na wózku i będzie to wina Jonathana? Nawet w kłębowisku myśli Jonathan miał świadomość, że czas biegnie dziwnie. Jak to możliwe, że tyle myśli przemykało mu przez głowę zaledwie w mikromilisekundę? Czytał o tym zjawisku, podobno ma to coś wspólnego ze stresem, mózg wtedy pracuje szybciej, istnieje nawet na to specjalistyczny termin. Koło drugiego samochodu przemknęło tak blisko głowy Chloé, iż Jonathan już czekał, że zobaczy na jej rozsypanych włosach ślad bieżnika. W przeciwieństwie do pierwszego samochodu ten nawet nie próbował hamować lub zwolnić, lecz przyśpieszył. Pozostało po nim tylko wibrujące echo ryku silnika.

* * *

Zanim Chloé zabrała karetkę, a policja spisała zeznania, zrobiło się ciemno i znowu zaczął padać śnieg. Jonathan siedział w swoim samochodzie. Został bohaterem. Dzikie wyścigi, stwierdził policjant. Wcześniej tego samego dnia otrzymano zgłoszenia na te same dwa samochody – ścigały się na Shooter's Hill. Jeden zahaczył o krawężnik i przejechał starego labradora. „Bezдушny drań nawet nie się nie zatrzymał” – stwierdził policjant, potrząsając głową. Jonathan nie przypominał, że żaden z samochodów nie zatrzymał się także po przejechaniu Chloé.

Wyjął telefon, żeby zadzwonić do Fiony, ale uznał, że żona pewnie nie odbierze, więc zrezygnował, włączył silnik i ruszył do domu, chociaż myśl o wejściu do pustego salonu sprawiała mu niemal oślepiający ból. Kiedy jechał przez Blackheath, ogromne białe płaty śniegu opadały najpierw pojedynczo, potem coraz gęściej i wkrótce wydawało się, jakby wóz otoczyła biała pierzyna. W perspektywie ulicy widać było kościół Wszystkich Świętych wspianiale oświetlony z dołu – iglica na wieży lśniła dzięki temu złotą poświatą na tle ciemnego nieba, a zbierający się na dachu śnieg tworzył już białą pokrywę jak na bożonarodzeniowych pocztówkach. Dalej pomarańczowe światło z pubu wydobywało z mroku zaśnieżone stoły przed lokalem. Jonathan wyobraził sobie, jak wchodzi tam i słyszy gwar rozmów i brzęk szkła, czuje znajomy

zapach piwa i starego drewna. Pomysł był kuszący. Ale i tak Jonathan w końcu musiałby wyjść z ciepłego wnętrza i wrócić do rzeczywistości. A wtedy napada więcej śniegu, który okryje okolicę, jednak ani trochę nie zmieni to tego, co kryło się pod białym puchem.

U Malcolma i Cassie nikogo nie było. Jonathan zastanawiał się, czy nie pojechać do Lucy i Matta, ale wydawało się to niestosowne. Dlatego przez godzinę snuł się bez celu, nie zastanawiając się nawet, gdzie właściwie się znajdował. Padający śnieg, światła mijających go samochodów i rytm wycieraczek kołły mu nerwy. W końcu znalazł się na Brockley, gdzie kiedyś mieszkał ze Sian. Oprócz kilku nowych sklepów i kawiarni okolica prawie się nie zmieniła. Jonathan zwolnił, gdy zbliżył się do starej winiarni, zaparkował i wysiadł. Może spotka tutaj dawnego znajomego, kogoś, z kim będzie można porozmawiać. Zajrzał do słabo oświetlonego wnętrza, ale zamiast radosnego tłumu, jakiego się spodziewał, zastał przy kontuarze tylko kilku wczesnych amatorów mocniejszych trunków, nadal w garniturach, z laptopami i teczkami spoczywającymi na wysokich krzesłach obok swoich właścicieli. Stoliki były puste, tylko przy jednym siedział samotnie jakiś zmęczony trzydziestolatek i patrzył w okno. Przed nim leżał nieotwarty „Times”, a klient zdążył już opróżnić dwie trzecie butelki czerwonego wina. Nikt tutaj chyba nie rozmawiał, nikt się nie śmiał. Jonathan wrócił do samochodu i odjechał.

Kilka lat po rozstaniu wpadł na Sian w Greenwich. Co wtedy powiedziała o mieszkaniu z widokiem na Hilly Fields? Że zamierzała tam mieszkać. Kupiła je? Tak, na pewno wspomniała o hipotece i chłopaku, który chciał gdzieś osiąść na stałe. Jednak do dziś chyba już się wyprowadziła...

Jonathan skręcił za wysepkę i podjechał ulicą. Oto i tamto mieszkanie. A w salonie paliło się światło.

Rozdział 32

Maggie nazwała bliźnięta Elizabeth i Jonathan. Kiedy czuła ich drobne rączki zaciskające się na jej palcach, kiedy wdychała waniliowy zapach niemowlęcej skóry i patrzyła w niebieskie oczy i na drobne paznokietki, zachwycała się doskonałością i bezgraniczną niewinnością swoich dzieci.

Po podejrzeniu kilku matek postanowiła, że sama też spróbuje karmić dzieci piersią. Niechęć Elizabeth trochę niepokoiła, dziewczynkę trzeba było dokarmiać zatem mlekiem w proszku, ale z pomocą pielęgniarek udało się to opanować. Pomimo ogólnie nieprzyjaznego nastawienia, jakie wywoływał brak obrączki u Maggie, dziewczynie udało się nawiązać bliższą znajomość z kobietą na sąsiednim łóżku. Pearl okazała się starsza niż inne matki. Miała okrągłą, pulchną twarz i siwiejące już włosy, ramiona szerokie, a na nogach sieć czerwonych żyłek. Urodziła właśnie piąte dziecko – pierwszą dziewczynkę – więc wiedziała, jak sobie radzić z noworodkiem. Pokazała Maggie trzy różne sposoby na wiązanie pieluszek i jak trzymać bliźnięta, aby „czuły się bezpieczne i spokojne jak wtedy, gdy nosiłaś je w łonie”. Kiedy mąż Pearl, chudy i łysiejący mężczyzna o wiele starszy od żony, przychodził w odwiedziny, zawsze punktualnie o siódmej wieczorem, kobieta uśmiechała się promiennie, a wtedy jej twarz jaśniała jak u młodej dziewczyny i piękniała jak perła, po której nosiła imię. Maggie często przyglądała się tej parze. Trzymali się za ręce, pochylali tak blisko, że niemal dotykali się nosami. Ich czułość sprawiała, że chciało się jej płakać.

Kiedy Pearl wychodziła do domu, podeszła do Maggie, żeby się pożegnać, i życzyła dziewczynie szczęścia. Przyniosła też sporą torbę.

– Poprosiłam Berta, żeby zapakował trochę starych ubranek chłopców – wyjaśniła. – Masz tutaj śpioszki i koszulki, rajtuzy i tym podobne. Obawiam się, że większość jest niebieska, ale oszczędzą ci parę szylingów, gdy stąd wyjdiesz.

Maggie otworzyła torbę. Było tam o wiele więcej, niż Pearl wspomniała – kamizelki, kurtki, czapeczki, butki – wszystko w odcieniach błękitu albo śnieżnobiałe.

– Och, Pearl, to prześliczne ubranka. Nie chcesz tych białych zatrzymać dla Anne?

Pearl roześmiała się i pokręciła głową.

– Nie, kochana. Po czterech chłopakach postanowiłam, że Anne będzie nosić wszystko nowe i różowe oraz czapeczki z falbankami, przynajmniej dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat.

Kilka dni przed wypisaniem Maggie i bliźniaków Vanda przyniosła dwa komplety ubranek, które sama wydziergała – śpioszki, bluzeczki, czapki i buciki, wszystko z miękkiej, jasnożółtej włóczki.

– Są piękne. – Maggie z zachwytem obejrzała buciki. – Nie wiedziałam, że umiesz robić na drutach.

– Dziergałam bez przerwy jako dziecko, głównie szale i szaliki, a kiedy podrosłam, ubranka dla dzieci. Uwielbiałam robić bluzeczki. Zawsze myślałam, że będę miała dużo dzieci, wiesz? Słuchaj, myślałam trochę. Dlaczego nie zatrzymasz się u mnie na trochę? Będę musiała podnieść czynsz, jeżeli to by miało trwać dłużej, ale za to mogłabym zajmować się dziećmi za dnia, dzięki czemu miałabyś kilka godzin na pracę i... cóż, mogłybyśmy sprawdzić, jak sobie poradzimy.

* * *

Ze szpitala Vanda zabrała dzieci i Maggie taksówką. Przygotowała się trochę, jak wyjaśniła. W pokoju z tyłu domu czekało duże staroświeckie łóżeczko dla dzieci podarowane przez sąsiadkę, która trzymała je na strychu przez prawie dwadzieścia lat. Chętnie oddała je dziewczynie, jak powtórzyła Vanda: „Z jednym dzieckiem jest ciężko, a co dopiero z dwojgiem”. Na górze w pokoju Maggie dwie szuflady zostały zmienione w prowizoryczne łóżeczka. Vanda zrobiła materace, zszyła stare kołdry, do każdej dodała też białe prześcieradło, zrobiony na drutach kocyk i niewielkie poduszeczki, jedną obrębianą różową wstążką, drugą – niebieską. Poszewki wyszyła w niebieskie ptaszki i bukiety kwiatów, a pod każdą poduszkę wsunęła zrobionego na drutach misia z jasnobrązowej, miodowej wełny.

Maggie poczuła ucisk w gardle. Czuła się dziwnie obco po wyjściu ze szpitala, jakby zdarto z niej zewnętrzne warstwy. Przesunęła palcami po krawędzi jednej z szuflad.

– To jak małe gniazdko – wydusiła, a głos się jej załamał.

Tej nocy dzieci były niespokojne. Gdy tylko jedno zasnęło, drugie zaczynało płakać. W domu panowało zimno, zwłaszcza w porównaniu ze szpitalnym ciepłem sali dla noworodków, i Maggie drżała, gdy chodziła najpierw z Jonathanem na rękach, potem z Elizabeth. Po raz pierwszy ogarnęły ją wątpliwości. Tylko w Bogu pokładała nadzieję, że postąpiła właściwie.

Rozdział 33

Sian przytyła. Jonathan pamiętał, że przypominała trochę chłopca – jej figura nie miała wyraźnego wcięcia w talii i biustu. Kobieta była niska jak Fiona, ale wysportowana i atletyczna, mogła pokonać Jonathana w siłowaniu się na rękę. Teraz była bardziej zaokrąglona i wydawała się delikatniejsza.

– Dobrze wyglądasz – powiedział Jonathan, gdy Sian nalewała czerwonego wina do lampek z grubego błękitnego szkła.

Mieszkanie też wyglądało inaczej.

„Oczywiście, że wygląda inaczej po prawie dwunastu latach, idioto!” – zbeształ się w myślach Jonathan.

Znajdował się tutaj prawdziwy wiktoriański kominek, w którym tańczyły płomienie, a nad nim wisiało wielkie prostokątne lustro.

Sian uśmiechnęła się szeroko.

– Czy to eufemizm, żeby nie mówić, że przytyłam?

Miała na sobie długą fioletową spódnicę i powyciągany czerwony sweter, a fioletowa frotka przytrzymała jej kręcone ciemne włosy, aby nie opadały na twarz. Sian zawsze lubiła fiolet.

Jonathan pokręcił głową.

– Nie, wcale nie. Pasuje ci...

– Nie przejmuj się, Jon. – Sian się roześmiała i błysnęła złotym zębem. To było coś nowego. – Nie obraziłeś mnie. To przez rzucenie pracy U Martino. Kiedy pracowałam w kuchni, prawie nic nie jadłam. Gdy tylko odeszłam, chyba przypomniałam sobie, że mogę nie tylko przygotowywać potrawy, lecz także je zjadać.

Jonathan uśmiechnął się, bo właśnie w U Martino się poznali. Sian była szefem kuchni od kilku lat, a Jonathan znalazł się tam po raz pierwszy. Był przerażony. Nikt nie próbował go wprowadzić, zesłano go po prostu do piwnicy i kazano znaleźć sobie jakieś zajęcie. Pomieszczenie bez okien wypełniały para, wilgoć i chaos. W wielkim stalowym zlewie piętrzyły się już duże misy do mieszania składników, garnki i cedzaki. Z poobijanego radia w kącie niosła się szalona muzyka pop, chociaż Jonathan nie od razu ją usłyszał wśród zgiełku i trzaskania garnków. Właściciel zszedł z krzykiem po schodach.

– Gdzie są przekąski na stolik numer cztery? – warknął na Sian, która stała na środku pomieszczenia przy przemysłowej kuchni, w białym uniformie kucharskim przewiązanym niebieskim fartuchem i z rącznikiem na ramieniu. – A goście z szóstki wyjdą, jeżeli za trzy minuty nie dostaną zamówionych dań.

– Poczekaj, Martino! – odkrzyknęła Sian, nie podnosząc głowy. Potrząsała rondlem w jednej ręce, drugą obracała rybę na patelni. – Gotuję najszybciej,

jak mogę.

Parę minut później Martino wrócił, tym razem z dwoma talerzami, które z brzękiem rzucił na stalowy kontuar.

– Stolik dziewiąty chciał wysmażone, a z tych nadal cieknie krew.

Sian znowu odpowiedziała, nie przerywając pracy:

– Jeżeli te wieśniaki chcą dobrze wysmażony filet, niech idą do baru z grillem. To restauracja, nie pieprzone krematorium.

Jonathan podszedł do niej właśnie wtedy.

– Czy nie... Nie wybrałabyś się ze mną na drinka?

Sian odwróciła się, żeby mu się przyjrzeć. Miała zaskakująco niedopasowane oczy – jedno ciemnobrązowe, drugie piwne. Zmierzyła go tymi oczyma od stóp do głów.

– Szybki jesteś, co? Jak się nazywasz?

– Jonathan. Jonathan Robson. – Skrzywił się na gorliwość w swoim głosie.

Zastanowiła się.

– Zgoda, Jonathanie Robson, wypiję z tobą drinka.

Jonathan poczuł rumieniec, gdy przypomniał sobie, co nastąpiło po tym drinku, i musiał odepchnąć pornograficzne obrazy, jakie podsunęła mu usłużnie pamięć.

– Przytyłam jeszcze bardziej, gdy wyszłam za mąż – oznajmiła Sian. – Wszyscy mówili, że to z zadowolenia, ale tak naprawdę to z poczucia beznadziejności.

– Przykro mi, że nie wyszło.

Wzruszyła ramionami.

– Raz na wozie, raz pod wozem. Zdarza się. – Podciągnęła nogi i skuliła się na sofie obok Jonathana. – Lepiej opowiedz mi o sobie.

Zapomniał, jak hipnotyczne są te oczy, kiedy je zwracała na kogoś, po prostu musiał obnażyć przed nią duszę. Najpierw Jonathan opowiedział Sian o Chloé i o tym, jak odciągnął uczennicę od pędzącego samochodu, a także o tym, jak bardzo się martwił, iż dziewczyna skończy na wózku inwalidzkim, dopóki sanitariusz nie zapewnił, że nie ma obaw.

– O, cholera. – Sian wyprostowała się, na twarzy odmalowała się jej nieskrywana troska. – Pewnie nadal jesteś w szoku, chcesz brandy?

Jonathan uśmiechnął się – oto sławetne dobroczynne działanie brandy.

– Nie. – Pokręcił głową. – Zdaje się, że wino doskonale się sprawdziło.

A potem opowiedział o dziecku i swoich obawach, że okaże się marnym ojcem.

– Ale myślałam, że nie chcesz mieć dzieci? – zdziwiła się Sian i zapadła między nimi cisza, gdy oboje przypomnieli sobie nieszczęśliwe ostatnie dni ich związku. – Tak czy inaczej, przykro mi. – Sian odwróciła się, aby napęłnić sobie lampkę. – Mów dalej.

I wtedy opowiedział jej resztę – jak przez Ryana stracił panowanie nad sobą, jak spisała go policja, co wynikało z pobrania próbki DNA i z wizyty

Hutchinsona, a na koniec o wyznaniu matki, które usłyszał tego ranka. Aż nie chciało mu się wierzyć, że stało się to dzisiaj.

– Krótko mówiąc, niewiele wiem o genach, jakie przekażę dziecku. Wiem tylko, że mojego ojca wciąż szuka policja, a matka, Margaret Harrison, porzuciła mnie, gdy byłem małym dzieckiem.

– Jejku – westchnęła Sian. – To dopiero historia.

Jonathan upił łyk aromatycznego wina, po czym zakręcił lampką i spojrzał w dno naczynia.

– Dzisiaj po południu – wyznał wreszcie – kiedy zobaczyłem Chloé Nichols pod szkołą, poczułem się, przynajmniej przez chwilę... miałem ochotę użyć siły, fizycznej przemocy, jakbym chciał ją uderzyć. – Nadal kręcił lampką, po czym podniósł wzrok. – A jeżeli... To znaczy, co będzie, jeżeli nie potrafię tego kontrolować? A jeżeli to cecha dziedziczna albo coś podobnego?

– Sądzę, że za bardzo się tym martwisz. Wszyscy się tak czują od czasu do czasu. A ty na dodatek znajdujesz się pod dużą presją i przeżyłeś kilka poważnych wstrząsów. – Sian upiła wina. – Co zamierzasz zrobić? Chodzi mi o twoich biologicznych rodziców.

Zagrożenia z nieznannej przeszłości splotły się w węzeł, który zaciążył Jonathanowi; chciałby sięgnąć w głąb siebie, wyrwać go i rzucić w ogień. Ale te obawy przed nieznanym zaczęły tylko narastać niczym nowotwór. Dopił resztę wina i pozwolił Sian napęlić po raz drugi lampkę. Westchnął.

– Nie wiem – przyznał. – Naprawdę nie wiem.

Kiedy był mały, Jonathan wierzył, że w jego szafie mieszka potwór.

– Och, na litość boską! – Ojciec przeszedł przez pokój, aż zadrżały szyby w oknie. – Potwory nie istnieją.

Jonathan skulił się pod kołdrą, słysząc skrzypienie i trzask, gdy Gerald otworzył drzwi szafy na oścież.

– Widzisz? – huknął. – Tylko ubrania, nic więcej. A teraz przestań być taką beksą i śpij.

Lecz Jonathan nigdy nie miał pewności, ponieważ w ostatniej chwili odwrócił oczy – na wypadek gdyby mroczny, bezkształtny potwór, którego tam dostrzegł, okazał się jeszcze bardziej przerażający.

– Hej, zadzwońmy po pizzę – zaproponowała Sian i wstała. – Nie można znieść takiej traumy o pustym żołądku. – Zaraz jednak się zatrzymała. – A może Fiona przygotowała już dla ciebie posiłek?

– Fiona... właśnie wyjechała do matki na parę dni. – Jonathan próbował się roześmiać. – Wiesz, żeby przyszła babcia mogła ją trochę porozpieszczać.

Unikał wzroku Sian, żeby nie poznała prawdy. Co takiego czytał o kłamstwach zdradzanych przez mowę ciała? Patrzy się w lewo, gdy się próbuje coś sobie przypomnieć, a w prawo, gdy się zmyśla. Sian zawahała się tylko na okamgnienie, nim sięgnęła po telefon.

– Czyli w porządku – skonstatowała. – Wegetariańska czy mięsna?

Po jedzeniu Jonathan odchylił głowę na oparcie sofy i zamknął oczy. Słyszał

trzaskanie ognia i wyczuwał perfumy Sian, znajomy zapach drzewa sandałowego. Zawsze dodawała olejku z drzewa sandałowego do kąpieli i najwyraźniej to się nie zmieniło. Jednak Sian się zmieniła, była bardziej miękka, mniej drażliwa, niż Jonathan pamiętał. Przysunęła się i odchyliła na oparcie. Jej włosy musnęły mu policzek, a potem poczuł ciepły ciężar jej głowy na ramieniu. Jonathan wziął głęboki oddech.

– Powiniennem wracać do domu.

– W taką pogodę? Nie pleć bzdur.

Zabrzmiało to prawie jak słowa dawnej Sian. Jonathan otworzył oczy. Kobieta obróciła się teraz i patrzyła na niego uważnie, blask z kominka tańczył na jej policzkach i odbijał się złotem w oczach. Położyła dłoń na udzie Jonathana.

– Było tak miło – wymruczała. – Dlaczego nie zostaniesz? To znaczy ze mną?

Przysunęła się do niego.

Przez głowę Jonathana przemknęło mnóstwo obrazów. Zastanawiał się, czy Sian nadal sypiała nago, nawet w zimie, czy sprawdzała pościel, żeby nie natrafić na pajaka, i czy nadal czasami płakała przez sen.

– Sian, wybacz. Nie powiniennem tu przychodzić. – Zaczął wstawać. – Przyjście tutaj było z mojej strony bezmyślne, podobnie jak zwalanie na ciebie moich zmartwień. Nie... nie mówię, że nie chciałbym zostać, ale po prostu... – Przewrócił lampkę. – Szlag, przepraszam. Jestem idiotą, mam nadzieję, że nie pomyślisz...

– Nie przejmuj się, była pusta.

– Nie, chodziło mi o to, że...

– Och, zamknij się i przestań pieprzyć – przerwała mu Sian. Jej głos zabrzmiał ostro i stanowczo. Wyszła z salonu.

Dlaczego tu przyszedł? Jonathan rozejrzał się uważniej. Kiedyś tutaj był jego dom, ale nie pozostały mu z tym miejscem żadne więzi, podobnie jak ze Sian.

Kiedy wróciła, głos jej złagodniał.

– Proszę. – Rzuciła na sofę złożony koc. – Wypiłeś sporo wina, nie powinieneś prowadzić. Możesz się tutaj przespać.

– Nie, przepraszam, wezmę taksówkę...

– Nic podobnego. Prześpij się. Obiecuję, że nie podkradnę się i nie będę próbowała cię wykorzystać.

Jonathan uśmiechnął się lekko.

– Dziękuję, Sian.

* * *

Było dziesięć po trzeciej, a Jonathan nie zmrużył nawet oka. Ogień dogasł i w pokoju zrobiło się lodowato. Jak miałyby spojrzeć Sian w oczy o poranku? Znowu myślał tylko o sobie – pojawił się znikąd w jej progu, przyjął wino

i jedzenie, niemal wyplakał się jej w mankiet... Czego się spodziewał?

Jonathan wstał, wciągnął dzinsy i koszulę, a potem rozejrzał się w poszukiwaniu długopisu i kartki.

Poczułem się całkowicie trzeźwy i zrobiło mi się jeszcze bardziej głupio. Wybacz, że pojawiłem się tak nagle i zachowałem jak smarkacz. Dziękuję, że pozwoliłaś mi się wygadać.

Jon

Położył notkę na stoliku kawowym, po czym złożył koc. Zanim wyszedł, wrócił, po podpisie dodał buziaczka, a kiedy zamykał cicho drzwi, zastanawiał się, czy powinien był to zrobić.

Blask księżyca i leżący wszędzie śnieg sprawiały, że otoczenie wydawało się jasne jak w dzień. Jonathanowi przypomniał się fragment wiersza Clementa Clarke'a Moore'a:

„Blask księżyca zamienił noc w dzień,
a na śniegu ujrzałem tajemniczy cień”.

Kiedy szedł do samochodu, puszysty śnieg trzeszczał mu pod nogami. Zatrzymał się. Wokół panowała cisza, nie było żadnego ruchu, tylko Jonathan – samotny i niepewny na tle gładkiego białego tła. Nie należał do tego krajobrazu, lecz był intruzem.

Rozdział 34

Maggie nie zamierzała wracać do Hastings, a przynajmniej nie tak szybko. Ale nie miała wyjścia. Leonard przyjechał na początku lutego, żeby zabrać ją z dziećmi. Podróż pewnie będzie trwała dwukrotnie dłużej niż zwykle z powodu silnych opadów śniegu. Na południu jest jeszcze gorzej, jak twierdził brat, zasy na piętnaście stóp, a w ostatnim tygodniu nawet zamarznęte morze. Według BBC padł rekord zimna.

Bliźnięta, które właśnie skończyły dwanaście tygodni, spały w dużym nosidle, które teraz znajdowało się na tylnym siedzeniu wypakowanego po dach Morrisa. Vanda pochylała się i pocałowała dzieci, a kiedy sądziła, że Maggie nie patrzy, wsunęła każdemu pod poduszkę pięciofuntowy banknot. Maggie starała się opanować płacz, gdy obejmowała Wandę na pożegnanie. Nie tak to planowały.

Wszystko układało się dobrze do świąt Bożego Narodzenia. Właśnie wtedy zaczął padać śnieg. Na początku wydawało się to magiczne i późnym wieczorem w wigilijną noc Maggie stanęła w tylnych drzwiach, zapaliła papierosa i przyglądała się, jak płatki śniegu opadają szybko i cicho niczym na ruchomej świątecznej pocztówce. Świat zdawał się cichy i spokojny, biały puch okrywał małe podwórko i pobliskie dachy. Pewnego zimowego dnia Maggie wyprowadzi dzieci na dwór i nauczy je lepić bałwana.

W drugi dzień świąt przyszli w odwiedziny Una, Jimmy i kilka innych osób. Maggie nie spodziewała się, że jeszcze ich zobaczy, ale oto pojawili się i traktowali ją jak starą przyjaciółkę. Nikt nie nazywał jej już „mała Mag”. Wśród migotania światełek choinkowych i przy dźwiękach płyty z kolędami puszczonej w radiu popijali whisky, jedli ciasteczka upieczone przez dziewczynę i bawili się w gry, których nikt oprócz Jimmy’ego chyba nie znał. Una zgłosiła się do nakarmienia Elizabeth butelką, ale gdy tylko małej się ułało, szybko oddała ją matce.

– Chyba bardziej jej zaszkodzę – wyjaśniła.

Później, kiedy znajomi wyszli, Maggie i Vanda usiadły pooglądać w telewizji show Dicka Van Dyke’a. Maggie wzięła przybornik i zajęła się dokańczaniem napraw przy kostiumie z cekinami. Pomyślała, że ona i Vanda tworzą dobrany zespół. Z pieniędzmi było na razie krucho, ale gdy tylko bliźnięta trochę podrosną, Maggie będzie mogła zarobić więcej.

Kiedy program się skończył, Vanda wstała, przeciągnęła się i wyłączyła telewizor. Maggie patrzyła, jak biała kropka na ekranie kurczy się i znika. Vanda podeszła do okna i uniosła firankę.

– Pada coraz mocniej. W mieście zrobi się korek, trudno będzie przejechać.

Maggie złożyła kostium i spakowała go wraz z zielonymi butami i ciężką,

wypchaną po brzegi kosmetyczką. Potem zakrzętnęła się, przygotowała kanapki z indykiem, które Vanda miała wziąć ze sobą, i dołożyła węgla do piecyka. Właśnie zaczęła się zastanawiać, co zajmuje przyjaciółce tyle czasu, gdy usłyszała kroki na schodach, powolne, ciężkie. Vanda zwykle tak nie schodziła, lecz biegła po stopniach w górę i w dół.

– Pośpiesz się – ponagliła ją Maggie. – Jeszcze się...

– Nie żyje. Boris nie żyje.

* * *

Vanda płakała przez dwa dni.

– To tylko cholerny wąż – stwierdził Leonard, gdy Maggie zadzwoniła do niego w Nowy Rok. – To znaczy rozumiałbym, gdyby rozpaczła po śmierci wiernego starego psa, ale...

– Boris był wiernym starym wężem. Zapewne bardzo starym, ale Vanda myśli, że zamarzył na śmierć, bo zapomniała sprawdzić żarówki w Boże Narodzenie. I pamiętaj, że dzięki niemu zarabiała na życie przez ponad siedemnaście lat. Bez Borisa, szczerze mówiąc...

– Więc co teraz będzie robiła, żeby się utrzymać? I co ty teraz zrobisz?

* * *

Kiedy przedzierali się powoli przez wciąż zamrożone ulice, Maggie uderzyło, jak obco wygląda teraz miasto. Śnieg zmienił kształt budynków i drzew, sprawił, że wszystko wydawało się większe i oślepiająco białe na tle ciemnego nieba. Kiedy wjeżdżała do Sheffield zaledwie rok temu, Maggie dostrzegła tylko domy z ciemnego kamienia, poczerniałe od dymu ze stalowni, oraz wielkie kominy, których dym tworzył pomarańczową łunę na widnokręgu. Miała wtedy dwadzieścia jeden lat, była ambitna i pragnęła zostawić swój ślad na ziemi, a ten widok symbolizował dla niej wtedy przemysł, nowoczesność i pracę nad swoim życiem zamiast czekania, aż samo się zacznie.

Teraz i miasto było inne, i Maggie stała się inną osobą.

Odwróciła się i spojrzała na tylne siedzenie. Bliźnięta wyglądały inaczej. W ich twarzach błyskała żywotność, wyrazistość, zdawały się bardziej rzeczywiste.

Przejechali zaledwie trzydzieści mil, gdy znów zaczął padać śnieg. Początkowo płatki spadały od razu na ziemię, ale potem zerwał się wiatr i wkrótce przedzierali się przez śnieżycę – biały puch napierał na samochód poziomo z przodu i wirował wokół, przez co widoczność zmniejszyła się do zaledwie kilku stóp. Po trzech godzinach minęli dopiero Chesterfield. Zatrzymali się przy barze, żeby Maggie mogła nakarmić bliźnięta. Leonard poszedł podgrzać im butelki, podczas gdy dziewczyna próbowała nakarmić dzieci

piersią. Elizabeth nie chciała, więc Maggie zignorowała jej żałosne pomiaukiwania i nakarmiła Jonathana. Na szczęście chłopiec grzecznie zjadł, a gdy mu się odbiło, wrócił do spania. Z Elizabeth nie poszło tak łatwo, miała co prawda próbowała znaleźć sutek, ale kiedy go dostała, wypluwała go ze wstrętem.

– No, dalej, kochanie – zachęcała pieszczotliwie Maggie. – Napij się mleka mamy.

Ale Elizabeth tylko wydeła usta i zaczęła wyć.

Maggie była już na skraju łez, gdy do samochodu wrócił Leonard. Odwrócił oczy, gdy wsiadł na siedzenie z przodu.

– Dzięki Bogu – westchnęła Maggie i sięgnęła po butelkę. – Proszę, maleńka, tego chciałaś?

Ale Elizabeth tylko się wygięła i wypluła smoczek, a jej płacz stał się jeszcze bardziej żałosny.

– Och, na litość boską – westchnął Leonard po chwili. – Daj mi ją i idź się trochę ogrzać.

Elizabeth przestała płakać niemal od razu, gdy tylko znalazła się w ramionach Leonarda.

– Widzisz? – Uśmiechnął się, gdy miała zaczęła pochłaniać mleko z butelki. – Wystarczy magiczny dotyk.

Nienawidzi mnie, pomyślała Maggie, gdy ostrożnie przechodziła przez zasypany śniegiem podjazd. Nie chce, żebym była jej matką.

Ciepło baru trochę ją rozweseliło, chociaż lokal okazał się pusty. Maggie zapaliła papierosa i wypila herbatę, nie zwracając uwagi na ślad szminki i zaschnięte kryształki cukru na obrzeżu kubka. Z każdym łykiem gorącego naparu i po każdym zaciągnięciu się dymem z papierosa czuła się lepiej.

Vanda nie miała serca, aby wytresować nowego węża. Wzięła więcej zmian w pubie, ale to nie wystarczało. Może gdyby ciągle nie padał śnieg...

Pewnej nocy tuż po Bożym Narodzeniu Vanda wyszła jak zwykle do pracy, ubrana w futro i kapelusz, skórzane rękawiczki, wełniany szalik i dwie pary grubych skarpet do gumiaków. Wróciła po półgodzinie. Maggie kuliła się przed piecykiem gazowym, próbując rozgrzać dłonie, gdy otworzyły się drzwi i w tumanie śniegu pojawiła się przyjaciółka.

– Piwo zamarzło – wyjaśniła. – Chyba po raz pierwszy za pamięci właściciela. Postanowił zamknąć pub, dopóki pogoda się nie poprawi. – Potupała nogami, aby pozbyć się śniegu z butów. – Zatem przez jakiś czas nie będzie wypłaty.

Maggie nalala wody do czajnika, żeby przygotować herbatę.

– Nadal mam parę godzin na poczcie.

– O ile uda się komuś dotrzeć na tę cholerną pocztę. – Vanda zdjęła rękawiczki i chuchnęła w dłonie. – Pewnie też jest zamknięta. Jak wszystko inne.

Nawet gdy pub został otwarty, napiwki były mniejsze, a właściciel

zmniejszył zmianę Vandy do czterech wieczorów w tygodniu, a potem do dwóch. Dlatego poszła do wytwórni słodczy. Maggie uśmiechnęła się na to wspomnienie. Biedna Vanda. Po pierwszym dniu pracy wtoczyła się do domu cała w śniegu, chichocząc i chwiejąc się jak pijana.

– Boże, czuję się dziwnie – wyznała, gdy tylko zamknęła drzwi. A potem zrobiła się blada i osunęła się na podłogę.

– Vanda! – Maggie uklękła przy przyjaciółce i potrząsnęła ją za ramię. – Dobrze się czujesz?

Vanda poruszyła się, odbiło się jej głośno, po czym wstała z trudem. Zdążyła dobiec do tylnych drzwi, zanim zwymiotowała. Kiedy Maggie zapytała, czy przyjaciółka czegoś nie zjadła, Vanda przyznała, że spróbowała mnóstwa nieupieczonych słodczy w pracy.

– Kierownik powiedział, że można jeść, ile się chce, przywilej pracownika. Przygotowywałam cukierki do piekarnika i, no wiesz, były takie miękkie i gąbczaste, że nie mogłam się powstrzymać... – urwała, a jej skóra zdawała się znowu blednąć. – Boże, zjadłam chyba ze trzydzieści lub czterdzieści. Głowa mi zaraz pęknie.

Chociaż następnego dnia Vanda nie czuła się jeszcze najlepiej, poszła do wytwórni, ale wróciła już po dwóch godzinach. Tym razem była zielonkawa. Maggie podała jej szklankę wody i koc. Przyjaciółka położyła się na sofie.

– Nigdy nie zgadniesz – wydusiła Vanda słabo. – Wiesz, co się stało, gdy zjadłam te surowe słodczy? To chyba były Victory V, które zawierają eter i chloroform. Wszystko dobrze, gdy się je wypiecze, ale...

– Nic dziwnego, że się rozchorowałaś. Czy to nie tego używa się do znieczulenia ludzi?

Vanda skinęła głową i zamknęła oczy.

– Chyba nie zjadłaś dzisiaj więcej, prawda?

– Nie, to opary. W wielkich kadziach mieszana jest mikstura i nawet od jej zapachu robi mi się niedobrze. – Jęknęła cicho. – Możesz mi przynieść wiadro?

Vanda nie wróciła już do wytwórni słodczy. Trzy tygodnie później znalazła pracę w kinie jako bileterka, stała, ale marnie płatną. Dlatego kiedy pojawiła się tydzień później w pokoju Maggie i oznajmiła, że muszą porozmawiać, dziewczyna wiedziała już, co się święci.

– Mam zaległości z czynszem, a znalezienie lepszej pracy zajmie pewnie miesiące. Muszę... – Westchnęła. – Muszę wynająć twój pokój. Przykro mi, Maggie. – Spuściła głowę. – Ale będziesz mogła wrócić do Hastings, prawda?

* * *

Zrobili jeszcze trzy postoje, dwa razy na karmienie dzieci i jeden, żeby Leonard mógł kupić parę dodatkowych skarpet, bo stopy tak mu zmarzły, że przestał je czuć. Bliźnięta tuliły się do siebie pod kolorowym kocykiem, który wydziergała

Vanda. Były ciepłe jak grzanki i jakimś cudem spokojne – może usypiał je ruch samochodu. Jonathan spał, dziwny ulotny uśmiech unosił mu kąciki ust, ale Elizabeth jednak miała oczy otwarte.

– Hej, kochanie – szepnęła Maggie.

Elizabeth mrugnęła, ale nie uśmiechnęła się do matki.

Obserwuje mnie, pomyślała Maggie. Ocenia.

Dziewczyna próbowała się zdrzemnąć, ale czuła spojrzenie córki, które wytrącało ją ze snu. Zaczęła mieć coraz większą pewność, że Elizabeth jest mądrzejsza i sprytniejsza od niej, a przyjście na świat córki miało na celu zajęcie miejsca Maggie – Elizabeth zamierzała się stać taka, jak Maggie próbowała, ale zawiodła.

Rozdział 35

Fi, możemy po prostu porozmawiać? Proszę...

Fiona stała przy zlewie, plecy miała tak sztywne, jakby nawet mięśnie czuły gniew. Zeszłej nocy się pokłócili i żona poszła spać do wolnego pokoju – trzasnęła drzwiami tak mocno, że drzwi obok też się zatrzasnęły. Dopiero gdy się położyła, Jonathan dostrzegł stosik nowych książek kucharskich na blacie w kuchni. Wcześniej ich nie zauważył. Przejrzał lśniące jaskrawe okładki. *Przepisy dla niemowląt i małych dzieci*, *Naturalne potrawy dla dzieci* oraz jedna, która sprawiła, że Jonathan chciałby żonę uściskać: *Gotowanie dla początkujących*.

Chociaż w tej chwili nie wydawała się zbyt chętna do obejmowania i uścisków. Rzuciła ziemniak, który właśnie skończyła obierać, do zlewu, wzięła następny i zaczęła wycinać z niego oczka.

– O czym tu rozmawiać? Wyjechałam na parę dni, a gdy tylko...

– Jedenaście.

– Co?

– Nie było cię przez jedenaście dni. To więcej niż „parę”.

– No i co z tego? Chodzi o to, że gdy tylko zamknęłam za sobą drzwi, ty wyruszyłeś na macanki ze swoją byłą dziewczyną.

– Nie bądź obrzydliwa.

– Ja? Ja obrzydliwa? I kto to mówi?

– Chryste, możesz na chwilę przestać i usiąść?

– Nie. – Fiona obrała kolejny ziemniak i wrzuciła do zlewu.

– Fiona, posłuchaj. – Jonathan uderzył pięścią w stół. – Nie spałem z nią, rozumiesz? Zapytaj, jeśli nie wierzysz. Zadzwoń do niej, kurwa, i zapytaj.

Żona odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

– Och, więc wziąłeś od niej numer telefonu, tak?

Ich spojrzenia się skrzyżowały.

– Nie, nie wziąłem.

Zapadła ciężka cisza, gdy oboje zastanawiali się, co powiedzieć.

– Fiono – pierwszy przerwał milczenie Jonathan. Mówił cicho, cierpliwie. – Przysięgam na Boga, że nic nie zaszło i nie spałem ze Sian. Nie powinienem w ogóle do niej iść, wiem, to było głupie i bezmyślne. Nawet nie zamierzałem jechać do Brockley. Ale po wszystkim, co się stało wczoraj, nie myślałem jasno. Po prostu jeździłem po okolicy, ponieważ nie mogłem się zdobyć na powrót do pustego domu.

– Byłam w domu.

– Ale ja tego nie wiedziałem, prawda?

Znowu zapadła cisza.

– Dzwoniłam.

Z głosu Fiony uleciał gniew. Jonathan podszedł do niej, ale się nie odwróciła.

– Naprawdę mi przykro, przepraszam. Nie kłóćmy się, przynajmniej na razie, proszę.

Zaryzykował uśmiech, a Fiona prawie odpowiedziała uśmiechem.

* * *

Przez następne kilka dni Hutchinson zostawił kilka wiadomości, ale Jonathan je zignorował. Martwił się, żeby nie popsuć swojego małżeństwa bardziej, niż udało mu się do tej pory. Fionę jednak wyraźnie to drażniło.

– Zrozumiałabym, gdybyś podjął decyzję, że nie chcesz wiedzieć więcej – stwierdziła. – Ale nie pojmuję tego... zwlekania. Chyba najlepiej jest dowiedzieć się wszystkiego, co można?

Jonathan nie odpowiedział. Nie chciał wywołać kolejnej kłótni, nie teraz, gdy Fiona wróciła zaledwie tydzień temu i dopiero zaczęli się godzić.

– Zresztą... – Żona wręczyła mu karteczkę. – Dzwonił znowu, gdy cię nie było. To numer do jego pracy, do domu i komórki. Powiedział, że zostawił cztery wiadomości.

Jonathan złożył kartkę, schował do kieszeni spodni i wziął lokalną gazetę.

– No? Nie zamierzasz oddzwonić?

– Nie wiem. Jeszcze nie. – Zaczął czytać wyniki meczów.

– Jonno. – Fiona podeszła i przysiadła na podłokietniku jego krzesła. – Może gdybyśmy o tym porozmawiali...

Jonathan opuścił gazetę.

– Fi, wiem, że Hutchinson musi zrobić wszystko, co należy, żeby znaleźć... mężczyznę, którego szuka. Ale nie mogę podjąć decyzji, czy szukać mojej matki, opierając się tylko na tym, że stanowi ona jedyny trop do tego poszukiwanego. Muszę to przemyśleć. Nie możesz tego zrozumieć?

Fiona uniosła podbródek w ten sam sposób, który widział u jej matki i siostry.

– Nie, Jonathanie – przyznała. – Dziwne, ale nie potrafię tego zrozumieć. Niepewność zżera cię od środka i stajesz się trudnym do zniesienia draniem.

Wyszła, a po chwili wróciła ubrana w płaszcz.

– Zajrzę do Lucy. Do zobaczenia później.

* * *

Jonathan poszedł do Rose and Crown z rękoma w kieszeniach. Oddech zmieniał się w parę w chłodzie wieczoru. Śnieg nie padał od tygodnia, ale w ogródkach przed domami zalegała szadź, a pod krzewami resztki zasp.

Wkrótce znowu miało padać, Jonathan wyczuwał to w powietrzu niczym ostry, krzemienny smak na języku. Wiedział, że Fiona miała rację, ale musiał spróbować i przekonać ją, że teraz nie można podjąć decyzji – chciał myśleć jasno. Ostatnio tyle się wydarzyło i miał wrażenie, że mózg przepuszczono mu przez maszynkę do mięsa. Kiedy Jonathan zadzwonił do szkoły, żeby dowiedzieć się, czy są wieści o Chloé, Linda Fawcett potraktowała go tak podejrzliwie i nieprzyjaźnie, że szybko się rozłączył, co chyba nie było mądre. Malcolm powiedział potem, że Chloé wyszła ze szpitala – kilka pękniętych żeber i złamana noga, którą trzeba było złożyć na gwóźdź ortopedyczny. Co jednak dziwniejsze, Chloé już dręczyła matkę, że chce wrócić do szkoły – a przecież dziewczyna, choć bystra, wcale nie należała do pilnych uczennic. Może igranie ze śmiercią zmieniło jej perspektywę.

Pub znajdował się na końcu szeregu modnych, pomalowanych na biało domów z tarasami. Eleganckie oświetlenie sączyło się zza drewnianych żaluzji. Mijając jeden z budynków, Jonathan usłyszał gitarę, a zza ciemnych okien drugiego dochodził natarczywy brzęczyk telefonu.

Zapach dymu z palonego drewna uderzył go w nozdrza. Jonathan ucieszył się na widok ognia w wielkim kominku. Malcolm już siedział przy kontuarze.

– Czarną Owcę? – zapytał bezgłośnie.

Jonathan skinął głową. Wyciszył komórkę, na wypadek gdyby Hutchinson znowu dzwonił, i rozejrzał się po sali. Jak na piątek było cicho. Jak zwykle przy barze siedziało dwóch starych bywalców, otyła para ściśnięta na ławce i w milczeniu sącząca piwo oraz dwie młode kobiety siedzące nad resztkami posiłku i popijające białe wino z dużych lampek. Kiedy Jonathan przysiadł się do Malcolma, kobiety właśnie wstały, zabrały torebki i lampki wina, po czym wyszły przez szklane drzwi do sali dla palaczy – zadaszzonego patio z kilkoma stolikami i wysokimi piecykami gazowymi, które służyły również za dodatkowe oświetlenie. Kobiety usiadły przy stole, a Jonathan patrzył, jak ciemnowłosa zaciąga się papierosem i wypuszcza dym przez nos.

Tyle wystarczyło. Ruszył do holu i zaczął wciskać drobne do automatu z papierosami.

– Dobry wieczór, profesorze.

Głos sprawił, że Jonathan prawie podskoczył. Petra Simmons, klasa trzynasta, mądra uczennica. Zapomniał, że dziewczyna pracuje w tym pubie w weekendy – oszczędzała na uniwersytet.

– Witaj, Petro. – Jonathan zapytał, jak dziewczyna się miewa, kazał jej się nie przepracowywać, a potem wrócił do Malcolma, który obowiązkowo ruszył za przyjacielem do sali dla palących. Tam zerwał celofan z kupionej paczki.

– Co za cholerne opakowanie. – Jonathan wysunął papierosa. – Silk Cut? Ja nawet nie lubię tej marki...

– Ani ja. – Malcolm też się poczęstował. – Jednak zdesperowani mężczyźni... i tak dalej. A skoro już mowa o desperacji, oglądałeś czwartkowy mecz?

Dziesięć minut spędzili na rozmowie o futbolu, wreszcie Malcolm zmienił

temat.

– Wydawałeś się wykończony, gdy do mnie dzwoniłeś.

Jonathan westchnął, napił się piwa, a potem opowiedział Malcolmowi o zainteresowaniu Hutchinsona jego aktem urodzenia.

– Fiona też mnie o to męczy. Ale ja po prostu nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć.

– Do licha, dlaczego nie?

– Przede wszystkim jaka kobieta zostawia małe dziecko? Byłem starszy od twojej Poppy ledwie o parę tygodni, na litość boską. A z badania DNA wynika, że mój biologiczny ojciec był... – Urwał, zakołysał piwem w szklance. – No, Bóg jeden wie, kim był.

– Złodziejem, który obrabował bank? – podsunął Malcolm. – Przemysłnikiem diamentów? Albo może jakimś wielkim fałszerzem czy kimś takim. Hej, może odziedziczyłeś po nim ukryty talent, który mógłbyś rozwinąć i zarobić kupę pieniędzy.

– To nie jest śmieszne. – Jonathan ujął niezdarnie swoje piwo i trochę rozchlapał. – A jeżeli... – Zapatrzył się w muszkę próbującą uwolnić się z plamy rozlanego trunku. – A jeżeli to był morderca dzieci? Na samą myśl o tym, że mógłbym odziedziczyć... och, sam nie wiem. – Zerknął na Malcolma. – Ten człowiek musiał zrobić coś cholernie poważnego, skoro policja szuka go po tylu latach.

– Owszem, ale stare sprawy otwiera się przez cały czas, prawda? A jeżeli...

– A jeżeli moja biologiczna matka wiedziała? Jeżeli działali razem, byli na przykład parą morderców?

Malcolm spojrzął na Jonathana uważnie, potem spuścił wzrok na stół.

– No, dobrze, stary. Wiem, co masz na myśli. – Dopił piwo. – Do dna.

Zanim Jonathan zdążył wyciągnąć portfel, Malcolm już ruszył do kontuaru.

– Co zamierzasz? – Przyjaciel wrócił i postawił piwo na stoliku.

– Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że jeżeli czegoś z tym nie zrobię, nic nie wyjdzie na jaw. Ale jeżeli zacznę w tym grzebać...

– ...będziesz musiał przyjąć to, co znajdziesz.

– Właśnie.

Unieśli szklanki i wypili, po czym Jonathan wyjął paczkę papierosów i poczęstował przyjaciela. Malcolm pokręcił głową.

– Och, nie krępuj się, jeszcze po jednym...

– Masz na mnie zły wpływ, Robson. – Malcolm wziął papierosa, zapalił i zgasił zapałkę. – Ale dlaczego ten gość od starych spraw tak cię dręczy? Przecież może sam znaleźć wszystko, co chce.

– Najwyraźniej nie wszystko, a przynajmniej nie tak łatwo. Ustawa o ochronie danych i takie tam. Wspomniał, że zapewne mógłby ją obejść, gdyby musiał, ale ma nadzieję, że oszczędzę mu fatygi. Problem w tym... – urwał, gdy Petra weszła do patio i zaczęła sprzątać puste stoliki w pobliżu, po czym podeszła do Jonathana i Malcolma, aby wymienić popielniczkę.

Malcolm zapytał dziewczynę o zaliczenia i oboje zaczęli rozmawiać o zbliżających się egzaminach Petry. Po kilku minutach zakończył rozmowę, powtarzając nakaz Jonathana, żeby dziewczyna się nie przepracowywała.

– Nie będę, profesorze. – Uśmiechnęła się. – Miłego wieczoru.

– Dlaczego jest taka miła? – zapytał Jonathan, gdy tylko uczennica oddaliła się na tyle, że nie mogła usłyszeć.

Malcolm pokiwał głową.

– Wzorowa uczennica. Stara się też pokazać z jak najlepszej strony, żeby ukryć te gorsze.

– Co?

– Poznałeś jej rodziców? Tatuś przepuszcza wszystko i w zasadzie marnuje tylko powietrze, którym mógłby oddychać ktoś bardziej wartościowy. No, ogólne...

– Wiem. Wegetacja.

– Właśnie. I o to chodzi. Nawet jeżeli rodzice są beznadziejni, nie oznacza to wcale, że dziecko musi pójść w ich ślady.

– Jasne, ale jeśli ma się to w genach, nie uważasz, że wtedy bardziej... no, nie wiem, może masz rację. – Jonathan wstał. – Wracajmy do sali, robi się zimno.

Sięgnął po portfel.

– Po maluchu?

Byli przyjaciółmi od ponad dziesięciu lat, obaj wiedzieli, że to zdanie tak naprawdę znaczy: „Pewnie tego nie powiem, ale cenię sobie twoje zdanie i przyjaźń”.

– Czemu nie? – Malcolm uśmiechnął się szeroko, dopił resztę swojego piwa i oznajmił z powagą: – Jak się bawić, to się bawić.

Po ostatnim zamówieniu Jonathan przy wstawaniu potrącił stolik.

– Jeszcze jedną kolejkę! – zaordynował nieco teatralnie.

– No to pijmy. – Malcolm opróżnił swoją szklanę. – Jasna cholera, widzę cię podwójnie.

Jonathan nie był tak pijany od lat. Zamówił następne drinki i poczuł dumę, że nie zapomniał poprosić również o wodę.

– Postanowiłem być rozsądny – stwierdził i wręczył Malcolmowi szklanę wody. Ostatnie słowo wymówił jako „rossodny”.

– Który z was to powiedział?

Jonathan parsknął śmiechem. Malcolm miał szkliste, błyszczące oczy i dół twarzy mu opadł. Jonathan miał nadzieję, że nie wygląda na tak spitego jak przyjaciel – są już na to za starzy. Petra i barmanka, starsza kobieta, właśnie zaczęły ustawiać stołki i krzesła na stołach.

– Myślisz, że chcą nam dać coś do zrozumienia? – zapytał głośno, choć z niezbyt wyraźną, śmieszoną wymową.

Już miał rzucić jakimś banałem, że trudno zostawić tak urocze towarzystwo, kiedy podchwycił spojrzenie Petry. Niemal go uderzyło i sprawiło, że odwrócił

wzrok. Nie było to spojrzenie, jakie rzuciła im barmanka, jakby pytała: „Nie macie domu, do którego powinniście już wracać?”, wyrażało raczej... co? Z troską? Nie. Rozczarowanie.

Wkrótce znaleźli się na zewnątrz, w mroźnej ciemności. Milczeli, ponieważ musieli się skupić, aby utrzymać pion na śliskim chodniku, a okazało się, że trudniej im utrzymać równowagę, niż chcieliby to przyznać. Radosne ciepło w głowie Jonathana rozpraszało się w zimnym powietrzu. Westchnął głośno i zszedł z krawężnika, nawet nie rozejrzawszy się przed wkroczeniem na jezdnię. Przyjaciel chwycił go za ramię i pociągnął z powrotem. A zaraz potem dostrzegł duży ciemny kształt po lewej. Rozległ się zgrzyt hamulców i ostry, gniewny sygnał klaksonu. Jonathanowi załomotało serce, ponieważ przypomniał sobie rzuconą w powietrze Chloé Nichols. Odskoczył na chodnik, a taksówkarz wychylił się z okna samochodu.

– Idioto pierdolony! – ryknął. – Patrz, kurwa, gdzie leziesz!

Jonathan już otworzył usta, żeby odkrzyknąć, ale taksówka ruszyła, a kierowca tylko teatralnie pokręcił głową. Jonathan wyciągnął rękę, żeby znaleźć jakieś podparcie, zanim znowu spróbuje przejść przez jezdnię. Obok przemknął radiowóz policyjny z włączonym kogutem, ale bez syreny.

– Perfidia – stwierdził Malcolm. – Gdy są potrzebni, to ich nie ma.

– No, cholerne gliny. – Jonathan przypomniał sobie, jak policjanci z niego drwili w komisariacie, jak policjantka śmiała się, że sprawa to jakaś bzdura, a potem go spisała. A potem pomyślał o Donie Hutchinsonie i jego nierozwiązanych sprawach. – Dranie.

Przyśpieszył kroku. Trunki chlupotały mu w żołądku i marzył, żeby się załatwić.

– Sso mówiłeś? – Malcolmowi zlewały się słowa.

– O policji. Cholernie im się podobało, że nie zgłosiłem zarysowania tego volvo.

Malcolm poślizgnął się na zmarzniętej kałuży i chwycił Jonathana za rękaw.

– Ta-ak, dupki – potwierdził ze stanowczą lojalnością.

Jonathan pomyślał, że gdyby policja wykonała przed laty swoje obowiązki, jego biologiczny ojciec siedziałby dawno w więzieniu, nieprawdaż? I gdyby od razu go złapali, teraz nie zawracaliby Jonathanowi głowy. I może wtedy jaśnie pan Hutchinson od niezamkniętych spraw poszedłby na emeryturę i zajął się grą w golfa albo wędkowaniem jak normalny człowiek...

– Tam jest jeden – oznajmił Malcolm.

– Kto?

– Dupek policjant. – Przyjaciel wskazał przed siebie, chwiejąc się lekko.

Po drugiej stronie ulicy znajdował się posterunek. Umundurowany policjant wbijał numer na panelu, żeby otworzyć drzwi.

– Konstabl dupek – stwierdził Malcolm, machając ramieniem, gdy znowu zaczął tracić równowagę.

Jonathan chwycił go, chociaż nie wiedział, czy chciał pomóc przyjacielowi

utrzymać się w pionie, czy sobie. Boże, ale był pijany. Ulica się kołysała.

– F-fszysko to wina polisji, wiesz? – stwierdził, gdy przechodzili niepewnie przez jezdnię.

I to było ostatnie, co pamiętał.

Rozdział 36

Ponad dwanaście godzin po opuszczeniu Sheffield dotarli wreszcie do drogi nadbrzeżnej.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała sennie Maggie.

– W domu. Nie poznajesz? – Leonard skręcił, a wtedy samochód wpadł w poślizg.

Maggie chwyciła nosidło z przerażeniem, ale brat szybko odzyskał panowanie nad kierownicą. Niebo było ciemne, ale śnieg sprawiał, że otoczenie wydawało się jaśniejsze. Skręcili za wystającym białym pagórkem, który – jak przypuszczała dziewczyna – był kolejnym samochodem. Rozejrzała się i naliczyła pięć bałwanów blisko drogi w przydomowych ogródkach. Ich czapki, szaliki i nosy z marchewek pokrył świeży śnieg. Wiatr od morza nawiewał biały puch na domy i formował na śniegu wielkie łuki i fale, które rzucały zaskakujące cienie i dodawały otoczeniu niesamowitości – jak na pejzażach Salvadora Dalego. Zasy były tak wysokie, że niektóre zasłaniały całkowicie frontowe drzwi domów.

– Poczekaj tutaj – nakazał Leonard. – Muszę trochę odśnieżyć przejście, inaczej znikniesz pod śniegiem.

Maggie uśmiechnęła się, ponieważ było to jedno z powiedzonek ich ojca. Bratu odśnieżenie zajęło kilka minut. Pod parapetem ukazał się długi, groźny sople. Leonard uderzył w niego parę razy, zanim udało mu się złamać lód i w końcu Maggie mogła ostrożnie dojść do schodów.

Dom. Może nie było jej już dość długo, żeby zatęsknić i docenić. Pierwsze, co zamierzała zrobić, to rozpalić ogień i przygotować kakao. Kakao na ogniu – pierwszy zwyczaj, jaki wprowadziła matka, gdy tylko zaczęła uczyć syna i córkę gotowania. Zwykle wołała dzieci do kuchni, gdy przygotowywała wieczorny posiłek.

– A teraz patrzcie uważnie – mówiła, gdy końcami palców ucierała kawałki masła i smalcu z mąką, unosiła mieszaninę wysoko i pozwalała jej opadać do miski. – Więcej powietrza sprawia, że ciasto staje się bardziej pulchne. A szczypta sody sprawi, że będzie ładne i zwarte.

Ciasta Maggie nigdy nie były tak udane jak matki, ale Leonardowi wychodziły – jasne i chrupiące, gdy się je ugryzło, lecz delikatne i rozplływające się w ustach.

– To dzięki jego zimnym dłoniom – wyjaśniała matka. – Dobre ciasto potrzebuje zimnego dotyku.

Maggie miała talent do gulaszy i zapiekanek. Umiała kroić karkówkę jagnięcą i przypiekać ją powoli, aby wytopić tłuszcz, a potem dusić lekko z pokrojoną i przyrumienioną cebulą, aż wszystko zrobiło się miękkie

i delikatne. Po mniej więcej godzinie dziewczyna dodawała ziemniaki, pęczak i młodą marchew i zostawiała wszystko, aby się gotowało, dopóki wszystkie smaki się nie wymieszały i bogaty, kuszący aromat nie wypełnił domu. W zimowe noce cała rodzina siedziała przy stole w kuchni, jadła parujący gulasz jagnięcy i wycierała sos chlebem domowego wypieku. Potem cała trójka piła kakao z ognia, zaciskając dłonie na kubkach, podczas gdy gorące węgle z paleniska rozgrzewały im policzki i nosy, a podmuchy mrozu zza nieszczelnego okna uderzały ich w plecy.

Zamek był zamrożony i Leonard męczył się trochę z kluczem. Wreszcie drzwi się otworzyły. Maggie zmarszczyła nos, bo z wnętrza buchnął mysi odór. Rozpoznała od razu tę woń, ponieważ w hotelu często leżało się mnóstwo myszy i trzeba było rozkładać pułapki.

Leonard zapalił światło. Maggie ustawiła nosidełko w przedpokoju i poszła do kuchni. Podeszwy wydawały cmokający odgłos na lepkiem linoleum. Wszystko było brudne. Na każdym krześle wały się gazety, w piecu zebrał się popiół, a mysie odchody otaczały pół kromki chleba, którą brat pewnie zostawił na stole. Osmalone garnki piętrzyły się na suszarce, a dwukomorowy zlew obok niemal nikał pod stosem wciśniętych do niego poplamionych białych kaftanów noszonych przez szefa kuchni.

– Lenny – jęknęła Maggie. – Co to ma znaczyć? Ten dom przypomina chlew! Brat zrobił zakłopotaną minę.

– Wiem. Wziąłem dodatkowe zmiany. I od listopada prawie nie bywałem tutaj w dzień. – Rozejrzał się, jakby zobaczył to pomieszczenie po raz pierwszy. – Trochę zapuściłem dom, co? – Zaraz jednak uśmiechnął się promiennie. – Zupełnie zapomniałem! Mam dla ciebie niespodziankę.

Poprowadził Maggie korytarzem do jej dawnego pokoju, kazał zamknąć oczy. Kiedy je otworzyła, musiała się uśmiechnąć.

– Och, Lenny, jest wspaniale!

– Zrobiłem je sam. – Brat przesunął dłonią po poręczy drewnianego łóżeczka dla dzieci. – Nieźle jak na początkującego, co?

– Jest prześliczne, Len. Dziękuję.

Maggie uśmiechała się z zachwytem, gdy brat pokazał jej niebieskiego misia, którego namalował po jednej stronie, i różowego królika z jaskrawożółtą kokardą po przeciwnej.

* * *

Wysokie okna w sypialni Maggie wypaczyły się od wiatru, a w szparach zaczęły rozrastać się bluszcz. Dziewczyna znajdowała ciągle rzeczy, które zostawiła tutaj, zanim wyjechała do Sheffield – lakier do włosów, perfumy, tusz do rzes – ale miała wrażenie, jakby należały do kogoś zupełnie innego. Znalazła też płytę pod tytułem *All I Have to Do is Dream*.

Jasne, pomyślała, wszystko, czego mi trzeba, to marzenia, a oprócz tego muszę jeszcze wygotować tuziny pieluch, wyprać stos wełnianych ubranek oraz pościeli.

Schowała płytę tam, gdzie ją znalazła, tuż przed tym, gdy bliźnięta zaczęły się budzić. Jonathana łatwiej było nakarmić, więc Maggie zaczęła od niego. Karmienie piersią z pewnością pozwalało zaoszczędzić sporo pieniędzy, ale nie wiedziała, jak długo jeszcze wytrzyma. Każde z dzieci przysysało się do sutków, jakby się bało, że matka im je wyrwie z ust. Gdy karmiła, wyobrażała sobie, że na własne oczy widzi, jak bliźnięta rosną, robią się coraz pulchniejsze i rumiane, podczas gdy ona staje się coraz bledsza, chudsza i słabsza. Aż pewnego dnia Maggie spojrzy w lustro i nie ujrzy swojego odbicia. Czy właśnie na tym polega jedyna rola matki? Kobieta staje się źródłem pożywienia i znika, gdy przestaje być potrzebna? Przecież z matką Maggie tak właśnie się stało – umarła, gdy tylko dzieci stały się samodzielne.

Kiedy dziewczyna próbowała nakarmić popłakującą Elizabeth, dziecko tylko ciągnęło i żuło pierś, ssąc tak mocno, że Maggie krzywiła się z bólu. W końcu Elizabeth się uspokoiła i pozwoliła usnąć. Z ust ulewało się jej mleko, jakby się przejadła.

Maggie zapaliła papierosa i westchnęła, spoglądając przez okno. Marzec. Od tygodni codziennie padał śnieg, ile jeszcze mogło to trwać? Ranek był rześki i słoneczny, ale teraz zaczynały się już zbierać chmury i niebo pociemniało. Wszystko wokół czekało na wiosnę.

Rozdział 37

Jonathanowi urwał się film zaledwie na kilka sekund. Nie pamiętał, jak Malcolm próbował go podtrzymać, ani nie przypominał sobie, kiedy został zabrany na posterunek policji. Jedyne, co kojarzył, to długą ławkę, na której siedział, i trzęsącego się mężczyznę w wełnianej kurtce, który cuchnął cydrem i wymiocinami. Mężczyzna mamrotał i wygrażał niepewną pięścią każdemu, kto przechodził.

Parę stóp dalej Malcolm pochylał się nad biurkiem częściowo wspierany przez chudego policjanta, który wyglądał na nie więcej niż szesnaście lat. Starszy oficer z nosem pijaka pytał o szczegóły. Jonathan otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nic się z nich nie wydobyło, więc tylko oparł głowę o ścianę i pozwolił, żeby Malcolm zajął się wyjaśnieniami.

– Kod pocztowy?

– Sierra-Echo-trzy – wybełkotał Malcolm. – Dwa-fosstrof-Zulu.

– Spryciarz. – Policjant za biurkiem nawet nie podniósł głowy. – Dobrze, pójdziecie z funkcjonariuszem Lintonem i posiedziecie parę godzin, aż wam się przejaśni w głowach. Wtedy zobaczymy.

– No to idziemy, chłopaki. – Młody funkcjonariusz pomógł Jonathanowi podnieść się z ławki.

– Chłopaki? W naszym wieku każdy z nas mógłby być twoim ojcem.

– Więc chyba pora, żeby się zachowywać jak taki ojciec, nie? Idziemy.

Zeszli za policjantem po schodach. Tam funkcjonariusz otworzył ciasną celę.

– Nie obaj. To nie obóz dla skautów.

Z sąsiedniej celi dobiegły odgłosy wymiotowania.

– Niech to szlag – wymamrotał policjant.

– Ty. – Skinął na Jonathana i wskazał mu betonową ławę przykrytą cienkim, niebieskim materacem. – Lepiej się połóż, zanim się przewrócisz.

Potem spojrzał na Malcolma.

– A ty pójdziesz ze mną. – Wyjął klucze i powiedział Jonathanowi: – Miłych snów i proszę się nie fatygować z wzywaniem obsługi.

Drzwi celi się zatrzasnęły, rozległ się chrobot przekręcanego klucza.

Jonathan położył się i jęknął. Jak, u licha, doprowadził się do takiego stanu? W kącie celi znajdowała się ubikacja ze stali nierdzewnej, tylko miska, żadnej deski klozetowej i na ile można się było zorientować, ani skrawka papieru toaletowego. Jonathan miał nadzieję, że nie będzie musiał użyć tej muszli, ale przecież bardzo mu się chciało... właściwie wcale nie czuł ucisku w pęcherzu. Czyli nie było pośpiechu. W pamięci pojawił się jakiś przebłysk, ale otoczenie zaczęło wirować i Jonathan potulnie dał się pochłonać otchłani zapomnienia.

Wydawało się, że minęło zaledwie kilka minut, gdy poczuł szarpnięcie za ramię. Ocknął się. Usiadł zbyt pośpiesznie i pod czaszką załomotało mu z bólu.

– No, już. Budź się, śpiochu.

To ten sam policjant, który zamknął tutaj Jonathana, tyle że teraz śmierdział potem i cheeseburgerami.

– Na New Cross jest zamieszanie i potrzebne nam miejsce.

Jonathan rozejrzał się nieprzytomnie.

– Czy to znaczy, że mogę stąd wyjść?

– Tak, proszę pana. Ale obawiam się, że nie podamy herbaty do łóżka. Pokojówka ma wolne. Pana kolega czeka na górze. Wytrzeźwiał szybko, gdy się wyrzygał. Zgłosicie się w recepcji i obaj będziecie wolni jak ptaki.

Jonathan powlókł się po schodach, serce zaczęło mu kołatać z wysiłku. Mdliło go, kręciło się w głowie i rozpaczliwie chciało mu się pić. Jak mógł być tak głupi? Zegar na ścianie pokazywał prawie wpół do czwartej. Fiona pewnie umierała z niepokoju, Jonathan musiał do niej zadzwonić.

Przy recepcji tłoczyła się gromada hałaśliwej młodzieży, która przeklinała i krzyczała na funkcjonariuszy próbujących ich wyprowadzić do aresztu. W powietrzu unosił się łątkowy do rozpoznania zapach marihuany.

– Ma pan szczęście, że jesteśmy tak bardzo zajęci – stwierdził sierżant pilnujący aresztu, gdy Jonathan podpisywał odbiór swoich rzeczy. – Gdyby nie papierkowa robota, postawiłbym panu zarzut pijaństwa.

Uniósł brwi, aby przyjrzeć się uważniej Jonathanowi.

– Nie wspominając o niestosownym zachowaniu.

– Co pan ma na myśli? – zdziwił się Jonathan, a przez głowę przemknął mu urywek wspomnień.

– Dobrze, że funkcjonariusz Collins zjawił się w porę. – Broda sierżanta rozciągnęła się, gdy mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Z dramatyczną przesadą pokręcił głową. – Och, Boże, Boże, Boże, jeszcze trochę wystawiania na takiej pogodzie i śpiewałbyś pan sopranem.

Fragmenty wspomnień z chwil tuż przed tym, jak urwał mu się film, zaczęły się wreszcie układać Jonathanowi w głowie. Jęknął.

Sierżant skinieniem głowy wskazał pomieszczenie obok recepcji.

– Pański kolega już tam czeka.

A kiedy Jonathan ruszył we wskazanym kierunku, policjant zagwizdał *Baby, It's Cold Outside*. Rzeczywiście, cholernie zimno...

Twarz Malcolma nie była blada, lecz przezroczyta.

– To Cass – wyjaśnił i schował telefon. – Jej matka już jedzie przypilnować dzieci, żeby Cassie mogła nas stąd zabrać. Próbowwała się dodzwonić do Fiony, ale bez skutku.

– Znaczący, że obaj wpadliśmy po uszy w gówna.

– Owszem. Zapewniłem Cass, że możemy wziąć taksówkę, ale mi nie uwierzyła. Powiedziała, że powinienem być wdzięczny, bo nie wyciągnęła dzieci z łóżek i nie zabrała tutaj, aby pokazać im, jakim beznadziejnym gnojkiem jest ich ojciec. Koniec cytatu. A potem się rozłączyła.

– Och, kurwa, kurwa, kurwa.

– Właśnie. – Malcolm na chwilę zamilkł. – Ta sprawa... no, wiesz, te brednie, że mógłbyś odziedziczyć jakieś mordercze skłonności czy coś...

– Wiem, że uważasz to za brednie, ale na litość boską, wcześniej już czułem się koszmarnie, gdy myślałem, że mógłbym być podobny do...

– Przymknij się na chwilę, dobrze? – warknął Malcolm. Pochylił się tak gwałtownie, że Jonathan już czekał na cios, ale przyjaciel tylko złapał go za ramiona. – Posłuchaj, do jasnej cholery. Jest coś, o czym nigdy ci nie powiedziałem. Coś, o czym wolałbym nawet nie myśleć.

Przygarbił się, spuścił głowę, oparł dłonie na kolanach i zaczął ścisnąć, a potem rozluźniać palce.

Wyraz niepokoju, jaki odmalował się na twarzy Malcolma, wstrząsnął Jonathanem i pozbawił go słów. Wtedy jednak drzwi się otworzyły i nastolatek z nastroszonymi włosami, w skórzanej kurtce i podartych dżinsach zatoczył się do automatu z napojami i zaczął wybierać, co chce kupić. Malcolm opuścił ręce i odwrócił się plecami. Za nastolatkiem wszedł starszy mężczyzna, rozejrzał się po pomieszczeniu nerwowo i pochylił się do chłopaka. Powiedział coś, ale nastolatek zbył go, wyjął puszkę z otworu w automacie i wyszedł. Mężczyzna skrzywił się przepaszająco, gdy chłopak warknął na niego z progu.

– Tato! Mam się nie wychylać, co nie?

Kiedy mężczyzna pośpieszył za chłopakiem, Jonathan dostrzegł nogawkę pidżamy wystającą ze spodni. Nieszczęsny ojciec na nogach miał filcowe kapcie.

Ciężkie drzwi zatrzasnęły się za oboma. Dało się wyczuć wywołany tym podmuch, a potem zapanował spokój. Malcolm popatrzył na Jonathana, wydawał się przytłoczony.

– Posłuchaj – głos mu się rwał. – Mój ojciec zaczął mnie dotykać, gdy miałem dziesięć lat.

Jonathan pomyślał, że się przesłyszał.

– Miałem pięcioro młodszego rodzeństwa, matka na większość nocy zamykała się w wolnym pokoju... Słyszeliśmy nieustannie, jak powtarzała ojcu, że nie zniesie więcej dzieci. Pewnej nocy pokłócili się naprawdę mocno. Matka wrzeszczała, że nie byłby takim dobrym katolikiem, gdyby to on musiał rodzić. Ojciec też coś krzyknął, potem zerwał szafkę ścienną w łazience i wyrzucił ją przez okno.

– Jasna cholera... – szepnął Jonathan.

– Przez kilka dni zbieraliśmy kawałki szyby z podjazdu. W każdym razie wtedy ojciec zaczął. Nie godziłem się na to, co chciał robić, ale i tak, powiedzmy, proces postępował. Przychodził do mojego pokoju, gdy mama

pracowała na nocną zmianę. Leżałem w łóżku i obserwowałem drzwi, czekałem, aż poruszy się klamka. Próbowałem nie krzyczeć, żeby nie zbudzić braci. – Przyjaciół wziął głęboki oddech. – A potem, po dwóch latach, wszystko się skończyło.

Jonathan położył rękę na ramieniu Malcolma. Ogarnęły go mdłości, ale zwalczył je z wysiłkiem.

– Tak się cieszyłem, że nie muszę patrzeć na tę pierdoloną klamkę. I ani przez chwilę nie pomyślałem, *dlaczego* to się skończyło. Dowiedziałem się dopiero kilka lat temu. Ojciec zajął się moją siostrą Karen. Miała dziesięć lat, chyba dla niego był to magiczny wiek. „Spełniasz teraz podwójne posłannictwo”, powtarzał jej, jakby to był taki przywilej dorosłości. Według Karen ojciec molestował też naszego brata Andy’ego. Andy nigdy mi o tym nie powiedział. Dziękuję tylko Bogu, że ten stary drań umarł, zanim wyciągnął łapy po moje dzieci.

– Malcolmie, nie wiem, co powiedzieć. Ja tu się przejmuję moimi głównianymi problemami, podczas gdy ty przez cały czas...

Przez głowę Jonathana przemknęła seria obrazów: Malcolm jako drużba na ślubie z Fioną, wesele Malcolma i Cass, Malcolm ze swoimi synami z pierwszego małżeństwa puszczający latawce nad Blackheath. I tego rodzaju zwyczajne wspomnienia. Malcolm przynoszący piwo, gdy budowali szopę, Malcolm pomagający Jonathanowi w szkole, Malcolm namawiający go na udział w przedstawieniu, z którego Jonathan chciał zrezygnować. W każdym z tych wspomnień Malcolm uśmiecha się, nigdy nie użala nad sobą.

– Nie miałem pojęcia. – Przysunął się, żeby objąć pocieszająco przyjaciela, ale ich ramiona zderzyły się tylko niezdarnie. – Przepraszam, chciałem...

– Wiem.

– A co z twoją mamą?

– Nigdy jej nie powiedzieliśmy. To, co zrobił ojciec, spadło tylko na niego, na nikogo innego. – Malcolm odwrócił się twarzą do Jonathana, oczy mu lśniły. – Całe to bredzenie, że „jaki ojciec, taki syn”, to nonsens. Mam dzieci, jak wiesz.

– O Boże, nawet nie pomyślałem...

Malcolm uniósł plastikowy kubek i wypił do dna.

– Gdyby te frazesy o genetycznej nieuchronności były prawdziwe, pewnie cała dzielnica miałaby co o mnie opowiadać.

– Racja.

– Nie chcę więcej o tym rozmawiać, dobrze?

– Dobrze, ale...

– Nigdy. Naprawdę. – Malcolm wstał, sięgnął po drobne do kieszeni. – No to napijmy się jeszcze kawy, żeby się wzmocnić, zanim przyjedzie Cassie.

I właśnie wtedy drzwi otworzyły się ponownie, a funkcjonariusz, którego wcześniej nie widzieli, oznajmił, że Cassie czeka w recepcji.

– Niegrzeczni z was chłopcy, co? I teraz macie kłopoty, prawda?

Rozdział 38

Po kilku tygodniach stało się jasne, że nie przeżyją tylko z tego, co zarabiał Leonard, dlatego Maggie znalazła pracę, która mogła wykonywać w domu – szycie dziecięcych spodenek z gumą. Poprosiła brata, żeby przeniósł starą maszynę matki marki Singer do salonu, po czym zabrała się do pracy. Paczka dostarczana co tydzień zawierała kawałki przezroczystej gumy, przyciętej i gotowej do wszycia, oraz dwie torby białych gumowych opasek – mniejszych do mocowania w nogawkach oraz większych na pas. Maggie łączyła końce, potem wszywała całość w odpowiednie zakładki i proszę, spodenki gotowe! Pracowała przez całe lato. Maszyna klekotała do rytmu ruchu nogi dziewczyny. Gdy Maggie przerywała, aby zapalić papierosa, wydawało się, jakby stary singer wstrzymywał oddech i czekał, aż znowu podejmie pracę. Od czasu do czasu dziewczyna spoglądała na słońce prażące wysoko na niebie. Może zrobiłaby sobie przerwę i zabrała bliźnięta na plażę? Ale nie, miała do wykonania normę.

Nabrała już wprawy i szyla coraz szybciej. Podczas pracy wspominała spotkanie z Janine. Kobieta skontaktowała Maggie z ludźmi, dla których wykonywała spodenki. Zdarzyło się to w maju, pierwszego dnia, gdy zrobiło się już dość ciepło na spacerach po plaży. Słońce grzało jeszcze słabo, ale starało się roztopić brudne pozostałości po bałwanach, które jeszcze pozostały gdzieś na podwórkach. Maggie popatrzyła na bliźnięta, które prowadziła w wózku po promenadzie. Jonathan żuł specjalny smoczek dla ząbkujących dzieci, Elizabeth tylko się przyglądała światu. Słońce odbijało się w falach, w powietrzu wyczuwało się sól i zapach świeżo złowionych ryb. Maggie sprowadziła wózek po wydmie i zdołała nawet przyciągnąć go do miejsca blisko morza. Dzieci próbowały się wyślizgnąć z upręży, więc dziewczyna je wypięła i posadziła na kamieniach, skąd mogły zobaczyć mewy większe od nich i fale łagodnie liżące brzeg. Wręczyła zapatrzonym w morze dzieciom po sucharku Ovaltine, a kiedy zaczęły radośnie je zjadać, zajęła się przeglądaniem magazynu „Królestwo Kobiet”.

Zaraz potem bliźniaki zyskały wielbicielkę, dziewczynę imieniem Diane, której matka w zaawansowanej ciąży siedziała niedaleko.

– Jestem Janine – przedstawiła się z uśmiechem. – Ma pani szczęście, że urodziła bliźnięta. Męczyła się pani tylko raz, a ma dwoje dzieci!

Janine nosiła perły i jasnozieloną sukienkę, a jeśli pominąć ciążę, wyglądała jak Jackie Kennedy. Wyjęła paczkę papierosów Park Drive i poczęstowała Maggie, po czym obie spędziły popołudnie na plotkach, paleniu i grzaniu się w słońcu. Zauroczona Diane zabawiała bliźniaki swoją nową zabawką – lalką z włosami. Maggie uznała tę zabawkę za koszmarną – lalce rosły włosy, gdy się

nacisnęło guzik na plecach. Dopiero gdy z Janine zbierały się z plaży, Maggie wspomniała o swoich kłopotach finansowych.

– Jak sobie radzisz z maszyną do szycia? – zapytała wtedy Janine, a potem powiedziała o wszywaniu gumek do spodenek.

– Zarobki nie są duże – wyjaśniła, gdy zapisywała numer telefonu na paczce papierosów Maggie. – Ale robiłam to od urodzenia Diane i gdyby nie junior – wskazała na pokaźny brzuch – pewnie nadal bym pracowała.

Maggie wyrzucała sobie, że nie poprosiła też o numer telefonu Janine. Od dawna nie widywała prawie nikogo poza Leonardem, a naprawdę przydałaby się jej przyjaciółka.

* * *

Kiedy chłód jesieni znowu ogarnął okolicę, Maggie miała już szczerze dość podgumowanych spodenek. Trudno było jej szyć ze zmarzniętymi palcami, ale potrzebowała pieniędzy. Nienawidziła tej pogody. Powietrze cuchnęło pleśnią i dymem, a gęsta mgła wdzierała się szparami do domu. Nie była gęsta jak zupa, ale Maggie bała się mgły zupełnie jak jej matka. Przecież to właśnie mgła zabiła ojca. Pojechał do Londynu zastąpić kucharza i podczas smogu w 1952 roku złapał bronchit. Hotel odesłał go do domu w Hastings, ale ojciec nie wyzdrowiał.

Bliźnięta siedziały obok siebie na wysokich krzeselkach. Jonathan jadł jak zwykle niecierpliwie, otwierał usta do łyżeczki jak pisklę. Przeżuwał dwa razy, połykał i znowu otwierał buzię, a przy tym uderzał rączkami w plastikową tacę, jakby chciał zaprotestować na opóźnienia. Maggie próbowała też nakarmić rozgniecionym bananem ze śmietaną niechętną Elizabeth, która zaciskała wargi i odwracała głowę, krzywiąc się na jedzenie. Jonathan wyciągnął do siostry rękę, paluszkami musnął ją w czoło. Elizabeth od razu przestała marudzić i pochyliła głowę do brata.

– Mimbet – powiedział Jonathan.

W wieku jedenastu miesięcy nie potrafił inaczej wymówić imienia siostry. Jego palce przesunęły się po włosach dziewczynki, jakby chłopiec sprawdzał miękkość jedwabistych kosmyków. Na chwilę uspokoiło to Elizabeth.

Jakże się różnili. Głowę Jonathana porastały krótkie kępki złotych kręconych włosów. Chłopiec był mocno zbudowany i zawsze wesoły. Elizabeth miała prawie białe, satynowe loczki, była drobna i krucha, o niemal przezroczystej skórze.

– No, maleńka – zachęcała Maggie. – Jeszcze troszeczkę.

Ale Elizabeth odmówiła i wróciła do marudzenia.

– No, jedz. – Maggie starała się wsunąć plastikową łyżeczkę do zaciśniętej buzi córki.

Elizabeth ją testowała. Mała wiedziała, że Maggie nie jest dobrą matką, lecz

przypadkową, która mogła tylko zawieść.

– Proszę, kochanie. Bądź grzeczną dziewczynką. Za mamusię...

Ale córka tylko pokręciła głową.

– Och, na litość...! – Maggie odsunęła swoje krzesło i wstała, żeby wytrzeć wypłute jedzenie z poplamionych spodni. – Nie możesz choć raz zjeść bez marudzenia?!

Elizabeth rozplakała się w głos.

– Robisz to specjalnie – warknęła jej matka.

Jonathan wytrzeszczył oczy, usta zaczęły mu drżeć. A potem dołączył do płaczu.

– No i popatrz, coś narobiła!

Maggie podniosła Jonathana z krzesła, nogą przesunęła przepakowany duży kosz na pranie, po czym posadziła malca na dywaniku. Potem wzięła Elizabeth i posadziła obok brata. Uwagę Jonathana łatwo było odwrócić, chłopiec radośnie złapał leżącą w pobliżu gazetę, oddarł kawałek i wsunął sobie do buzi. Maggie wyjęła mu papier z zaciśniętych piąstek i dała drewniane klocki. Elizabeth nawet nie spróbowała się bawić, chociaż torebka matki znajdowała się w zasięgu jej rąk. Skórę miała bladą, co podkreślały zaczerwienione oczy, zmrużone i opuchnięte. Kiedy Jonathan podsunął jej zielony klocek, w ogóle się nie zainteresowała. Chłopiec spróbował jeszcze raz z czerwonym, ale siostra tylko siedziała. Maggie dotknęła jej czoła. Przeraziła się, że córka jest tak rozpalona. Jak Maggie mogła nie zauważyć? Dzięki Bogu, że Leonard nalegał na podłączenie w domu telefonu. Kiedy jednak Maggie zapytała, czy doktor mógłby do niej przyjechać, recepcjonistka ledwie zdołała opanować oburzenie w głosie.

– Doktor ma za duży rejon, żeby przyjeżdżać do zasmarowanego dziecka. Proszę je przywieźć na popołudniową zmianę. O piątej. – I się rozłączyła.

Maggie pokruszyła dziecku aspirynę i zmieszała z kogłem-mogłem, który Elizabeth uwielbiała. Ale mała nie chciała jeść. Nie przełknęła nawet syropu z róży. Maggie zadzwoniła do Vandy, ale przyjaciółka, choć współczuła, nie potrafiła jej pomóc.

„Kochanie, opiekowałam się tylko boa dusicielem, ale nawet on zdechł!”

Maggie zapaliła kolejnego papierosa. Gdyby tylko żyła jej matka, wiedziałyby, co robić. Dziewczyna postukała palcami w podłokietnik sofy. Zadowolony Jonathan bawił się klockami, podczas gdy Elizabeth siedziała nieruchomo i tylko od czasu do czasu kasłała. Wskazówki zegara na kominku zdawały się zupełnie nieruchome. Maggie wzięła książkę, ale po dwóch stronach uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, co czytała. Jak miała dotrzeć do otwarcia gabinetu?

Po półgodzinie lub trochę dłużej Elizabeth się rozpogodziła i nie wyglądała już na tak rozpaloną.

– Patrz, malutka. – Maggie sięgnęła po książeczkę *Tabita i jej kotki*, którą Vanda podesłała na urodziny bliźniaków w listopadzie. – Gdzie jest kotek?

Pokaż mamusi kotka.

Elizabeth dotknęła obrazka.

– Ta! – Obróciła się do Maggie, a jej małe usta rozciągnęły się w uśmiechu. Ukazały się cztery śnieżnobiałe ząbki.

– Mądra dziewczynka! – Maggie pocałowała małą w czoło.

Elizabeth wsunęła kciuk do buzi, owinęła palcem wskazującym swój nos, a potem przytuliła się do piersi matki, jakby wykonała już całą pracę. Maggie pomyślała, że dziewczynka znowu ząbkuje. Albo się przeziębiła.

Kobieta sięgnęła po papierosa. Niech to, ostatni. Wyjrzała za okno. Mgła już się rozwiewała. Może świeże powietrze przeczyści Elizabeth nos. Ubrała bliźniaki w rajtuzki, płaszczyki, czapki i rękawiczki, a potem przypięła je do wózka. Jonathan zaczął się wiercić i marudzić. On też miał lekko zaczerwienione oczy i zrobił się blady. Och, byle tylko bliźniaki nie rozchorowały się razem!

Powietrze było wilgotne, a chodnik wydawał się mokry, choć wcale nie padało. Mewy krzyczały wyjątkowo głośno. Maggie pragnęła tylko, żeby ucichły, te głupie, bezużyteczne ptaki. Gdy tylko wcisnęła się z dużym wózkiem do sklepu tytoniowego, uśmiechnięta pani Dean wyszła z zaplecza i stanęła za przeszkloną ladą. Sprzedawczyni znała Maggie od dziecka i zapewne dobiegała już siedemdziesiątki, nadal jednak była szczupła i atrakcyjna, z perłami w uszach i na szyi, z włosami o niemożliwie intensywnym odcieniu oberżyny i w starannym makijażu.

– Dzień dobry, moje laleczki! – zawołała i pochyliła się, żeby pocałować dzieci. Wtedy jednak zamarła, a uśmiech jej zniknął. – Wielkie nieba! – Spojrzała na Maggie. – Musiałaś je wyprowadzić?

Maggie spojrzała na panią Dean, potem na bliźnięta.

– Elizabeth złapała przeziębienie – wyjaśniła. – Zabiorę ją później do doktora Cranfielda, ale pewnie przepisze jej tylko syrop na kaszel.

Wtedy jednak przyjrzała się uważniej i dostrzegła to samo co wcześniej pani Dean. Czerwone plamy na twarzy Elizabeth. Wysypkę. Jonathan też takie miał, do tego mrużył oczy przed światłem i przyciskał dłoń do ucha. Maggie przyłożyła rękę do jego czoła, ale gorączkę wyczuła, zanim go dotknęła.

– Odra! – zdiagnozowała pani Dean. – Dzieci nie powinny wychodzić, dopóki są zarażone, moja droga. Trzeba zabrać je do prosto do domu, umieścić w zaciemnionym pokoju i wezwać doktora Cranfielda.

Maggie rozstroiła ta wiadomość.

– Odra? Myślałam, że są za małe na odrę! – Jednak teraz, gdy przyjrzała się uważniej, sama dostrzegła, że to nie żadna zwykła wysypka. – Kazano mi przyjść do gabinetu...

– Co za bezmyślność! Te dzieci powinny znaleźć się w ciepłe i jeśli... – Pani Dean urwała. – Nieważne.

Skinieniem głowy wskazała Maggie krzesło w kącie sklepu.

– Usiądź sobie, mała. Zajmę się wszystkim.

Maggie patrzyła, jak sprzedawczyni znika w pomieszczeniu na zapleczu, skąd po chwili słycać terkot, gdy na tarczy telefonu wykręca się numer. Pani Dean wykrzyczała do słuchawki żądanie, aby lekarz przyjechał natychmiast, ponieważ ma ją obchodzić, czy doktor Cranfield właśnie pije herbatę, pani Dean odchowala trójkę dzieci i siedmioro wnucząt, więc umie rozpoznać odrę, gdy ma ja przed oczami. A potem rozległ się trzask słuchawki rzuconej na widełki.

Rozdział 39

Do tej pory Jonathan widywał Cassie wyłącznie roześmianą i pogodną, ale teraz stanęła przed nim jakby zupełnie inna kobieta. Z pociemniałą twarzą i zaciśniętymi ustami spojrzała na niego i wydawało się, jakby tymi oczyma ciskała błyskawice i mogła spalić człowieka na popiół. Jonathan i Malcolm siedzieli potulnie na tylnym siedzeniu samochodu, a mróz trzaskający za oknami mógł rywalizować z tym panującym wewnątrz kabiny. Rozmowa była wyraźnie zakazana. Jonathan zerknął na przyjaciela, którego skóra zrobiła się żółtawa jak stary bandaż. Bez wątplenia wiele go kosztowało wyznanie, co przeżył w dzieciństwie. Kiedy Jonathan wysiadał, ujął rękę Malcolma i uścisnął w milczeniu.

Na progu domu przygotował się na nieuchronną awanturę. Minęła już czwarta, a jednak na dole paliło się światło. Fiona będzie wściekła, a co więcej – bezdyskusyjnie miała powód. Jonathan powinien był zadzwonić. Żona zapewne oskarży go, że spotkał się ze Sian albo coś podobnego. Ale przynajmniej jej samochód stał na podjeździe. Kiedy Cassie powiedziała Malcolmowi, że Fiona nie odbierała, Jonathan pomyślał, że może znowu wyjechała. Trochę go dziwiło, że Fiona nie dzwoniła, ale zaraz wyjął komórkę z kieszeni kurtki. Szlag. Wciąż była wyciszona, miał cztery nieodebrane połączenia i wiadomość. Przewinął je, szukając kluczy. Tylko jeden telefon od Fiony, reszta od Lucy. Jonathan włączył normalne ustawienia dzwonka, wsunął klucz do zamka i otworzył drzwi.

Ujrzał wielkie czerwone krople na dywanie i krwawe odciski dłoni na ścianie. Popędził po schodach. Na poręczy wyczuł lepką wilgoć. Wpadł do sypialni i zamarł.

Najpierw uderzył go zapach – rdzawa, metaliczna woń. Koc leżał na podłodze, jeden róg przesiąkł całkowicie krwią. Łóżko też jest poplamione, krwawe odciski widać również na komodzie i szufladach. Jonathan nie mógł się ruszyć, nie mógł myśleć. Może to halucynacje wywołane przez alkohol?

Jego komórka znowu zadzwoniła. Lucy. Wcisnął odbieranie, ale nadal nie mógł wydusić słowa.

– Jonathanie? Cholera, gdzie byłeś, ty samolubny draniu?

Nigdy nie słyszał, aby Lucy przeklinała.

– Co... – Głos odmówił mu posłuszeństwa. Jonathan odchrząknął i zaczął jeszcze raz. – Co się stało?

– Fionę zabrano do szpitala. – Ton Lucy sugerował, że była to jego wina. – Krwawiła, a ty znowu...

– Lucy, proszę. Powiedz mi po prostu, co się stało.

– Szpital w Lewisham, oddział porodowy. – A potem głos jej się załamał. –

Przyjedź.

– Lucy?

Ale Lucy się już rozłączyła.

Jonathan wiedział, że nie powinien prowadzić, ale do diabła z tym. Niemal stoczył się ze schodów, byle jak najszybciej wydostać się z domu i wsiąść do samochodu. Oddział porodowy... Dlaczego Fiona znalazła się na porodówce? Przecież była dopiero w dwudziestym czwartym tygodniu ciąży!

Przestał wierzyć w Boga, gdy miał może dziesięć lat, ale teraz rozpaczliwie błagał, żeby jednak gdzieś tam była siła zdolna wpłynąć na bieg zdarzeń.

Błagam, błagam, błagam, modlił się podczas jazdy. Niech ona nie straci tego dziecka. Niech z Fioną wszystko będzie dobrze. Stanę się lepszy, przysięgam, stanę się lepszym mężem i dobrym ojcem, postaram się ze wszystkich sił być też lepszym synem, ale niech nasze dziecko urodzi się bezpieczne i zdrowe, a przysięgam, wychowam je porządnie i zabiorę do kościoła. Pokaż mi, co mam robić, a zrobię wszystko, przyrzekam, wszystko, jeżeli moja żona i dziecko będą zdrowi.

Zakasłał, żeby ukryć szloch, który ścisnął mu krtań i omal nie wyrwał się z ust.

* * *

Parking był pełny, nawet o tak późnej porze, więc Jonathan zostawił samochód na poboczu i pognał do szpitala. Jedna z położnych wezwała go na oddział i spotkała tuż przy wejściu. Miała na sobie zielony strój, który wyglądał jak pidżama.

– Pana żona czuje się bardzo źle – oznajmiła, prowadząc Jonathana korytarzem. – Straciła dużo krwi, ale szybko znaleźliśmy odpowiedniego dawcę, więc teraz przeprowadzamy transfuzję.

Kobieta miała tak wielkie pośladki, że każdy wydawał się poruszać niezależnie od drugiego, ale pomimo rozmiarów szła szybko i Jonathan z trudem dotrzymywał jej kroku. Była dopiero piąta rano i wiele pomieszczeń spowijała ciemność, ale wyczuwało się aktywność – oddział wcale nie spał, czuwał.

Kiedy mijali jedną z sal, Jonathan usłyszał krzyzącą z bólu kobietę. Przez koszmarną chwilę myślał, że... ale położna przemaszerowała obok, dzięki Bogu. Kobieta w ciąży ubrana w różowo-czarną koszulę nocną spacerowała po korytarzu podtrzymywana przez zdenerwowanego partnera. Za drzwiami kolejnej sali nagłoco płakało niemowlę.

– Siostro! – Starsza kobieta wyszła z pokoju, twarz miała wykrzywioną niepokojem. – Proszę, kiedy pani obejrzy moją córkę? Tak bardzo cierpi.

Za jej plecami ciężarna nastolatka pochylała się nad łóżkiem, podczas gdy druga dziewczyna, chyba jej rówieśniczka, masowała cierpiącej plecy. Ciężarna

krzyczała głośno.

– Niedługo ją zbadamy – warknęła położna, nie zwalniając. – Oprócz pani córki są tutaj inne pacjentki.

Z przodu widać było duże zamieszanie. O wiele więcej ludzi w chirurgicznych zielonych kitlach wchodziło do jednego pomieszczenia i z niego wychodziło. Poruszali się szybko, wyczuwało się emanujący od nich pośpiech.

– Pana żona jest tutaj. – Położna pchnęła drzwi i odsunęła się, aby przepuścić wychodzącą pielęgniarkę. – Proszę nikomu nie zawadzać, wciąż próbują ją ustabilizować.

Tuż za drzwiami stała Lucy, włosy miała w nieładzie, a na nosie okulary, choć zwykle używała soczewek kontaktowych. Chyba płakała. Zamiast jednak krzyczeć na Jonathana, rzuciła mu się w ramiona.

– Dzięki Bogu, że tu jesteś. Myślałam... Myślałam, że Fiona...

Łóżko otaczali mężczyźni i kobiety – lekarze i pielęgniarki, cofali się lub podchodzili niczym pszczoły rojące się wokół ula. Wszyscy marszczyli brwi w skupieniu nad swoimi zadaniami, rzucali krótkie, ostre polecenia, ale Jonathan niewiele z tego rozumiał, ponieważ mówili za szybko. Jedna z lekarek lub pielęgniarek wyciągnęła rękę, aby poprawić worek z krwią wiszący na stojaku obok pośłania.

– Nic jej nie dolegało, gdy ode mnie wyszła – wyjaśniła Lucy. – A potem zadzwoniła, około wpół do drugiej, i powiedziała, że krwawi i czy nie mogłabym przyjechać, ale kiedy tam dotarłam... o Boże, to było... Nigdy nie widziałam tyle krwi...

W tłumie personelu medycznego zrobiła się luka i Jonathan mógł zobaczyć żonę. Wyglądała na mniejszą. Myślał, że jest nieprzytomna, ale wtedy otworzyła oczy. Jonathan podszedł bliżej, a Fiona spojrzała na niego, ale jej twarz nie zmieniła wyrazu, kobieta nie zdawała sobie sprawy, co się wokół niej dzieje. Wydawała się całkowicie nieobecna. Jonathan nigdy nie widział jej tak bladej. Twarz miała niemal białą, skóra lśniła od potu, na czole i włosach widniały smugi zaschniętej krwi. Fiona próbowała się odezwać, ale była zbyt słaba.

– Wszystko dobrze, Fiono – odezwał się jeden z lekarzy. Podniósł głos, jakby myślał, że kobieta jest głucha lub głupia. – Dobrze sobie radzisz. Wszystko już mamy pod kontrolą.

Fiona znowu coś wymamrotała, ale nikt jej nie usłyszał.

– Tętno spada, ale nadal to sto dwadzieścia – rzuciła któraś z pielęgniarek.

– Dajcie jej jeszcze dwie jednostki! – zawołał doktor, który chyba dowodził całą grupą. – No, dalej, przyśpiesz trochę, dobrze?

Jedna z kobiet przyczepiła kolejny worek z krwią do stojaka. Tak wiele osób zebrało się wokół Fiony, wszystkie starają się jej pomóc.

Jonathan obserwował to, co się działo, jakby oglądał film. Chciałby się wtrącić, powstrzymać tych ludzi przed wbijaniem żonie igieł i dotykaniem jej, a przynajmniej chciał spytać, co robią i dlaczego, ale nie mógł się ruszyć. Miał

wrażenie, że trafił do piekła.

– Udało się – powiedział ktoś po chwili. – Tętno rośnie.

– Bogu niech będą dzięki – odparł ordynator. – Dobra z ciebie dziewczyna, Fiono. Dojdiesz do siebie. – Potem powiedział coś do kobiety obok i wreszcie odwrócił się do Jonathana: – Pan jest mężem pacjentki?

Jonathan skinął głową.

– Podaliśmy jej sześć jednostek, chodziło o to, żeby wlewać krew szybciej, niż wypływała. Nieskomplikowane, naprawdę. Pańska żona wydaje się już stabilizować, jej ciśnienie wzrosło, więc chyba cesarskie cięcie nie będzie konieczne...

– Cesarskie cięcie? Ale dziecko nie ma nawet...

– To jedyne wyjście, jeżeli krwawienie nie ustaje samo. Inaczej zagrożone byłoby również życie matki. Łożysko przodujące może doprowadzić do śmierci, ale myślę, że udało się nam wyjść na prostą.

Jonathan popatrzył na lekarza, który wyraźnie oczekiwał jakiejś odpowiedzi.

– On nie wiedział – wtrąciła Lucy. – Fiona mu nie powiedziała.

– Co? – Jonathan odwrócił się do towarzyszki. – Chcesz powiedzieć, że wiedziała, co jej grozi, ale...

– Nie aż tak. Nikt nie sądził, że to tak poważne.

– Ale dlaczego Fiona nie...

– Ponieważ nie sądziła, że może ci powiedzieć – westchnęła Lucy. – Wiem, że to nie twoja wina, Jonathanie, ale po tym wszystkim, co zaszło...

Lekarz odezwał się znowu, a Jonathan postarał się skupić na jego słowach.

– Musimy jeszcze sprawdzić, jak się czuje dziecko. Zrobimy jej KTG, dopóki jest stabilna... przepraszam, chodzi o kardiogram. Mierzy tętno płodu i czynności macicy, więc będziemy mogli się dowiedzieć, co się tam dzieje.

Położna, która przyprowadziła Jonathana, właśnie zaczęła zakładać pas na brzuch Fiony, a potem przysunęła jeszcze jeden monitor. Fiona znowu coś wymamrotała.

– Wszystko w porządku, kochanie. – Położna przesunęła pulchną dłoń po czole leżącej, żeby odgarnąć jej włosy. – Nie masz już krwotoku, wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Jej głos brzmi o wiele mniej ostro, niż kiedy odzywała się na korytarzu.

– Hej, zobacz, kto cię odwiedził. A ty taka nieumalowana!

Jonathan podszedł bliżej, ale żona patrzyła przez niego.

– Dziecko – szepnęła.

Do obu rąk miała wkłute rurki, wszędzie wiły się różne kable, ale Jonathanowi udało się ująć jej dłoń. Pochylił się i pocałował żonę. Wargi Fiony były suche i spękane, chociaż palce wyraźnie wilgotne.

– No dobrze, Fiono – wtrąciła położna. – Widzisz tę linię na ekranie? To serce twojego dziecka, wciąż bije mocno i równo. Posłuchaj sama... – Wyregulowała coś w aparacie. – No i proszę, słuchaj uważnie. Oto dobre,

normalne, zdrowe tętno.

– Dzięki Bogu – szepnął Jonathan i lekko uściskał palce żony.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się słabo.

Lucy wybuchła płaczem, ucałowała i Fionę, i Jonathana, a potem powiedziała, że musi wyjść, żeby zadzwonić do domu. Personel w pokoju uśmiechał się także, widać było, że wszyscy mają poczucie dobrze wykonanej roboty. Zaraz potem pomieszczenie opustoszało, poza Fioną i Jonathanem został tylko lekarz prowadzący, który zapisywał coś w karcie, duża położna i wysoki, rudy mężczyzna, który jak się właśnie okazało, też był położnym. Mężczyzna sprawiał wrażenie absurdalnie młodego, do tego był chudy i wysoki, więc wraz ze swoją postawną koleżanką po fachu wyglądali jak Flip i Flap.

– Dobra robota, Fiono – powiedział lekarz. – Wszystko wydaje się w porządku, więc postaraj się teraz trochę odpocząć, tak? Zajrzę do ciebie później.

Skinął głową Jonathanowi.

– Pańska żona będzie wyglądać lepiej za parę dni, ale zatrzymamy ją trochę dłużej. Siostra przekaze dokładniejsze informacje. – Uśmiechnął się po raz pierwszy, a Jonathana ogarnęło przemożne pragnienie, żeby uściskać tego mężczyznę.

Zamiast tego próbował podziękować, ale zęby zaczęły mu dzwonić i nie mógł wykrztusić słowa.

Odwrócił się do Fiony. Nadal miała podpiętą kroplówkę z krwią, ale położny już wieszał nowy worek, tym razem z przejrzystym płynem, który wydawał się mniej przerażający niż krew.

– To tylko sól fizjologiczna – zapewnił, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

Fiona przyglądała się poszarpanej linii na monitorze. Jonathan pogłaskał ją po włosach i pocałował w spocone czoło.

– Przepraszam – szepnął. – Tak bardzo mi przykro, że mnie z tobą nie było.

Fiona odwróciła głowę i dopiero wtedy Jonathan uświadomił sobie, że pewnie wciąż cuchnął whisky.

Rozdział 40

Przez kilka długich dni i nocy Maggie pielęgnowała bliźnięta dokładnie według wskazań lekarza. Przecierała wilgotną ściereczką ich rozpalone czoła, aplikowała maść z galmanem na podrażnioną skórę i przemywała opuchnięte, zaropiałe powieki. Leonard pomagał jej, gdy tylko miał wolne, przynosił herbatę i grzanki z serem, a pani Dean wpadała w odwiedziny z papierosami i oranżadą. Kiedy Maggie wreszcie padała na łóżko, nie mogła zmrużyć oka, słuchała, jak dzieci wiercą się w swoim łóżeczku, a ich suchy, urywany kaszel rozdzierał jej serce.

Piątego dnia Jonathanowi spadła gorączka. Chłopiec wstał i wyciągnął rączki. Dzięki Bogu. Maggie podniosła go, a malec wtulił się jej w szyję i zaczął z zadowoleniem ssać kciuk. Na lunch zdołał zjeść trochę jajecznicy, a przy podwieczorku zachowywał się już prawie normalnie. Ale Elizabeth się nie poprawiało.

– Wysypka znika – stwierdził doktor Cranfield, kiedy zajrzał do nich wieczorem. – Ale jestem zaskoczony, że mała wciąż ma gorączkę. – Zdjął okulary ze szklami jak denka od butelek, przetarł je połą marynarki. – Hm. – Wydał usta i potarł końcówkę stetoskopu o rękę. – Ochładzaj ją zimną, wilgotną gąbką, jutro znowu zajrzę. – Schował stetoskop i zatrzasnął torbę. – Za to ten malec już zdrowieje – dodał, gdy rozpromieniony w uśmiechu Jonathan chwycił go za nogawkę spodni i podniósł się do pozycji stojącej.

Następnego ranka Elizabeth nadal miała wysoką temperaturę. Jonathan niezadowolony, że matka nie poświęca mu uwagi, marudził i szarpał ją za rękę przy każdej okazji. Maggie przebrnęła przez dzień, a kiedy kładła dzieci na popołudniową drzemkę, niemal płakała ze zmęczenia. Jonathan wiercił się, gdy go przykrywała po drugiej stronie łóżeczka, nie rozumiał, dlaczego siostra nie chce się z nim bawić. Czoło Elizabeth nadal było rozpalone, ale dziewczynka przynajmniej leżała spokojnie, więc Maggie pozwoliła sobie na chwilę odpoczynku.

Tylko dziesięć minut, pomyślała, gdy skuliła się na sofie. Podniosła z podłogi swój fartuch, okryła się nim jak kocem i od razu zapadła w sen.

* * *

Przenikliwy dzwonek do drzwi wyrwał ją ze snu. Maggie spojrzała z niedowierzaniem na zegar – przespała prawie dwie godziny. Pochyliła się tylko do płaczącego Jonathanu.

– Mamusia zaraz wróci, kochanie. Poczekaj chwilkę.

Pośpieszyła otworzyć.

Nadal była zdezorientowana, gdy zobaczyła w progu doktora Cranfielda.

– Przepraszam – wymamrotała, przyglądając włosy. – Zasnęłam.

– Z pewnością potrzebowałaś wypoczynku. – Lekarz się uśmiechnął.

Maggie wpuściła go i poprowadziła przez korytarz.

– Jak się czuje dzisiaj moja pacjentka?

– Prawie bez zmian. Nie tak marudna jak zazwyczaj, ale... – Urwała. Było coś w postawie lekarza, gdy stanął nad łóżeczkiem...

Upuścił torbę i pochylił się do Elizabeth, a potem popatrzył na Maggie.

– Masz telefon?

– Tak, podłączyliśmy. Dlaczego...?

– Musisz zadzwonić po ambulans. Zawołaj mnie, gdy się połączysz.

Po dwudziestu minutach spacerowania po pokoju i wyglądania przez okno doktor Cranfield zabrał Maggie z córką do szpitala własnym samochodem. Jonathanowi nie podobało się, że musi zostać u pani Dean, i dawał wyraz swojemu oburzeniu, ale nie było czasu, żeby go uspokajać. Elizabeth leżała bezwładnie i ciężko na kolanach Maggie. Wysypka, która wydawała się zanikać, teraz zrobiła się ostrzejsza i bardziej wyraźna niż na początku choroby, a chociaż dziecko miało otwarte oczy, patrzyło nieprzytomnie, jakby nie widziało matki.

Doktor Cranfield zatrzymał wóz na podjeździe dla karettek, wysiadł i pośpieszył do drzwi od strony pasażera. Elizabeth przewracała oczami, głowa jej opadała bezwładnie. Lekarz wziął małą z ramion Maggie i pobiegł do szpitala. Ciężkie dębowe drzwi otworzył sobie kopniakiem. Nie zatrzymał się przy recepcji, lecz od razu skierował się do sal zabiegowych, po drodze wydał polecenia pielęgniarce. Maggie próbowała iść za nim, ale pielęgniarka ujęła ją za ramię i odprowadziła do poczekalni, gdzie mnóstwo zmęczonych ludzi, którym chyba nic nie dolegało, drzemało na krzesłach.

Maggie była w tym szpitalu, gdy jako dziecko złamała nadgarstek. Czekala godzinami, ale matka, we własnym domu stanowiąca siłę, z którą należało się liczyć, tutaj była tak przytłoczona obecnością lekarzy i pielęgniarek, że nawet nie zapytała, kiedy zostanie przyjęta. Cóż, Maggie nie była jak jej matka. Pomaszerowała do biurka i zażądała wyjaśnień.

Pielęgniarka kazała się nie martwić i zapewniła, że córeczka Maggie jest w dobrych rękach.

– Proszę usiąść, przejrzeć czasopisma i pozwolić lekarzom wykonać swoją pracę. Przyniosę herbatę.

Maggie ogarnęła narastająca panika. Instynkt macierzyński podpowiadał jej, żeby zakrzyczeć pielęgniarce, niech przestanie mówić takie brednie, ale rozpoznała też szczerą troskę i chęć, żeby uspokoić roztrzęsioną matkę. Kiedy pielęgniarka zapytała, czy Maggie sładzi, dziewczyna odpowiedziała:

– Poproszę.

A potem ruszyła, jakby miała zamiar potulnie usiąść, jednak gdy tylko

pielęgniarka się odwróciła, Maggie pognała do podwójnych drzwi i wbiegła dalej, ignorując tabliczki z zakazami. Sala zabiegowa wydaje się pusta, poza starszą kobietą z chusteczką przy ustach, której nerwowo lekarz zszywał rozcięcie na stopie. Maggie rozejrzała się bezradnie, nie wiedząc, co dalej. Dostrzegła jednak kolejne dwuskrzydłowe drzwi, ponownie z tabliczką „Nie wchodzić”, i nie wahała się ani chwili. Kiedy już wyciągnęła rękę, żeby je otworzyć, rozchyliły się pchnięte z drugiej strony i pojawił się w nich doktor Cranfield. Widok Maggie go zaskoczył, a potem mężczyzna się przygarbił.

– Margaret – westchnął. Po raz pierwszy użył jej pełnego imienia.

– Co się dzieje? Co z Elizabeth?

Doktor Cranfield zaczął mówić, a Maggie próbowała słuchać, ale nie mogła zrozumieć tego, co słyszała. Docierały do niej pojedyncze słowa – „komplikacje”, „rzadko” i „czasami po odrze”, a potem zorientowała się, że lekarz czeka na jej odpowiedź, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu, więc tylko patrzyła.

– Zwykle się na to nie pozwala... – dodał lekarz. – Ale ponieważ jestem twoim lekarzem rodzinnym... Pomyślałem, że... cóż, może zechcesz ją przytulić na... – Zdjął grube okulary, przetarł oczy, po czym włożył szkła i popatrzył Maggie w oczy. – Oczywiście, nie musisz, jeżeli nie chcesz, ale...

Miałaby nie chcieć przytulić własnego dziecka? Oczywiście, że chciała!

Maggie poszła za lekarzem za dwuskrzydłowe drzwi i tam zobaczyła Elizabeth – kruszynkę spoczywającą bezwładnie na szpitalnym łóżku. Maggie ledwie zdawała sobie sprawę, że kilka osób w sali przygląda się, gdy się zbliżyła. Jednak dopiero gdy młody lekarz ostrożnie ułożył jej Elizabeth w ramionach i zaczął usuwać rurki z drobnego ciała, Maggie zdała sobie sprawę, że jej córka nie żyje.

Rozdział 41

Po zaparkowaniu samochodu na płatnym parkingu Jonathan położył się na tylnym siedzeniu i zasnął. Obudził się spragniony, miał mdłości i bolał go kark. Kac dopadł Jonathana ze zdwojoną siłą – łomotał mu w głowie przy każdym ruchu i zatykał naczynia krwionośne, gdy odpoczywał. Mężczyzna kupił paracetamol w aptece, łyknął dwie tabletki, popił wodą z dystrybutora, a potem powlókł się do szpitalnej kafeterii na kawę i grzanek przed wizytą u Fiony.

Kiedy się pojawił, personel właśnie wtaczał ultrasonograf do pokoju. Fiona wyglądała lepiej, choć nadal była blada i opuchnięta, a pod oczami miała ciemne podtkowy. Lekarka obsługująca urządzenie USG wydawała się znudzona, gdy sprawdzała dane Fiony i wpisywała coś do komputera. Posmarowała żelem niewielkie wybrzuszenie, które przez ostatnie kilka tygodni Jonathan z żoną nazywali Fredem.

– Musimy tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku, i upewnić się, że łożysko nie odkleja się od ścianki macicy.

Fionie wyraźnie trzęsły się nogi. Lekarka spojrzała na nią po raz pierwszy, a potem uścisnęła jej ramię.

– Proszę się nie martwić – usiłowała ją pocieszyć.

Fiona chwyciła Jonathana za rękę i ścisnęła tak mocno, że zaboląło.

Jonathan wzniosł kolejną cichą modlitwę, gdy na ekranie zaczęły pojawiać się obrazy. Ledwie widział rozmyte smugi czerni i bieli ultrasonografu, gdy lekarka oznajmiła:

– Dziecku nic nie jest. – I uśmiechnęła się do przyszłych rodziców.

– Na pewno? – szepnęła Fiona.

– Żywotna, podskakująca fasolka, proszę popatrzeć.

Do oczu Fiony napłynęły łzy, ale były to łzy ulgi.

– Łożysko znajduje się mniej więcej w połowie miednicy – wyjaśniła lekarka.

– Istnieje około pięćdziesięciu procent szans, że nadal będzie się przesuwać w górę podczas ciąży, więc chcemy pani robić USG co dwa tygodnie, żeby to sprawdzić. Jeżeli łożysko się nie przesunie, obawiam się, że czeka panią cesarskie cięcie.

– Nie obchodzi mnie, jak urodzę, byle wszystko poszło dobrze – stwierdziła Fiona.

Jonathan patrzył jak zahipnotyzowany. Na ostatnim badaniu USG był roztargniony i chociaż udawał, że dostrzega nóżki lub rączki, wszystko przypominało rozmazany negatyw, białe zgrubienia na czarnym tle. Tym razem nie miał wątpliwości, że patrzy na małego człowieka. W pewnej chwili wydawało się nawet, że dziecko kopie w urządzenie, które lekarka przesuwała

po brzuchu Fiony, i wyraźnie było widać, że ssie kciuk.

To moje dziecko, powiedział sobie Jonathan. To jest prawdziwe, właśnie po to się żyje.

– Jeżeli państwo chcą, mogę podać płęć.

Fiona i Jonathan popatrzyli na siebie i oboje pokręcili głowami. Dziecko właśnie robiło fikołki, jakby bawiło się w basenie, potem wyciągnęło rączkę i chyba nią pomachało, a na koniec nieoczekiwanie odwróciło się twarzą do swoich rodziców.

– Witaj, dziecinko – powiedzieli chórem.

* * *

Zaraz po wyjściu lekarki do pokoju wszedł lekarz prowadzący zeszłej nocy akcję ratunkową Fiony. Na szyi miał świeże skaleczenia po goleniu, a oczy zmęczone i nabiegłe krwią. Kiedy przysuwał sobie krzesło do łóżka, stłumił ziewnięcie. Fiona będzie musiała zostać w szpitalu przez kilka tygodni, oznajmił, a potem, jeżeli wszystko będzie dobrze, wróci do domu, jednak resztę ciąży spędzi na odpoczywaniu i głównie leżeniu. Wciąż jeszcze osłupiali Fiona i Jonathan pokiwali głowami i podziękowali, choć nie całkiem do nich docierały słowa lekarza, byli mu tylko bezgranicznie wdzięczni za to, co zrobił.

Fionie chciało się spać, więc Jonathan wyszedł, żeby spakować trochę rzeczy i wrócić później. Kiedy szedł do samochodu, zobaczył Lucy.

– Jak ona się czuje? – zapytała. Była blada i miała podkrążone oczy. – Matt zabrał dzieci do szkoły, więc pomyślałam, że zajrzę.

– Jest zmęczona i musi zostać trochę w szpitalu, ale już z nią dobrze. I mieliśmy USG, z dzieckiem też wszystko w porządku.

Lucy wyraźnie się rozluźniła.

– Dzięki Bogu. Lekarze mówili, że nic jej nie będzie, ale i tak się martwiłam.

– Przyjrzała się Jonathanowi. – Spałeś choć trochę?

Skinął głową.

– Parę godzin. – Roztarł sobie bolący kark. – Na tylnym siedzeniu samochodu.

Lucy tylko się skrzywiła.

– Miałabyś ochotę na kawę?

Potwierdziła skinieniem głowy, więc wrócili przez parking do szpitalnej kafeterii.

Jonathan postawił styropianowe kubki na stoliku.

– No, to kiedy Fiona dowiedziała się o swoim stanie? – zapytał. – I dlaczego mi nie powiedziała?

Lucy westchnęła.

– Lekarz powiedział jej po ostatnim badaniu. Ale wydawało się, że to nic poważnego, mówił, że łóżysko pewnie się przemieści i tak...

– Ale to również moje dziecko. Dlaczego...
– Wiem, Fiona powinna ci powiedzieć. Ale spójrz na to z jej perspektywy. Miałaś swoje problemy w szkole, a potem pojawił się ten policjant... – Zawahała się.

– Mów, Lucy.

– Fiona czuła... no, sposób, w jaki to ujęła... Uznała, że wasze małżeństwo ma już dość problemów. Miała wrażenie, że znalazłeś się pod ścianą.

Jonathan pokręcił głową. W głębi duszy był zły, iż żona mu nie powiedziała o swoich kłopotach, ale też gniewał się na siebie za doprowadzenie do sytuacji, w której Fiona czuła, że nie może mu o tym powiedzieć.

– Nie bądź dla niej zbyt surowy, ostatnio była w niezbyt radosnym nastroju. Podobno uznałeś, że cię nie wspiera, bo za bardzo przejmuje się ciążą. – Lucy sięgnęła do swojej torebki i zaczęła szukać słodzika. Torebkę nosiła wielką, „przybornik mamusi”, jak nazywała to Fiona. Jonathan dostrzegł, że w środku, oprócz zwykłych drobiazgów, znajduje się autobus zabawka i książeczka dla dzieci.

– Nie myślałem tak – zapewnił Jonathan, ale już kiedy to mówił, dotarło do niego, że wcale nie myślał o Fionie. Tak bardzo był zajęty własnymi zmartwieniami...

– Trudno pojąć, jak to jest w ciąży – stwierdziła Lucy. – Nawet ojcu. Dla kobiety to najważniejsze na świecie, przynajmniej ten właśnie okres.

Jonathan skinął głową.

– Byłem skupiony na sobie, prawda? Nie sądzę, żebym rozumiał, co czuje Fiona, przynajmniej nie od początku. – Upił trochę kawy. – Wiesz co? Przyłapałem ją, jak wsunęła sobie poduszkę pod ubranie, żeby zobaczyć, jaka będzie gruba.

Lucy parsknęła śmiechem.

– Robiliśmy tak, gdy byliśmy dziećmi. Bawiliśmy się w mamę i córkę. Wściekałam się, bo Fiona zawsze chciała być mamą. Wkładała szpilki matki i szurała w nich po pokoju, mówiąc: „Jestem najstarsza, więc muszę to poćwiczyć”.

Oboje się roześmiali, ale zaraz spoważnieli.

– Fiona zawsze chciała mieć dzieci, Jonathanie. I dobrze udawała, że zbliżanie się do czterdziestki oraz brak dzieci wcale jej nie martwią.

Jonathan skinął głową i popatrzył Lucy w oczy.

– Dziękuję, Lucy.

W drodze do domu przemyślał sobie tę rozmowę jeszcze raz. Nie angażował się w ciążę. Właściwie to martwił się tylko tym, jakim zostanie ojcem, a to jednak nie było to samo. Zachowywał się jak dupek. A teraz, gdy prowadził, przypominał sobie tę chwilę, gdy dziecko – dziecko jego i Fiony – odwróciło się do nich. Było to najbardziej przejmujące wydarzenie w jego życiu, ekscytujące, a zarazem kojące. Cały gniew Jonathana – na rodziców, Ryana i Chloé, na Dona Hutchinsona i jego „stare sprawy” – zaczął zniknąć. Teraz nie liczyło się

nic – nic – poza Fioną i dzieckiem. Jonathan wreszcie poczuł więź. Było to jak zabawa w berka, jak odpalenie nowej świeczki od tej, która już się wypaliła.

Rozdział 42

Rozpacz przyssała się do ciała Maggie jak pasożyt i zaciskała się na gardle, tak że kobieta ledwie mogła mówić. Smutek ciążył i ciągnął się za nią przy każdym ruchu.

Leonard wziął w pracy wolne, a ciocia Alice, siostra ich matki, przyjechała zająć się Jonathanem. Ciotka miała włosy ufarbowane na rudo i trzy podbródki, które kołysały się, gdy mówiła. Pachniała ciasteczkami z imbirem i słabiej własnym zapachem, zapewne przez silne przywiązanie do bluzek z poliestru i sukienek z nylonu. Ale bardzo się starała.

Leonard umieścił ciotkę Alice w pokoju nad sypialnią Maggie. Pewnej nocy, gdy Maggie poszła się położyć – już nie sypiała, jedynie przenosiła się w nieco mniej bolesny stan świadomości – ujrzała, że łóżeczko zniknęło. A potem usłyszała płacz Jonathana i kojący głos ciotki. Maggie zdawała sobie sprawę, że wkrótce sama będzie musiała znowu się nim zająć, ale teraz nie mogła znieść, że syn pyta nieustannie o Mimbet.

Dni przesycone smutkiem mijały powoli. Maggie poruszała się jak w transie. Powietrze w domu zdawało się nieruchome i gęste, nie dawało się oddychać. Kobieta popatrzyła w okno. Kilka płatków śniegu zawirowało w złotej poświacie ulicznej latarni. Śnieg. Czy to nie za wcześnie na śnieg? Maggie nie wiedziała jednak, jaki jest dzień lub miesiąc, więc pewnie nie. Podobno w tym roku zima miała nie być tak ciężka, ale czy można być pewnym? Maggie wspomniała minioną zimę i zapaliła jeszcze jednego papierosa, żeby ukoić nerwy. Poprzednia zima była najgorsza z zanotowanych – wielki mróz. Maggie nie powinna była zabierać dzieci do Hastings w tych potwornych śnieżycach, dlaczego nie poczekała na poprawę pogody? Elizabeth nigdy nie czuła się dobrze, nie od dnia, gdy opuścili Wandę. Łzy kapnęły na dłoń dziewczyny, zaciągnęła się dymem. Warczała na Elizabeth, gdy mała nie chciała jeść podczas podróży, a potem podała dziecko Leonardowi, a sama poszła do kawiarni. Nawet gdy były już w domu, Maggie krzyczała na Elizabeth. Zawsze traktowała swoje dzieci w różny sposób, teraz to zrozumiała. Ile razy zostawiała płaczącą córkę w łóżeczku, a karmiła Jonathana tylko dlatego, że tak było łatwiej? Może Elizabeth wierciła się i wyrywała nie dlatego, że mała nie lubiła przytulania, jak sądziła Maggie, lecz dlatego że matka nie potrafiła prawidłowo trzymać swojego dziecka? Dopiero teraz Maggie zaczęła dostrzegać swoje niedociągnięcia z taką jasnością, że prawie dostała zawrotów głowy – jakby wielka kula wstydu obijała ją raz po raz z różnych stron.

Po czterech tygodniach ciocia Alice wróciła do Kornwalii. Nie mogła dłużej zostawić wuja Denisa samego – Bóg jeden widział, jak zapuszczony dom ciocia zastanie po powrocie. Zanim wyjechała, przygotowała duży garnek zupy i postawiła parującą miskę przed Maggie.

– No, Maggie, kochana – zachęciła ciotka, a jej upudrowane podbródki zatrzęsły się przy tych słowach. – Jesz jak ptaszek. Ledwie żyjesz.

Maggie popatrzyła na gęstą zieloną zupę. Groszek i szynka, uwielbiała taką, gdy była mała, zwłaszcza że ciocia Alice pozwalała jej kroić chleb w kostkę na grzanki. Maggie uniosła łyżkę. Gardło miała sztywne, jakby sparaliżowane. Zmusiła się do otwarcia ust, ale chociaż zupa rozlała się jej ciepłem na języku, Maggie nie poczuła smaku.

– Czas leczy smutki – powiedziała ciocia Alice. – A ty przynajmniej masz jeszcze Jonathana.

Maggie starała się ze wszystkich sił, ale zupa po prostu nie mogła jej przejść przez gardło.

– No i jesteś jeszcze młoda, może kiedyś urodzisz kolejne dziecko.

* * *

Jonathan przyglądał się jej czujnie ze swojego łóżeczka, gdy Maggie skuliła się na posłaniu i podciągnęła kolana pod brodę, żeby choć trochę złagodzić ból i pustkę, jaką w sobie czuła. Synek nieustannie wzdychał. Nie powinien tak wzdychać, ale nie potrafiła nic na to poradzić. Ale przynajmniej przestał wołać Elizabeth. Maggie sądziła, że nigdy już nie zdoła przebywać z nim znowu w jednym pokoju.

– Mimbet – pojękiwał wtedy Jonathan i chwycił się za włosy, jakby to miało zastąpić kosmyki Elizabeth.

A potem pewnego dnia znalazł jeden z butów siostry za sofą. Maggie kupiła te buciki, gdy Elizabeth zaczęła się podnosić do pozycji stojącej, ledwie dwa tygodnie przed swoją śmiercią. Butki wykonano z miękkiej, elastycznej skóry z dwiema metalowymi dziurkami na sznurówki, dokładnie takie same jak Jonathana, tylko różniące się kolorem – syn dostał granatowe, a córka czerwone. Maggie nałożyła te buciki dziewczynce, ale Elizabeth od razu je zdjęła i zaczęła obracać w niezdarnych rączkach raz po raz, żeby w skupieniu się im dokładnie przyjrzeć.

– Mimbet – powiedział Jonathan, gdy znalazł bucik. Wyciągnął go do Maggie i powtórzył: – Mimbet, Mimbet.

– Nie! – krzyknęła Maggie. – Nie Mimbet! Niedobry chłopak!

A potem wybiegła z pokoju, rzuciła się na posłanie i zaszlochała. Kiedy Leonard wrócił do domu, znalazł Jonathana siedzącego ponuro pod stołem w kuchni, roztrzęsionego i zmarzniętego, odzianego tylko w mokrą pieluszkę i poplamiony kaftanik. Chłopczyk przyciskał do piersi czerwony bucik.

Od tamtej pory Jonathan ledwie się odzywał. Od czasu do czasu nucił jakąś melodyjkę albo wskazywał na wózek i rzucał „iść”, ale głównie ssał kciuk, ścisnął czerwony bucik Elizabeth i w milczeniu obserwował Maggie. Oczy miał szeroko otwarte i tak ciemne, że przypominały czarny marmur.

* * *

Maggie zaczęła wypytywać każdego, kogo spotkała, o odrę – czy przechodzili, czy ich dzieci też, jak to znosiły, jak długo trwała choroba. Nieustannie pytała też doktora Cranfielda, dlaczego Elizabeth umarła. Przecież wszystkie dzieci wcześniej czy później łapią odrę, prawda? Mgliście przypominała sobie, że sama też przechodziła tę chorobę – wraz z Leonardem, tak samo jak Maggie upstrzonym krostkami i słabym, tulili się w łóżku matki otoczeni książeczkami do kolorowania, a mama karmiła ich rosołem i ciepłym sokiem pomarańczowym.

Lekarz wyjaśniał cierpliwie.

– Tak, odra jest powszechna, ale mogą wystąpić komplikacje i właśnie tak się stało w przypadku Elizabeth. Dziewczynka złapała infekcję wtórną, a to wywołało zapalenie opon mózgowych. Bardzo rzadko, ale jednak czasami się zdarza.

A ty nie zrobiłaś nic, żeby to powstrzymać – chciał dodać, przynajmniej na ile Maggie mogła się domyślić. Nie powiedział tego jednak ani razu na głos, więc wracała do jego gabinetu niemal codziennie i znowu pytała, dlaczego jej dziecko umarło. A doktor Cranfield każdego dnia mówił jej o infekcji.

– Margaret. – Lekarz odchylił się na krześle, splótł palce i zetknął kciuki. Dziwnie patrzył. – Jak już powiedziałem, chciałbym, żebyś przychodziła do mnie za każdym razem, gdy poczujesz...

Maggie skinęła krótko głową, żeby go uciszyć.

– ...ale myślę, cóż... Nie wydaje mi się, że przychodzenie tutaj codziennie jest dla ciebie dobre. – Pochylił się znowu nad biurkiem i spojrzał w kartę kobiety. – Bierzesz pigułki, które ci dałem?

Maggie ponownie skinęła głową i zaczęła wstawać.

– Jeszcze chwilka. – Doktor Cranfield wstał i położył jej dłoń na ramieniu. – Proszę, usiądź, Margaret. Zastanawiam się, co będzie dla ciebie najlepsze.

Jednak Maggie nie chciała usiąść, chciała wyjść, musiała się przejść. Ruszyła do wyjścia.

– Muszę zabrać Jonathana – rzuciła grzeczną wymówkę.

– Margaret. – Lekarz westchnął. – Nie mówię, że nie powinnaś przychodzić. Martwię się, to wszystko. Wydaje mi się, że przydałoby ci się trochę odpoczynku...

Ale Maggie już nie słuchała, ponieważ właśnie zatrzasnęły się za nią drzwi.

Rozdział 43

Urzędnik z opieki społecznej powiedział, że prześle Jonathanowi ulotkę, „Dostęp do danych osobistych” oraz formularz wniosku. Jonathan musi podać w tym kwestionariuszu, gdzie może się spotkać ze swoim doradcą, i nie powinien się dziwić, że trochę to potrwa.

– Ale ja nie chcę doradcy. Chciałbym tylko...

– Doradztwo jest obowiązkowe. – W głosie urzędnika brzmiało znudzenie, jakby słyszał to zdanie już setki razy. – Znajdzie się pan na liście oczekujących na dostęp do swoich danych adopcyjnych.

– Ale to moje prawo, czyż nie?

– Oczywiście. – Urzędnik westchnął. – Ale dostęp musi się odbyć pod nadzorem. Niektóre informacje mogą okazać się niepokojące...

– Proszę posłuchać, zdaję sobie sprawę...

– ...dlatego przy przeglądaniu tych dokumentów będzie panu potrzebny pracownik socjalny. Tyle że nie ma dość pracowników socjalnych, żeby się tym zająć od razu.

– Jak długo?

– Oczekiwanie zwykle trwa od dziesięciu miesięcy do roku.

Jonathan zgarbił się na tę wieść.

Krótkie przeszukiwanie Internetu potwierdziło, że istnieje mnóstwo agencji zajmujących się szukaniem ludzi za niewielką – czasami nie tak niewielką – opłatą. Zadzwoił do jednej z tych firm, która reklamowała się, że pobiera „od 50 funtów”, i porozmawiał z dobrodusznym mężczyzną, który rozpoczął swoją działalność na emeryturze, ponieważ zafascynowała go historia rodziny.

– Szukanie kogoś może trwać od paru minut do paru miesięcy albo jeszcze dłużej – wyjaśnił. Koszt zależy od włożonej pracy, a także od tego, na ile popularne lub częste jest dane nazwisko. – Jeżeli rodzona matka nazywa się na przykład Mary Smith, mogą to być bardzo długie poszukiwania. Na początek trzeba znaleźć pana pierwszy akt urodzenia...

– Mam go – zapewnił Jonathan. – Matka nazywa się Margaret Letitia Harrison.

– Wspaniale! To dla mnie doskonały punkt wyjścia, o ile zechce pan skorzystać z moich usług. Z pewnością natrafie na kilka kobiet, które nazywały się Margaret Harrison, ale niewiele z nich będzie miało na drugie imię Letitia.

Ten mężczyzna, Bob, przedstawił także kilka możliwości. Odnaleziona kobieta może odmówić kontaktu, może się okazać, że wyjechała z kraju albo zmarła. Doradził Jonathanowi, żeby przemyślał dokładnie, jakie mogą wynikać z tego faktu konsekwencje, i dopiero potem decydował, czy warto prowadzić poszukiwania. Czasami, dodał Bob, jakby umiał czytać Jonathanowi

w myślach, czasami klienci dowiadują się czegoś, czego wcale nie chcą wiedzieć.

– Bob – odparł Jonathan. – Ja po prostu nie chcę już *nie wiedzieć*.

* * *

Po zeskanowaniu dokumentów i przesłaniu ich mailem do Boba Jonathan rozłożył zawartość pudełka po butach na łóżku – osamotniony czerwony bucik, kaftanik z cienkiej bawełny, ogrodniczki i dziergany ręcznie sweterek. Fiona poprosiła go, żeby kupił trochę włóczki i druty, ponieważ kobieta z sąsiedniego łóżka obiecała nauczyć ją robienia na drutach.

Ciekawe, czy matka zrobiła ten sweterek, gdy była w ciąży, zastanawiał się Jonathan. W tamtych czasach nie było jeszcze USG, ale może wyobrażała sobie dziecko pływające w jej wnętrzu, może próbowała zgadnąć, czy to chłopiec, czy dziewczynka, podobne do niej czy do ojca... Za każdym razem, gdy przypomniawszy sobie o swoim biologicznym ojcu, Jonathan pochmurniał. Przyjrzał się czerwonemu bucikowi, z piętą trochę wytartą po zewnętrznej stronie, może od nauki chodzenia. Ale dlaczego był tylko jeden but? I te kamyki, dlaczego przysłano je razem z Jonathanem? Przejrzał dokumenty z sądu hrabstwa Hastings, potem swój akt urodzenia, który był tak często składany i rozkładany przez ostatnie tygodnie, że tracił już gładkość. Jonathan urodził się w Sheffield, a potem matka zabrała go do Hastings. Czy po adopcji wróciła na północ, żeby być z ojcem Jonathana? Czy może jednak wciąż mieszkała w Hastings?

Kwadrans później Jonathan jechał samochodem autostradą A-21. Nie wiedział, co miałby zrobić, gdy dotrze do Hastings, ale spacer po molo przynajmniej pomoże rozjaśnić myśli. Wybrał CD, wsunął do szczeliny i pogłośnił muzykę. Fiona nie znosiła The Smiths. Twierdziła, że wywołują u niej depresję, ale Jonathana ta muzyka podnosiła na duchu, ponieważ nieważne, jak źle się czuł, wydawało się, że Morrissey zawsze czuje się gorzej.

Zaparkował przy plaży. Zaraz po otwarciu drzwi Jonathana uderzył w twarz ostry wiatr, który ciskał mokry piasek i sól na policzki, wdzierał się do uszu i drażnił oczy. Ale Jonathan podniósł kołnierz, wrzucił dwa funty do parkomatu i ruszył na stare miasto. Wędrował wzdłuż George Street z modnymi barami z wódką, małymi sklepikami z artystycznymi drobiazgami, potem przez High Street, gdzie było mnóstwo antyków i zakurzonych, używanych książek, a potem z powrotem wzdłuż All Saints' Street z wąskimi chodnikami, kamiennymi stopniami i domami z epoki Tudorów. Z nawyku liczył, gdy wspinał się po schodach East Hill Steps i jak zwykle stracił rachubę po około stu. Dyszał, gdy dotarł na szczyt. Wiatr uderzył w Jonathana, aż uszy zabolowały, ale mężczyzna uwielbiał rozciągający się stąd widok. Spojrzał w dół na kutry rybackie, rzucone obok nich sieci oraz drewniane chaty, teraz głównie sklepy

ze świeżymi rybami, gdzie ceny wypisywano codziennie niebieską lub różową kredą na tablicach przed wejściem. Za Stade z bezkresnego ołowianego morza wznosiły się ogromne bałwany i uderzały o brzeg, każdy z głośnym hukiem. Czy matka zabierała Jonathana na tę plażę, pozwalała mu bawić się kamykami, wskazywała statki na horyzoncie? Zaczęło padać. Domy w dole zbudowane są na różnych wysokościach, wąskie szeregi zwrócone w inne strony. Mewy przysiadły na pociemniałych dachach i spoglądały tylko na majestatyczne morze, wiatr mierzwił im pióra. Jonathan obserwował ptaki szybujące i pikujące nad sieci rybackie, olśniewająco białe na tle gwałtownie ciemniejącego nieba. Kobiety otworzyły parasolki i pośpieszyły do domów. Czy Margaret Letitia Harrison była wśród nich? Deszcz zmienił się już w ulewę, dlatego Jonathan rzucił ostatnie spojrzenie na krajobraz, po czym ruszył w dół po schodach, aby znaleźć ciepły posiłek – rybę z frytkami. Po drodze sprawdził telefon, stał się paranoikiem, jeśli o to chodzi. Miał trzy nieodebrane połączenia od Malcolma, zapewne przez głośną muzykę nie słyszał ich w samochodzie. Jonathan oddzwonił, ale odezwała się tylko poczta głosowa.

Znalazł knajpkę przy promenadzie. Jedząc palcami parującego dorsza i słone frytki, słuchał deszczu bębniącego o dach i obserwował krople rozpryskujące się na asfalcie. Bob wydawał się pewny. Zacznie od dokumentów ślubnych – młode dziewczyny, które oddawały swoje dzieci do adopcji, często potem wychodziły za mąż. Jeżeli matka żyła, odnajdzie ją, zapewnił Bob. Jonathan był całkiem pewny, że Hutchinson zdoła ustalić miejsce pobytu tej kobiety, o ile tylko będzie miał akt urodzenia i dokumenty sądu; cokolwiek jednak się okaże w trakcie poszukiwań, Jonathan chciał o tym wiedzieć przed policją.

Kątem oka zobaczył kobietę pchającą wózek. Zwinął pustą kartonową tackę i wstał, gdy ona do niego podeszła. Była to bardzo stara dama, która rzeczonożego wózka używała jako podpórki. Pasma żółtawych, siwych włosów wystawały spod czerwonej czapki bejsbolówki, para tanich na oko kolczyków kołysała się jej w uszach jak szyldy lombardu na wietrze. Kobieta miała brązowe wełniane spodnie i męskie buty.

– Ani się waż dotknąć mojego dziecka – ostrzegła Jonathana.

„Dziecko” okazało się naturalnych rozmiarów lalką niemowlęciem, ubraną w niebieskie śpioszki i żółty, dziergany sweterek oraz pasujące do niego mitenki. Rzadkie nylonowe włosy zostały splecione w maleńkie warkoczyki z kolorowymi paciorkami na końcach.

– W porządku – zapewnił Jonathan cicho, jakby uspokajał dziecko. – Nie skrzywdzę pani dziecka.

Staruszka popatrzyła na niego beznamiętnie.

– Odwal się i zostaw mnie w spokoju – rzuciła, po czym chyba nieświadoma ulewy ruszyła dalej, z wysiłkiem pchając wózek przez promenadę na moło.

Gdy na nią patrzył, Jonathan pomyślał o matce – jak nie wybaczał jej często ostrego tonu i trzymania się na dystans. Wspomnił też Geralda – czasami tak bardzo go nienawidził. Wspomnienia przemykają mu przez głowę: pobyt

w szpitalu po wycięciu migdałków... Był tam Gerald, siedział przy łóżku i karmił lodami, a potem czytał Jonathanowi bajki. Jako dziecko Jonathan często marzył o innych rodzicach, a teraz błagał Boga, żeby własne dziecko nigdy tak się nie poczuło. Patrzył na starą kobietę wlokącą się w deszczu. Rąbek sukienki wystawał jej spod brudnego płaszcza. Jonathan dopiero teraz uświadomił sobie, jak zwrócił się do tej kruchej damy, wcześniej nigdy by o tym nie pomyślał. Zamierzał już zawsze mówić łagodnym tonem, niezależnie od sytuacji. Kiedy wyrzucił pustą tackę do kosza, przed Jonathanem wylądowała mewa. Spojrzała na niego ciemnym okiem i zaskrzeczała z urazą. Mężczyzna popatrzył na wielkiego ptaka, ale wtedy zadzwoniła komórka i mewa odleciała. To był Malcolm.

– Dzwoniła już do ciebie Fawcett?

– Po co miałyby...?

– Czyli nie. Przyjacielu, dzwonię, aby przekazać ci dobre wieści.

Jonathan uśmiechnął się szeroko.

– To już coś. Co się dzieje?

– Ryan Jenkins się przyznał. Ojciec rano przyprowadził go do szkoły, postawił przed Lindą Fawcett, a chłopak opowiedział, że nie tknąłeś go nigdy nawet palcem.

Jonathan słyszał szum morza, skrzek mew, ruch uliczny za plecami.

– Co? On naprawdę...

– Tak! Razem z Chloé Nichols, która o wszystkim poinformowała ojca Ryana. Który to ojciec okazał się przyzwoitym człowiekiem. Ryan przez weekend był u rozwiedzionej matki i ta przypadkowo przeczytała wiadomość, którą jej syn dostał od Chloé – dziewczyna poprosiła go, żeby odkręcił „sprawę z Robbo”. Zdaje się, że Chloé Nichols jednak ma sumienie. W każdym razie ojciec odbył rozmowę z Ryanem i chłopak puścił farbę.

– Cholera jasna...

– W rzeczy samej, przyjacielu, w rzeczy samej. No to załatwione. Zapewne dostaniesz wiadomość od Fawcett. Od niej dowiesz się więcej, ale sprawa zamknięta. To już koniec, cała szkoła wie, co naprawdę się stało.

* * *

W drodze do domu Jonathan nie włączył ani radia, ani odtwarzacza, skupił się na rytmicznym ślizgu wycieraczek i stukocie deszczu na dachu. Powinien skakać z radości, ale odczuwał tylko znużenie i pustkę.

Jak uprzedził Malcolm, w poczcie głosowej czekała wiadomość. Ojciec Ryana skontaktował się także z policją, jak wyjaśniła Linda Fawcett, a Ryan i Chloé złożyli zeznania. Oczywiście dochodzenie szkolne również zostało umorzone, a Ryan został zawieszony na nieokreślony czas. Jonathan może wrócić do szkoły już jutro albo wziąć jeszcze dzień lub dwa wolnego, żeby odetchnąć.

Jonathan skasował SMS-a. Miał ochotę zapytać, dlaczego Ryan nie został wydalony ze szkoły. Nie mógł na to liczyć, prawda? Przecież Ryan posiada „prawo” do edukacji, a Jonathan to tylko nauczyciel, co oznaczało, że nie miał żadnych praw. Linda mówiła takim tonem, jakby oczekiwała, że Jonathan jej podziękuje. Jeżeli jednak ktokolwiek zasługiwał na podziękowania, był to ojciec Ryana. Nieważne, jak źle zachowuje się dziecko, to wciąż był jego syn.

Kiedy Jonathan odłożył telefon, aparat znowu zadzwonił. Tym razem odezwała się prawniczka. Oznajmiła, że policja zamknęła śledztwo i na pewno Jonathan powinien wiedzieć, że zgodnie z przewidywaniami sąd również odrzucił pozew.

Rozdział 44

Infekcja. Słowo brzmiało tak wstętnie i groźnie. Dręczyło Maggie. Kiedy kładła się nocą do łóżka, widziała przed oczyma podskakujące litery, krążące wokół i układające się w jej myślach w nowe słowo. Potrząsała głową, ale wtedy zaczynała słyszeć „infekcja”, „infekcja”... Początkowo wymawiane było głosem doktora, scenicznym szeptem docierającym wprost do uszu Maggie. Potem słyszała je w szumie morza, w plusku fal obmywających nabrzeże. Słyszała swoją matkę, która krzywiła się, gdy mała Maggie zdierała sobie strupy. „Nie rób tego, jeszcze wda się infekcja”. A potem rozbrzmiewał głos George’a, szefa kuchni w hotelu Grand, kiedy Maggie przyszła do pracy z przeziębieniem. „Niemądra-a ziewczszino – mówił George z silnym obcym akcentem – roznosiisz tylko ęnfekcję-ę”. Kolejny głos zagłuszał inne, głęboki i donośny: „Nie chcę, żebyś rozniosła infekcję”. Clive’a, dyrektora, który uważał, że Maggie ma zadatki na aktorkę. Odesłał ją kiedyś do domu, ponieważ myślał, że Maggie ma grypę. Głosy mieszają się i jedyne, co można wyłowić z tej kakofonii, to stwierdzenie, że śmierć dziecka to wina matki, bo dopuściła, żeby Elizabeth złapała infekcję, czyli równie dobrze mogłaby ją zabić.

Wkrótce Maggie nie mogła się od tego słowa uwolnić. Nawet gdy próbowała się skupić na innych wyrazach, „infekcja” była jedynym, które widziała albo słyszała. Pewnego dnia Maggie wzięła gazetę, ale gdy tylko ją rozłożyła, zobaczyła przekłete słowo na każdej stronie, w każdym akapicie, w każdym wierszu. Kiedy dostroiła radio na audycję *Słuchajcie z Mamą*, zamiast dzieciennych piosenek i wierszyków o misiach każda piosenka i każda rymowanka wypełniona była „infekcją”. Na ulicach Maggie widziała ten wyraz na billboardach, drogowskazach i na burtach autobusów. Zaczęła widywać ten wyraz nawet w snach, w których „infekcja” zmieniała się z poprawnego wyrazu napisanego czarnymi literami na bieli w czerwony napis o ostrych liniach, przypominający kraba. Stwór pełzł nieśpiesznie w brzuchu Maggie, po czym gwałtownie się otwierał i wybiegały z niego setki małych, krabopodobnych kopii. Stwory wydostawały się z wnętrza Maggie przez pory w skórze i uciekały w poszukiwaniu nowego ciała. Zbliżyły się do łóżeczka, stłoczyły wokół dzieci Maggie i znaczyły gładką skórę maluchów swoimi długimi, cienkimi odnóżami...

Maggie obudziła się z krzykiem.

Jonathan także nie spał, płakał. Kobieta odruchowo podeszła do łóżeczka i już miała go wziąć na ręce, kiedy sobie przypomniała, że jeżeli dotknie syna, małe czerwone stworzenia dopadną go i wywołają infekcję – czerwone plamki. Nie wolno jej było dotykać dziecka gołymi rękami, pod żadnym pozorem.

Zawahała się jednak. Jonathan szlochał, wielkie lśniące łzy kapały mu

z oczu, gdy obejmował się ramionami.

– Nie – powiedziała Maggie. – Nie. Nie rozumiesz.

A potem uciekła z pokoju i przebiegła korytarzem do kuchni. Otworzyła drzwiczki kredensu, modląc się, żeby było w nim to, czego potrzebowała. Odsunęła słoiki i butelki, wyjęła pudełka ze ściereczkami do kurzu, dodatkowy mop, foliowe torebki z bandażami i gazą. Płacz Jonathana robił się coraz głośniejszy, więc Maggie szukała z rosnącą nerwowością, aż wreszcie znalazła. Najpierw wyszorowała dłonie i przedramiona szarym mydłem. Potem nalała świeżej wody do zlewu, dodała dettolu (podwójnie, na wszelki wypadek) i poczekała przez dwie minuty, aż wyschną jej ręce. Chciała mieć pewność, że jest czysta.

* * *

Potem, jak wyjaśniła pracownicy opieki, pannie Knowles, była bardzo ostrożna, aby nigdy nie dotykać Jonathana, aby na pewno go nie zarazić. Myła ręce dettolem, wlewała go do kąpielni, nawet płukała nim usta.

Panna Knowles wpisała to do swojego niebieskiego zeszytu, kiwając nerwowo głową.

– Dlaczego uważa pani, że musi płukać usta dettolem?

Maggie nie od razu odpowiedziała. Czyż to nie oczywiste? Od śmierci Elizabeth panna Knowles przychodziła zbyt często, rozglądała się i ogólnie wsadzała swój długi nos w nie swoje sprawy. Maggie jej nie lubiła – ani jej wyrazu twarzy, ani głupich pytań.

– Tak? – Kobieta z opieki społecznej zerknęła znad okularów w grubych oprawkach, na jej ustach igrał fałszywy uśmiech.

– Żeby nie przenieść żadnej infekcji. Przecież mogę ją mieć w ustach, prawda? I mogłabym ją przenieść, gdy mówię.

Uśmiech panny Knowles zniknął. Przechyliła głowę, zerknęła na Maggie niepewnie, po czym wpisała coś do zeszytu.

Maggie podążyła za jej wzrokiem na stare linoleum i poplamioną kanapę, na pieluszki suszące się na oparciu krzesła i spodek służący za popielniczkę, pełen niedopałków, stojący na oparciu sofy. Maggie zdawała sobie sprawę, że w pokoju panuje nieporządek, ale ważniejsze było dla niej dopilnowanie, żeby zachować czystość przy dotykaniu Jonathana. Bo przecież była źródłem infekcji.

– Wyczuwam jego woń – stwierdziła panna Knowles.

– Co? – Maggie zerwała się z krzesła i rozejrzała. – O czym pani mówi?

Sama również miała wrażenie tego ranka, że wyczuwa zapach infekcji, ale zaraz sobie uświadomiła, że przecież nie zna tego zapachu.

– To dettol. Jest bardzo silny. Nie denerwuje to pani?

Maggie westchnęła i pokręciła głową.

– Oczywiście, że nie.

Leonard również wspomniał o zapachu dettolu, nie podobał mu się, ale ostatnio rzadko bywa w domu, więc czemu Maggie miałyby się tym przejmować? Kiedy brat nie pracował, spotykał się ze swoją nową dziewczyną Sheilą w Bexhill. Maggie poprosiła, żeby Leonard nie przyprowadzał Sheili do domu, dziewczyna nie przechodziła odry w dzieciństwie, więc mogła ją złapać, prawda? I przenieść na Jonathana. Doktor Cranfield zapewniał, że nie, twierdził, że Jonathan jest już odporny na całe życie, ale Maggie uznała, że chciał ją tylko uspokoić, więc skłamał. Zresztą zawsze istniało ryzyko innej infekcji. Przecież właśnie to zabiło Elizabeth, *wtórna infekcja*. Słowa zabrzmiały głośno w głowie Maggie, jakby ktoś wykrzyczał je do jej ucha.

– Cóż... – Panna Knowles wstała. – Zajrzę do pani znowu już niedługo.

– Dlaczego?

Kobieta uśmiechnęła się fałszywie.

– Dlaczego? Zabawne pytanie! Lubię mieć oko na moje podopieczne, zwłaszcza gdy mają... – Wyglądała na zmieszaną. – E-e... Zwłaszcza gdy mają... e-e...

Schowała swój notes do torebki, skrzyżowania torby lekarskiej i zwykłej teczki.

– Panie, rodziny, które...

Maggie dostrzegła w torbie inne notesy, imiona i nazwiska innych, których panna Knowles odwiedzała – inne rodziny, inne dzieci, zapewne chore, tuziny ludzi roznoszących złośliwe zarazki. Głosy w głowie stały się głośniejsze, kilka powtarzało: „Infekcja, infekcja wtórna”. Zagłuszały słowa panny Knowles, Maggie widziała tylko poruszające się usta kobiety, otwierające się i zamykające. Dopiero wtedy Maggie zrozumiała, co próbują jej przekazać. Ta kobieta nie była zdrowa, była niebezpieczna i należało ją powstrzymać. Maggie zawahała się, ale wiedziała, że głosy mają rację, ponieważ sama zaczynała już dostrzegać małe czerwone stwory infekcji wydostające się z ust panny Knowles. Były ich setki, roily się strumieniem, rozbiegały po podłodze i wspinały na zasłony, aby przejść po suficie. Maggie rozejrzała się za czymś, czym mogłaby je zgarnąć. Musiała coś zrobić, ponieważ Jonathan spał w pokoju obok, a ta kobieta, której ciało roznosiło infekcję, właśnie szła do drzwi.

Rozdział 45

Jonathan od ponad tygodnia pracował znowu w szkole, ale za każdym razem, gdy wchodził do budynku, czuł się coraz bardziej obcy. Nie z powodu dzieci – niektóre wydawały się szczerze ucieszone z powrotu nauczyciela, a koledzy przygotowali nawet kartkę powitalną, co Jonathana wzruszyło bardziej, niż chciałby przyznać. Chloé Nichols przesłała mu list z przeprosinami i podziękowaniami. Jednak pomimo to Jonathana nawiedzało coraz silniejsze przekonanie, że... wszystko jest nie tak jak należy.

– Pomyśl o tym, co powiedziałam ci wcześniej. Może przejdź na pół etatu? – stwierdziła Fiona podczas posiłku. Wróciła ze szpitala do domu, ale wolno jej było tylko wstawać do toalety, więc Jonathan przygotował stolik w sypialni, żeby mogli jeść razem. – Moglibyśmy oboje pracować tylko po trzy dni. Mam dość, że ciągle jesteśmy wykończeni.

– Nie chodzi tylko o liczbę godzin... Sam nie wiem, po prostu *nie czuję się* już jak nauczyciel. Nie jestem nawet pewien, czy kiedykolwiek nim się czułem.

Żadne z nich się nie odezwało przez chwilę.

– Hej! – Jonathan zauważył wyraz twarzy żony. – Nie zwracaj na mnie uwagi, po prostu czuję się przytłoczony trochę tym, co się zdarzyło. Oskarżono mnie, spisano i przeszliśmy piekło, a co zrobiono z Ryanem Jenkinsem? Zawieszenie na dziesięć dni! Wróci w poniedziałek.

Nie powiedział tego Fionie, ale dzisiaj Jonathan prawie był gotów złożyć wymówienie. Nie tylko dorastał z nieodpowiednimi rodzicami i pod nieodpowiednim nazwiskiem, ale na dodatek wybrał nieodpowiednią karierę i z nieodpowiednich powodów.

Fiona położyła mu rękę na ramieniu.

– Wiem, mnie też to wkurza. Ale to już zakończone. I w porównaniu z tym – wskazała swój brzuch – nie ma przecież znaczenia.

Jonathan skinął głową.

– Masz rację. – Pochylił się, ujął dłoń żony i ucałował. – Boże, byłem przerażony.

– Ja też. – Przysunęła się do niego i oparła głowę o jego czoło. – Gdybym straciła to dziecko...

Sama myśl o tym była straszna, przerażająca. Ale Jonathan myślał wcześniej, że może stracić Fionę, a to... cóż, to nie było... Zamknął oczy, pocałował żonę w rękę.

– Przepraszam, że byłem takim draniem – przyznał. – Ale teraz wszystko się zmieni, przysięgam.

Głos mu się załamał i Jonathan nie był pewien, czy zdoła jeszcze coś powiedzieć.

– Hej. – Fiona uściśnęła mu dłoń. – To był trudny okres, mieliśmy wiele na głowie. Uznajmy to za nowy początek. A ten początek oznacza – zmieniła ton na weselszy – że czeka nas jeszcze kilka miesięcy, podczas których ja będę leżeć na swoim tłustym tyłku, a ty będziesz musiał wszystko robić.

Jonathan uśmiechnął się.

– Twój tyłek wcale nie jest tłusty.

– Ale będzie, jeżeli nie przestaniesz tak gotować. – Ruchem głowy wskazała talerze.

Jonathan udusił pierś kurczaka w białym winie i dodatkach, dzięki czemu mięso pozostało wilgotne i delikatne, podał danie z pieprzem i sosem na brandy, młodymi ziemniakami oraz zieloną fasolą.

– Jedz, bo wystygnie.

Fiona wzięła swoje sztuce i wróciła do jedzenia.

– A skoro mowa o pracy – podjęła. – Czym byś się zajął, gdybyś mógł robić, co zechcesz? Tylko nie mów, że rozwożeniem mleka albo prowadzeniem ciężarówki.

– Nie wiem. Myślałem o pracy w opiece społecznej, ale... – Jonathan zastanowił się. – Wiesz, gdyby nie chodziło o pieniądze, chyba zostałbym kucharzem. Nie na czternastogodzinnej zmianie, jak wcześniej, ale chciałbym być znowu w kuchni i przygotowywać coś, co ludzie docenią.

Fiona skinęła głową, przesunęła kciukiem po obrzeżu talerza, aby zebrać resztki sosu.

– Na pewno nie straciłeś talentu.

– Ale zarobki są niskie. Sądzę, że to nie problem, gdy jest się młodym i nie ma hipoteki. – Upił trochę wina i uśmiechnął się na wspomnienie czasów, gdy pracował w kuchni: garnków przelatujących nad głowami, gdy szef kuchni wpadł w złość, gorąca, krzyków i przekleństw w niektóre wieczory, milczącego skupienia w inne. A potem, gdy goście już wyszli z restauracji, na górze wyczerpani kucharze mogli się rozluźnić, napić piwa, zjeść kanapki ze stekiem, podzielić się wskazówkami i pochwalić za wykonaną pracę. – Uwielbiałem to.

Gerald był wściekły, gdy Jonathan postanowił się szkolić na kucharza, choć zapewniał, że nie zamierza się tym zajmować w życiu. W opinii Geralda było to marnotrawienie wykształcenia. Ale Jonathan znalazł przedziwną synergię w tym, co myślał o literaturze i czuł, gdy przygotowywał dania. Kiedy studiuje się literaturę, patrzy się, jak autor kreował postacie i związki między nimi, tworzył dialogi, nakreślał fikcyjne miejsca, w jakich egzystowały postacie utworu. A potem szukało się warstw znaczeń w tekście, przyglądało się, jak te warstwy zostały zbudowane, aby wprowadzić określoną równowagę, odpowiednią atmosferę i tło dla opowieści. Szef kuchni musiał mieszać składniki, zestawiać ze sobą smaki, które oddziaływały na siebie, w odpowiednich proporcjach, dzięki czemu głębia i złożoność dania pobudzały zmysły i pozostawały w pamięci na długo po tym, jak został połknięty ostatni kęs.

Fiona zlizwała resztki sosu ze swojego kciuka.

– Jeżeli wygramy na loterii, będziesz mógł otworzyć własną restaurację.

– Przecież nie gramy na loterii.

– Ach! Ten plan ma wadę! A tak na poważnie, może mógłbyś przygotowywać wystawne kolacje dla bogatych i leniwych?

– Nie zarobiłbym dość pieniędzy, przynajmniej nie od razu. Och, sam nie wiem, może pewnego dnia. – Jonathan wstał i zaczął sprzątać talerze. – Nie warto się tym teraz przejmować. – Pocałował żonę w czoło.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się. – I tak będziemy mieli się z czego cieszyć: dziecko jest zdrowe, ja jestem zdrowa, a ty wciąż masz pracę, pomimo że omal nie skończyłeś jako pijak.

Jonathan zerknął na żonę. I tak wcześniej czy później wyszłoby to jaw, postanowił zatem zaryzykować.

– Jest coś jeszcze, czego nie powiedziałem ci o tamtej nocy.

Fionie zrzędała mina.

– Och?

Jonathan skończył sprzątać ze stolika, podniósł tacę i ruszył do drzwi.

– Wylądowałem w areszcie, ponieważ... – otworzył jedną ręką, gotów jak najszybciej uciec, w zasięgu żony znajdowały się książki i inne pociski – ... byłem tak pijany, że nasikałem na stopnie komisariatu, a zamek mi się zaciął, więc nie mogłem zapiąć rozporoka. I wtedy straciłem przytomność. – Wyślizgnął się z sypialni i zerknął zza drzwi. – To było głupie i zawstydzające. Naprawdę bardzo, bardzo przepraszam.

Ale Fiona się roześmiała – tak! – naprawdę szczerze, serdecznie się roześmiała.

* * *

Malował właśnie sufit w pokoju dla dziecka, kiedy zadzwonił telefon.

– Jonathanie – przywitał go Bob. – Możemy porozmawiać?

– Pewnie. – Jonathan pomyślał, że Bob ma dodatkowe pytania.

– Udało mi się ją odnaleźć. Mówiłem, że to nie potrwa długo! Chce pan poznać szczegóły czy lepiej, żebym zadzwonił za dzień lub dwa, gdy wszystko sobie poukłada pan w głowie?

Pod Jonathanem ugięły się kolana, a w uszach słyszał tylko buczenie. Odsunął aparat od ucha, żeby Bob nie usłyszał płytkiego oddechu swojego rozmówcy.

– Nie. – Odetchnął wreszcie. – Nie, w porządku. Proszę chwilę poczekać, dobrze?

Zdjął umazaną farbą szmatę, radio i kubek kawy ze starego giętego krzesła i usiadł. Za oknem robiło się już ciemno, a na szybie pojawiły się drobne krople deszczu.

– Przepraszam, niech pan mówi.

– Doskonale. Pana biologiczna matka urodziła się w 1940 roku. Teraz nazywa się Margaret Kielty, wyszła za mąż w roku 1968.

Jonathan próbował się odezwać, ale wyszło mu tylko suche sapnięcie. Odchrząknął.

– Gdzie ona...

– Mieszka w Hastings.

Jonathan wypuścił powietrze z płuc. Tamtego dnia kilka tygodni temu, gdy spacerował po starym mieście w Hastings, mógł ją minąć. Tyle razy był tam jako dziecko, kochał to miasto, czuł się jak w domu, a ona mogła tam być.

– Jonathanie?

Obrazy przemykały mu przez głowę – jak matka może wyglądać, jakie prowadzi życie. Kielty, Margaret Kielty.

– Bob, powiedział pan, że wyszła za mąż. Ma więcej dzieci?

– Nie. Sprawdziłem od daty, gdy został pan adoptowany.

Bob powiedział to tak, jakby uważał, że to dobra wiadomość, ale odkąd matka opowiedziała o zmarłym dziecku, Jonathan nie przestawał myśleć, jak to by było mieć rodzeństwo. Kiedy dowiedział się, że został adoptowany, poczuł się podwójnie oszukany – miał brata, choć zmarłego, ale potem nawet jego mu odebrano.

– Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli to ja wykonam pierwszy krok – stwierdził Bob. – Jeżeli pan się zgodzi, napiszę ogólny list. Może pana biologiczna matka nie będzie chciała, aby jej mąż się o panu dowiedział. Przekonamy się, czy zgodziłaby się na spotkanie. I zobaczymy, jak to się dalej rozwinie.

Rozdział 46

Hastings, luty 2009

Maggie stanęła przemoczona u szczytu schodów. Powinna wracać pod dach. Sam będzie się martwić, co się stało. Wsunęła list do kieszeni. Chciałaby powiedzieć mężowi, ale jeszcze nie teraz. Musiała to najpierw przemyśleć. Kiedy schodziła powoli, zobaczyła go przed drzwiami.

– Och, kochana. Popatrz na siebie. Przemokłaś do suchej nitki! Wejdz, bo jeszcze przeziębisz się na śmierć. – Sam z z troskaniem zmarszczył brwi.

Włosy miał już niemal całkiem białe, ale nadal gęste i mocne. Granatowy szlafrok strzępił mu się na skraju, lepiej to naprawić teraz niż czekać, aż się całkiem rozejdzie. To szczegół, który Maggie zapamięta, część obrazu z tego dnia. Kiedy w jej życiu działo się coś ważnego, nie utrzymywały się długo w pamięci, wspomnienia blakły z czasem jak stare malowidła, jednak wracały wyrazistsze, rozjaśniały się i umacniały, kolory i zapachy stawały się głębsze, kształty i dźwięki bardziej ostre.

– Musiałam... Musiałam się przejść – wyjaśniła Maggie.

Sam uśmiechnął się lekko.

– Dobrze, ale czy nie pomyślałaś, że jest trochę za mokro na spacer w samej sukience?

Udało się jej rozeźmiać, ale tak naprawdę wiedziała, że wkrótce znowu będzie musiała wyjść, ponieważ rozpoznawała znaki ostrzegawcze. Wszystko, na co patrzyła, wydawało się wielkie i wyraziste, a potem krawędzie pola widzenia ciemniały. Maggie zaczynała oddychać za szybko. Ubrała się w to, co wpadło jej w rękę – starą spódnicę używaną podczas prac ogrodowych, sweter Sama, płaszcz przeciwdeszczowy, który kupiła na targu w zeszłym tygodniu. Przeniosła list do kieszeni płaszcza, a potem ruszyła po schodach w wilgotny poranek. Skreśliła w prawo na drogę nadbrzeżną i zwawo minęła targ rybny i stare chaty, po czym skierowała się na molo.

Maggie nigdy nie była postawną kobietą, a teraz zostało z niej jeszcze mniej, dlatego miała kłopoty z utrzymaniem równowagi na takim wietrze. Słyszała fale łomoczące o falochron i widziała tryskającą wysoko, spienioną wodę, która rozpryskiwała się z głośnym pluskiem na drodze. Kobieta schowała ręce w kieszenie, palce zacisnęła na liście, którego zarówno się obawiała, jak i pragnęła. Wiatr uderzał mocno, cofnął kobietę przez lata i mile do tamtej nocy w lutym 1962 roku.

Wichura szaleje w mieście, przygina drzewa do ziemi, łamie konary i zrywa dachówki. Słyszać trzaski, uderzenia, brzęk tłuczonego szkła, a w oddali szczeka pies. Jack całuje ją mocniej, dziewczyna czuje zimną, kamienną ścianę, do której przyciska głowę.

Maggie próbuje się wyrwać, ale Jack zamyka dłoń na jej piersi, ściska. Dziewczyna z jękiem bólu chce się wyrwać, mężczyzna ją przytrzymuje.

– O nie – syczy. – Nie tym razem.

Całuje ją znowu, Maggie niemal uderza głową w ścianę. Jack wpycha jej język do ust, ich zęby się dotykają. Chwyta za dekolt sukienki dziewczyny, ściąga w dół. Przez absurdalną chwilę Maggie myśli tylko o tym, że Jack zniszczy jej ubranie. A potem na odsłoniętej piersi czuje uderzenie zimnego wiatru. Usta Jacka zaciskają się na sutku, mężczyzna gryzie tak mocno, że Maggie krzyczy.

– Nie! – Próbuje go odepchnąć, ale tym razem nie może nawet go ruszyć.

Jack wepchnął jej kolano między nogi i całym ciężarem przyciska Maggie do kamiennej ściany.

– Jack – mówi dziewczyna ciszej.

Ale mężczyzna już szarpie się ze swoim paskiem. Maggie zamiera. Jack podciąga jej sukienkę, paznokciami drapie ją w udo, gdy zrywa dziewczynie bieliznę. Rozlega się pusty klekot, gdy kubeł na śmieci toczy się obok, a potem trzask, gdy w ziemię uderza kolejna dachówka.

Z pamięci Maggie dobywają się słowa matki: „Kopnij takiego w jaja, kochanie. Tak właśnie się robi, gdy się wpadnie w tarapaty. Kopnij tam, gdzie zaboli”.

Maggie zbiera siły, a potem odpycha ramiona Jacka i uderza z kolana jak najmocniej.

– Och, dzikuska, co?

Jack chwyta ją pod uniesione kolano i pozbawia równowagi. Maggie wyciąga ręce, aby się czegoś podtrzymać, ale Jack unieruchamia je w uścisku jednej ręki, a drugą sięga do sukienki.

– Pieprzona mała kusicielka – warczy. – Wszystkie jesteście takie same.

Maggie płacze.

– Przepraszam – mówi. – Proszę, nie...

Paznokcie Jacka drapią jej krocze, gdy zsuwa jej bieliznę, a potem następuje ostry, piekący ból. Maggie łapie chrapliwie powietrze. Myśli, czyby nie krzyczeć, ale wie, że nikt nie usłyszy, nie w tym wyciu wiatru i walących się domów.

– Proszę, nie.

Jack wbija się w nią znowu, raz po raz, głowa dziewczyny uderza o ścianę. Maggie krzyczy. Jack uderza ją w skroń, ból jest oślepiający.

– Zamknij się, suko.

Kiedy Maggie myśli, że nie wytrzyma już dłużej, coś się zmienia. Do dziewczyny dociera, że już nie czuje, co się dzieje. Z miejsca kilka stóp nad ziemią obserwuje siebie, jak jest przygniatana, szarpana niczym królik w paszczy drapieżnika. Maggie widzi lepka, ciemną strużkę krwi spływającą na jej ułożone włosy i na czoło, skąd kapie do oka, widzi też tył głowy Jacka. Dziewczyna ogląda to ze spokojem i dochodzi do wniosku, że chyba umarła. Jaka szkoda, przecież miała tylko dwadzieścia jeden lat i plany na przyszłość. Ale to już koniec i nic nie można poradzić.

Huk fal rozbijających się na falochronie przywrócił ją do terażniejszości. Maggie dopiero teraz dostrzegła, że przeszła przez nadmorską drogę i nawet tego nie zauważyła. Zatrzymała się przy ławce na promenadzie, zaczęła zaciskać i rozkurczać palce rąk, poruszać nogami, potrząsać głową i chrząkać, żeby sprawdzić, czy nadal może używać głosu. Dobrze, wszystko czuła, co znaczyło, że nareszcie wróciła.

Pochylona, aby przebić się przez wichurę, Maggie ruszyła dalej w stronę opustoszałego molo i minęła małe galerie sztuki, kawiarnie i sklepiki z pamiątkami. Ostatnim razem, gdy ponownie zostały otwarte, nazwano je Covent Garden nad Morzem. Teraz znowu były zamknięte. To molo i niewielkie budynki z kilkoma ładnymi sklepami niosły zawsze fałszywą nadzieję, nie mogły zasłonić tego, co kryło się pod spodem. Tutaj nawet materia gniła, fale odsłoniły sporą część metalowych podpór molo, które miały wzmocnić konstrukcję, obejmą na zmięczonym słońcu wodą drewnie ledwie się trzymały, w każdej chwili wszystko mogło się zawalić. W szparach między deskami Maggie widziała ciemne mięsiste fale.

To nieuniknione, pomyślała. Stanie się tak, jeżeli morze zapragnie zniszczyć to wielkie ciało obce, które wkroczyło nieproszone w jego wody.

A jeżeli molo zawali się już teraz, gdy Maggie tu stoi? Przywykła, że życie przelatuje jej przed oczyma, chociaż ostatnio dzieje się tak tylko wtedy, gdy jakieś zapomniane zdarzenie powróci do pamięci, wedrze się do świadomości Maggie. Tak jak teraz.

Na brzegu wielkie mewy, zadziwiająco bezbronne, z piórami zmierzwionymi na wietrze, poszukiwały resztek pożywienia. Za nimi po nadbrzeżnej drodze skąpanej w deszczu powoli sunęły samochody, niedobitki z korków w godzinach szczytu. Maggie przytrzymała się metalowej barierki i spojrzała w morze. Nie była pewna, czy wilgoć, którą czuje na twarzy, to deszcz, czy morska piana. Zimno sprawiło, że skóra na rękach jej poczerwieniała. Kobieta stanęła na palcach i wychyliła się mocno. Nie zobaczyła niczego oprócz fal uderzających w przerdzewiałe podpory molo. Strużki lodowatej wody spłynęły jej po karku. Pod palcami wyczuła płatki odłóżającej farby.

Głębiny morza wydają się tak zapraszające, pomyślała. Zawsze ma się pewność, że pod szumiącą powierzchnią znajduje się oaza ciszy, spokojnego błękitu, wystarczy tylko się zanurzyć.

A potem pomyślała o Samie i o tym, co stracił wiele lat temu. Maggie wyprostowała się znowu, rozłożyła list i przyglądała się, jak kartka łopocze na wietrze. Gdyby wypuściła ten arkusik, poszybowałby wysoko, a potem spadł w fale, gdzie słońca woda wypłukałaby drukowane słowa. Jednak nawet gdyby Maggie wyrzuciła ten list do morza, nawet gdyby wyrwała go jej skrzecząca mewa, słowa i tak by istniały, *pozostałyby* rzeczywiste.

Rozdział 47

Jonathan spodziewał się, że miną tygodnie, zanim otrzyma kolejną wiadomość od Boba, ale ten zadzwonił po kilku dniach. Margaret Kielty jest skłonna się spotkać, oznajmił.

– Co pan powie na przyszłą sobotę?

W piątek Jonathan kupił rybę i frytki, ale nie mógł jeść, czuł pustkę w żołądku i fale gorąca na przemian z zimnem, jakby miał gorączkę. W kuchni panowała cisza, dało się słyszeć jedynie szum lodówki. Kot z sąsiedztwa, który wcześniej zwinął się na blacie szafki, teraz przeciągnął się leniwie i zeskoczył na podłogę. Wyczuł rybie resztki, więc zaczął się prześlizgiwać między stopami Jonathana, a jego ochryple, głośnie mruczenie rozniosło się po pomieszczeniu. Jonathan zeskrobał resztki posiłku do miski i postawił przed zwierzęciem, a potem obserwował, jak kot łapczywie pochłania poczęstunek, nie przerwał przy tym mruczenia, a jego plakietka identyfikacyjna pobrzękiwała o brzeg naczynia. Ze swoimi żółtozielonymi oczyma i puszystym ogonem kot przypominał Jonathanowi tego, którego miał w dzieciństwie. Nazwał go Johnny. Sam wybrał takie imię i uśmiechnął się teraz na myśl o swoim narcyzmie. Miał wtedy sześć lat. Przypomniawszy sobie również, jak Gerald przyszedł do jego sypialni i powiedział, że Johnny został rozjechany. Kiedy Jonathan zaczął płakać, Gerald przysiadł na łóżku i objął syna ramieniem. Jonathan pamiętał ciepły, kościsty tors ojca, twardość guzików koszuli i zapach skrobi zmieszany z aromatem tytoniu do fajki. Tak wiele zapomniał o Geraldzie. I o Daphne, jak się zastanowić. W zasadzie cała historia Jonathana uległa zmianie, a teraz musiał wrócić, i to nie tylko do ostatnich kilku tygodni, lecz do przemyślenia całego swojego życia, kawałek po kawałku. Ale mógł tylko zrewidować życie, które się skończyło, nie to, które dopiero zaczynał – z tym, co nadchodziło, będzie musiał stanąć twarzą w twarz. Przeszedł go zimny dreszcz. Jaka okaże się matka? Co powie o mężczyźnie, po którym Jonathan odziedziczył około połowy DNA?

Położył się, ale tylko obserwował zmieniające się cyfry na tarczy zegara. Każda nowo wyświetlana godzina drwiła z bezowocnych prób Jonathana, aby zasnąć. Matka „jest skłonna” się spotkać. Czy to znaczyło, że się ucieszy, czy tylko, że się zgodziła? Jonathan nawet sprawdził zwrot – „chętna lub dysponująca możliwością, wykonanie bez niechęci”. Przez szczelinę w zasłonach popatrzył w nocne niebo, ale nie było widać gwiazd. Skupił się więc na budynkach w oddali, wieżowcach, gdzie w kilku oknach paliło się jeszcze światło. Widział, jak światła gasną jedno po drugim.

Było pięć po dziesiątej, gdy przyjechał do Hastings – prawie godzinę przed czasem. Słońce z trudem przebijało się przez chmury, dzień był chłodny. Zapewne Jonathan spędzi tu kilka godzin, więc po drodze zostawił Fionę u Lucy, ponieważ nie chciał, aby żona musiała wychodzić z łóżka po przekąski lub picie. Lucy przygotowała sofę w salonie i obie zamierzały spędzić czas na oglądaniu filmów. Jonathan znalazł kawiarnię, zamówił kawę i usiadł przy oknie. Przyglądał się klientom robiącym sobotnie zakupy i starał się udawać, że to normalny dzień. Kupił „Guardiana”, ale nawet tej gazety nie otworzył.

Za dwadzieścia jedenasta poszedł nad morze. Kusiło go, aby przebiec przez drogę, przeskoczyć schody na plażę i przejść się po piasku. Mógłby udawać, że przyjechał tu na wypoczynek. Poszedł jednak wzdłuż drogi. Zerkał na mapę, jakby nie znał wcale tej okolicy. Kilka jardów dalej skręcił w uliczkę, po czym sprawdził numery domów. Zadzwoił do Fiony.

– Jestem na miejscu. Przed domem.

– Świetnie. Zatem powodzenia. – Jej głos brzmiał tak cicho, jakby z oddali. – Zadzwoń do mnie, gdy tylko... no, po prostu zadzwoń, dobrze?

– No to ustalone. Porozmawiamy później. I Fi...?

– Tak?

– Kocham cię. – Ona jest tą jedyną i tylko ona w całym życiu Jonathana okazała się prawdziwa.

– Też cię kocham, Jonno.

Jonathan ruszył do wysokiego, pomalowanego na biało domu, części szeregu ongiś pięknych budynków z czasów regencji, teraz jednak nieco zaniedbanego, z obłazującą farbą i wypaczonymi parapetami. Wszystkie domy wyglądają na stare i zniszczone. Jonathan słyszał, że budynki nad morzem trzeba malować częściej z powodu działania soli. Dostrzegł betonowe schody do mieszkania na parterze tuż przy metalowej, poczerniałej poręczy. Przesunął po niej dłonią, a potem zszedł po stopniach. Przed wejściem stała roślina w doniczce, jakieś nieduże drzewko. Obok leżały rękawice ogrodnicze. Zielone, ciężkie zasłony w dużym frontowym oknie nie były zasunięte i Jonathan zerknął przez szybę. Staroświecka lampa z abażurem z frędzlami stała na kwadratowym stole jadalnym na środku wnęki, obok lampy dostrzegł gazetę i parę okularów w drucianych oprawkach. Gdy podszedł bliżej drzwi, czujnik włączył światło. Jonathan poczuł się obnażony. Po lewej zauważył ruch, a kiedy spojrzął na okno, mignęła mu ręka, gdy zasłony opadły.

Rozdział 48

Nie tak sobie wyobrażał kobietę, która go urodziła. Przede wszystkim wyglądała na młodszą i była wysoka – Jonathan przywykł, że patrzy nad głową Fiony, więc przeżył wstrząs, gdy zobaczył, że jego rodzona matka jest niemal tak wysoka jak on. Jej twarz okazała się łagodniejsza, niż myślał. A co sobie myślał? Włosy miała długie, ponieważ upięła je w kok, jednak sporo kosmyków się wydostało i zwisało luźno. Fiona na pewno chciałaby wiedzieć, jak wygląda biologiczna matka męża, więc Jonathan starał się zapamiętać szczegóły. Na ile mógł ocenić, Margaret Kielty jak na sześćdziesięciolatkę była całkiem atrakcyjna, chociaż niezbyt zadbana. W przeciwieństwie do Daphne nie nosiła biżuterii poza obrączką ani makijażu, a jej ubranie wydawało się staroświeckie i niedopasowane.

Kiedy Jonathan przyjechał, prawie dwie godziny temu, matka ledwie mogła spojrzeć mu w oczy. Wziął to za poczucie winy, ale teraz, gdy wysłuchiwał jej historii, to on musiał spuścić wzrok. Było mu trochę niedobrze – to, czego się dowiedział, piętrzyło mu się w głowie, zderzało i łączyło w odgłosach, których Jonathan nie mógł niemal znieść, i w obrazach, których wolałby nie widzieć. W głębi duszy pragnął uciec, otworzyć drzwi tego zagrazonego mieszkania, przeskoczyć schody i wydostać się na świeże, ostre powietrze, a potem pobiec brzegiem morza, gdzie fale miarowo obmywały piasek, tak jak powinny to robić – zgodnie z naturą, wciąż i wciąż przez eony.

Jonathan nabrał tchu i spojrzał na kobietę.

– Tak mi przykro – westchnął.

Margaret przycisnęła dłoń do czoła.

– Przepraszam na chwilę – powiedziała cicho. – Mam straszną migrenę...

Muszę coś wziąć...

Wstała i wyszła.

Dbą o siebie, pomyślał Jonathan.

Poruszała się z gracją, niemal elegancko, tylko te niepasujące do siebie części ubrania...

Pod nieobecność kobiety rozejrzał się uważniej po pokoju. Był urządzone niezbyt kosztownie, ale wygodnie. Patchworkowe poduszki na sofie, dywaniki na podłodze. Grzejnik pod oknem rozsiewał ciepło. Na obudowie kominka stało kilka kaktusów i zielistka, której rozłogi zwisały z doniczki jak małe parasolki. Dostrzegł też pustą fiolkę po tabletkach i klucz z papierową etykietą z wpisanym ołówkiem nazwiskiem, a także stary zegar, za który wsunięto kilka pocztówek i kartek okolicznościowych. Regał w jednej z nisz wypełniały książki – albumowe poradniki o ogrodnictwie i gotowaniu oraz wydania w miękkich okładkach powieści sióstr Brontë, Chalila Dżubrana oraz spora kolekcja

wydawnictw, które Fiona nazywała „lekturami na niedzielne popołudnie”, napisanych przez Catherine Cookson, Maeve Binchy i Rosamunde Pilcher. Jonathan wypatrzył chyba album ze zdjęciami i już miał do niego zajrzeć, gdy usłyszał, że Margaret wraca.

* * *

Maggie zatrzymała się z ręką na klamce, zanim wróciła do salonu. Bolała ją głowa, a połknięty paracetamol chyba utknął w gardle. Widziała, że palce jej drżą. Otworzyła drzwi. Stał tam – Jonathan, jej syn. Maggie tak się ucieszyła, że nie zmieniono mu imienia. Ledwie mogła uwierzyć, że ten mężczyzna znalazł się w tym samym co ona pokoju, oddychał tym samym powietrzem. Musiała mu jednak powiedzieć o czymś jeszcze, a wtedy Jonathan, Maggie była pewna, odejdzie.

Usiadła, napiła się soku pomarańczowego, żeby zwilżyć usta, a potem zaczęła mówić.

– Zanim w szpitalu wróciła mi pamięć, przypominałam sobie tylko urywki od czasu do czasu, ale nic nie miało sensu. Do tamtego wieczoru, gdy odbyło się spotkanie towarzyskie. – Urwała, spojrzała na swoje dłonie. – Wspomnienia nie wróciły wszystkie naraz, właściwie niektórych nigdy nie odzyskałam. Ale tamtej nocy, gdy usiadłam na łóżku, przypomniałam sobie Elizabeth i atak na tamtą nieszczęsną pracownicę opieki społecznej. Ale tyle wystarczyło. Zaraz potem, gdy... – Jak miała ubrać to w słowa? Znowu napiła się soku. – ...gdy przypomniałam sobie, co się stało... Co próbowałam zrobić...

Maggie usłyszała własny, zbyt pośpieszny oddech. Och, dlaczego głowa tak ją boli?

Zmagała się, ale musiała wyznać Jonathanowi prawdę, przynajmniej tyle była mu winna.

– Minęło trochę czasu, zanim przypomniałam sobie, czego – niech Bóg mi wybaczy – czego omal ci nie zrobiłam.

Zerknęła na syna. Czekał cierpliwie, żeby dokończyła. Miał życzliwe oczy, ale Maggie nawet bez okularów mogła dostrzec w nich niepokój. Była wdzięczna za ten krótki czas w towarzystwie swojego dorosłego już dziecka. Była wdzięczna, że siedział tutaj i słuchał, niemal wcale nie przerywając. Jak dumna musiała być jego... jego druga matka.

Maggie zawahała się, rozpaczliwie próbowała jeszcze zwlekać. Dlaczego nie wypytała Jonathana dokładniej zaraz po jego przyjściu? Chciała wiedzieć o nim wszystko, o jego żonie i życiu, nadziejach i planach na przyszłość. Ale nie miała prawa. Zaczerpnęła głęboko tchu i przygotowała się na to, co musiało nadejść. Kiedy opowie resztę, Jonathan odejdzie, a Maggie nie będzie mogła go za to winić.

Za pomocą ciętej kryształowej misy na owoce Maggie udaje się powalić kobietę roznoszącą infekcję, ale te małe stworzenia wciąż roją się wokół, rozbiegają i mnożą się w wielką masę pędzącą przez korytarz jak czerwony przyptyw do pokoju Jonathana. Maggie, przeskoczywszy przez jęczącą pannę Knowles w dwóch susach, wpada do sypialni. Chwyta syna, opiera go sobie na biodrze i rusza do frontowych drzwi. Szok i nagłość zdarzeń sprawiają, że Jonathan zamiera w ciszy. Maggie zdaje sobie sprawę z jego zaskoczenia, gdy biegnęła ulicami miasta. Gdy znajdują się blisko plaży, syn zaczyna znowu szlochać. Trzęsie się z zimna, Maggie również. Kobieta przytula go mocniej i nakazuje, żeby był cicho. Cii, mamusia cię ochroni. Głaszcze dziecko po wilgotnych włoskach, które pachną solą. Jego miękki policzek, gdy dotknął twarzy Maggie, jest gorący. Pomimo zimna czoło syna również okazuje się rozpalone. Maggie ogarnia fala strachu. Jonathan ma gorączkę, nie zdołała go ochronić. Zaczyna rozpinąć jego śpioszki, ale zaraz przychodzi jej do głowy lepszy pomysł. Maggie znowu mocno obejmuje dziecko, po czym zbiega po kamiennych stopniach nad brzeg morza. Nadal ma tylko skórzane kapcie, więc czuje każdy kamień, gdy podchodzi do wody. Wahanie Maggie trwa tylko chwilę, kobieta robi krok i wchodzi do wody. Spieniona fala obmywa jej nogi i wywołuje dreszcz na całym ciele. Kolejny krok i zimna woda przetacza się nad butami Maggie, sięga do kostek. Hałas za plecami sprawia, że kobieta się odwraca – jakaś postać biegnie przez plażę. To panna Knowles, która roznosi infekcję. Maggie brnie głębiej, woda moczy jej uda. A potem ciemna fala zalewa kobietę po ramiona. Rozkołysane ciało traci równowagę, dno ucieka Maggie spod stóp. Kobieta rozpaczliwie usiłuje jedną ręką utrzymać się na powierzchni, podczas gdy drugą mocniej przyciska syna, którego morski prąd próbuje jej wyrwać. Maggie widzi jeszcze niebo, zanim fale zamykają się nad jej głową, a piekący ból wypełnia jej nozdrza. Krzyki z plaży stają się odległe i stłumione. Maggie obraca się, aby znaleźć oparcie, potyka się, łokciem dotyka dna. Mocniej przytula Jonathana, ale chłopiec się wyślizguje. Nie ma go. Krztusząc się, Maggie wyciąga ramiona, w panice próbuje odnaleźć małe ciało. Ale natrafia tylko na fale obmywające jej twarz i ręce. Kobieta szarpie się i wykręca z przerażenia, odziera sobie kolana o dno. Kiedy już myśli, że płuca jej pękną, fale rozstępują się i Maggie, kaszląc, zachłystuje się suchym powietrzem.

Po prawie czterdziestu latach, choć Maggie siedziała teraz w salonie, nie potrafiła powstrzymać dziwnego gardłowego przydechu, jakby znowu walczyła o oddech. Zadrzała.

– Zabrano cię do szpitala, ale byłeś tylko wyziębiony i przestraszony, nic ci się nie stało. – Spojrzała na Jonathana, ale mężczyzna patrzył na swoje dłonie, więc nie dostrzegła wyrazu jego oczu. – Po tym, co zaszło, raczej nie mogłam

już uchodzić za odpowiedzialnego rodzica, prawda? Tamtej nocy zostałam skazana, teraz mówi się odseparowana. Początkowo wszyscy myśleli, że chciałam cię zabić.

Jonathan podniósł głowę i spojrzał na Maggie, ale tym razem to ona nie mogła się zdobyć na spojrzenie mu w oczy.

– Nieważne, co myśleli, nie robiło to żadnej różnicy, ponieważ nie byłam przy zdrowych zmysłach, ani trochę. A gdyby ta nieszczęsna młoda kobieta nie pobiegła za mną na plażę... cóż... – Znajoma fala przerażenia zalała znowu Maggie na samą myśl, co mogło się stać. – Podobno to był prawdziwy cud, że pannie Knowles udało się wyciągnąć cię z morza, zwłaszcza że wciąż krwawiła z rany, którą jej zadałam. Sam więc widzisz...

Maggie znowu zerknęła na Jonathana, ale szybko odwróciła wzrok. Nie mogła znaleźć słów, gdy syn na nią patrzył.

– Prawda jest taka, że *mogłam cię zabić*.

Z westchnieniem odchyliła się na oparcie. Proszę. Powiedziała synowi wszystko. Słyszała tykanie zegara, co znaczyło, że należało wymienić baterię. Zegar się spóźniał, ale Maggie nie wiedziała, jak bardzo, ponieważ w tej chwili czas wydawał się całkowicie nieistotny. Syn przygarbił się na fotelu, ręce oparł na kolanach i patrzył na dywanik między nimi. Miał ładne ręce, gładkie, o długich palcach, ale nie kościste. Takie ręce, w których uścisku można się było poczuć bezpiecznie. W sąsiednim pokoju zaskrzypiała podłoga, Sam zapewne podszedł do drzwi. Maggie wyobraziła sobie, jak mąż się waha i zastanawia, czy wejść i zaproponować herbatę albo kanapki.

Nie teraz, Sam, szepnęła w myślach, jakby sądziła, że ją usłyszy.

Jonathan pokiwał powoli głową. Wyprostował się, odetchnął głęboko i spojrzał na Maggie.

– Chyba muszę zaczerpnąć świeżego powietrza – oznajmił.

Maggie tylko bezmyślnie skinęła głową. Czy Jonathan poczuł do niej odrazę? Nienawiść?

– Przejdę się, najwyżej dziesięć–piętnaście minut. A potem wrócę. Mogę tak? Maggie pośpiesznie wypuściła wstrzymywany oddech.

– Tak, tak, oczywiście.

Zrobiło jej się słabo z ulgi.

* * *

Jonathan w pierwszym odruchu chciał zadzwonić do Fiony, ale zmienił zamiar i wsunął telefon z powrotem do kieszeni. Musiał sobie przemyśleć w samotności to, czego się dowiedział. Wyszedł żwawo na plażę, odetchnął słonym, wilgotnym powietrzem. Z każdym krokiem był coraz bardziej świadom ruchu swoich kończyn pod ubraniem – czuł dzinsową tkaninę spodni napierającą na nogi, zamiast przesuwając się razem z nimi. Miał wrażenie, jakby jego ciało stało

się niedostrojone do tego, co je otacza. Wiatr od morza nie dał mocno, ale Jonathan wolał się przed nim chronić. Głazy na plaży okazały się mokre i zimne, ale i tak usiadł i podciągnął nogi, a potem skulił się, jakby próbował się zmniejszyć. Wreszcie pozwolił sobie na płacz – płakał nad sobą, nad swoją matką, nad obiema matkami i nad swoją biedną zmarłą siostrą. Ponownie okazało się, że miał rodzeństwo, ale zostało mu to odebrane...

W końcu podniósł głowę i wytarł łzy. Elizabeth, Mimbet. Bawili się razem, dzielili łóżeczko, dopóki nie umarła. Siostra, jedyna istota, która była jak on, której krew była taka sama jak krew Jonathana. Widział ją wyraźnie oczyma duszy... ale nie, nie mógł jej pamiętać. Jednak... zmusił pamięć do wysiłku... bo przecież Elizabeth żyła, znała go kiedyś. W niewyjaśniony sposób Jonathan czuł z nią prawdziwą, trwałą więź. Jednak potem jego myśli stały się mroczniejsze, gdy niczym burzowa chmura powróciło wspomnienie innej więzi.

Jonathan wstał i ruszył przez plażę tuż nad wodę. Zbliżał się przypływ, ale mężczyzna stał tylko i obserwował nadchodzące i cofające się rytmicznie fale, zupełnie jak wtedy, gdy był małym chłopcem. Z Alanem Harperem spędzali na plaży całe dni, budowali wtedy tamy, żeby powstrzymać przypływ, ale udawało im się tylko rozdzielić nurt wody na okamgnienie, dopóki kolejna fala nie zmyła starannie wzniesionej bariery.

Z rękoma w kieszeniach Jonathan przeszedł przez świeżo zwilżony piasek. Z przymusem skupił się na swoim biologicznym ojcu – na gwałcieliu. Potknął się, jakby to słowo wymówione tylko w myślach wytrąciło go z równowagi. Często zastanawiał się nad ludzką zdolnością do przemocy. Na przykład: jakiś człowiek włamał się do twojego domu i przyłożył twojej żonie nóż do gardła – ale ty masz broń. Co zrobisz? Albo: twoje dziecko umiera, a lekarstwo, które może je uratować, kosztuje dwieście funtów. Nie masz pieniędzy, za to sąsiad jest bogaty. Co zrobisz?

Ale gwałt?

Kilka stóp przed Jonathanem dwie mewy skrzeczały nad krwawymi resztkami ryby. Odleciały, gdy się zbliżył. Jonathan kopnął srebrzysty rybi łeb w wodę. Miał szczerą nadzieję, że gwałcieliel nie żyje.

Dopiero gdy w oddali zobaczył molo, zorientował się, jak daleko zaszedł. Zatrzymał się, żeby wysłać SMS-a do Fiony: „Wszystko OK. Chwile potrwa. U ciebie OK?”. Odpowiedź nadeszła niemal od razu: „OK. Oglądamy Bezsennosc w Seattle. Makaron na lunch. Nie martw się XX”.

Jonathan przeczytał słowa. Normalność.

Kiedy wracał przez plażę, przypomniał mu się cytat z jakiejś feministki z lat siedemdziesiątych: „Wszyscy mężczyźni to gwałcieliel”. Czy większość kobiet naprawdę w to wierzy? Co poczuła jego matka, gdy po raz pierwszy popatrzyła na swoje dziecko, męskiego potomka? Czy zobaczyła małą kopię mężczyzny, który ją skrzywdził?

Jonathan przyspieszył kroku. Zaczął się zastanawiać, co matka podświadomie czuła, gdy zanurzyła się z nim w morze.

Maggie otworzyła drzwi, gdy Jonathan był w połowie schodów do jej mieszkania. Zapewne go wyglądała. Wszedł za nią do salonu. Matka poprawiła włosy, a Jonathan zdjął kurtkę, przewiesił przez oparcie fotela i usiadł. Drzwi otworzyły się i mąż Maggie wniósł dużą tacę, którą ustawił na stoliku.

Maggie wydawała się zmieszana.

– Sam... To mój... eee... Jonathanie, to... – Nie udało się jej tak naprawdę dokonać prezentacji, ale Sam uśmiechnął się i wyciągnął rękę na powitanie.

Wyglądał na zdenerwowanego, przynajmniej tak pomyślał Jonathan, gdy wymieniali uścisk dłoni. Nieszczęśnik ukrywał się w kuchni, zapewne na polecenie żony, żeby trzymał się z daleka. Ale już chyba nie musiał. Na tacy stały: dwa kubki, mleko, maślane grzanki, dżem z czarnej porzeczki, kawałek sera na desce otoczonej owsianymi krakersami oraz talerzyk z kawałkami ciasta orzechowego.

– Wygląda wspaniale – powiedział Jonathan.

– Och, zapomniałem o herbacie. – Sam odwrócił się i poszedł do kuchni, skąd po chwili przyniósł czajniczek. Postawił go ostrożnie na stoliku i znowu zniknął.

Jonathan nie miał apetytu, ale gościnność Maggie i Sama otuliła go jak ciepły pled w chłodny dzień. Wspomniał herbatę ze swoimi przybranymi rodzicami – sterylną atmosferę, ciszę, słabą herbatę, kanapki z serem, herbatniki bez dodatków i żadnego ciasta.

– Dziękuję – powiedział.

Wziął kawałek ciasta. Było domowego wypieku. Jedząc, zyska trochę czasu, żeby się zastanowić, jak zapytać Maggie, ponieważ Jonathan musiał to wiedzieć, co widziała, gdy na niego patrzyła.

Rozdział 49

Maggie piła herbatę i obserwowała swojego syna, gdy jadł ciasto, które upiekła specjalnie na jego wizytę.

– Co się stało, gdy zabrano mnie do szpitala? – zapytał.

Na chwilę Maggie zapomniała, że Jonathan nie przyjechał tutaj tylko po to, aby usiąść i wypić herbatę, chciał poznać swoją przeszłość.

– Zatrzymano cię tylko na noc, jak mi się zdaje. Potem mój brat Leonard i jego żona Sheila, choć wtedy jeszcze nie była oczywiście jego żoną, zabrali cię do domu.

Jonathan popatrzył na nią wyczekująco.

– Nie widziałam Leonarda od lat. Wyjechał z żoną do Australii niedługo po moim wyjściu ze szpitala. My... Niezbyt dobrze nam się układało po mojej chorobie.

Maggie postanowiła nie mówić synowi, że Leonard i Sheila niemal siłą skłonili ją do podpisania dokumentów adopcyjnych, chociaż pewnie i tak by je podpisała. Doktor Carver, doktor Cranfield, pracownica opieki społecznej, wszyscy powtarzali Maggie, że tak będzie najlepiej. I wiedziała, że mieli rację. Jakie życie mogła wtedy zapewnić Jonathanowi? Zwłaszcza że tak wiele razy trafiała do szpitala, zanim nauczyła się, jak sobie radzić.

– Podejrzewam, że to głównie przez Sheilę. Nie chciała, żeby łączono ją ze mną. Wtedy chorobę umysłową uznawano za straszne piętno. Większość pewnie myślała, że można się tym zarazić przez przebywanie w tym samym pokoju co chory. Przynajmniej teraz ludzie są bardziej... – Ale wtedy przypomniawszy sobie ludzi z zakładu, gdzie pracowała z Samem, dopóki w zeszłym roku oboje nie przeszli na emeryturę. Pomyślała o Claire, młodej matce, która przyznała się sąsiadom, gdzie była podczas swojej kilkutygodniowej nieobecności, i zastała wymalowany sprayem napis „Świrnięta” na frontowych drzwiach. Młody Dan został zmuszony do zwolnienia się z pracy, a potem był dręczony i wyzywany przez dzieci z okolicy, aż został ponownie skierowany na terapię. Maggie westchnęła. – Teraz i tak jest lepiej niż kiedyś.

– Masz z nim jakiś kontakt? Z Leonardem?

– Pisujemy do siebie, ale każde z nas ma inne życie. – Pomyślała o Leonardzie i zadała sobie w duchu pytanie, czy naprawdę jest szczęśliwy. – Opiekowali się tobą przez parę tygodni. To znaczy Leonard i Sheila. Szpital nie pozwolił mi się z tobą zobaczyć, doktor Carver powiedział, że byłoby to trudne dla nas obojga.

Maggie poczuła wzbierające łzy, więc szybko sięgnęła po pudełko chusteczek leżące przy jej fotelu i osuszyła oczy, gdy Jonathan nie patrzył.

– A potem przyszło dwoje urzędników z opieki społecznej. Powiedzieli, że znalazła się rodzina, która chce cię wziąć i dać ci szczęśliwe życie.

Wydawało się, że w reakcji na te słowa przez twarz Jonathana przemknął cień. Czy miał szczęśliwe życie? Och, oby miał...

Jonathan spojrział na Maggie przenikliwie.

– Mów dalej – poprosił.

– Powiedzieli mi, iż nawet gdy poczuję się lepiej, nie zdołam zapewnić ci takiego życia jak tamta para. Wiedziałam, że oczywiście mieli rację, więc podpisałam dokumenty. – Urwała, próbując przypomnieć sobie tę chwilę, ale to wspomnienie zawsze się jej wymykało. – Bardzo długo nic z tego nie pamiętałam i do dziś nie jestem pewna, czy przypominam sobie podpisanie dokumentów, czy tylko to, co opowiedzieli mi pracownicy opieki społecznej.

Maggie przestała mówić i cisza wypełniła pomieszczenie. Wszystko, co zapamiętała wyraźnie, to uczucie frustracji, że nie potrafi utrzymać na dłużej żadnej myśli oraz dręczącego przekonania, że musi coś zrobić i ma na to trzynaście tygodni. Czy pytała personel, o co mogło chodzić? Czy ktoś jej wyjaśnił? „To twoje dziecko, Maggie. Masz trzynaście tygodni, żeby zdecydować, czy na pewno zgadzasz się je oddać”. Może jej wyjaśniono, a Maggie po prostu zapomniała. Albo powiedziano jej, żeby się nie przejmowała, bo umysł musi odpocząć, więc niech nie myśli za wiele.

Syn Maggie wstał. A zatem to koniec? Zaraz wyjdzie? Ale Jonathan tylko podszedł do okna i popatrzył na poręcz i chodnik, gdzie widać było tylko nogi przechodniów. Włosy miał ciemniejsze niż w dzieciństwie, niemal brązowe, ale pojawiały się złote pasemka, gdy padało na nie światło. Był wysoki jak Maggie i miał szerokie barki jak jej ojciec, zanim wycieńczyła go choroba. Maggie dostrzegła też napięcie ramion syna.

To moja wina, pomyślała.

Syn odwrócił się od okna i Maggie szybko spuściła wzrok.

* * *

Jonathan popatrzył na matkę. Dziwnie było myśleć o niej właśnie w ten sposób: matka. Wydawała się blada, drobna, a w dłoni ścisnęła resztki chusteczki, którą nerwowo podarła. Przy fotelu Maggie leżały skrawki jak płatki śniegu.

Powinien już iść, dać jej odpocząć. Ale najpierw musiał jej zadać jedno pytanie. Musiał wiedzieć.

– Co by się stało, gdyby moja siostra nie umarła? – W swoim głosie usłyszał ostrzejsze tony.

– Słucham? Nie wiem, co masz na myśli.

– Chodzi mi o to, że przez śmierć Elizabeth przeszłaś załamanie nerwowe, a ja zostałem oddany do adopcji. Ale gdyby żyła, gdybyś się nie załamała,

zatrzymałabyś mnie?

Maggie przechyliła lekko głowę i Jonathan zaczął się zastanawiać, czy dobrze go usłyszała, ale wtedy kobieta potwierdziła.

– Zrobiłam wszystko, co mogłam. Gdy tylko się urodziliście, wiedziałam, że chcę was zatrzymać. Jednak okazało się trudniejsze, niż sądziłam. Lekarze mieli rację, gdy twierdzili, że sobie nie poradzę. Wydaje się to głupie, ale nie zdawałam sobie sprawy, że nie zdołam nad wszystkim zapanować. Myślałam, iż muszę tylko was karmić, przewijać i kłaść do łóżeczka. Umknęło mi tylko, że w chwili gdy się urodziliście, staliście się żywymi i niezależnymi istotami, prawdziwymi, choć jeszcze małymi ludźmi. Co oznaczało, że wszystko może się zdarzyć i nie będę mogła nad tym zapanować... Jak choroba. – Zamilkła. – Przykro mi, Jonathanie. Odbiegłam od tematu.

Jego imię zabrzmiało dziwnie, gdy je wymówiła.

– Próbuję powiedzieć... nie byłam... nie byłam dobrą matką.

Jonathan skinął głową. Czy powinien tak to zostawić i wyjść? Wiedział jednak, że nie wyraził się zupełnie jasno. Maggie mówiła o nim i Elizabeth, jakby sądziła, iż chciał wiedzieć, czy rozważyła oddanie obojga swoich dzieci do adopcji. Odchrząknął.

– A gdybym to ja umarł... – przesunął palcami po włosach, skóra głowy wydała mu się gorąca, niemal rozpalona – ...zatrzymałabyś Elizabeth?

Jego słowa zawisły w powietrzu, Jonathan niemal słyszał, jak się układały w pytanie, na które długo nie otrzymał odpowiedzi. Czekał jednak cierpliwie.

– Nie, Jonathanie – odpowiedziała wreszcie Maggie. – Byłam chora. Kochałam cię, kochałam was oboje. – Sięgnęła po kolejną chusteczkę i od razu zaczęła ją drzeć. – Nie jestem pewna, czy okazywałam to wystarczająco, ale naprawdę was kochałam.

– Ale co z... – Jonathan wiedział, że naciska, może za bardzo, ale było to jak drażnienie rany i nie mógł przestać. – Co z moim... z tym człowiekiem... No, wiesz, z Jackiem?

Zdawało się, że wymówienie tego imienia sparaliżowało Maggie. Jonathan widział, że ją rani, ale nie przerwał. Musiał wiedzieć.

– Na pewno pomyślałaś, że urodzenie... no, syna...

Maggie spojrzała tak, jakby chciała coś powiedzieć, ale milczała.

– To znaczy nie winiłbym cię – mówił Jonathan. – Nikt nie mógłby cię winić, ale musiałaś chyba pomyśleć...

Paplał bez sensu.

Dość, nakazał sobie w duchu. Muszę się zamknąć i pozwolić jej odpowiedzieć.

Powoli, bardzo powoli Maggie pokręciła głową. Jonathan już był pewien, że matka nie zamierza się odezwać.

– Czasami – szepnęła cicho, niepewnie. – Czasami, zanim się urodziłeś, wyobrażałam sobie dziecko z twarzą Jacka. Ale kiedy przyszedłeś na świat, wszystko stało się jasne. Jak mogłabym patrzeć na was, dwa najśodsze aniołki,

jakie Bóg zesłał na Ziemię, i łączyć was z tym... z tym człowiekiem? – Odetchnęła głęboko. – Nie. Od chwili gdy na was spojrzałam, nigdy nie czułam, żebyście mieli coś wspólnego z tamtym... człowiekiem. Pod żadnym istotnym względem. Ty i twoja siostra byliście tacy różni, tacy nowi. To chyba najbardziej mnie zdumiewało – nigdy nie spodziewałabym się, że będziecie tacy indywidualni. – Popatrzyła na Jonathana z bladym uśmiechem. – Wiesz, przekonasz się o tym na własnej skórze, gdy tylko urodzi się twoje dziecko.

Na wzmiankę o dziecku Jonathana ogarnęła zaskakująca lekkość, opadło z niego dławiące napięcie. Poczuł, że ramiona mu się rozluźniają. Pomiedzy nim i Maggie zapadło milczenie, ale pozwolił mu się przez chwilę kołysać.

Potem Maggie odchrząknęła.

– Dolać ci herbaty?

Słysząc było tylko brzękliwe tykanie, jakby stary zegar z trudem przesuwiał wskazówki. Minęło kilka sekund, zanim Jonathan potwierdził, że tak, chętnie napije się jeszcze herbaty.

* * *

Maggie była roztrzęsiona i lekko kręciło jej się w głowie, gdy pchnęła drzwi do kuchni. Sam siedział przy stole i czytał gazetę, ale natychmiast wstał. Gdy ją objął, Maggie poczuła, jak napięcie opuszcza jej ciało. Słyszała głos Jonathana, gdy rozmawiał z żoną przez telefon. „Zostanę trochę dłużej – mówił syn. – Nie, nic mi nie jest, wszystko w porządku”.

– Dobrze sobie radzisz, kochana. – Sam pocałował ją w czoło. – Po prostu świetnie.

– Powinam mu powiedzieć, żeby przywiózł tu żonę, kiedy już wypocznie? – Maggie chwyciła męża za rękę.

Sam pokręcił głową.

– Nie możesz naciskać na chłopaka. Może się zdarzyć... – Urwał, potem westchnął. – Maggie, musisz pomyśleć o możliwości, że... cóż...

– Że co?

– Och, nie wiem, jak to powiedzieć, ale powinnaś być przygotowana, że...

– Że co, na litość boską?

– Twój chłopak może nie chcieć tutaj wrócić. Nigdy.

Maggie zamarła. Oczywiście Sam miał rację. Jonathan przyjechał tylko po to, żeby dowiedzieć się, kim jest. Może to jedyny raz, gdy się spotkali. Westchnęła i przytuliła się na chwilę do męża. Maggie obawiała się tego spotkania, ale nie chciała również, aby się skończyło. Trudno jej było myśleć, jak potoczy się ich życie po tym spotkaniu, jak Maggie miałyby przetrwać jutro i kolejny dzień, a potem kolejny?

Kiedy wniosła tacę do salonu, Jonathan właśnie przyglądał się fotografiom na ścianie.

– Kto to jest? – Wskazał na zdjęcie szkolne.

Maggie odstawiła tacę, wzięła okulary i stanęła obok niego.

– Dzieci siostry Sama, Kate i David.

– A to?

– To też Kate, ale już starsza. Z mężem.

Syn skinął głową.

– A to kto?

– Ellie, nasza stara sąsiadka. – Dopiero wtedy dotarło do niej, czego szuka Jonathan. Wskazała na starą czarno-białą fotografię w srebrnej ramie. – To zdjęcie moich rodziców, twoich dziadków. – Czy powinna była to podkreślić? – Byli wtedy bardzo młodzi. Mama miała dwadzieścia lat, tata niewiele więcej.

Jonathan zdjął fotografię ze ściany i przyjrzał się jej dokładnie.

– Wyglądałaś jak ona? – zapytał w końcu. – Kiedy byłaś młodsza? – Nie odrywał oczu od zdjęcia.

– Trochę, jak mi się zdaje. Ludzie mówili, że jestem podobna też do ojca. A to zdjęcie moje i Leonarda tuż przed śmiercią naszej matki. Ja jestem trochę rozmazana, ale Leonarda widać wyraźnie.

Czy wyobraziła sobie tylko podobieństwo między nią a Jonathanem? Kiedy syn się uśmiechał, unosił jeden kącik ust tak samo chyba jak Maggie. Obserwowała go, gdy odwieszał zdjęcia i starannie je wyrównał. Potem Jonathan wskazał na małą kolorową fotografię w spękanej ramce, którą Maggie zamierzała wymienić.

– A to kto?

– Och, to ja w takiej śmiesznej sztuce.

– Wróciłaś do teatru?

– Niezupełnie. Należę do miejscowej trupy amatorskiej, nic więcej. Trochę gram, ale głównie zajmuję się sceną, przygotowuję rekwizyty jak wtedy, gdy byłam młodsza.

– Jak też występuję w teatrze amatorskim! – Popatrzył na Maggie z uśmiechem, a kobieta zapamiętała z rewerencją ten szczegół, tę prawdziwą, realną więź.

– Masz więcej zdjęć, które mógłbym obejrzeć? To znaczy zdjęć rodzinnych.

Kolejna godzina minęła, gdy oglądali fotografie, a kiedy Jonathan oznajmił, że musi zadzwonić znowu do żony, Maggie nie mogła się powstrzymać.

– Z chęcią bym ją poznała, gdy tylko wstanie z łóżka. Mógłbyś ją tutaj przywieźć na herbatę albo... albo na obiad.

To bardzo miło z jej strony, zapewnił Jonathan, ale Fiona musi leżeć, dopóki nie urodzi, dlatego na razie nie próbują jeszcze robić żadnych planów.

Maggie, gdyby mogła, chętnie kopnęłaby się w kostkę.

Gdy minęło jeszcze pół godziny, Jonathan powiedział, że powinien wracać. Maggie zauważyła, że odłożył jedno zdjęcie – jego i Elizabeth okutanych ciepło i wyglądających jak ludziki Michelina, gdy stali na tle bałwana, którego ulepiła z Leonardem przed domem. Bliźnięta nie miały wtedy więcej niż po cztery

miesiące, ale była to jedna z niewielu okazji, gdy Elizabeth nie chorowała.

Jonathan podniósł fotografię.

– Mógłbym ją wziąć?

Maggie kusiło, żeby powiedzieć, że może ją pożyczyć, ponieważ wtedy musiałyby znowu przyjechać i oddać zdjęcie.

– Oczywiście, że możesz – zapewniła. – Powinieneś mieć jakąś pamiątkę po siostrze.

Potem Jonathan wstał, żeby się pożegnać.

– Och, prawie zapomniałem. – Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął skrawek aksamitu, który rozwinął, aby pokazać siedem kamyków, każdy z dziurką w środku. – Wiesz może, dlaczego miałem to przy sobie jako dziecko?

Maggie zapatrzyła się na kamyki. W duchu powtórzyła sobie, że to niemożliwe, ale oto leżały przed nią, kamyki, które jej matka zebrała ponad sześćdziesiąt lat temu. Zwalczyła odruch, aby wyciągnąć rękę i każdego dotknąć.

– Poczekaj, muszę coś sprawdzić – powiedziała Jonathanowi.

Pośpieszyła korytarzem do sypialni, otworzyła małe pudełko wyjęte z szafy i uniosła wieczko. Oczywiście, spoczywało tam jej siedem kamieni owiniętych czarnym aksamitem tak samo jak te Jonathana. Znieruchomiała. Wiedziała, że syn czeka w salonie na wyjaśnienia, ale zamiast do niego wrócić, wspomniała tamten dzień deszczowej jesieni w 1947 roku, jej siódme urodziny. Maggie siedziała na sofie przy ogniu, najedzona kanapkami z pastą rybną, ciasteczkami z dżemem i urodzinowym tortem, gdy matka wręczyła jej twarde, guzowate zawiniątko. Maggie wiedziała, co zawiera ten prezent – chciała mieć własne kamienie, odkąd dwa lata wcześniej dostał takie Leonard na swoje siódme urodziny.

Teraz, niemal sześćdziesiąt lat później, Maggie ogarnęła fala smutku – smutku po dawno zmarłej matce i po bliskości, jaką dzieliła ongiś z bratem. Zapragnęła znowu spotkać się z Leonardem, który przytuliłby ją tak mocno, że nie mogłaby oddychać. Wzięła kamyki jeden po drugim, przesunęła palcami po ich gładkiej powierzchni, a potem owinęła je i zabrała, żeby pokazać synowi.

– To stara tutejsza legenda – wyjaśniła Jonathanowi. – Jeżeli zbierzesz siedem kamyków z dziurką na plaży w Hastings, w jakikolwiek zakątek świata byś trafił, twoim przeznaczeniem jest zamieszkać znowu w Hastings przed śmiercią. Matka dała je mnie i bratu na siódme urodziny. Leonard musiał ci zostawić swoje.

Jonathan przyjrzał się obu kompletom kamyków, następnie owinął swoje z ostrożnością, niemal czułością, jak wydawało się Maggie.

– Bardzo... bardzo się cieszę – wydusił niepewnie. – Zatrzymam je.

Maggie odprowadziła go do drzwi, gdzie Jonathan uściśnął dłoń Sama, a potem odwrócił się do niej. Popatrzyła na swojego syna, stojącego przed jej domem, niemal wypełniającego framugę, i zapamiętała ten obraz, aby dokładnie przypomnieć go sobie później.

– Dziękuję – powiedział Jonathan. – Mam wiele do przemyślenia i nie jestem pewien... cóż, nie wiem, jak się teraz czuję.

Nastąpiła niezręczna chwila, ponieważ Maggie nie wiedziała, czy też ma uścisnąć mu rękę. Jonathan chyba czuł się równie nieswojo, ale potem pochylił się i pocałował Maggie w policzek – tak lekko, że nie była pewna, czy sobie tego nie wyobraziła. Jonathan patrzył na nią, a Maggie nie wiedziała, co powiedzieć.

– Jeszcze tylko jedno pytanie – odezwał się cicho. – O tego człowieka, Jacka. Czy jestem do niego podobny?

– Nie – skłamała Maggie. – Ani trochę.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, poczuła łzy napływające jej do oczu. Opadła w ramiona Sama jak marionetka, której podcięto sznurki.

– Myślisz, że on mi przebaczy?

– Och, cii... – Sam pogłaskał ją po włosach. – Nie ma nic do wybaczenia. Byłaś chorą zrozpaczoną matką, która straciła córkę. Z pewnością twój chłopak to zrozumie.

Maggie przytuliła się do Sama i przez kilka minut stali w przedpokoju. Kobieta była tak wykończona, że obawiała się jednego ze swoich ataków, ale pomimo wyostrenia się dźwięków i kolorów jej oddech pozostał spokojny, a umysł nie oderwał się od tu i teraz.

– Myślisz, że jeszcze kiedyś go zobaczę? – zapytała Sama, nie podniósłszy wzroku.

Mąż pocałował ją w czoło.

– Nie wiem, kochana.

Rozdział 50

Zanim ruszył do domu, Jonathan zszedł na plażę i popatrzył w morze. Minęło kilka minut, a może godzin, nie potrafiłby określić, ale kiedy dotarł do niego szum i plusk fal, niebo zaczynało szarzeć, a na horyzoncie skłębiły się burzowe chmury.

* * *

Zabrał Fionę od Lucy. Oczywiście żona chciała wiedzieć wszystko. Od czego miał zacząć?

– No cóż... – Westchnął. – Ona nie jest ani bez serca, ani bezduszna. Okazało się, że miała naprawdę ciężkie przejścia.

Fiona skinęła głową.

– Co to za historia?

– Zdaje się, że jestem owocem... – Ponownie to słowo niemal zgięło go w pół.

– Okazało się, że... że została zgwałcona.

Fiona uniosła dłonie do ust.

– Jonno! O mój Boże!

Potem Jonathan opowiedział jej resztę, a żona słuchała i nie przerwała ani razu. Gdy skończył, pokręciła głową.

– Biedna kobieta.

Przyjrzała się ponownie fotografii dwojga dzieci na śniegu i przesunęła palcem po krawędzi.

– Więc to jest twoja siostra?

– Moja bliźniaczka – potwierdził Jonathan.

On też długo patrzył na zdjęcie.

Potem, kiedy zszedł, żeby zrobić coś do jedzenia – Fiona miała ochotę na jajka z solą i grzanki na maśle – zauważył wyświetlające się na aparacie telefonu powiadomienie o wiadomościach. Wybrał 1571 – dwie nowe wiadomości, obie od matki. Chciała, żeby oddzwonił, ale Jonathan nie mógłby znieść jej pytań, jeszcze nie teraz. Postanowił zadzwonić jutro z samego rana.

– Zamierzasz jeszcze się z nią spotkać? Jak sądzisz? – Fiona opanowała ziewnięcie.

– Nie. Może. Och, nie wiem.

Zapadła cisza.

– Fi – odezwał się wreszcie Jonathan. – Nie jestem pewien, czy postąpiłem właściwie.

– To znaczy?

– Powiedziałem jej, że policja szuka... szuka Jacka. Dałem jej telefon do Hutchinsona.

Fiona uniosła się na łokciu i spojrzała mężowi w oczy.

– I co powiedziała?

– Nic. Tylko popatrzyła na karteczkę, a potem wsunęła ją za zegar na kominku.

– Nie zdenerwowała się?

Pokręcił głową.

– Chyba nie. Ale czy to było, no nie wiem, *stosowne*? Biorąc pod uwagę, że wtedy nie zgłosiła tego, co się stało, na policję?

– Nie wiem, ale ty tylko dałeś jej numer telefonu, teraz sama może zdecydować.

– Chyba tak. – Jonathan położył się wygodniej. Nagle ogarnęło go zmęczenie. Próbował nie myśleć o tym, co spotkało jego matkę. Wolał pomyśleć o zmarłej siostrze, wyobrazić sobie jej szczerbaty uśmiech i pulchne ramionka. W swojej wyobraźni ujrzał Elizabeth siedzącą na ławce i patrzącą w fale. Jonathan przeszedł przez kamienną plażę i wziął dziewczynkę w ramiona. Potem wyobraził sobie własne dziecko, jeszcze się nie narodziło, a już było kochane najbardziej na świecie. Dziecko wyciągnęło rączki i Jonathan przytulił delikatne, miękkie ciało. Poczuł się, jakby znowu był sobą.

Nie zdawał sobie sprawy, że zasnął, dlatego nie od razu zorientował się, że obudził go dzwonek telefonu. Jonathanowi zdawało się, że jest środek nocy, dlatego pośpieszył na dół z bijącym sercem.

– Halo?

– Kochanie, tu mama. Chciałabym...

– Mamo? Coś się stało? – Ledwie jednak to powiedział, zdał sobie sprawę, że wcale nie jest tak późno. Dochodziła dopiero dziesiąta.

– Nic się nie stało, mój drogi. Wręcz przeciwnie. Ale nieważne, jak poszło dzisiejsze spotkanie?

Jonathanowi już nie kołatało serce.

– Dobrze. No, to było... poszło dobrze. To długa historia i wszystko ci opowiem, ale jutro.

– Och, cieszę się – zapewniła matka. – Naprawdę się cieszę, Jonathanie. Wiesz o tym, prawda?

– Tak, mamo, wiem. I dziękuję. – Już chciał się pożegnać, ale matka mówiła dalej.

– W każdym razie dzwonię, bo wczoraj skontaktował się prawnik twojego ojca. Trochę to potrwa, trzeba poczekać na uprawomocnienie i tym podobne, ale okazało się, że niektóre inwestycje twojego ojca przyniosły zyski. Kiedy wszystko już będzie załatwione, dostaniesz ponad czterdzieści tysięcy funtów.

– Co? Wybacz, co...

– Wiedziałaś, że będziesz zaskoczony. Nie wspomniałam o tym wcześniej,

ponieważ spora część akcji straciła na wartości i nie byłam pewna, ile właściwie zostanie po załatwieniu formalności, ale jak powiedziałam, pan Windgrove skontaktował się i...

– Wybacz, mamó, nie bardzo rozumiem. Powiedziałaś...

– Czterdzieści tysięcy! Albo trochę więcej. W każdym razie wystarczy, żebyś mógł...

– Poczekaj. Na pewno nie powinnaś sama tego dostać?

– Och, tak, dom, emeryturę, oszczędności i inne takie. Ale te pieniądze są przeznaczone specjalnie dla ciebie, ojciec załatwił to w zeszłym roku, zaraz po tym, jak się rozchorował. I jeszcze jedno, Jonathanie... – Głos matki złagodniał. – Myślę, że to cię ucieszy: twój ojciec wyraźnie zaznaczył, że powinieneś wydać te pieniądze, na co tylko zechcesz.

Jonathana ponownie ogarnęło dziwne doznanie, jakby był całkowicie świadomy własnego ciała. Poczuł swoje ubranie – stary podkoszulek i bokserki, łaskotanie powietrza na nieosłoniętych partiach skóry. Wciąż jeszcze starał się zrozumieć to, czego dowiedział się o swojej biologicznej matce, a teraz Gerald... Jonathan zadrzał, chociaż w domu było ciepło. Czekąło go więcej przemyśleń.

– Zobaczymy się jutro, kochanie – powiedziała matka, a potem usłyszał ciche kliknięcie odłożonej słuchawki.

Kiedy szedł po schodach do sypialni, zdawało mu się, że widzi siebie z zewnątrz i obserwuje ruch każdego stawu, kurczenie się i rozkurczanie mięśni oraz ścięgien. Miesiącami „nie czuł się sobą”, ale teraz doznawał intensywnego „bycia sobą”, absolutnie i dogłębnie sobą. I nigdy wcześniej w swoim życiu nie czuł się bardziej sobą niż teraz.

* * *

Było dobrze po ósmej, gdy wiosenny promień słońca wślizgnął się pomiędzy zasłony i obudził Jonathana. Mężczyzna od razu pomyślał o Geraldzie. Fiona już głęboko spała, gdy Jonathan wrócił zeszłej nocy do sypialni, więc nie znała najnowszych wieści. Sam ledwie mógł w to uwierzyć. Obrócił się, żeby popatrzeć na żonę. Właśnie się obudziła i podnosiła, a spod rozchylonej koszuli wystawał jej piękny, okrągły brzuch.

– Patrz – powiedziała. – Możesz zobaczyć, jak się rusza.

Przez pół minuty, może dłużej, Jonathan wpatrywał się w napięte ciało na próżno. A potem to zobaczył – małą rączkę lub nóżkę przesuwaną się z prawa na lewo niczym spadająca gwiazda.

Rozdział 51

Hastings, czerwiec 2009

Maggie wyjęła ze skrzynki na listy plik kopert i zabrała je do kuchni. Były tu jak zwykle ulotki reklamujące pizzę i inne śmieci, kilka rachunków oraz pocztówka.

– Popatrz. – Wręczyła kartkę Samowi. – Od Dona Hutchinsona. Dziękuję mi za spotkanie. To miło z jego strony, chociaż nie jestem pewna, czy w czymkolwiek mu pomogłam.

– Och, daj spokój. Czemu miałabyś wątpić w jego słowa? To, co mu powiedziałaś, pasowało do wyznań innych kobiet. Potwierdziło się dokładnie, gdzie był ten drań i kiedy, czyli informacje, które policja już miała.

– Chyba tak. Ale niewiele dobrego z tego wynikło, prawda? Już za późno...

Maggie nie wiedziała, czy kiedykolwiek sobie wybaczy, że od razu nie zeznała na policji, co się stało. Gdyby to zrobiła, może Jack nie zgwałciłby tylu innych kobiet.

Sam otoczył ją ramionami.

– Pan Hutchinson powiedział, że nigdy nie jest za późno. Dzięki temu te kobiety dowiedzą się, że drań, który je zgwałcił, już im nie zagraża. Dobrze się spisałaś, kochana, jestem z ciebie dumny. Dzięki tobie policja wie, że to był ten sam człowiek.

Maggie westchnęła.

– Chyba tak.

Pan Hutchinson mówił też, że wpadli na trop po aresztowaniu brata Jacka, który brał udział w proteście emerytów przeciwko opodatkowaniu ich przez hrabstwo. DNA brata wykazało podobieństwa do tego, które policja już miała w swojej bazie danych z próbek pobranych od zgwałconych kobiet – tych, które miały odwagę, żeby to zgłosić. Okazało się, że Jack zabił się w 1987 roku – rzucił się pod pociąg podobno po tym, jak jego psa przejechał samochód. Jack miał długą historię chorowania na depresję, jak przyznał jego brat. Maggie ucieszyła się, że Jack nie żyje, choć trochę mu współczuła, że popełnił samobójstwo, pomimo tego, co jej zrobił. Często powtarzała, że nie życzyłaby depresji najgorszemu wrogowi, i okazało się, że to prawda, ponieważ Jack z pewnością był jej najgorszym wrogiem. Brat zmarłego, według Dana Hutchinsona, był natomiast szanowanym starszym dżentelmenem. Maggie zastanawiała się, czy brat wiedział wszystko o Jacku. Czy wiedział, jaki był? Czy wiedział, co zrobił tylu kobietom? Ale zaraz odepchnęła te myśli i wspomnienia w najgłębsze zakamarki – wolała, aby zostały ukryte.

Już miała wyrzucić reklamy do kosza, gdy wysunęła się z nich srebrzysta koperta. Była zaadresowana: „Maggie i Sam Kielty”. Kiedy ją otworzyła,

poczuła, jakby tuziny rybek wyskakiwały i przepływały jej w brzuchu. Wstrzymała oddech, gdy wyjmowała z koperty satynową białą kartkę pocztową. Na wierzchu znajdował się błękitny odcisk małej stópki. Maggie otworzyła kartkę i przeczytała treść wykaligrafowaną srebrnymi literami:

*Jonathan i Fiona Robsonowie
pragną obwieścić szczęśliwe narodziny
George'a Edwarda.
Syn urodził się 4 maja o 4.43 nad ranem,
wżył 3,56 kilograma.*

A poniżej odręcznie napisano jeszcze:

George urodził się tydzień wcześniej, co trochę nas przestraszyło, ale on i Fiona czują się świetnie. Wrócili już ze szpitala do domu i chętnie przyjmą gości. Chciałbym bardzo, żebyś poznała ich oboje oraz drugą babcię George'a. Przyjedź razem z Samem. Wszyscy twierdzą, że mały jest do mnie podobny (biedne dziecko!), ale czego się spodziewać? George ma dopiero sześć godzin.

Jonathan

Oczy Maggie wypełniły się łzami tak szybko, że musiała zamrużyć, żeby odzyskać ostrość widzenia. Zajrzała jeszcze raz do koperty i wyjęła z niej zdjęcie ślicznego noworodka z niebieskimi oczami i szczecinką złotych włosów.

Podziękowania

Wyrazy wdzięczności składam mojej redaktor Clare Hey za jej ekspertyzę i fachową pomoc, a zwłaszcza za chwile, gdy „zapalała mi się żarówka”. Dziękuję także Kate Shaw za jej rady i przewodnictwo oraz za inspirujące wskazówki dotyczące kompozycji historii Maggie. Pragnę również podziękować Susan Opie, której sokole oko do szczegółów przydało się do wygładzenia manuskryptu. Dziękuję też wszystkim w wydawnictwie Simon and Schuster za ich radosny entuzjazm i wiarę w tę powieść.

Bardzo dużo zawdzięczam przyjaciołom i kolegom po piórze, którzy czytali fragmenty lub całość pierwszej wersji, a potem dodawali konstruktywną krytykę, zachętę i moralne wsparcie, nie wspominając o kawie, cięście i winie. Dziękuję zwłaszcza: Sue Cooper, Rachel Genn, Ionie Gunning, Sue Hughes, Neilowi Reedowi, Ruby Speechley i Russellowi Thomasowi. A osobno bardzo dziękuję Jane Rogers, która dawała mi dobre rady, wsparcie i zachętę do pracy, gdy pisanie stawało się trudne.

Aby zachować wiarygodność, wykorzystałam umysły wielu życzliwych ludzi, którzy służyli mi swoją wiedzą na temat DNA i procedur policyjnych w przypadku niewyjaśnionych spraw sprzed lat. Chciałabym podziękować Dave'owi Drabble'owi, doktorowi Christopherowi Fordowi, Sarze Longford, Johnowi Milne'owi i wielu innym. Za porady medyczne w „krwawych scenach” dziękuję doktor Rebecce Davenport. Wszystkie błędy powieści należy przypisać wyłącznie mnie.

Gdy zbierałam materiały do opisu pobytu Maggie w szpitalu psychiatrycznym, natrafiłam na mnóstwo ciekawych lektur, ale jedna książka, do której na pewno wrócę, okazała się bezcenna: *The Female Malady: women, madness and English culture 1830–1980* („Choroby kobiece: szaleństwo kobiet i kultura angielska w okresie od 1830 do 1980”) napisana przez Elaine Showalter.

Oczywiście najbardziej wdzięczna jestem swojej rodzinie za to, że niezłomnie we mnie wierzyła, zwłaszcza mojej córce Emmie i synowi Jamesowi, którzy – jak mi się wydaje – są równie dumni ze mnie jak ja z nich. Jednak najbardziej zobowiązana jestem mojemu mężowi Francisowi za śmiech, rozmowy, pomysły i anegdoty, a przede wszystkim za to, że miał więcej pewności, że mi się uda, niż ja, a także za jego nieustanną miłość i wsparcie.

Przekład: Małgorzata Koczańska
Redakcja: Artur Kaniewski
Korekta: Małgorzata Kluska, Bogusława Jędrasik

Projekt okładki: Simon & Schuster UK Ltd

Zdjęcia wykorzystane na okładce: © Patrick Eden/Alamy/BE&W; © Nat Norman/Archive Photos/Getty Images

Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-2270-6

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)

i Marcin Kapusta / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Prolog. Luty 2009](#)

[Rozdział 1. Listopad 2008](#)

[Rozdział 2. Czerwiec 1964](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12. Styczeń 1962](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46. *Hastings, luty 2009*](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51. *Hastings, czerwiec 2009*](#)

[Podziękowania](#)